



❖ RUPERT ❖  
LATIMER

— ◆ ◆ ◆ —  
POŚWIĄTECZNE  
MORDERSTWO

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

RUPERT  
LATIMER

---

◆ ◆ ◆

POŚWIĄTECZNE  
**MORDERSTWO**

Tłumaczył  
Tomasz Bieroń

---

**ZYSK I S-KA**  
**WYDAWNICTWO**

---



Rupert Latimer  
Poświęteczne morderstwo

Tytuł oryginału  
*Murder After Christmas*  
Rupert Latimer ISBN

Murder After Christmas Rupert Latimer

Copyright © 1944 The Estate of Algernon Victor Mills  
This edition published 2021 by The British Library, 96 Euston  
Road, London NW1 2DB  
Murder After Christmas was originally published in 1944 by  
Macdonald and Co., London  
Copyright © for the Polish translation by Zysk i S-ka  
Wydawnictwo s.j., Poznań 2023  
*All rights reserved*

Redakcja  
Karolina Pawlik, Anna Szymczak

Projekt okładki oraz stron tytułowych  
Paulina Radomska-Skierkowska

Wydanie 1

Zysk i S-ka Wydawnictwo  
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań  
tel. 61 853 27 51, 61 853 27 67  
dział handlowy, tel./faks 61 855 06 90  
[sklep@zysk.com.pl](mailto:sklep@zysk.com.pl)  
[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną

prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku. Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w Zysk i S-ka Wydawnictwo.

## I. Rzucaj chleb twój na wody ciekące<sup>1</sup>

1

- Wujek Willie? - powtórzył nieco zaskoczony Frank Redpath, przesuwając zmarznięte dłonie nad stojącym na kredensie elektrycznym grzejnikiem. - Co z nim?

Rhoda odłożyła dopiero co przeczytany list, by usiąść na palcach i je rozgrzać. Kiedy przestała już szcząkać zębami i gotowa była odpowiedzieć mężowi, ten dodał:

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że nareszcie umarł?

- Nie, ani słowem nie wspomina o tym, żeby umarł. - Mechanicznie przebiegła wzrokiem list od ojczyzna, aby się upewnić.

Frank z nieobecną miną kiwał głową na znak aprobaty dla działań żony.

- Mówi, że zarekwirowali mu hotel - kontynuowała Rhoda. - Wszyscy muszą się wynieść przed świętami.

Cmoknęła współczująco, Frank również.

Z kolei ciocia Paulina, oderwana od lektury "Daily Telegraph", najwyraźniej uznała, że przekazana przez Rhodę wiadomość wymaga serdeczniejszej i bardziej wylewnej reakcji.

- Och, biedny sir Willoughby! - zawołała. - W jego wieku! W taką pogodę! Gdzie on się podzieje?

- Cóż, o tej porze roku zawsze jeździ do Włoch - mruknął Frank, nakładając sobie jedzenie na talerz, a po chwili się zreflektował: - O rany.

Rhoda przypomniała rzecz najzupełniej oczywistą: wojnę wy-

powiedziano po to, aby jak najbardziej utrudnić biednemu wujkowi Williemu przeprawę przez kanał La Manche, a także że Mussolini w końcu postanowił stanąć po jednej ze stron w obecnych europejskich nieprzyjemnościach, aby ostatecznie uniemożliwić sir Willoughby'emu Keene-Cottonowi pobyt w jego willi w San Remo.

- Jasne, jasne! - przytaknął skwapliwie Frank, sprawiając jej ulgę. - Ciągle zapominam o tej paskudnej wojnie. Przedtem była, zdaje się, jakaś rewolucja, która miała na celu wysadzenie w powietrze jego zamku w Hiszpanii, dobrze mówię? A teraz rząd brytyjski się dowiedział, że wujek Willie wciąż żyje, i wypędził go na śnieg. Popatrz, popatrz! - Usiadł i nalał sobie kawy. - Długo już nie pożyje - pocieszał się - a potem może będziemy mieli trochę spokoju.

Ciocia Paulina była należycie zbulwersowana, ale oddała Frankowi - aczkolwiek niechętnie - "Daily Telegraph", po czym dokończyła swoje jak zawsze skromne śniadanie, otworzyła przeszkłone drzwi na taras i wypłynęła na wzburzone fale rozpoczynającej się śnieżycy.

Małżonkowie patrzyli na nią z szacunkiem przez mleczne szyby.

- Starzy ludzie chyba nigdy nie marzną - skomentował Frank.
- Noszą dużo pod spodem - wyjaśniła Rhoda.
- Obiekają zupełną zbroję Bożą?<sup>2</sup> - zasugerował Frank.
- Możliwe - odparła Rhoda.

Paulina Redpath stała na tarasie we władczej pozycji i obserwowała ptactwo pospiesznie zjadające przysmaki, które dla niego wyłożyła. Uśmiechnęła się do ptasiego towarzystwa z aprobatą, zbyła

ruchem ręki jego świergoczącą wdzięczność i zniknęła z pola widzenia.

- Jak na ewakuowaną<sup>3</sup> krewną całkiem nam się udała - przyznał Frank.

- Wiedziałam, że nam się uda - powiedziała Rhoda, ale bez złośliwej satysfakcji.

- Miałem swoje obawy - przyznał Frank.

- Tak? Dlaczego?

- Nie wiem. Zawsze podejrzewałem, że ma jakąś ukrytą słabość i jeśli zamieszka u nas na stałe, to prędzej czy później z pewnością ją odkryjemy.

- Nie - podsumowała jego dywagacje Rhoda. - Nic się jej nie ima. Przecież widzisz, jak nad wszystkim przechodzi do porządku dziennego: wojna, pogoda, nawet Wortleyowie. Nic jej nie szokuje, nic nie drażni i nic nie jest dla niej zbyt uciążliwe. - Mówiąc to, Rhoda miała taką minę, jakby bardzo ją to martwiło.

- Niedługo coś znajdziemy - pocieszał ją Frank.

Niespiesznie wziął do ręki list od wujka Williego.

- Biedny stary zgred - powiedział - będzie musiał zamieszkać u swojej żony na Chester Square! Pech, zgadzam się; ale jaki jest pożytek z żony, jeśli się z nią nie mieszka? I jaki jest sens utrzymywać ogromny dom w Londynie i zamykać go na cztery spusty na jedenaście miesięcy w roku?

- Człowiek w wieku wujka Williego nie powinien przebywać teraz w Londynie, nie uważasz? - rzuciła ostrożnie Rhoda.

- W rodowej siedzibie w Highlands byłoby może bezpieczniej. Też nadałaby się na schronienie, a przynajmniej jest dużo dalej...

- Nie ma benzyny - wtrąciła Rhoda.



- Jak to nie ma benzyny?

- Przeczytaj list. Poza tym jego szofera powołali do wojska, a ten, którego wzięli na zastępstwo, ma prawie tyle samo lat co wujek Willie i dostał urlop na święta...

W tym momencie Frank, który właśnie zaczął przymierzać się do lektury, upuścił list i spojrział na żonę ze zgrozą.

Rhoda pospiesznie oblekła pełną zbroję Bożą, ale Frank zdołał już powściągnąć gniew.

- Najdroższa - powiedział łagodnym tonem. - Nie możemy przyjąć wujka Williego. To absolutnie wykluczone.

- Przecież mówiłeś, żebym go zaprosiła - zwróciła mu uwagę Rhoda.

- Uznałem, że nie zaszkodzi wykonać taki świąteczny gest dobrej woli, bo nic złego z tego nie wyniknie. Szansa, że wujek Willie przyjmie zaproszenie, wynosiła jeden na milion.

- W każdym razie przyjął. Tak jak się spodziewałam. Mój drogi, nie bardzo widzę, jak mielibyśmy się teraz z tego wycofać...

- Chcesz powiedzieć, że będzie u nas mieszkał do końca wojny?

- Może tylko do końca życia, kochanie.

- Wojny prędzej czy później się kończą, ale wujek Willie najwyraźniej jest nieśmiertelny - narzekał Frank.

- Ale on ma teraz dobrze ponad osiemdziesiąt lat.

- Nawet bliżej dziewięćdziesięciu. Jedna z jego ciotek żyła dwa lata powyżej setki - zdajesz sobie z tego sprawę? Ale można na to spojrzeć od bardziej optymistycznej strony: przypuszczalnie umrze tutaj, co będzie bardzo miłe.

- W takim razie zaprosimy go tylko na Boże Narodzenie, do-

brze? - powiedziała spokojnie Rhoda. - W końcu święta spędza się z rodziną i nie zapominaj, że on traktuje nas bardzo życzliwie.

Frank nie omieszkał oczywiście napomknąć, że do kategorii "rodzina" na ogół zalicza się tylko tych osobników, w których żyłach płynie ta sama krew, co wykluczałoby ojczyma, po czym dodał:

- Tego, że nie zwędził wszystkich pieniędzy, które twoja matka przez pomyłkę mu zostawiła, nie uważam za przejaw życzliwości, a ty?

Rhoda jak najbardziej uważała to za przejaw życzliwości.

- Spokojnie mógł zachować całą sumę dla siebie - powiedziała.  
- Jest bardzo hojny.

- Nie miał innego wyboru - zripostował ponuro Frank. - Samoobrona. Pewnie ktoś mu powiedział, że od lat planujemy go zamordować. Teraz nie mamy już motywu, więc pozbawił nas nawet tej odrobiny dreszczyku na osłodę wieku średniego. - Wziął do ręki tost i się poskarżył: - Lektura porannej gazety sprawia mi teraz mniejszą przyjemność niż dawniej, ponieważ perspektywa, że znajdę w niej nekrolog wujka Williego, nie budzi już we mnie takiego podniecenia. Nie miałoby znaczenia, gdyby umarł, przynajmniej dla nas.

- Teraz możesz sobie poczytać o wojnie.

- Wojny są takie prymitywne i prostackie.

- Morderstwa pewnie też, w każdym razie w prawdziwym życiu.

Frank westchnął nostalgicznie.

- Wujka Williego można by zamordować całkiem finezyjnie -

perorował. - Artystycznie i z nutą poezji. - Prychnął posepnie. -  
Prawda? Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Tak, kochanie. - Rhoda przestała trząść się z zimna, żeby móc  
coś powiedzieć. - Ale mordowanie wujka Williego już mnie trochę  
umęczyło.

- A mnie nie. I teraz tylko dlatego, że dał ci twoje własne pie-  
niądze, i ty, i Paulina uważacie za swoją powinność nurzać się w  
świątecznej obłudzie, musimy zgodzić się na to, żeby nam chrapał  
po całym domu i traktował nas jak dzieci. Czemu jego żona nie  
może się nim zaopiekować, co? Wyszła za niego tylko po to, żeby  
zostać lady Keene-Cotton i odziedziczyć jego nieuczciwie zdobyty  
majątek. Mogłaby przynajmniej zapracować na swoje utrzymanie.

Rhoda przypomniała mu, że obecna lady Keene-Cotton jest  
osobą wątłego zdrowia i na ogół woli spędzać Boże Narodzenie u  
kogoś z własnej rodziny, najczęściej w maleńkim probostwie w  
Borrowfield, gdzie podczas świąt nawet bez wujka Williego musi  
nocować niemal ramię w ramię sześć osób. Na koniec dodała jesz-  
cze:

- Sam wujek Willie za żadne skarby świata nie chciałby tam po-  
jechać, przecież wiesz, kochanie.

Frank mógł już tylko powtórzyć zrzędlawie:

- Jaki jest pożytek z żony, jeśli się jej nie widuje?

- Wujek Willie tak woli - padła szybka odpowiedź Rhody -  
zwłaszcza że już przed ślubem oboje mieli swoje rodziny. I teraz,  
kiedy wujek Willie ma już na wszystko pieniądze, może do nich pi-  
sać i dyrygować nimi, nie musząc ich kochać, a większości z nich  
nawet poznawać osobiście. Jestem pewna, że u nas czułby się dużo  
szczęśliwszy - powróciła do swojej starej śpiewki.

- W to nie wątpię! - prychnął Frank. - I bezpieczniejszy - dodał, wcale nie mając na myśli nalotów bombowych. Po chwilowym namyśle musiał jednak niechętnie przyznać: - Nie żeby którykolwiek z tych Horshamów miał dostatecznie dużo wyobraźni i odwagi, żeby go zamordować. Ze świecą szukać nudniejszej zgrai. Bynajmniej nie winię ich matki za to, że złapała bogatego męża, mając pod swoją opieką tę bezradną gromadkę, ale w ten sposób tylko pogłębiła tę ich bezradność. Z nich wszystkich szanuję tylko Angelinę. Starczyło jej przyzwoitości, aby nie trzymać się matczynej spódnicy, tylko właściwie ulokować swoje uczucia, póki jeszcze była niezła koniunktura. Przy okazji, kim jest jej najnowszy amant?

- Chyba wyszła za męża, ale nie wiem za kogo. Wujek Willie chyba też nie wie. Angelina od kilku lat mieszka za granicą i chyba ani razu się z nią nie widział.

- To pewnie zapisze jej wszystkie swoje pieniądze - powiedział Frank.

- Nie, sporządził testament, w którym zostawia wszystko żonie. Wiem, bo sam mi to powiedział. Miała ciężkie życie z mnóstwem obowiązków, ale ponieważ ma głowę do interesów, uznał, że dobrze wykorzysta te pieniądze.

- A mianowicie rozda je swojemu porzrzuconemu po całym świecie potomstwu! Nie widzę powodu, aby oni mieli większe prawo do tych pieniędzy niż my. - Rhoda nie zareagowała. - A co ty o tym sądzisz? - naciskał Frank.

Wywołana do odpowiedzi Rhoda powiedziała łagodnie:

- Nie, oczywiście, że nie mają. Między innymi dlatego pomyślałam, że miło byłoby zaprosić wujka Williego do nas. To mogą być jego ostatnie święta i jeśli spędzi je u nas w radosnej atmosferze,

jeśli będzie miał poczucie, że wszyscy mocno go kochamy, chociaż po prawdzie nie bardzo mamy po temu powód...

Frank przerwał jej rozpromieniony:

- A, rozumiem! "Rzucaj chleb twój na wody ciekące"! - zachichotał. - To byłby świetny żart, gdyby niesiony atmosferą radosnych świąt unieważnił testament i wszystko zostawił nam!

- Tak, to rzeczywiście byłoby zabawne - zgodziła się z nim Rhoda.

- Prztyczek w nos wielebnego Cyrila Horshama i spółki, co? - Zmarznięty Frank objął się ramionami. - Wyobraź sobie ich zdumienie i furję!

Rhoda posłusznie to sobie wyobraziła.

- Ale oczywiście nie pozwolilibyśmy mu zostawić nam wszystkiego - powiedziała gwoli otrzeźwienia. - Myślałam tylko o kodycy lu<sup>4</sup>, żebyśmy mogli dawać Johnowi większe kieszonkowe, a potem mógłby się ożenić z tą całą Margery. To zdecydowanie najlepsza z dotychczasowych kandydatek i odetchnęłabym z ulgą, gdybyśmy mieli tę sprawę z głowy.

- Pewnie oboje przyjeżdżają na święta? - zapytał Frank, który rzeczywiście trochę otrzeźwiał.

- Obiecałam Johnowi, że wyślę pani Dore oficjalne zaproszenie, bo jak przypuszczam, należy do matek, które tego oczekują.

- Dobrze. Lubię Margery. Jest taka autentyczna. Zabawne, że chce być aktorką.

- W dzisiejszych czasach aktorki nie mają w sobie ani odrobiny frywolności czy sztuczności. Taka Gwendoline Lucas na przykład, która w zeszłym roku grała w teatrze Old Vic Rozalindę, to zabaw-

na, drobna, niemłoda już istota dość pospolitej urody, i w dodatku nosi binokle.

- Skąd wiesz?

- Zatrzymała się u państwa Crosbie.

- O! Bardzo chciałbym ją poznać. Nie moglibyśmy jej zaprosić na ubieranie choinki?

- Nie miałabym śmiałości.

- Nieważne. - Frank ukrył rozczarowanie. - Kto jeszcze przyjeżdża do nas na święta?

- Nie będzie miejsca dla nikogo innego.

- Bogu niech będą dzięki.

- To znaczy nie będzie miejsca, jeśli wujek Willie dostanie apartament małżeński.

- Chcesz powiedzieć, że musimy się wyprowadzić?

- Wujek Willie będzie potrzebował pokoju, w którym można usiąść, pisać dużo listów i spać. Przypuszczalnie chrapie, kochanie. Korona nam z głowy nie spadnie, jeśli przez święta pomieszkamy w dwóch pozostałych pokojach gościnnych. A jeśli wujek Willie zechce zostać dłużej...

- Co?

- No cóż, skoro mamy Coultardów nad garażem, nie przypuszczam, by kwatermistrz nas już więcej nękał. Nie z wujkiem Willem i Pauliną na pokładzie.

Frankowi zaczęło się robić całkiem ciepło. Spojrzał z podziwem na żonę.

- Najwyraźniej o wszystkim pomyślałaś.

- Wszystko się dobrze składa - zapewniła go Rhoda.

- Musi w tym tkwić jakiś haczyk - uznał po chwili Frank. - Pau-

lina i wujek Willie - dywagował. - Wujek Willie nie jest przypadkiem wegetarianinem?

- O nie! Nie ma żadnych kaprysów. Je absolutnie wszystko.

- Szkoda.

- Dlaczego?

- Bardzo mi smakuje bekon cioci Pauliny.

Rhoda spochmurniała.

- Wujek Willie zawsze się szczycił, że jest bon vivantem, ale oczywiście lat mu nie ubywa.

- Nie ma przypadkiem cukrzycy albo marskości wątroby?

- Nie, cieszy się doskonałym zdrowiem. - Po chwili nieco niezręcznej ciszy Rhoda coś sobie przypomniała: - Jego żona ma chyba jakieś szczególne zapatrywania na kwestię przygotowywania potraw. Wszystko musi być gotowane. Może pośle mu trochę swojego masła i parę funtów cukru, więc nasze kartkowe zapasy za bardzo nie ucierpią. Poza tym, jak znam wujka Williego, to załatwi nam na święta jakieś czarnorynkowe jedzenie. W tych swoich domach chomikuje chyba zapasy herbaty i marmolady. Każemy mu po nie posłać. I po cebulę...

Rhoda coraz bardziej dawała się ponieść kulinarnym fantazjom. Frank tymczasem wydawał się zadowolony z obecnej sytuacji.

- Wujek Willie to całkiem poczciwy staruszek - orzekł i z radosnym westchnieniem na powrót wziął do ręki gazetę. - Jak piękny antyk. Oto, czego potrzeba w domu na święta. Ogniwa łączącego nas z przeszłością. Cholera jasna. - Odłożył gazetę i zmarszczył brwi. - Paulina i wujek Willie. Wiedziałem, że coś może być nie tak. Dopasują się do siebie?

- Dlaczego mieliby się nie dopasować? Dlatego, że była moją guwernantką? Czy bycie twoją ciocią tego nie niweluje?

- Nie, chodziło mi o to, że wujek Willie jest ogniwem łączącym nas z przeszłością. A ona nosi w sobie tę ukrytą słabość. Czy nie było jakichś nieprzyjemności zaraz po tym, jak się ożenił z twoją matką, i czy Paulina nie miała z tym czegoś wspólnego?

- Paulina nigdy by się nie mieszała do szemranych...

- Ale uwiła sobie tutaj przytulne gniazdko. A co, jeśli wujek Willie znajdzie na nią jakiś kij i zacznie nim wymachiwać?

- Jestem pewna, że wujek Willie już zapomniał o perypetiach Pauliny z czasów wczesnego panieństwa. Pewnie jej nawet nie rozpozna. Poza tym święta to czas wybaczenia dawnych uczynków i zakopywania toporów, czyż nie?

- A po świętach?

- Teraz to już szukasz dziury w całym - powiedziała Rhoda.

2

Kilka minut później Rhoda Redpath siedziała przy swoim dosyć zabałaganionym sekretarzyku w salonie. Kiedy zobaczyła w lusterku swoją twarz, zaczęła pocierać policzki, aż dopasowały się kolorystycznie do nosa. Zadowolona z rezultatów tej czynności przebiegła palcami po krótkich siwych włosach, skutkiem czego sterczały jeszcze bardziej niż zwykle. Przed sobą położyła kartkę bladoszarej papeterii z prostym i gustownym nagłówkiem: Four Corners, St. Aubyn, Mewdley. Nie chcąc, by ulotnił się epistolarny nastrój, czym prędzej przystąpiła do pisania listu do swojego oj-



czyma, sir Willoughby'ego Keene-Cottona, o którym dopiero co tak żywo dyskutowała.

"...Mój mąż i ja jesteśmy zachwyceni wiadomością, że będziesz u nas na święta" - napisała szybko, póki to jeszcze była prawda, a potem, z uśmiechem dobrej woli i życzliwości na twarzy, pokryła drobnym pismem prawie pięć stron, bez żadnych przerw na zastanowienie...

Zresztą nie było się nad czym zastanawiać. Ludzie, którzy się zastanawiają, robią tyle samo błędów. Gdyby Rhoda się zastanowiła w 1914 roku, być może w ogóle nie wyszłaby za Franka Redpatha. Wujek Willie był temu przeciwny, z kolei Paulina bardzo się ucieszyła, ponieważ Frank był właściwie jej jedynym krewnym, a Rhodę traktowała prawie jak córkę; małżeństwo z pewnością było udane, po poprzedniej wojnie Frank znalazł pracę, a tuż przed wybuchem kolejnej w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat przeszedł na emeryturę.

Wujek Willie uznał za konieczne zaprotestować przeciwko małżeństwu Franka ze swoją pasierbicą przede wszystkim ze względu na pochodzenie społecznego kandydata. Brat Pauliny (ojciec Franka) był handlarzem antykami z Liverpoolu, ale wujek Willie uparcie nazywał go właścicielem lombardu, a fakt, że Gregory Redpath i jego żona w 1912 roku umarli prawie jednocześnie i na tę samą chorobę, pozostawiając Frankowi niezłe dochody, pozwalające na całkiem dostatnie życie, tylko pogorszył sprawę. Frank był najgorszego pokroju próżniakiem, utracjuszem i ignorantem. Ponieważ nie musiał zarabiać na utrzymanie i nie miał nikogo, kto poskromiłby jego ambicje, zapisał się do Akademii Sztuki Dramatycznej, ale szybko się zorientował, że sprawność w rozwiązywaniu łami-

główek i jednorazowy wyczyn w postaci wejścia do więzienia Holloway w przebraniu sufrażystki to nie to samo, co talent aktorski. Rok później trafił do szkoły artystycznej i zaprojektował scenografię do baletu, która nie spotkała się z szerszym uznaniem, ale krótko potem skomponował powszechnie wychwalaną muzykę do przedstawienia *Romeo i Julia* w wykonaniu Towarzystwa Dramatycznego, poszedł więc do Royal College of Music, gdzie napisał powieść, która była na tyle obiecująca, by pewien szanowany wydawca przyjął ją do druku. Co oczywiście skłoniło Franka do podjęcia decyzji, że do końca życia będzie powieściopisarzem. Ale potem wybuchła wojna i stwierdził, że czynny sprzeciw wobec służby wojskowej za bardzo go pochłania, aby miał czas na pisanie mało ważnych historyjek. Poza tym rzeczywiście ciężko pracował w szpitalu Czerwonego Krzyża, w którym jego ciocia Paulina była kwatermistrzynią (w budzącym trwogę mundurze), i tam poznał Rhodę Hepworth, młodą i obficie wydzielającą pot pielęgniarkę ochotniczkę. A ponieważ wyraźny sprzeciw wobec jego matrymonialnej kandydatury zgłosił nie byle kto, bo sam sir Willoughby Keene-Cotton, jego postać natychmiast obrosła nader romantycznymi domysłami.

W chwili zakończenia wojny był człowiekiem żonatym, miał czteroletniego syna Johna, pewną i solidną posadę oraz niezawodną i godną zaufania żonę. Jego dochody zapewniały teraz tak wygodne życie, że kiedy w 1933 roku zmarła matka Rhody, a wujek Willie na skutek niefortunnej pomyłki zagarnął cały majątek Hepworthów (dosyć pokaźny), nie wydawało się, aby miało to większe znaczenie. Dopiero kiedy John zaczął studiować w Cambridge i stał się dość kosztowny w utrzymaniu, jego udręczeni rodzice po-

czuli niepokój i zaczęli snuć fantazje o skróceniu żywota wujka Williego, ponieważ wraz z jego śmiercią fortuna Hepworthów automatycznie wróciłaby do Rhody.

Morderstwo okazało się jednak niekonieczne. Pod łagodzącym wpływem Rhody wujek Willie stał się ich dobrym duchem, zaakceptował Franka i żywo zainteresował się Johnem. W końcu przekazał im wszystkie pieniądze Hepworthów, słusznie oceniając, że nawet bez nich jest dostatecznie bogaty, bo podczas swojego długiego życia zdołał zagarnąć wiele innych majątków. Bycie czymś dobrym duchem tak bardzo mu się spodobało, że zapragnął ponownie wcielić się w tę rolę, a w każdym razie Rhoda nie znajdowała innego wytłumaczenia dla faktu, że w 1933 roku poślubił panią Sinclairową Horsham, kobietę z całą gromadką krewnych na utrzymaniu. Hipoteza, że uznał tę damę za zabawną i sympatyczną towarzyszkę życia, nie wytrzymała krytyki. Pani Horsham nie dbała o Riwierę, nie chciała mieszkać w Londynie i nienawidziła Szkocji, skutkiem czego, odkąd stanęli razem na ślubnym kobiercu, nikt ich nie widział razem, aczkolwiek wujek Willie dużo z nią korespondował, a na koronacji króla Jerzego VI ktoś mu ją przedstawił.

Mimo to Rhoda nadal go kochała, utrzymywała z nim kontakt i pamiętała o jego urodzinach, nawet gdy nie był już ich dobrym duchem, bo życzliwość zawsze się opłaca, nawet jeśli nie bardzo wiadomo, jakim sposobem (może za pomocą bekonu cioci Pauliny?), a utrzymywanie dobrych stosunków z ludźmi nigdy nie jest stratą czasu. Choćby nic innego nie miało z tego wynikać, to człowiek ćwiczy tę umiejętność. Wieloletnie doświadczenie utrzymywania dobrych stosunków z wujkiem Williem (który bywał człowiekiem

niezwykle trudnym) wyrobiło w Rhodzie nawyk życzliwego traktowania nawet dość odstręczających ludzi. W końcu dlaczego nie miałyby traktować ich życzliwie? Łatwiej jest być życzliwym niż nieżyczliwym, codzienne życie staje się dzięki temu szczęśliwsze, a na dłuższą metę zawsze się to opłaca - choć Frank sugerował czasem przekornie, że wszystko to przemawia za tym, aby nie być życzliwym. Czy nie byłoby na przykład bardziej moralnie traktować Howarda Wortleya i jego żonę nieżyczliwie, ciągle im uchybiać i unikać ich z tego prostego powodu, że jako ludzie bardzo bogaci i raczej snobistyczni kreowali się na godnych miłości filantropów oraz że Howard był właścicielem wielu ważnych gazet i pociągał za wiele sznurków, a Ross & Weekes, firma, w której pracował John, mogła zostać w każdej chwili zamknięta i chociaż jakiś czas temu Johna uznano za niezdolnego do służby wojskowej z przyczyn zdrowotnych, w każdym momencie mógł zostać znowu powołany i miło byłoby znaleźć dla niego jakieś chronione Stanowisko Wagi Państwowej (ponieważ Frank nie chciał, aby jego syn gonił po świecie i mordował ludzi); Rhoda uznała, że gdyby człowiek zawsze się musiał zastanawiać nad takimi problematycznymi ukrytymi pobudkami, to nigdy nie byłby wobec nikogo życzliwy.

Na przykład z pewnością nie zapraszałby wujka Williego, nie siedział i nie pisał do niego tak długiego i interesującego listu, zwłaszcza gdyby miał świadomość, iż rzeczony wujek nie pofatyguje się go przeczytać.

- Ale "rzucaj chleb twój na wody ciekące", bo nigdy nic nie wiadomo - mruknęła do siebie Rhoda, przebiegając wzrokiem napisany przez siebie list.

"...że będziesz z nami na święta - przeczytała. - I oboje mamy

nadzieję, że później zostaniesz z nami, póki będziesz mógł, jeśli za bardzo się nie znudzisz. Na święta przyjedzie oczywiście John i Margery Dore, której chyba jeszcze nie poznałeś. Jej ojciec był posłem z Middleswick, zmarł kilka lat temu. Pani Dore od początku wojny zarządza stołówkami, a Margery, która w chwili wybuchu wojny zaczynała karierę aktorską, nader szlachetnie jej pomaga. Od jakiegoś czasu mieszka u nas Paulina. Nareszcie zdołaliśmy ją przekonać, by opuściła to swoje małe mieszkanie w Londynie, i rądzi sobie naprawdę wyśmienicie, jeśli zważyć, że podobnie jak Ty większość roku spędzała kiedyś za granicą. Bardzo się z tego cieszymy, ponieważ dawniej rzadko się z nią widywaliśmy. Paulina wciąż maluje i odkryła w miasteczku kółko artystyczne. Nie wiedzieliśmy o jego istnieniu - jestem pewna, że go nie było, dopóki nie przyjechała! Dwa razy w tygodniu jedzie do punktu opatrunkowego lady Bayham i szyje bandaże - nic nie jest w stanie jej odstraszyć! Howard Wortley i jego żona wciąż mieszkają obok - nie pamiętam, czy byli w domu, kiedy tutaj poprzednio przyjechałeś. Dość nieznośni, ale bardzo życzliwi. Rzadko ich widzujemy, odkąd państwo Crosbie sprowadzili się do domu na wzgórzu - High Winds, tak się chyba nazywa. Crosbie to Amerykanin, ale jego żona nazywała się z domu Gibberd. Początkowo wynajęli dom na weekendowe przyjęcia, ale od wybuchu wojny mieszkają tutaj na stałe. Odwiedziliśmy ich, rzecz jasna, ale urządzają duże przyjęcie świąteczne i na razie nie mieli czasu na rewizytę. Bayhamowie również mają huczne ubieranie choinki dla wszystkich swoich ewakuowanych. Dyrektor szkoły i jego żona, pan i pani Coultard, którzy mieszkają nad naszym garażem, przyjdą z dziećmi. To nasi jedyni ewakuowani, oczywiście nie licząc Pauliny. My jak zwykle

urządzamy ubieranie choinki w drugi dzień świąt. W zeszłym roku przyszło całkiem sporo ludzi, ale tym razem jest tak wiele konkurencyjnych atrakcji, że pewnie będziemy musieli sami wokół niej tańczyć.

Chyba nie mam żadnych innych wiadomości. Poza tym, że nie poznasz swojego starego przyjaciela, majora Smythe'a. Jest teraz nadkomisarzem hrabstwa! Wielki zaszczyt, chociaż oboje uważamy, że znacznie lepiej by się sprawdził w roli sekretarza klubu golfowego. Pewnie jednak ma poczucie, że w obecnej sytuacji musi się jak najbardziej zaangażować - to wspaniale z jego strony, w jego wieku, a policja z pewnością ma w czasie wojny jeszcze więcej roboty i jeszcze większe braki kadrowe. Wcześniej policjantów się nie zauważało, a teraz mkną po okolicy radiowozami z megafonami i chyba nie uderzyło im to do głowy. Tylko niektórzy funkcyjni cierpią na manię wielkości i mają się za jakichś gestapowców - ale może to panika, biedactwa!

A skoro już mowa o policji: teraz żałujemy, że nie wysłaliśmy Johna do szkoły policyjnej. Wprawdzie mogliby go odrzucić z powodu wady wzroku, ale on naprawdę ma zadatki na świetnego detektywa. Otóż w jego biurze (nadal Ross & Weekes) był przypadek kradzieży i John rozwiązał zagadkę bez niczyjej pomocy. To była robota któregoś z pracowników! Można powiedzieć, że niepotrzebnie namieszał, bo gdyby pozwolił sprawom biec ich własnym torem, prawdopodobnie nikt by się nie domyślił, że doszło do jakiegoś występku. Ale John jest bardzo spostrzegawczą osobą i zawsze chce dotrzeć do sedna sprawy, a kiedy już zacznie, nie sposób go powstrzymać - zupełnie jak Frank! Ostatecznie jednak sprawę zatuszowano, więc nikomu nie stała się krzywda.

Mam nadzieję, że pogoda nie opóźni Twojego przyjazdu. Ostatnio jest dosyć ponuro, a Ty musisz zacząć dbać o siebie, drogi wujku Willie, bo przecież skończyłeś już osiemdziesiąt lat, o czym wszyscy ciągle zapominamy, bo aż trudno w to uwierzyć.

Dziś rano zaczął padać śnieg, dzięki czemu okolica wygląda radośniej i może tak jak w zeszłym roku będziemy mieli święta jak w opowieściach Dickensa. Szkoda, że Cię z nami nie było. Frank kazał mi zjechać z nim na sankach drogą do miasteczka, co w naszym wieku wydaje się trochę niepoważne, ale tak naprawdę był to jedyny sposób dotarcia do miasteczka, który nie odzierał nas z godności. Za nic w świecie nie potrafię sobie przypomnieć, jak wróciliśmy!

Proszę, przyjedź jak najszybciej na wypadek, gdyby znowu nas zasypało, bo wtedy w ogóle nie dotrzesz.

Serdeczności, Rhoda"

"Myślę, że jest całkiem dobry - uznała Rhoda, zaklejając kopertę. - Przedstawiłam kuszącą perspektywę i zawarłam mnóstwo informacji dla czytelnika. Jeśli jakiś się znajdzie".

## II. Śnieg w święta

1

Ciocia Paulina nie pokazała po sobie grozy ani zakłopotania, dowiedziawszy się od Rhody, że na święta dołączy do nich sir Willoughby Keene-Cotton. Zapytała tylko:

- O! Czy to nas ucieszy, moja droga?

Kiedy ją zapewniono, że bardzo ucieszy, bez dalszych uwag potulnie zaczęła się szykować na te uciechy.

Frank i Rhoda nie mogli zatem już wykorzystać jej perypetii z okresu wczesnego panieństwa jako powodu do żalu, że zaprosili wujka Williego. Mgliste przeczucia i obawy musiały zostać zracyjonalizowane w inny sposób. Dodatkowe koszty za oświetlenie i ogrzewanie apartamentu małżeńskiego, w którym zamierzali gościć wujka Williego. Dodatkowa praca dla służby, i to w święta, kiedy Sills jest na urlopie, a tymczasowa pokojówka tylko wprowadza dodatkowe zamieszanie.

- Ale on nie wymaga zbyt wielkiej opieki - pogodnie przypomniała Rhoda Frankowi. - Wręcz nie lubił, żeby służba się wokół niego za bardzo kręciła. Jestem pewna, że nie sprawi kłopotu.

- Zgadzam się, to wspaniały staruszek jak na swój wiek - odparł Frank. - Ale co z ubieraniem choinki? Nawet jeśli prześpi całą uroczystość, czy nie zgasi naszego świątecznego entuzjazmu? Siłą rzeczy narobimy hałasu trąbkami i petardami. Nie lepiej byłoby odłożyć jego przyjazd na po świętach?

Rhoda zbyła tę sugestię ruchem ręki.

- Nonsens! Wujek Willie będzie się bawił nie mniej radośnie



niż inni.

Jednak ją również nurtowały różne wątpliwości.

Może z winy pogody. Śnieg przestał padać, przez co zrobiło się ciemno, ślisko i nieprzyjemnie. Może i bez obaw związanych z wujkiem Williem nie byłaby w najlepszym nastroju.

A potem, tydzień przed nadchodzącym nieubłaganiem terminem przyjazdu wujka Williego, śnieg znowu zaczął padać i zrobiło się radośniej. Po trzech dniach nieprzerwanych opadów pojawił się promyczek nadziei, że wujek Willie być może nie będzie chciał przyjeżdżać i do wiosny zatrzyma się w innym hotelu po drugiej stronie drogi.

- Ależ skąd - orzekła pocieszająco Paulina. - Sir Willoughby Kenne-Cotton uwielbia śnieg. Akurat tego nie musicie się obawiać.

Po czwartym dniu opadów Rhoda zaczęła się zastanawiać:

- Może nie powinniśmy mu pozwolić przyjeżdżać. Napiszę, że w jego wieku tak długa podróż przy takiej pogodzie raczej nie jest wskazana...

- Jak chcesz, moja droga - odparła Paulina - ale to tylko zwiększy jego determinację, żeby przyjechać.

- Masz rację - powiedziała Rhoda.

Nie dało się zatem nic zrobić. Potem śnieg przestał padać i przez kilka dni wszystko na przemian rozmarzało i zamarzało. Uwolnione od samochodów St. Aubyn bardziej niż zwykle tętniło życiem, staw zaczernił się od łyżwiarzy, a okoliczne wzgórza mrowiły się od jeżdżących na sankach dzieci. Po drogach paradował młody posiadacz nart i wyniośle patrzył na niemających tyle szczęścia innych mieszkańców, dla których każdy kolejny krok w tak dobrze znanym przecież terenie był śmiertelną pułapką. Nie był

niczym niezwykłym widok pań w średnim wieku, które zupełnie trzeźwe leżały na wznak w rynsztokach, oraz na co dzień dwunożnych mężczyzn, którzy powoli posuwali się pod górę nieomal na czworakach. Frank stwierdził, że przypomina to przekraczanie kanału La Manche: można publicznie skonać w strasznych męczarniach, a i tak nikt nie zauważy niczego odbiegającego od normy.

Paulina miała teorię, że podmorskie miny zakłóciły przebieg prądu zatokowego, Frank zaś utrzymywał, że lotnicze bitwy wytrąciły ziemię z orbity, skutkiem czego ziemia coraz bardziej oddala się od słońca, niechybnie zmierzając ku kolejnej epoce lodowcowej, w związku z czym zamiast schronów przeciwlotniczych wszyscy powinni teraz budować sobie igloo.

Zarówno Frank, jak i jego ciocia zawsze jednomyślnie pragnęli końca wojny, ale Rhoda zauważyła z żalem, że w ich scenariuszach koniec wojny nieodmiennie oznaczał zarazem koniec świata. Nie miało to jednak większego znaczenia, póki dobrze się przy tym bawili. Frank uwielbiał się spierać, a Paulina była precudowną polemistką. Zgadzała się ze sobą coraz goręcej. Frank zawsze kulturalnie dyskutował, a Paulina nigdy się nie obrażała, dzięki czemu Rhoda ani razu nie musiała interweniować i występować w roli rozjemczyni, co stanowiło dla niej miłą odmianę.

Dlaczego na świecie nie było więcej takich osób jak Paulina i na czym polegała jej tajemnica? Ze wszystkimi potrafiła się zaprzyjaźnić - jak ona to robi?

Pewnego przedpołudnia Paulina weszła do domu oprószone śniegiem i oznajmiła:

- Pani Wortleyowa zaprasza nas wszystkich dzisiaj na kolację.
- O Boże! - jęknął Frank. - A ja myślałem, że postawili na nas

krzyżyk.

- Na święta planują nową grę towarzyską i chcą ją przeciwżyć  
- wyjaśniła Paulina.

- Dlaczego na nas? - dociekał Frank.

- W końcu jesteśmy ich sąsiadami - odparła Rhoda.

- Nie idę - zapowiedział Frank.

Ale poszedł.

- Coś kombinują - marudził, kiedy utknęli w śniegu z pochodniami. Jednak Paulina zdołała uciszyć jego podejrzenia, a jednocześnie rozniecić w nim ciekawość.

- Zastanawiam się, kim chcą, żebym dziś był - rzucił Frank, a potem zaczął snuć domysły: - Artystą, jajogłowym, eskapistą, defetystą, Piotrusiem Panem czy obrazoburczym łobuziakiem?

Bo biednych Wortleyów zawsze wytrącało z równowagi, że nie potrafią przyczepić Frankowi żadnej etykiety. Rhoda w kółko nadaremno mu powtarzała, że skoro to im ułatwia życie, to czemu im tego zabraniać.

- W każdym razie zawsze mają ciepłutko w domu - przekonywała.

Sami Wortleyowie też przywitali ich bardzo ciepło.

Pani Wortley, zwykle ożywiona i przyjazna, choć zarazem dosyć wybuchowa, tym razem najwyraźniej nieco się wyciszyła, w co z początku trudno było uwierzyć.

Z kolei Howard, który nigdy nie miał potrzeby się wyciszać, wyglądał w smokingu dystygowanie i całkiem staro. Napomknął coś o tym, że święta są tylko raz w roku, a życie jest zbyt krótkie, aby pamiętać o błahych sprzeczkach.

Frank, który nie zdawał sobie sprawy, że miał z Wortleyem ja-

kieś błahe sprzeczki, będąc przekonany, że po prostu żywią do siebie wzajemną antypatię, skwapliwie mu przytaknął i wygłosił zaskakującą tezę, że święta to czas pokoju i dobrej woli.

Na takie dictum Howard roześmiał się jowialnie i wyraził pogląd: "a to DOBRE!". Z ust jego żony, kursującej po ciepłym salonie w oczekiwaniu na nową grę towarzyską, padła natomiast uwaga, że wszystko ma jakąś komiczną stronę. Czyż nie? Miała na sobie coś bardzo tudorskiego, z długimi, bufiastymi rękawami i gro-nostajowym obszyciem. I cóż ona zrobiła z włosami?

"Pozwala im siwieć - pomyślała Rhoda. - To wielki postęp. Zresztą oboje wyglądają o dziesięć lat starzej i naprawdę całkiem sympatycznie".

I nawet Rhoda nie potrafiła nie zadać sobie pytania, o co w tym wszystkim chodzi.

Po chwili w salonie pojawiło się potencjalne wyjaśnienie w postaci stolika karcianego, który postawiono dokładnie na kursie zbliżającej się pani Wortley.

- To nasza bratanica Esther - oznajmili dumnie i jednocześnie Wortleyowie, prezentując gościom krzepką, elegancko odzianą młodą, około dwudziestoletnią kobietę, która z za swoich pancernych okularów zdawała się rzucać światu wyzwanie.

- Esther Hobbs - doprecyzowała oficjalnie pani Wortley, a kiedy wymieniono dostateczną liczbę uścisków dłoni, dodała: - Jedyne dziecko mojego brata. Przechodzi straszny czas - przetrwałaś wszystkie naloty, prawda, kochanie? Ale nie lubi, kiedy o tym mówimy. - Kilka macierzyńskich klepnięć ze strony pani Wortley i dumnych uśmiezków ze strony Howarda. - W każdym razie -

podjęła pani Wortley - przekonaliśmy ją, aby święta spędziła tu u nas, miło i spokojnie, z dala od tego wszystkiego.

- A potem - wtrącił Howard - pomyśleliśmy, że kupimy jej jakieś łąszki i pokażemy okolicę. Życie nie składa się wyłącznie z pracy...

- ...a młodość mamy tylko jedną - uzupełniła pani Wortley. - Esther jest dyplomowaną sekretarką, ale kiedy przyszła wojna, zrezygnowała z kariery, aby pomóc biednym bombardowanym londyńczykom.

- Twarda sztuka, co? - mruknął Howard.

- Młodzi ludzie pokazują teraz wspaniały charakter, prawda? Zdejmij okulary, kochanie.

Następnie wszyscy usiedli wokół stolika karcianego i próbowali opanować zasady gry zwanej "Inwazja": "Wylądowałeś na spadochronie i dotarłeś na ważne lotnisko, chociaż po drodze czyhały na ciebie jeżące włos na głowie niebezpieczeństwa, a za całe uzbrojenie miałeś kości do gry, którymi jednak dzielnie i z nadzieją grzechotałeś".

Esther Hobbs, kiedy już znalazła sobie miejsce i zajęcie, rozluźniła się i okazała kobietą rozsądną, zdolną i nie tak bardzo onieśmieloną w obecności swojego wujostwa, niż można było na początku przypuszczać. Nie przeszkadzało jej, że wraz z panią Wortley zaliczono ją do "niewiast" Howarda, chociaż zarówno Rhoda, jak i Paulina przyszły jej na ratunek, zasilając szeregi "pań" czy też (w ustach Howarda była to niemal obelga) "kobiet". Nawet Frank uznał za całkiem interesujące spoglądać na swoją żonę przez pryzmat stosowanej przez Howarda kategoryzacji rodu niewieściego,

wyszło bowiem na to, że Rhoda zajmuje się w życiu głównie kłamstwami, oczernianiem bliźnich, a nawet cudzołóstwem.

Zabawa do samego końca przebiegała w dobrej atmosferze. Frank i Howard zwarli szeregi w obliczu ogromnej przewagi liczebnej płci przeciwnej, a pani Wortley szybowwała, kursowała i przymilała się bardziej niż kiedykolwiek i ostatecznie wszyscy - nie wyłączając Franka - obiecali do odwołania zwracać się do niej Ida.

- Ładnie wyglądała, prawda? - stwierdziła Rhoda w drodze do domu.

- Dokładnie jak nałożnica króla - przyznał Frank.

- Dosyć dziwne - zauważyła Rhoda - że ta nagła odwilż objęła również nas.

- Może to reakcja na śnieg - zasugerował Frank. - Przy tej pogodzie nikt inny by się nie pofatygował.

- Niemniej nie wyjaśnia to wszystkiego - upierała się Rhoda niezadowolonym tonem. - Na przykład ta suknia. Cóż to była za kreacja!

- To naturalne, że się starają, mając dorosłą bratanicę do pokazania światu - wtrąciła wyrozumiale Paulina - Pewnie będą chcieli wydać ją za męża.

Skrzypienie śniegu pod ich butami przerywał od czasu do czasu okrzyk tuż po poślizgu.

- Ale przecież nie za nas - zaprotestowała Rhoda i zaryzykowała następującą sugestię: - Może należało taktownie dać do zrozumienia, że John jest zaręczony?

- Ale nie wiemy, czy jest - zwrócił jej uwagę Frank - a puszczenie w świat tego rodzaju informacji może narobić mnóstwo kłopotów. Ja bym się jednak nie martwił. Nie sądzę, aby Wortleyowie

tak się ekscytowali akurat Johnem. W końcu jaka tam z niego partia. Jeśli ktoś spyta mnie o zdanie, to powiem, że chodzi o wujka Williego.

- O wujka Williego? - powtórzyła zdumiona Rhoda.

- Ktoś musiał im powiedzieć, że przyjeżdża do nas na święta.

- Przecież oni nie znają wujka Williego. Nie pamiętam, żeby go poznali podczas jego ostatniego pobytu.

- Właśnie - odparł Frank - a chcą go poznać. Pewnie go wyszukali w *Who's Who*. W końcu jest baronetem.

- Rzeczywiście! - zawołała Rhoda. - Nie wpadłam na to!

- No, no - skomentowała Paulina.

2

Proste wyjaśnienie! Wystarczy o nim pomyśleć, aby rozwikłać również drugą zagadkę: dlaczego państwo Crosbie niespodziewanie złożyli rewizytę, na zewnątrz obsypani płatkami śniegu, ale pod spodem równie ciepli jak Wortleyowie? Bez końca przeproszali, że nie przyszli wcześniej, ale okres przedświąteczny to nie najlepszy czas na odwiedziny, prawda? Przed świętami człowiek sobie nie życzy, aby obcy zawracali mu głowę, czyż nie?

Redpathowie nie mieli jednak poczucia, że państwo Crosbie są dla nich obcymi ludźmi, bo przecież ojciec pani Crosbie, świętej pamięci Humphrey Gibberd, był zagorzałym wielbicielem Kate Cameron, Królowej Dziewicy wiktoriańskiej sceny teatralnej, która w 1886 roku zaskoczyła cały świat, w wieku pięćdziesięciu trzech lat porzucając scenę i wychodząc za mąż, aby zostać panią na szkockim zamku, a następnie umrzeć w tym samym roku co

królowa Wiktorja i zapisać swoją ogromną fortunę mężowi, który był o wiele lat od niej młodszy i nie dość, że przeżył do dzisiaj, to jeszcze teraz przyjeżdżał do Redpathów na święta!

Ponadto wujek Willie - co właśnie uświadomiła sobie Rhoda - twierdził, że w 1885 roku na przyjęciu w Ogrodach Królewskich zadał swojemu rywalowi Humphreyowi Gibberdowi cios, i to w twarz, co mogło być prawdą lub nie, ale skłoniło państwa Crosbie do złożenia obietnicy, że w drugi dzień świąt przyjdą do Redpathów na ubieranie choinki, aby poznać to łączące ich dwa domy historyczne ogniwo.

- I pomyśleć, że ten stary niegodziwiec wciąż żyje! - powiedziała Evelyn Crosbie (de domo Gibberd) do swojego męża, kiedy z łańcuchami na kołach jechali z powrotem do High Winds. - Według papy sir Willoughby Keene-Cotton zrobił z biednej Kate Cameron kompletną idiotkę. Zabrał ją ze sceny i pochował w Szkocji. Tak, dosłownie! Bo ani trochę bym się nie zdziwiła, gdybym usłyszała, że ją zamordował.

- Daj spokój, Evie - zaprotestował wyrozumiale Wilfred Crosbie i przedstawił okoliczność łagodzącą: - W każdym razie zapobiegł temu, aby nasza nestorka sceny wyszła za twojego ojca. W którym to przypadku - dodał celnie - najprawdopodobniej w ogóle byś się nie urodziła, serduszko.

- Pewnie masz rację - wspaniałomyślnie przyznała Evie. - Szkoda jednak, że się nie pospieszył i nie umarł.

Crosbie uniósł brwi.

- Dlaczego, kochanie?

- Właśnie przyszło mi do głowy, że biografia Kate Cameron sprzedawałaby się jak świeże bułeczki. Cóż za barwna postać! Dla-



czego wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby to napisać? Prawda sprzedaje się dzisiaj dużo lepiej niż fikcja.

- Istnieje coś takiego jak zniesławienie - zauważył Crosbie.

- Dokładnie o to mi chodzi, gamoni - odparła jego żona. - Oczywiście nie wydałabym tego przed jego śmiercią.

- Trzymałbym się zbrodni i romansów, kochanie. Z tamtym będziesz musiała zaczekać również na śmierć obojga Redpathów.

- Nimi się nie przejmuję. Myślisz, że jeśli powiem starszemu panu, że piszę biografię jego żony, zapisze mi w testamencie jej listy i rzeczy? Muszę z nim odbyć dłuższą rozmowę. Chyba że ma już demencję. Jak sądzisz?

- A może porozmawiasz z tą starszą panią, panną Redpath? Na mój rozum wie wszystko, czego chcesz się dowiedzieć.

- Już rozmawiałam. Jak tylko się dowiedziałam, że sir Willoughby Keene-Cotton przyjeżdża. Z obojgiem była w zażyłych stosunkach. Wygląda na to, że w tym wiktoriańskim dramacie odegrała ważną rolę, to znaczy zakulisową. Zawsze jestem podejrzliwa wobec tych anielskich starych dziewic. Albo same miały burzliwe życie, albo doskonale się bawiły, aranżując życie innym. Myślę, że moja opowieść będzie się obracała wokół niej. Zrobię z niej kogoś w rodzaju niebiańskiej prokurentki.

- A może napisałabyś sztukę, kochanie? - zaproponował pojednawczo Crosbie. - Główną rolę mogłaby zagrać Gwen, w jej wieku doskonale do niej pasuje.

- Ta postać nie byłaby tak ciekawa, gdyby nie była prawdziwa - kontynuowała swój wywód pani Crosbie.

- W takim razie będziesz musiała zaczekać kilka lat. Chyba że

zaczniez odstrzeliwać niektóre postacie. Żeby nie urazić ich uczuć - dodał.

- Cudowny pomysł! - wyszeptała pani Crosbie (de domo Gibberd).

- Widzisz? - triumfowała tymczasem Rhoda w rozmowie z Frankiem. - Państwo Crosbie nie przychodziliby na ubieranie choinki tylko po to, aby sprawić nam przyjemność!

- A kolega Johna będzie bardzo zainteresowany poznaniem panny Lucas, prawda? - wtrąciła Paulina.

- Kolejny powód do pozostawienia przy życiu wujka Williego, kochanie - zauważyła Rhoda.

- W każdym razie do końca świąt - zgodził się z nią Frank.

### 3

A jednak szkoda, bo kiedy tylko wujek Willie się pojawił, sprawiał wrażenie człowieka, którego pozbawienie życia byłoby najłagodniejszą rzeczą pod słońcem.

Zresztą jemu samemu prawie się to udało już na stacji, i to dwa razy: najpierw podczas wysiadania z pociągu nieomal upadł na tory, a potem przy rogatece, szukając pod licznymi warstwami ubrania biletu, byłby się udusił.

Kiedy już zrzucił to wszystko z siebie, okazał się człowiekiem całkiem drobnym i niepokaźnym, ale łatwo rozpoznawalnym po zadartych siwych wąsach.

On sam zaś uznał rozpoznawalność Franka i Rhody za bardziej problematyczną, ale w końcu uwierzył im na słowo, że są ludźmi, za których się podają. Nie był przy tym jednak zbyt sympatyczny.

- Simacie, simacie - burknął niezbyt uprzejmie. - Nie trzeba było po mnie przychodzić - zaprotestował. - Po co przyjeżdżaliście samochodem? - narzekał, kiedy opuścili budynek stacji. - Niebezpieczne w tym śniegu - poinformował ich. - Ale wy wiecie najlepiej. Wsiadajmy, wsiadajmy. Bardzo miło z waszej strony - dodał po chwili trochę łagodniej. - Bardzo miło ze strony was obojga, że mnie zaprosiliście - przypomniał sobie o dobrych manierach, kiedy już wsiadł do samochodu, ale nie pozwolił Rhodzie zawinąć się w pled ("Nie chcę pledu w zamkniętym samochodzie"). - To będzie dla was skaranie boskie gościć w święta takiego starca jak ja - prorokował przygnębiająco. Jednak nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. - Ale chyba nie zostanę długo. Zegara się nie cofnie, prawda, moja droga?

- Czujesz skutki wieku, drogi wujku Willie? - spytała mało taktownie Rhoda.

- Że co? Bzdury! Sprawny jak zawsze.

Na dowód czego wujek Willie wysiadł z samochodu, dzierząc ciężką walizkę w każdej ręce, i pocwałował ku schodom Four Corners - gdyby był zwykłym śmiertelnikiem, zabiłby się po raz trzeci.

Frank i Sills uwolnili go w holu od bagażu, a Rhoda powiedziała:

- Pokażę ci twój pokój. - I popełniła taktyczny błąd, próbując mu pomóc we wchodzeniu po schodach.

- Nie, nie, nie, nie! - zawołał wujek Willie, odtrącając ją od siebie.

Frank i Sills czekali u stóp schodów i szczęśliwie udało im się zapobiec czwartej tragedii, w której tym razem rolę nieboszczyka zagrałaby Rhoda Redpath.

- Drogi wujek Willie! - sapnęła, kiedy Frank ją złapał i czule odsunął na bezpieczną odległość. - Jaki rycerski! Zawsze taki był. Sills, dopilnuj, żeby sir Willoughby Keene-Cotton miał wszystko, czego potrzebuje.

- Tak, proszę pani.

Kamerdyner wziął sprawy w swoje ręce i ostrożnie ruszył po schodach w ślad za wujkiem Williem.

- Taki łatwy do uśmiercenia! - sapnęła Rhoda, obmacując w salonie swoje siniaki. Razem z Frankiem obserwowali, jak kawałek tynku niby płatek śniegu odpada od sufitu, który był zarazem podłogą apartamentu małżeńskiego, i słuchali odgłosów przesuwania różnych rzeczy. - Raczej trzeba byłoby do tego silnego mężczyzny. A nawet wtedy, gdyby doszło do walki wręcz na śmierć i życie, postawiłabym pieniądze na wujka Williego.

- Zabrałaś się do tego zbyt prymitywnie - skrytykował ją Frank. - Kobiety nie mają cierpliwości - ciągnął w stylu Howarda Wortleya. - Daj mi parę dni, a zamorduję wujka Williego bez krztyny fizycznego wysiłku.

- W jaki sposób? - zapytała Rhoda wciąż za bardzo zdyszana, aby ją to naprawdę zainteresowało.

- Psychologicznie - wyjaśnił Frank.

- W czasach wujka Williego nie mieli żadnej psychologii - zripostowała Rhoda - i on na pewno też nie ma teraz żadnej psychologii.

- Nie zgadzam się - odparł Frank. - Wystarczy powiedzieć: "Założę się, że w twoim wieku nie potrafisz wyskoczyć przez okno poddasza" - i będzie po wszystkim.

- Nikt by w to nie uwierzył.

- Tak sądzisz? Starego Smythe'a z łatwością byśmy przekonali, a on w tych stronach robi za ministra od morderstw.

- Major Smythe uwierzyłby we wszystko.

- Korci mnie, żeby spróbować. - Frank spojrział na sufit, a potem za okno, cały czas kalkulując. - W ramach abstrakcyjnego eksperymentu behawiorystycznego. Co ty na to? W końcu wielkiej krzywdy by sobie nie zrobił, spadając na tak grubą warstwę śniegu. Gdyby skoczył z poddasza, ześlizgnąłby się po występie nad oknem Sillsa, odbił od dachu werandy, przeleciał nad ścieżką, ześlizgnął po zboczu i miękko wylądował po pachy w zaspie śniegu, którą usypaliśmy na trawniku. Zbrodnia doskonała! Żadnego motywu, żadnych poszlak, żadnej krwi, a do tego wciąż by żył i mógł przyjść na przyjęcie świąteczne! Wyobrażasz sobie lepszy scenariusz?

Rhoda przypuszczalnie ostudziłaby zapal męża wobec tego kuszącego projektu, ale w tym momencie do pokoju żwawym krokiem weszła Paulina, zaraz po niej Sills z herbatą, a następnie sam wujek Willie.

Kolejne kilka godzin upłynęło dosyć radośnie pod znakiem prób przypomnienia sobie przez wujka Williego, kim jest Paulina. Wiązało się to z niemałą wrzawą, ponieważ wujek Willie zakrzykiwał wszystkich, którzy usiłowali pobudzić jego pamięć, bo nie chodziło o to, że zapomniał, tylko że nie potrafił sobie przypomnieć.

W końcu, drogą eliminacji, zaklasyfikował ją jako znajomą lub krewną jednej ze swoich wcześniejszych żon. Fakt, że dochodząc do tego wniosku, zupełnie pomylił kolejność żon, nie zmartwił nikogo oprócz Pauliny, która uznała uporządkowanie jego historii matrymonialnej za rzecz godną zachodu. Unikając wrażenia, że

uczy ojca dzieci robić, poinformowała go, że jego pierwszą żoną była Kate Cameron i dopiero po jej śmierci poślubił matkę Rhody, a Rhoda była już wtedy niezdarną piętnastolatką. Stanowczo wyperswadowała mu pomysł, że którakolwiek ze swoich żon poślubił więcej niż raz albo że był żonaty więcej niż z jedną kobietą w danym momencie, co równałoby się bigamii, jak uparcie przekonywała.

Po kolacji, nad kieliszkiem porto, wujek Willie zwierzył się Frankowi, że Paulina jest i zawsze była bezmyślną, ale oddaną "dziewuchą", której zawsze wszystko się myli.

- Bigamia, to ci dopiero! - prychnął i pouczył Franka, żeby nie zwracał uwagi na takie głupoty. - Myślę, że wybiłem jej te niedorzeczności z głowy - stwierdził z dumą wujek Willie.

Siedział z gospodarzami prawie do dwunastej i rozmawiał z Rhodą o jej matce. Twierdził, że ma mnóstwo jej listów, które jej kiedyś pokaże, oraz że szkoda, że nikt nie napisał jej biografii, bo w swoim czasie była najwybitniejszą aktorką, a przede wszystkim wielką damą, a teraz nie ma już na świecie nikogo, kto ją pamięta, chyba że wyłącznie jako nazwisko...

Nie trzeba zatem dodawać, że Paulina już jakiś czas wcześniej uznała ten dzień za skończony i poszła spać.

4

Na zewnątrz widniały całe pryzmy puchu, a w środku wujek Willie spowijał ich watą słów - w sumie mieli poczucie, że unoszą się w morzu gęstej mgły.

Poza tym biel królowała nie tylko na zewnątrz, ale również w

domu, bo wujek Willie jak zawsze pisał mnóstwo listów, a poza tym twierdził, że oprócz tego pisze autobiografię.

Napisane przez siebie listy koniecznie chciał wysłać osobiście - nie żeby nikomu innemu nie ufał, ale nie chciał się naprzykrzać - i nie było żadnej potrzeby, aby ktoś z nim chodził, bo przez całe życie nadawał listy i jest już dostatecznie dorosły, aby sam o siebie zadbać. Owszem, parę razy przewrócił się na śniegu, ale co z tego?

Na szczęście Paulina tak aranżowała swój dzień, że zawsze miała w rękawie jakieś swoje listy do wysłania. I prawie zawsze udawało jej się czekać z nimi na wujka Williego w holu. Mówiła wtedy, że mała przechadzka do skrzynki na listy pozwoli jej otrząsnąć się z pajęczyn, ale nie lubi wychodzić z domu sama przy takiej pogodzie - "...O nie, sir Willoughby Keene-Cotton, nie chcę pana kłopotać... Nie, naprawdę, sir Willoughby Keene-Cotton... dobrze, pójdziemy razem, zgoda?".

Prawie zawsze stawiała na swoim, a wujek Willie nigdy się nie zorientował w jej machinacjach.

Co więcej, trzymała się go w drodze powrotnej i lekko popychała do przodu, pozostawiając go w przekonaniu, że to on udziela jej wsparcia. Nikt oprócz Pauliny tak sprytnie by tego nie przeprowadził. "Ale czy w jej wieku to nie jest zbyt duży wysiłek?" - pytali się nawzajem Redpathowie i rozważali kwestię, jak wujek Willie, który za nic w świecie nie chciał słyszeć o pielęgniarce ani pielęgniarzu, zareagowałby na sugestię, oczywiście taktownie wysuniętą, żeby u jego boku pojawiła się silna młoda kobieta. Mógłby ją nazywać swoją sekretarką. Co sądzi o tym Paulina? Musi pociągnąć go za język - tak zawyrokowała Rhoda.

- Znasz może kogoś, kto by się nadał, kochanie?

- Kogoś ładnego - dodał Frank.

- Paulina musi znaleźć stworzenie, które spodoba się wujkowi Williemu - stwierdziła Rhoda.

Ciocia Paulina pociągnęła więc wujka Williego za język, ale on natychmiast go schował. Nie, całkiem zbyteczne, całkiem! Wujek Willie nikomu nie zamierzał przysparzać dodatkowych kłopotów.

Dom pękał już wtedy w szwach od ludzi, którym wujek Willie nie przysparzał żadnych dodatkowych kłopotów.

Ktoś zawsze był pod ręką, aby mu znaleźć jego laskę (nie żeby jej potrzebował, ale dziękuję, dziękuję bardzo) i ktoś musiał być w pogotowiu, by włączyć mu radio (nie żeby sam nie potrafił tego zrobić, ale bał się, że zepsuje) albo światło (kontakty były w tak dziwnych miejscach), a potem zgasić jedno i drugie, ktoś musiał zaglądać przez dziurki od klucza, aby sprawdzić, czy wujek Willie wciąż żyje, a jeśli tak, to czemu tak długo tam siedzi.

Frank musiał go zawieźć do Mewdley na świąteczne zakupy, które za wszelką cenę chciał utrzymać w tajemnicy, i kiedy już wysiadł z samochodu, nie potrzebował niczyjej rady ani towarzystwa, zatem tylko sterczące siwe wąsy i charakterystyczne kolory nie pozwalały mu zniknąć w gęstym tłumie, a chociaż się wydawało, że istotnie wie, czego chce, nigdy nie zdołał tego kupić i zazwyczaj trzeba go było na pełnych obrotach silnika odwieźć z powrotem do domu, aby mógł napisać zamówienie do Harrodsa.

Kiedy przebywał poza domem, Rhoda korzystała z okazji, zbierała jego porozrzucane po całym domu papiery i usiłowała zapamiętać, gdzie je położyła na wypadek, gdyby o nie zapytał. Na dodatek sama była przysypana stosem własnej korespondencji. Do listów i odpowiedzi na listy, które pisała w każde święta, dochodzi-



ła korespondencja związana z przyjęciem w drugi dzień świąt, na którym w tym roku zapowiadała się duża frekwencja, bo coraz więcej ludzi z jakiegoś dziwnego powodu chciało poznać wujka Williego. Miejscowe wpływowe osoby dociekały, czy jej ojczym byłby zainteresowany ich obecnymi patriotycznymi i chwalebny- mi, aczkolwiek czasem nieco próżnymi projektami. Ludzie, którzy mogli powoływać się co najwyżej na prenatalną zażyłość z Roge- rem, bratem wujka Williego w Afryce Południowej, pragnęli od- świeżyć wspomnienia z młodości; pewien starszy jegomość, nieja- ki profesor Larkin, któremu wujek Willie widocznie przekazał ten nowy adres, mieszkał zaledwie kilkanaście mil dalej i groził, że wpadnie któregoś dnia, najwyraźniej nie licząc się z reglamentacją benzyny i zaspami śnieżnymi. Prawie wszystkim tym osobom Rhoda wysłała zaproszenia na ubieranie choinki, no bo "rzucaj chleb twój na wody ciekące", a nigdy nie wiadomo, co może wy- niknąć z takich kontaktów. Im więcej ludzi, tym lepiej, i bez zna- czenia, że większość towarzystwa wydawała się zbyt wiekowa, aby tańczyć wokół choinki. W każdym razie wszyscy by się ucieszyli z możliwości zobaczenia wujka Williego, nawet gdyby nie nadarzyła się okazja do uściśnięcia mu ręki, a biorąc pod uwagę jego wiek, nie miałyby dla nich znaczenia, jak bardzo niekulturalnie ich po- traktuje, zresztą człowiek tak sędziwy nie miał najmniejszych szans ich rozpoznać. Nawet gdyby z przyjęcia nie miało wyniknąć nic specjalnie pożytecznego, to przynajmniej John poznałby Ho- warda Wortleya w tym jego łagodniejszym wcieleniu, a Margery pannę Lucas, natomiast Frank dla odmiany musiałby być uprzej- my wobec paru sąsiadów, więc nawet w najgorszym scenariuszu nikt specjalnie by nie ucierpiał.

Kolejnym wyzwaniem okazało się sprowadzenie wujka Williego na lunch z lordem i lady Bayham. Tutaj wszystko poszło jak z płatka, ale potem wujek Willie odmówił udania się na podwieczorek do państwa Crosbie, a kiedy Wortleyowie wpadli na koktajle, schował się w swoim pokoju i nie chciał zejść na dół (tłumaczył, że jest za stary na koktajle i nie chce psuć im zabawy, a w ogóle to mają się nim nie przejmować).

Przedsiębiorczy państwo Crosbie przydybali go jednak pewnego razu w miasteczku i zaproponowali, że go podwiozą, a on z uroczą spontanicznością przyjął ich zaproszenie na lunch. Tak się niefortunnie złożyło, że akurat tego dnia profesor Larkin zrealizował swoją groźbę. Po przejechaniu dwunastu mil nadaremno czekał na powrót starego znajomego. Jednak nawet gdyby się doczekał, wujek Willie wykazałby równie znikome zainteresowanie biologią organizmów morskich, jak Rhoda. Profesor Larkin wyjechał więc smutny, chociaż szczęśliwie nie tracił nadziei, że zdąży wrócić do domu przed zaciemnieniem<sup>5</sup>, dodatkowo pokrzepiony zaproszeniem na ubieranie choinki i obietnicą, że wujek Willie tym razem się pojawi - jak amen w pacierzu.

Kiedy wujek Willie wrócił w porze podwieczorku, został poinformowany o wizycie profesora Larkina, co skomentował tak, że przecież nie chcą mieć takiego starego nudziarza na przyjęciu bożonarodzeniowym, i dodał, że napisze zaproszenie do młodego Smythe'a, a także do wesołego, pełnego werwy młodego człowieka, który mieszka w tych stronach, niejakiego Dingwalla. Fredericka Dingwalla.

- Nazywaliśmy go Feralny Freddie - ciągnął wujek Willie - ale tak naprawdę na boisku szczęście nieprawdopodobnie mu sprzyja-

ło. Funkcjonowało powiedzenie: "Idź za Freddiem, a na pewno nie przegrasz".

Usłyszawszy, że Frederick Dingwall jest biskupem Mewdley, wujek Willie odparł:

- Tak, tak, słyszałem, że został duchownym - nadzwyczajna sprawa! - ale jak nikt inny potrafi rozruszać towarzystwo. Uwierzyjcie mi na słowo.

Po czym nastąpiła długa opowieść, której słuchano z narastającym przygnębieniem.

Na koniec dnia wujek Willie życzył im udanego przyjęcia, a nim samym mieli się oczywiście nie przejmować, bo na ten dzień zaplanował wyjazd do Londynu. Nie, nie ma mowy, żeby wziął udział w ubieraniu choinki, bo jest o wiele za stary, aby tańczyć wokół świątecznego drzewka, a gdyby miał powody sądzić, że jego obecność będzie dla nich kłopotem, to w ogóle by nie przyjechał.

I tu nastąpiły usilne i nieco histeryczne namowy. No przecież ubieranie choinki bez wujka Williego nie miałyby sensu. To on miał być główną atrakcją wieczoru...

W końcu udało się zmusić wujka do kapitulacji. Zgodził się zrobić, co w jego mocy, aby przyjęcie było udane. Obiecał zamówić dodatkowe prezenty i ozdoby, a także wymyślić jakieś zabawy dla dzieciaków.

Tak, tak, wszyscy przyklasnęli z nadzieją.

- Ha! - zawołał wujek Willie i pospiesznie opuścił pokój.

Ależ skąd, uspokajał ich, nie zachorował, tylko przypomniało mu się coś, co wiąże się z koniecznością napisania dodatkowych listów.

- Mam nadzieję, że nie zamierza zaprosić arcybiskupa Canter-

bury - powiedział Frank.

Przez następne kilka dni wujek Willie konsekwentnie zapewniał, że wszystko jest w porządku, ale jednocześnie podśmiewał się tajemniczo i przebiegle...

Stało się oczywiste, że wujek Willie postanowił spędzić święta w dobrym nastroju, nawet gdyby miał być w tym odosobniony.

5

Jednakże przez następne kilka dni, nad którymi unosił się duch rechoczących przyływów natchnienia i zagadkowych min wujka Williego, wszyscy zadawali sobie pytanie, czy ten nowy i szczęśliwy wujek Willie nie działa im na nerwy jeszcze bardziej niż niegdysiejszy nieprzyjemny i kłótlivy.

Owszem, można było sobie poczytywać za osobisty triumf, że udało się go tak uszczęśliwić, ale zdecydowanie łatwiej było grzecznie się ustosunkowywać do jego zrzędliwych, a przy odrobinie wprawy również przewidywalnych reakcji na zdarzenia codziennego życia, niż teraz podzielać jego radosne oczekiwanie na Bóg raczy wiedzieć co.

Nikt bowiem nie mógł mieć pewności, co im wszystkim ten odmieniony wujaszek zafunduje podczas ubierania choinki ani czy jego pomysły na zabawianie dzieciaków będą współgrały z pomysłami tychże dzieciaków na ten sam temat. Nie można było również wykluczyć przerażającej możliwości, że wujek Willie lada chwila umrze ze szczęścia, skutkiem czego przyjęcie w ogóle by się nie odbyło, co po wszystkich trudach, jakie sobie zadano, byłoby - eufemistycznie mówiąc - potwornie denerwujące.

- Potwornie denerwujące, zgadzam się - powiedział Frank do żony. - Ale ty i Paulina miałybyście za swoje. "Rzucaj chleb twój na wody ciekące" to piękna zasada, ale kiedyś znowu do was powróci i się udławicie.

Jakkolwiek wydawałoby się to niedorzeczne, właśnie tego zaczęła się obawiać Rhoda.

Zwłaszcza kiedy wujek Willie, poklepawszy Rhodę po ramieniu z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem i uraczywszy ją licznymi komplementami na temat pogodnej, kulturalnej i swojskiej atmosfery w prowadzonej przez nią placówce, obwieścił, że napisał do swojej biednej żony Josephine i zaprosił ją do Four Corners na święta.

- O Boziu! - skomentował Frank.

Wujek Willie nadał list, co poświadczyła Paulina.

Ale Josephine nie przyjedzie, Rhoda była o tym przekonana.

A jeśli przyjedzie?

- W takim razie, kochanie, po prostu spróbujemy być dla niej mili.

- Stanowczo odmawiam! - krzyknął Frank. - Wyczerpałem swój limit, jeśli chodzi o liczbę ludzi, dla których mogę być miły.

- Tylko na okres świąt...

- Nie, nie, nie mogę...

- Ktoś będzie musiał być dla niej miły - desperacko zwróciła mu uwagę Rhoda - bo wujek Willie na pewno nie będzie, nawet jeżeli będzie pamiętał, że to on ją zaprosił...

- Napisz do niej, że nie mamy wolnych pokojów.

- W sumie mogłabym to zrobić - mruknęła Rhoda powątpiewająco.

Okazało się jednak, że nie ma takiej potrzeby: to był fałszywy alarm. Świt przyniósł ulaskawienie w postaci listu od pani Cyrilowej Horsham, która napisała bezpośrednio do Rhody: "...Mama jest za słaba na taką podróż... musi jak najwięcej odpoczywać... w tym roku zaplanowaliśmy bardzo spokojne święta... pogoda jest teraz bardzo zdradliwa dla starych ludzi...".

Rhoda wyjrzała przez okno. Choć w jadalni zrobiło się ciemno, perspektywy życiowe pojaśniały, bo z nader miłosierną zdradliwością znowu zaczął padać gęsty śnieg.

Ukradkiem przekazała list mężowi, który następnie streścił wujkowi Williemu zawarte w nim wiadomości (uspokajające, chociaż napisane szarpanymi zdaniami), że "doktor Clark nie martwi się o stan Mamy, byle biedaczka unikała ciężkostrawnego jedzenia i nadmiernych wrażeń".

Wujek Willie włożył binokle i powiedział:

- Eh? Bzdury! - Po przeczytaniu listu przyznał jednak, że to wszystko może być prawda. - No tak, stuknęła jej już siedemdziesiątka - powiedział, wracając do konsumpcji owsianki. - Aż do teraz nie miała okazji odpowiednio o siebie zadbać. Wyjątkowo bezinteresowna i obrotna kobieta, ale nigdy nie podjęła nawet najzwyczajniejszych w świecie środków ostrożności, które by jej pozwoliły chronić swoje zdrowie. Ogromna witalność i niezwykły zmysł do interesów. Mężowie zostawiali ją bez środków do życia i musiała ze wszystkich stron oglądać każdego pensa. Teraz może się odprężyć i odpocząć. No, no! Prędzej czy później wszystkich nas to czeka.

- Mam nadzieję, że lady Keene-Cotton nie jest poważnie chora?

- Paulina od dłuższej chwili miała poczucie, że ktoś powinien zadać to pytanie, i w końcu sama to zrobiła.

- Nie, nie, nie! - skwitował wujek Willie, wrzucając list pani Horsham do jakiejś marmolady. - Ale lepiej jej będzie tam, gdzie jest. Będą się nią opiekować. Niby jej syn to trochę osioł - jak każdy duchowny - a z Verny żadna dama, ale oboje są bardzo sumieni i dopilnują, żeby niczego jej nie brakowało. Żadnych nadmier-nych wrażeń, co? Nie wolno jeść babeczek bakaliowych... nie wolno jeść indyka... nic nie wolno jeść... Wszystkich nas to czeka... - Chwilę wcześniej skończył owsiankę i teraz stał przy kredensie, nakładając sobie nową porcję. - Ja oczywiście jestem szczęścia-rzem - przyznał skromnie, wracając na swoje miejsce. - Piętnaście lat starszy od Josephine, a przecież jem, co chcę. I zawsze jadłem. Jem tyle samo co jako chłopiec. Eh? - Usłyszawszy pomruki uprzejmej aprobaty, kontynuował: - Ha! Nie ma potrzeby choro-wać, wystarczy podjąć najzwyczajsze w świecie środki ostrożności i trzymać się z daleka od lekarzy z tymi ich wszystkimi surowicami, bakteriami i dietami. To znaczy pewnie coś w tym wszystkim jest, niektórym to służy. - (Żeby ktoś sobie broń Boże nie pomyślał, że wujek Willie jest jakimś zabobonnym obskurantem). - Ale fakt faktem, że najlepszym lekarzem jest nasze własne wnętrze, jeśli tylko damy mu szansę i podejmiemy najzwyczajsze w świecie środ-ki ostrożności...

Najzwyczajsze w świecie środki ostrożności z reguły polegały na tym, że wujek Willie obficie posypywał owsiankę czymś białym, co wyglądało jak arsenik, a dzisiaj dodatkowo wrzucił sobie do kawy małą tabletkę, po czym dygoczącą ręką energicznie zamieszał napój. Później widziano, jak połyka jeszcze gigantyczną

kapsułkę. W rezultacie mógł tego dnia zjeść więcej niż zazwyczaj swoich ulubionych przysmaków, skarżąc się jedynie, że jest tego za mało.

- Czemu nie ma babeczek z bakaliami? - dociekał. - A pod ręką zawsze powinno być kilka czekoladek, nawet w czasie wojny, eh?

- Niedługo będzie pod ręką mnóstwo czekoladek, drogi wujku Willie - uspokajała go Rhoda.

Paulina przypomniała mu z kolei, że babeczki bakaliowe przynoszą pecha temu, kto je zjada przed świętami.

Paulina była naprawdę wspaniała. Chociaż tego popołudnia padało jeszcze mocniej, a tym samym pogoda robiła się coraz bardziej zdradliwa dla starych ludzi, ona przez prawie trzy godziny stała na trawniku z wujkiem Williem, który patrzył, jak dzieci Co-ultardów lepią bałwana.

- To dla niej zbyt obciążające - powiedziała Rhoda.



### III. Babeczki bakaliowe przed świętami

1

Pociąg jechał powoli i co chwila się zatrzymywał.

- To wydaje się całkiem bez sensu - stwierdziła Margery Dore, rysując na zaparowanej szybie judasza, przez który oglądała zasypany śniegiem krajobraz - że najpierw przez wiele lat udawaliśmy małżeństwo, chociaż nim nie byliśmy, a teraz na odwrót.

- Całkiem bez sensu, prawda? - zgodził się siedzący w kącie John, ale bez większego zainteresowania.

- Czy to naprawdę konieczne?

- Tylko na czas świąt.

- Nadal nie powiedziałeś mi dlaczego - poskarżyła się Margery.

- Wydawało mi się, że ci powiedziałem.

- Wspomniałeś coś, że to zapewni najlepszy efekt sceniczny. Ale moim zdaniem byłoby o wiele bardziej dramatycznie, gdybyś mnie wprowadził i bez żadnych wstępów ogłosił: "Mamo, jesteśmy małżeństwem!". Widzisz jakieś przeciwwskazania?

- Po czymś takim może być już tylko kurtyna - wyjaśnił cierpliwie John.

- Niekoniecznie - zaprotestowała Margery Dore. - W dzisiejszych czasach wiele sztuk tak się zaczyna.

- Wujek Willie jest staroświecki.

- Moja mama też. Dlatego zawsze najpierw robię to, na co mam ochotę, a potem zaskakuję ją tym, zanim zdąży się zastanowić.

- W takim razie bardzo źle ją traktujesz - stwierdził John.

- Wcale nie - zripostowała Margery. - Uwalniam ją w ten spo-

sób od wszelkich matczyńskich wątpliwości, obaw i zobowiązań...

- No i biedaczka musi szukać rozrywek gdzie indziej. Wstydzilibyś się. Mój sposób jest o wiele bardziej rozrywkowy dla wszystkich zainteresowanych.

- Ale czy warto się tak trudzić?

- Sądziłem, że lubisz aktorstwo.

- Jestem już trochę zmęczona kłamstwami i udawaniem. Trzeba ci wiedzieć, że to nie to samo.

- Jak najbardziej to samo. Póki pamiętasz, jaka jest prawda - tylko to się liczy. Jakie to ma znaczenie, czy znajdujesz się na widowni, czy na scenie, jeśli twoje serce jest czyste, kochanie?

- Pewnie masz rację - przyznała Margery, wierząc mu na słowo.

- Chcemy stworzyć podczas świąt atmosferę napięcia - wyjaśnił wyrozumiale John. - Jakaż z tej Margery Dore miła dziewczyna! Czy to nie za wysokie progi dla Johna? Być może Margery nie jest z niego zadowolona, być może tak naprawdę go nie kocha. Byłaby wielka szkoda, gdyby odpłynęła na fali wydarzeń...

- Cudowny scenariusz! - przerwała mu Margery z uznaniem. - A fala wydarzeń to...?

- Przede wszystkim wojna. Może też twoja szacowna, lecz ambitna mama. Ludzie dobierają sobie dzisiaj małżonków tylko z własnej sfery. Moi biedni staruszkowie żyją zupełnie poza tym światem i znają życie jedynie z gazet. A jeśli ktoś zna życie tylko z gazet, to może sobie pomyśleć, że podejmując decyzję o małżeństwie, ludzie kierują się wyłącznie uczuciami...

- Rzeczywiście można odnieść takie wrażenie - zgodziła się z nim Margery. - Albo względami propagandowymi...

- Albo *esprit de corps*<sup>6</sup>. Tymczasem bezlitosna prawda jest ta-

ka, że ja nie przedstawiam sobą żadnej wartości propagandowej. Przyznaj, że twoja matka miała nadzieję wydać cię za lotnika z RAF-u z ojcem na Bliskim Wschodzie i matką na West Endzie. Jak ja się w to wpisuję? Podczas poprzedniej wojny mój ojciec był pacyfistą i do tej pory nie dał nikomu powodów, by sądzić, że coś się w tej kwestii zmieniło. W tej swojej zabitej deskami bukolicznej dziurze nie jest już zbyt lubiany, a matka tylko siedzi i wyszywa, mając wszystko gdzieś. Oboje bardzo się ucieszyli, że nie przyjęto mnie do wojska, i nie zawracali sobie głowy, żeby kogokolwiek poinformować, jak bardzo ich biedny chłopak był rozczarowany. Jedynym zmartwieniem mojej matki jest to, czy uda się znaleźć dla mnie jakąś synekurę na wypadek, gdyby mnie powołano. W zasadzie im mniej się o nas mówi, tym lepiej.

John zapalił fajkę.

- Nie rozumiem, dlaczego ludzie mieliby cię za to wszystko winić - wtrąciła Margery. - Wbijasz gwoździe do trumny Hitlera nie mniej pracowicie od innych.

- Ale tego nie widać. Na czym stanąłem? A, tak. To znaczy nie: naszą jedyną nadzieją jest wujek Willie.

- Nie wiedziałam, że wujek Willie jest postacią rangi narodowej.

- Cóż, w każdym razie wujek Willie w jakimś stopniu - i nawet podczas wojny - posiada pewien walor prestiżowy. W swoim czasie był znaną osobistością. Owszem, świeci przede wszystkim odbitym blaskiem, a majątek w całości odziedziczył, niemniej pozostaje faktem, że jego brat Roger wpadł do kopalni złota czy coś takiego podczas wojny burskiej, a sam stary sir Willoughby Keene-Cotton od momentu osiągnięcia dojrzałości ożenił się z prawie

wszystkimi ważnymi kobietami w tym kraju łącznie z moją babcią i dokonał absolutnie niezwykłego wyczynu, a mianowicie żyje do dzisiaj. To zapewnia mi jako taki rodowód.

- Chciałeś chyba powiedzieć: byle jaki - droczyła się z nim Margery.

- Dlatego musimy wypchnąć wujka Williego na scenę, póki to jeszcze możliwe - wyjaśnił John. - Wujek Willie jest już stary i długo nie pożyje. Po śmierci jego pieniądze trafią do całej chmary rozproszonych po świecie i nudnych jak flaki z olejem ludzi, którzy mogą w nim budzić co najwyżej akademickie zainteresowanie. Romans pod jego nosem może rozniecić w nim entuzjazm - zwłaszcza jeśli będzie się mógł uważać za człowieka, który go zaaranżował. Mama na pewno w kółko powtarza, jak wielką sprawiłoby jej ulgę, gdybym się z tobą ożenił, ale co matka może zrobić? Młody starego nie posłucha i tak dalej. Twoja matka oczekuje, że wyjdiesz za kogoś znamienitego, ale w obecnej sytuacji...

- Czyli mam oczarować wujka Williego i przekonać go, żeby dostarczył kilka ozdób świątecznych?

- Będziesz uważała, kochanie, prawda?

- Możesz mi zaufać. Będzie moim dobrym duchem i przywieździe mnie do rozsądku, wskaże mi drogę do szczęścia i tak dalej, a przy okazji zdejmie twojej matce kamień serca.

- A potem umrze szczęśliwy.

- Tak.

Zachwyceni scenariuszem, w którym doprowadzają do szczęśliwego odejścia wujka Williego z tego świata, kontemplowali go w błogiej ciszy, którą w końcu przerwała Margery, mówiąc:

- Zastanawiam się tylko, kochanie...

- Nad czym się zastanawiasz, najdroższa? - zapytał wyrozumiale John.

- Czy musimy czekać do śmierci wujka Williego z ogłaszaniem, że od dawna jesteśmy małżeństwem?

Zajęty marszczeniem brwi John odpowiedział dopiero po chwili:

- Nie, musimy się z tym wstrzymać tylko do końca świąt.

2

Na peronie czekała na nich drobna, czujna postać. Był to Frank Redpath. Jeśli ojcowie służą młodym dziewczętom za przestrożę w kwestii tego, na kogo mogą wyrosnąć ich synowie, to ten konkretny ojciec robił to nadzwyczaj życzliwie, bo według Margery byli do siebie nedorzecznie podobni, przy czym Frank sprawiał wrażenie człowieka jeszcze mniej poważnego, solennego i wymagającego. Na razie jednak znajomość Margery z Frankiem była dosyć powierzchowna, a jako osoba oficjalnie z nim nieskoligacona, a tym bardziej mu niepoślubiona, Margery mogła pozwolić sobie na to, aby patrzeć na niego przychylnym okiem. W tym momencie polegało to na słuchaniu jego długich wywodów o charakterze i nawykach wujka Williego, do których to wywodów przystąpił natychmiast po zdawkowych powitaniach.

- Bardzo się ucieszył, kiedy mu powiedziałem, że przyjeżdżasz - powiedział Frank do Margery. - Wbił sobie do głowy, że już cię kiedyś spotkał.

- Co takiego? - zdziwiła się Margery. - Jestem pewna, że nigdy

nie spotkałam nikogo, kto by się nazywał sir Willoughby Keene-Cotton.

- Twierdzi, że przypuszczalnie nie wiedziałaś, kim on jest - wyjaśnił Frank.

- A jak wygląda? - spytała Margery.

- Jak ktoś, kto zaczął się charakteryzować na Świętego Mikołaja, ale zabrakło mu waty - odrzekł John, a wygłoszony przez niego opis Frank nie tylko potwierdził, ale nawet nagroził brawami.

- Nie, jestem pewna, że nigdy nie spotkałam kogoś, kto by tak wyglądał - stwierdziła Margery. - Gdzie jego zdaniem się spotkaliśmy?

- Nie ma zielonego pojęcia - odparł radośnie Frank, sadowiąc Margery obok siebie i uruchamiając samostart. - Z tego, co zrozumiałem, to w jakimś hotelu.

Na tylnym siedzeniu dało się odnotować lekkie zamieszanie.

Margery złapała w lusterku wstecznym spojrzenie Johna. Uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

- Nie, jestem pewna, że to nie byłam ja - powiedziała do Franka. - Ale może to powinnam być ja?

- Nie, nie, nie! - Frank z dezynwolturą zawrócił na placu przed stacją. - Nie wolno ci tylko oponować, jeśli będzie się upierał, że jesteś kimś, o kim nigdy nie słyszałaś. Jest dosyć czuły na punkcie swojej pamięci. Nie żeby nie pamiętał, tylko ciągle zapomina.

- Nieważne, kim jestem - zakomunikowała Margery. - W każdej chwili mogę się stać kimkolwiek.

- Znakomicie.

- Mówiłeś, że jest chory? - spytał z tylnego siedzenia John.

- Nic poważnego. Miał ochotę na babeczki bakaliowe. Paulina

powiedziała, że przed świętami przynoszą pecha, więc oczywiście zjadł pięć albo sześć. Potem zarzekał się, że połknął trzypensówkę. Zrobił się siny.

- Siny! - powtórzyła z uznaniem Margery.

- Po części z powodu wściekłości na Paulinę, która oznajmiła, że specjalnie włożyła monetę do babeczki, aby uzyskać potwierdzenie swoich przesądów. Taki głupi żart. A mógł go zabić.

- I zabił? - doszło od Johna.

- Niestety nie. Ponieważ wujek Willie podejmuje najzwyczajniejsze w świecie środki ostrożności i ma żelazną konstytucję, mógłby połknąć pół korony i nawet by tego nie zauważył. On jednak zawsze musi zjeść ciastko i mieć ciastko. Nie mógł usiedzieć na miejscu, tylko łaził po całym domu i robił raban, a potem wyszedł do ogrodu, żeby udławić się na śmierć, i nie pozwolił, żeby ktoś mu towarzyszył.

- Co się stało?

- Wykrztusił dwa i pół pensa, a resztę strawił.

- Bądź poważny, tato.

- Prawdę rzekłszy - zastosował się Frank - dosyć paskudnie się przewrócił i skrzył obie nogi w kostce, więc na razie jest uwięziony w swoim pokoju. Bogu niech będą dzięki! Tuczymy go na święta. Załatwiliśmy mu sekretarkę, żeby "pomagała mu w pracy" - czyli tak naprawdę miała na niego oko, no ale człowiek musi być taktowny - więc w domu jest teraz względnie spokojnie. Tak spokojnie, że niemal ponuro. Wujek Willie wciąż się burmuszy na Paulinę, która przecież traktuje go po prostu wspaniale, a za każdym razem, kiedy ja do niego idę, chce mi ukrećić głowę. Jedyłą

osobą, która jest w tej chwili w stanie coś z nim ugrać, pozostaje biedna Rhoda. No i jeszcze Esther Hobbs.

- Kto to jest Esther Hobbs? - spytał John.

- To ta sekretarka, o której mówiłem. Bratanica Wortleyów, zatrzymała się u nich. Silna i kompetentna młoda kobieta, która z wielką radością drałuje do nas dzień w dzień od sąsiadów. To jedna z tych dziewczyn, które powinny jak najszybciej wydać się za męża, bo są kompletnie zagubione, jeśli nie mają co robić i kim się opiekować. Wortleyowie zamierzają wypchnąć ją na salony, jeśli jakieś znajdą, ale my jej tego oszczędziliśmy - przynajmniej na razie.

- Czy wujek Willie to nie są salony?

- Ale za niego przecież nie wyjdzie. A jako od jego sekretarki nie oczekuje się od niej, żeby była damą.

- Ładna? - spytała Margery.

- Ma lekkiego zeza - odparł Frank.

- Czyli idealna - podsumował John.

- Tak, to się doskonale składa - potwierdził Frank. Milczał, ale tylko przez chwilę, bo uznał, że kiedy mówi, to mniej marznie. - Nie wiem, co zrobimy, jeśli on rzeczywiście nagle padnie trupem. Nie będzie przy nim lekarza, więc nie unikniemy śledztwa. Co będzie, jeśli go otworzą? W mojej ocenie jego treści żołądkowe...

- Oj, przestań, tato...

- ...stanowiłyby wręcz sensacyjny materiał dla lokalnej gazety - dokończył Frank. - Dieta wujka Williego przypuszczalnie od kilku lat zawiera arszenik. Teraz mógłby go zjeść cały worek i nawet by tego nie zauważył. Najzwyklejsze w świecie środki ostrożności.

- Chcesz powiedzieć, że nie ma sensu zamawiać dodatkowej



dostawy i faszerować babeczek bakaliowych?

- Spedytorowi zabrakłoby miejsca.

- Ale przecież - byłbym zapomniiał - nie chcemy go teraz mordować, prawda?

- W każdym razie nie ze względu na pieniądze - przyznał ze smutkiem Frank. - Wszystko odziedziczy jego żona.

- Ciekawe, czy arszenik zaczął spożywać od razu po ślubie z nią - to znaczy w ramach najzwyczajniejszych w świecie środków ostrożności... - John urwał swoje luźne dywagacje, jak tylko zajęchali pod bramę Four Corners. - Co to jest, Święty Mikołaj?

Four Corners, dom niezbyt duży i dosyć wiekowy, był położony z dala od drogi, z przodu rozciągał się gustowny podjazd dla powozów, który łączył się z boku z tarasowanym trawnikiem z tyłu.

- To bałwan - wyjaśnił niepotrzebnie Frank.

- Ładny! - zachwyciła się Margery. - Kto go ulepił?

- Wujek Willie twierdzi, że on, ale tak naprawdę zrobili to ci okropni mali chłopcy znad garażu.

- A dlaczego jest otoczony płotem?

- Z powodu tego ciekawskiego czarnego psa Coultardów.

- Chodź, Margery, przewróćmy go i zobaczmy, co jest w środku.

- NIE! - zakazał stanowczo Frank.

- Dlaczego?

- Chcę, żeby dotrwał do drugiego dnia świąt.

- Zapomniałem o ubieraniu choinki - jęknął John. - Będą chmary dzieci?

- Wręcz przeciwnie - odparł Frank. - Przychodzą prawie wy-

łącznie osoby po siedemdziesiątce, więc w tym roku musiałem zorganizować same stateczne i intelektualne rozrywki.

- Co ma z tym wspólnego bałwan? A, rozumiem.

- Nie, nie rozumiesz - skarcił go ojciec. - Margery, moja droga, bądź tak łaskawa i nie pozwól swojemu młodemu towarzyszowi rozwiązywać przed końcem świąt żadnych zagadek.

### 3

Powitała ich tymczasowa pokojówka, milkliwa i sprawna starsza pani z mechanicznym uśmiechem na twarzy; następnie podała im obfity obiad.

- Wygląda na to, że całkiem nieźle się urządziliście - stwierdził John.

Frank i Rhoda przytaknęli skwapliwie.

- Wujek Willie nalegał, by podarować nam trzy indyki - powiedziała Rhoda - kilka słoików babeczek bakaliowych, dwa ogromne świąteczne puddingi, a co do świątecznego ciasta, które zamówił u Buntinga...

- Aż trudno uwierzyć, że jest prawdziwe - wtrąciła z entuzjazmem Paulina.

- Próbujemy namówić Paulinę - powiedział Frank - aby na czas świąt została mięsożercą i trochę mam pomogła, ale ona odmawia.

Paulina pokręciła z uśmiechem głową i zapała się nogami.

- Ale czy wujek Willie nie pomaga? - zapytał John.

- Pomaga, pomaga - potwierdziła szybko Rhoda.

- Ze wszystkich sił - poparł ją Frank.

A ponieważ jego rodzice sprawiali wrażenie przygnębionych,

John powiedział wesoło:

- Teraz macie nas. No dalej, Margery, do dzieła. *Esprit de corps*.

Ale nawet ich starania nie zrobiły na indyku większego wrażenia. Frank i Rhoda ledwo zdołali dokończyć to, co mieli na talerzach, co zaskoczyło Johna, bo z reguły sobie nie żalowali. Kiedy wyraził obawę, że są chorzy, gorąco zaprzeczyli i wyjaśnili, że apetyt rezerwują na święta.

Na obiedzie pojawiła się Esther Hobbs, ale w kwestii uszczuplenia zasobów indyka okazała się niezbyt pomocna. Przyszła późno i jeszcze przed końcem posiłku wyszła do małego pokoju, z którego po chwili zaczęły dobiegać odgłosy pracowitego pisania na maszynie. Może i miała lekkiego zęza i nie była zbyt rozmowna, lecz bez wątpienia należała do tych młodych kobiet, które całym sercem angażują się w to, co w danym momencie robią, czyli w tym wypadku - według Franka - w przepisywanie na maszynie autobiografii wujka Williego.

- Chłonie wszystko jak gąbka i zapisuje, nawet jeżeli nie ma w tym zbyt wiele sensu. Jeśli całość okaże się dostatecznie spójna, aby ktoś ją wydał, to wywoła potworną wrzawę. Ale nie sądzę, abyśmy mieli powody do zmartwienia.

- Nie widzę powodu, aby przy odrobinie zabiegów redakcyjnych to się miało nie nadawać do publikacji - stwierdziła Paulina - Tylko wydarzenia ostatnich kilku lat trochę mieszają mi się w głowie.

- Daj spokój, Paulino - zaproponowała Rhoda. - Jemu się mylą całe pokolenia.

- To można bez problemu uporządkować - przekonywała opty-

mistycznie Paulina.

- Pozwólcie - wtrącił się Frank - że was teraz opuszczę i sprawdę, czy wujek Willie ma wszystko, czego potrzebuje do obiadu, a potem muszę się trochę poruszać. Pójdziemy z psem Coultardów na długi spacer, co, John?

- Okej - odparł jego syn.

- Tylko nie ekscytuj wujka Williego, kochanie - poprosiła zatroskana Rhoda, podchodząc z nim do drzwi. - A jeśli idziesz do Coultardów...

Rozmowa na tematy ściśle domowe wyprowadziła ich z jadalni.

W salonie, ukołysani życzliwym bajaniem Pauliny, John i Margery podrzemywali i na przemian się budzili, aby z uważną miną unieść w jej stronę brew.

Dywagacje cioci Pauliny siłą rzeczy dotyczyły tego, jak wspaniałym człowiekiem jest wujek Willie, jaką wykazał się odwagą, że przyjechał tutaj z tak daleka, zupełnie sam i pociągami, jak bardzo nie może się doczekać ubierania choinki, jak dużo ludzi zamierza przyjść na przyjęcie wyłącznie dlatego, że o nim słyszeli i chcą go zobaczyć, i właśnie dlatego kochani Rhoda i Frank tak troskliwie się nim opiekują, bo byłoby dla niego okropne, gdyby drugiego dnia świąt złożyła go choroba i cała ta zabawa go ominęła; od kilku dni podśmiechiwał się w związku z małą niespodzianką dla wszystkich i oczywiście wszyscy starali się nie domyślać, co to jest - kolejna sugestia pod adresem Johna, aby przed świętami nie próbował rozwiązywać żadnych zagadek.

W pewnej chwili John się ocknął i usłyszał, że na przyjęcie przychodzą Wortleyowie, że gazety Howarda tak jak wszystko inne ucierpiały z powodu wojny, ale mimo to Howard wydaje nowe cza-

sopismo wojenne i liczy na to, że sir Willoughby Keene-Cotton wykaże dostateczne zainteresowanie, aby napisać artykuł do pierwszego numeru, nawet gdyby nie chciał inwestować w to przedsięwzięcie żadnych pieniędzy. Margery obudziła się akurat w takim momencie, by usłyszeć o państwie Crosbie i o Gwendoline Lucas, a także o tym, jak bardzo im zależy na zorganizowaniu poranka "Kate Cameron All Star" na rzecz Czerwonego Krzyża i jak się zastanawiają, czy sir Willoughby Keene-Cotton przychyli się do tego pomysłu, jak gorąco panna Lucas pragnie zagrać postać z książki pani Crosbie, gdyby tylko udało się znaleźć młodego dramaturga, który znalazłby czas na jej przerobienie na sztukę, a także młodą aktorkę, która nie chciałaby za dużej pensji, do roli dziewczyny...

Potem, akurat kiedy podejmowane przez ciocię Paulinę tematy zaczynały się robić naprawdę ciekawe, nawet jeżeli sposób ich prezentacji nadal działał jak silny środek usypiający, przyszła Rhoda z informacją, że wujek Willie chce zobaczyć Margery.

- Będiesz uważała, kochanie, prawda? - szepnął jej John do ucha.

- I nie pozwól mu mówić zbyt długo - poprosiła Rhoda. - Jeśli uda się go nakłonić do parogodzinnej popołudniowej drzemki, to przez resztę dnia jest znacznie bardziej znośny. O wpół do czwartej przyjdę cię uwolnić.

Margery zaprowadzono na górę. Rhoda otworzyła drzwi, zza których dobiegał tubalny głos:

- Ha! Proszę wejść, proszę wejść. Witam, witam...

Johna ponownie ukołysał do snu przebijający się przez sufit salonu jednostajny pomruk, jak również litania uroków i zalet jego

matki recytowana przez Paulinę, która przedostatniej zimy nie przetrwałaby ciężkiej choroby, gdyby nie wizyty kochanej Rhody.

- Zawsze była dla mnie jak córka - mówiła Paulina. - Zawsze miała mnie przy sobie, odkąd się urodziła. Kiedy zmarł jej ojciec, a matka wyszła za sir Willoughby'ego Keene-Cottona, zostałam przy niej i opiekowałam się nią aż do dnia, kiedy poślubiła twojego ojca! A teraz ty również jesteś dorosły, kochanie, chociaż mnie się wydaje, jakby to było wczoraj, kiedy pielęgniarka zeszła na dół, trzymając cię w ramionach. Frank i ja siedzieliśmy w salonie...

Na dobre rozbudziło Johna coś w rodzaju trzęsienia ziemi. Wywołało je wejście grubego czarnego retrievera, który w komiczny sposób obwąchał cały pokój, potarzał się na plecach, a następnie przystąpił do zjadania kulek lodu ze swoich łap.

- Akurat starczy czasu na parę mil przed podwieczorkiem - powiedział Frank.

4

Na czas podwieczorku Esther Hobbs dołączyła do kręgu rodzinnego. Rhoda tymczasem wypila herbatę z wujkiem Williem na górze. Esther Hobbs po chwili zniknęła z grubym plikiem kartek i notatek tudzież jeszcze większym kawałkiem świątecznego ciasta. Ciocia Paulina ponownie wygłosiła - tym razem dla Margery - litanie uroków i zalet nieobecnej Rhody, która w tej właśnie chwili się pojawiła i spytała, gdzie jest Frank. Kiedy usłyszała, że na spacerze z psem Coultardów, zaklęła pod nosem i znowu wyszła. Paulina, podzieliwszy się z obecnymi łagodną uwagą o niegrzecznym zachowaniu Rhody, udała się na drzemkę.

John i Margery zostali sami.

- No i? - spytał John.

- Uroczy człowiek! - stwierdziła Margery. - Na pewno bym go zapamiętała, gdybym go wcześniej spotkała. Oczywiście pomylił mnie z matką, którą najwyraźniej całkiem dobrze zna, chociaż mógł ją pomylić z niejaką Cornelią Hastings, a biedna Cornelia Hastings, jeśli taka osoba kiedykolwiek istniała, według moich wstępnych obliczeń nie mogłaby mieć dzisiaj mniej niż sto dwanaście lat, ale tylko przy założeniu, że wujek Willie myli ją z jej córką. Pomyśl sobie, że ten człowiek pisze autobiografię! Z rozkoszą bym ją przeczytała!

- Ale jak wam się rozmawiało?

- Znakomicie. Spytał, czy jesteśmy zaręczeni, a ja powiedziałam, że jesteśmy za młodzi, aby się wiązać.

- I co on na to?

- Powiedział, że to bzdura i że trzeba się zaręczać jak najmłodszej. I że tego wymaga dobre wychowanie; zawsze można zerwać i nikomu nie stanie się krzywda.

- Co na to powiedziałaś?

- Westchnęłam i odparłam, że miłość to nie wszystko. - John przyklasnął. - On na to: Nie-nie-nie-nie-nie-nie-nie-nie-nie-nie.

- Wielkie nieba!

- Myślałam, że nigdy nie skończy. Potem powiedział, że miłość czy pieniądze - nie robi żadnej różnicy, kiedy będę w jego wieku. Powiedział, że gdyby na świecie było mnóstwo pieniędzy, to miłość zadbałaby o siebie.

- A gdyby na świecie było mnóstwo miłości?

- Oczywiście go o to zapytałam. Powiedział, że Bóg opiekuje się

kochającymi.

John był rozczarowany.

- A - powiedział. - Nie szkodzi, kochanie. Na początek dobre i to.



#### IV. Paczki na święta

1

Paczki przychodziły z każdą pocztą. Całkiem sporo było zaadresowanych do wujka Williego, a prawie wszystkie oznaczone napisem: "Nie otwierać przed pierwszym dniem świąt".

- Nie uwierzyłabyś, jakie miałem kłopoty z ukryciem paczek przed wujkiem Williem - powiedział Frank do Margery. - W jego wieku człowiek zapewne nie odkłada przyjemności na później, bo następnego dnia może już nie żyć.

- Dlaczego by mu nie pozwolić być szczęśliwym po swojemu? - spytała Margery.

- Bo jeśli mu pozwolimy na natychmiastową realizację wszystkich przyjemności - odparł Frank - to całkiem niewykluczone, że rzeczywiście jutro już go nie będzie wśród żywych, a my chcemy mieć go żywego w drugi dzień świąt.

- Potem nie będzie to już miało znaczenia - wtrącił John.

- Nie inaczej - zgodził się z nim jego ojciec.

Na Wigilię Frank zaplanował wyjazd do Londynu z jakąś bardzo ważną, lecz ściśle tajną misją. Biedna Rhoda była tego ranka zupełnie roztrzęsiona, ponieważ na cały dzień miała przyjechać Angelina wraz z mężem, aby zobaczyć wujka Williego.

- Myślę, że powinieneś tutaj być, kiedy przyjadą - mruzczała w kółko, choć bezskutecznie, pocierając policzki i drapiąc się po głowie.

Nikt jednak nie podzielał jej poglądu o wielkim znaczeniu obecności Franka Redpatha przy powitaniu tych latających gości.

Z kolei sam Frank, aczkolwiek przyznawał, że jest dość ciekaw Angeliny i jej obecnego męża (trochę się już w tym wszystkim pogubił), utrzymywał, że powodzenie wydawanego przez nich przyjęcia jest ściśle powiązane z jego wizytą w Londynie. Prawdopodobne śnieżyce i możliwe naloty bombowe nie były w stanie go odstraszyć, więc dlaczego miałyby go zatrzymać w domu umiarkowane zainteresowanie i jeszcze bardziej umiarkowane poczucie obowiązku towarzyskiego? Rhoda ustąpiła i ruszyła przekazać wieści wujkowi Williemu. Zastała go z Esther Hobbs, której dyktował list do profesora Larkina, dziękując mu za świąteczne życzenia, ale jednocześnie nie ulegając szantażom i nie okazując najmniejszego zainteresowania - finansowego czy innego - uczelnią, na której profesor Larkin wykładał.

- Przecież zobaczysz się z profesorem Larkinem na przyjęciu - zwróciła mu uwagę Rhoda - i będziesz miał możliwość osobiście mu to powiedzieć.

- Na przyjęciu chcę się dobrze bawić - zripostował wujek Willie.

- Trzeba jednak przyznać, że bardzo go ucieszyła perspektywa spotkania z osławioną Angeliną - relacjonowała Rhoda podczas obiadu.

- Przypuszczalnie nie będzie go w domu, kiedy ona przyjedzie - powiedział John. - Czy nie byłoby lepiej, gdybyś zamknęła go na klucz?

- Sam nie sforsuje schodów - odparła Rhoda. - Zresztą Esther ma na niego oko.

- Czy Angelina jest bardzo osławiona? - spytała niezbyt finezyjnie Margery.

John, wskazując na obecność dziewiczej niewinności w osobie Pauliny, zmarszczył czoło, patrząc na swoją nieokrzesaną ukochaną. Na jej pytanie odpowiedziała jednak właśnie Paulina.

- O, nie, moja droga. Widzisz, biedna Angelina zakochała się w żonatym mężczyźnie, mieszkała z nim chyba przez dość długi czas, a on ją potem zostawił na lodzie. Na szczęście nie było dzieci, więc nic wielkiego się nie stało.

- O - odparła Margery bez większych emocji. Potem zebrała się na odwagę i spytała: - A z tym, z którym teraz przyjeżdża, jest po ślubie?

- Można tak zakładać - odparła Paulina z miną osoby wyciągającej logiczne wnioski - bo inaczej nie przywoziłaby go ze sobą na wiejską plebanię.

Margery zadowolona się tym dowodem na prawomyślność związku Angeliny i wróciła do przerwanej lektury.

Po jakimś czasie pod dom zajechał duży samochód i swoją pieczęć prawomyślności przystawiła Keevil, pokojówka, oznajmiając swym tymczasowym głosem:

- Państwo Freer.

Angelina była smagła, elegancka i niewiarygodnie szczupła. Rysy miała wyraziste, ale ich srogość łagodziły pełne, choć nieco głupkowato wygięte usta, które pięknie umalowała, bez przerwy błyskając białymi zębami.

- Dzień dobry - przywitała się nieco oficjalnie, ściskając wszystkim dłonie. - To okropne z naszej strony, że się państwu narzucamy tuż przed świętami, ale Puffy uznał, że lepiej będzie to już mieć za sobą przed kolejną śnieżycą, inwazją albo czymś innym, prawda, Puffy?

Rzeczony Puffy miał z grubsza czterdzieści pięć lat, zupełnie bezbarwne włosy i brwi, za to bardzo czerwoną twarz.

- No raczej - potwierdził i stał speszony, zostawiwszy wszystko swojej żonie, lecz przyglądał się jej podenerwowany. Jeśli ona również była podenerwowana, to przejawiało się to wyłącznie rosnącą nieczytelnością jej zachowania, co najwyraźniej było jej podstawową bronią i atutem.

Rhoda przedstawiła wszystkich i wyjaśniła, kim są, przeprosiła za nieobecność męża dużo bardziej rozwlekłe, niż ktokolwiek z obecnych uważał w zaistniałych okolicznościach za konieczne, a następnie zwierzyła się nowo przybyłym, że Frank i wujek Willie są bardzo zajęci przygotowaniem niespodzianek na ubieranie choinki w drugi dzień świąt, do czego obaj podchodzą z tak wielką powagą i tajemniczością, że właściwie nie rozmawiają już ze sobą ani z nikim innym, a szkoda, bo przecież święta to czas dobrej woli, a nie błahych sporów nie wiedzieć o co, prawda?

Państwo Freer zgodzili się z tym w całej rozciągłości, a kiedy posadzono ich przy kominku, ogrzali się i powoli odtajali, a następnie w żartobliwy sposób dali wyraz swojej uldze, że sir Willoughby Keene-Cotton wciąż żyje.

- I to jak - poinformowała ich Rhoda. - Wymuszony odpoczynek bardzo dobrze mu zrobił. Jestem przekonana, że już dawno tak dobrze się nie czuł.

- Bardzo się cieszę, że to słyszę - skomentowała Angelina.

- To rzeczywiście dobra wiadomość - zgodził się z nią Puffy.

Nastąpiła chwila ciszy - przypuszczalnie wszyscy się zastanawiali, czy nie przesadzają z aktorstwem.

Osobą, która zadała niby oczywiste, ale jakże wymowne pyta-

nie, była Paulina:

- Jak się ma lady Keene-Cotton?

To pozwoliło państwu Freer wyjawic powód swojej wizyty.

- Bogiem a prawdą, pani Redpath - powiedziała Angelina, marszcząc brwi w stronę swoich wykwinnych stópek - trochę się o nią martwimy.

- Obawiam się, że nie jest z nią za dobrze - wtrącił Puffy.

- Szczerze mówiąc, właśnie dlatego tutaj jesteśmy - wyznała z zakłopotaniem Angelina.

- Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie jak najszybciej przyjechać - wybąkał Puffy.

Co za wieści! "O rany - pomyślał John siedzący w kącie salonu - przewidują, że ich matka umrze wcześniej od niego! Co wtedy?"

- Najzupełniej państwa rozumiem - odparła ze współczuciem Rhoda - i bardzo mi przykro.

("Może i dobrze, że ojca nie ma - myślał John. - Mama radzi sobie z takimi sprawami znacznie lepiej, kiedy jest zdana na siebie...")

- To znaczy nie żebyśmy się poważnie martwili - dodała Angelina, bagatelizując wcześniejsze rewelacje.

- Trudno ubierać myśli w słowa - stwierdził jej małżonek, kręcąc mądrze głową.

- Doktor Clark jest już stary i poradził nam, abyśmy zasięgnęli opinii innego lekarza. Obawiam się, że to skłoniło biedną mamę do podejrzeń, że jest z nią gorzej niż w rzeczywistości. Zaczęła się martwić o nas wszystkich, o to, że będzie dla nas ciężarem, a potem umrze i narobi nam kłopotu. Trochę ją to wszystko oszołomiło. Koniecznie chciała spędzić święta tak jak zwykle. Chyba wbiła

sobie do głowy, że jeśli położy się do łóżka, to już nigdy nie wstanie. My jednak nareszcie sprowadziliśmy wyszkoloną pielęgniarkę. Bez tego byśmy oczywiście nie wyjechali. Cyril i Verna nigdy nie umieli zajmować się mamą - to raczej ona zajmowała się nimi.

- Dzisiaj rano czuła się znacznie lepiej, prawda? - Puffy podjął próbę rozproszenia mroku, który wypełnił salon. - Nie mów, że nie, Angy, przecież mówiłaś mi dziś rano, że cię rozpoznała.

Angelina potwierdziła, po czym dodała gwoli wyjaśnienia:

- Kiedy do niej przyjechałam, nie wiedziała, kim jestem. Oczywiście dawno się nie widziałyśmy, od jej ślubu z sir Willoughbym Keene-Cottonem. A dzisiaj rano posłała po mnie, siedziała na łóżku, wiedziała, jak mam na imię i tak dalej. Powiedziała, że chce mnie prosić o radę. Sir Willoughby Keene-Cotton - powiedziała - poprosił ją o rękę, co wszystko by rozwiązało. Nawet gdyby zawsze gorąco go nie kochała - dodała pospiesznie Angelina. - Potem zaczęła snuć plany na przyszłość, bo zupełnie zapomniała o wojnie i wszystkim innym. Obiecałam, że postaram się być na ślubie, a potem do was zadzwoniłam i natychmiast przyjechaliśmy.

- I co, udało ci się przyjechać na ślub? - spytała głupkowato Rhoda. - To znaczy - poprawiła się - byłaś na ślubie? Nie pamiętam, żebym cię widziała.

- Nie, nie dałam rady - odparła Angelina.

W tym momencie weszła Keevil i oznajmiła, że sir Willoughby Keene-Cotton przyjmie panią Freer.

Uzgodniono, że pan Freer poczeka w salonie, pozostawiając prowadzenie rozmowy w kompetentnych rękach swojej małżonki. Bardzo się ucieszył z takiego układu, ponieważ obecna sytuacja wprawiała go w ogromne zakłopotanie. Rhoda usiłowała go pocie-

szyć odrobiną whisky, ale powiedział, że w tych czasach jest w gruncie rzeczy abstynentem. Kiedy jednak zobaczył karafkę i syfon podsunięte mu pod nos przez Johna, nie zdołał oprzeć się pokusie, po czym wygłosił kilka marnych żartów o tym, żeby się nie wygadali jego żonie, a także cynicznych uwag na temat życia małżeńskiego jako takiego, których to uwag nikt nie potraktował poważnie, ponieważ wszyscy widzieli, że Puffy z trudem potrafi przeżyć choćby kilka minut rozłąki z Angeliną.

Paulina, ze wszystkich sił starając się wypełnić jakoś czas, odpytała Puffy'ego z jego rodzinnych koneksji. Czy nie jest przypadkiem spokrewniony z państwem Freer, których spotkała kiedyś w Rzymie? A może z tymi Freerami, z którymi Paulina Redpath o mały włos uniknęła katastrofy morskiej na Morzu Kaspijskim? Nie? Nie, Puffy negował wszystkie geograficzne i genealogiczne skojarzenia z nazwiskiem Freer, dopóki ciocia Paulina, która z niewzruszonym uporem opłynęła cały świat, nie zawinęła do portu w Durbanie, w którym wedle wszelkich danych Puffy się urodził, z czego wynikało, że jest latoroślą związaną z maszynami kąpielowymi<sup>7</sup> Freerów, nawet jeżeli nie przyszedł w jednej z nich na świat.

- Bardzo ciekawe - dopingowała go Paulina, a Rhoda pomyślała, że ciocia ma za swoje.

Angelina w końcu wróciła z wiadomością, że sir Willoughby Keene-Cotton był dla niej bardzo miły i obiecał zabezpieczyć wszystkich przed konsekwencjami scenariusza, w którym przeżyje swoją żonę, i zapewnił ją triumfalnie, że taki ma właśnie zamiar. Kiedy idea napisania nowego testamentu w końcu przebiła się do jego świadomości, wzbudziła w nim entuzjazm - i to tak ogromny, że postanowił sobie urządzać testamentalną orgię, to znaczy posłać

po swojego adwokata i w całości poświęcić się tej sprawie. Stwierdził, że natychmiast zabierze się do sporządzania dokumentu, aczkolwiek nie sądzi, aby udało mu się tutaj ściągnąć starego Merivale'a jeszcze w okresie świątecznym.

- Dopilnujemy, żeby nie zapomniał - obiecała Rhoda, pomagając państwu Freer włożyć płaszcze w holu.

Państwo Freer odparli, że to bardzo miło ze strony pani Redpath, że przejmuje się ich problemami. Kiedy odjeżdżali z życzeniami świątecznymi na ustach, wyglądali dziesięć lat młodziej.

To, że bez reszty zdali się na tak ochoczo złożoną przez Rhodę obietnicę, niekoniecznie świadczyło o ich naiwności i łatwowierności. Być może przyszło im do głowy - tak jak z pewnością przyszło do głowy Johnowi - że jeśli stary wujek Willie zacznie pisać nowe testamenty i rozdawać swój wielki majątek, dla rodziny Redpathów nie musi to być aż tak bardzo niekorzystne.

Po ich wyjeździe w holu można było zauważyć trzy kolejne paczki opatrzone napisem: "Nie otwierać przed pierwszym dniem świąt".

2

- Jeśli wujek Willie przeżyje żonę, to kto dostanie jego pieniądze? - zastanawiał się Frank, kiedy już przedstawiono mu szkic charakterologiczny państwa Freer i wyjaśniono powód ich wizyty.

- Oczywiście będzie musiał sporządzić zupełnie nowy testament - odparła Rhoda.

- Nie ma żadnych bezpośrednich spadkobierców ani najbliższej rodziny - uzupełnił John.



- Nie, nie pofatygował się mieć kogoś takiego - przytaknęła Frank.

- Sprawiają wrażenie ludzi mało finezyjnych - ocenił John.

- Prawda? - przyznała skwapliwie Margery.

- Oczywiście to nie moja sprawa - wtrąciła Paulina - ale cieszę się, że wujek Willie sporządzi nowy testament. - A na pytanie "dlaczego?", odpowiedziała: - Od dawna go do tego przekonuję. Bardzo taktownie, nie martwcie się. Przez całe życie był bardzo hojny dla szeregu ludzi, których los od niego zależy. Zawsze wydawało mi się bardzo niefortunne, że mieliby stracić na jego śmierci, chociaż wiadomo, że zyskać zbyt wiele nie zyskają. Wiem, że pan Merivale uważa jego obecny testament za cokolwiek... jak by to powiedzieć, romantyczny. Jestem pewna, że da się opracować o wiele bardziej satysfakcjonujący dokument.

- Chcesz powiedzieć, że wujek Willie może zostawić coś nam? - spytał bezwstydnie John.

Paulina nie dała się jednak wciągnąć w takie spekulacje.

- Nie, kochanie, chcę powiedzieć, że nowy testament, sporządzony w sytuacji, kiedy wujek Willie miał czas na przemyślenie wszystkiego i przypomnienie sobie, że na świecie istnieją również inni ludzie poza jego żoną, uprości sprawy.

- Ale nie dla Horshamów - zauważył John. - Dla nich byłoby prościej, gdyby umarł przed żoną. Nie pojmuję, dlaczego Angelina nie wypruła mu flaków, póki jeszcze miała taką możliwość. I osobiście nie podzielam twojego radosnego optymizmu co do bardziej satysfakcjonujących dokumentów. Wujek Willie osiągnął niebezpieczny i nieodpowiedzialny wiek. W żadnym razie nie można wy-

kluczyć, że zostawi wszystko komuś, kogo po raz pierwszy w życiu spotka na przyjęciu.

- Jest w tym jakaś myśl, synu mój - mruknął z uznaniem Frank. - W końcu co mamy do stracenia? Odseparujemy go na przyjęciu od reszty towarzystwa i wywiesimy transparent za oknem, na którym będzie napisane: "Nie zwlekaj ani chwili! Testamenty na poczekaniu!". Margery i Esther mogą usiąść po obu stronach wujka i świadkować jak najęte, nie? Co o tym sądzicie?

Nikt nie zwracał na niego uwagi, nie licząc Johna, który udawał, że rozważa ten pomysł.

- Może to nie takie głupie, żeby odseparować go od reszty towarzystwa - przyznał. - Ludzie przychodzą na to przyjęcie tylko po to, żeby na niego spojrzeć. Większość z nich stać na zapłacenie za ten przywilej. Można by przeznaczyć te pieniądze na Fundusz Lotniczy. Ale w testamentach nie widzę zbyt wielkiego sensu - po kolei zostałyby uchylone i po świętach mielibyśmy z tego tylko całe mnóstwo makulatury.

- Ale czy w dzisiejszych czasach jest coś cenniejszego od makulatury? - rzucił sentencjonalnie Frank, sprytnie ucinając tę jałową dyskusję.

3

Ponieważ nazajutrz wypadał pierwszy dzień świąt, John poczuł się uprawniony do ogłoszenia skargi, że zawiesił pończochę i nic - absolutnie nic - się nie wydarzyło! Samo w sobie nie miałyby to znaczenia, ale przy śniadaniu pojawiły się tylko absolutnie symboliczne i oklepane prezenty.

- Kochanie, jak cudownie! Właśnie tego chciałam. Jak się domyśliłeś? - zachwycała się Rhoda, odpakowując tandetnie ozdobione pudełko zapalek.

- Ale mamó - wykrzyknął przerażony John - nie taki miałem dla ciebie prezent!

Wybiegł do holu i mimo panującego tam półmroku zauważył, że coś jest nie w porządku. Stół, na którym wczoraj wieczorem po powrocie Franka prezenty piętrzyły się wysoko, był teraz zupełnie pusty.

## V. Tajemnice w święta

1

Tajemnice i poszeptywania są w święta dozwolone, jak zauważyła ciocia Paulina. Jakby tego było mało, na obiad przyjechali samochodem wujek Jeff i ciocia Meg, zachęceni raczej niż zniechęceni śniegiem, który zgodnie uważali za obowiązkowy dla tej pory roku, więc John musiał stłumić irytację.

Wujek Jeff i ciocia Meg udawali rozczarowanych faktem, że sir Willoughby Keene-Cotton nie zszedł na dół, aby się z nimi spotkać. Cudowny starszy pan - przyznali - ale skoro jest lekko przeziębiony, to dobrze robi, cały czas przebywając w jednakowej temperaturze i odpoczywając, co pozwoli mu zebrać siły na jutrzejsze przyjęcie, więc może lepiej, jeśli nie będą mu przeszkadzali.

- Ale jestem pewna, że chciałby się z wami zobaczyć - powiedziała Rhoda serdecznym tonem.

Pobiegła na górę, lecz szybko wróciła.

- Nie bardzo rozumiem - wybąkała skonfundowana. - Nie chciał mi normalnie odpowiedzieć. Wygląda na to, że wywrócił pokój do góry nogami. Szykuje dla nas niespodziankę na jutro i nie chcę tam wchodzić wbrew jego woli... Może gdybyście zostali na podwieczorek...

Nie, nie, odparli wujek Jeff i ciocia Meg - doskonale rozumieją, a poza tym chcą wrócić do domu, póki jest widno. Zostawili najlepsze życzenia udanego ubierania choinki oraz bombonierki dla wszystkich... i pojechali. Ich życzenia pozostały, a bombonierki zniknęły ze stołu w holu razem ze wszystkim innym.

Kiedy Frank i Rhoda po wyprawieniu ich w drogę wrócili do salonu, John stał plecami do kominka i sądząc po minie, wylewał przed ciocią Pauliną swoje żale. Margery umyła od wszystkiego ręce i próbowała czytać książkę.

W rzeczy samej Paulina była osobą idealnie nadającą się do tego, aby wylewać przed nią swoje żale, i owszem, potrafiła zgadzać się ze wszystkim, co mówił John, i znacznie lepiej uśmierzać jego gniew, niż zrobiłby to jej bratanek i jego żona, ale rodzice Johna nie widzieli powodu, dla którego syn miałby ich wypraszać z ich własnego salonu. Poza tym Rhoda chciała napisać kilka listów, a Frank, który od rana był na nogach, chciał odpocząć przy krzepiącym żarze ognia w kominku.

- Zastosowałem się do zakazu ojca, który zabronił mi rozwiązywania jakichkolwiek zagadek przed świętami - mówił John do Pauliny, która robiła na drutach - ale nie wiedziałem, że to oznacza chodzenie po świecie z zamkniętymi oczami. A poza tym święta zaczynają się dzisiaj.

- Miałem na myśli drugi dzień świąt - wtrącił Frank.

John puścił jego słowa mimo uszu.

- Dziś rano - kontynuował - wujek Willie po mnie posłał. Nie szczególnie miałem ochotę się z nim widzieć, ale bardzo uprzejmie udałem się na górę. Pukam do jego drzwi, on mówi "Wejdz" - podkreślam: "Wejdz"! - więc wchodzę i zastaję go stojącego przed lustrem w czerwonym płaszczu. Jest niebywale wściekły i wywala mnie z pokoju, a resztę już znasz.

Rhoda nie musiała przerywać pisania, aby zasugerować:

- To niemożliwe, żeby powiedział "Wejdz". Musiał powiedzieć: "Za chwilę, chłopcze".

- Powiedział "Wejdz" - stwierdził stanowczo John. - Co się zaś tyczy ojca - podjął po chwili - to całkiem serio uważam, że traci rozum. Nie neguję, że tajemnice są w święta dozwolone, ale żart to żart i należy zachować poczucie proporcji, niezależnie od wieku. Jak mogłem powstrzymać się od zgadywania, co się wydarzy w drugi dzień świąt, skoro na każdym kroku, a ściślej mówiąc, w każdym meblu, który ma wewnątrz, znajduję paczki. Nawet fortepian nie chce grać. Kiedy zdejmuję z półki jakąś książkę, natychmiast wyłania się coś, o czym nie powinienem wiedzieć. Kiedy siadam, coś trzeszczy i nikomu nie wolno pytać dlaczego. Kiedy idę przez pokój, coś skrzypi albo piszczy i nie wolno mi się zastanawiać dlaczego. To twoja wina, mamó. Od lat podsycasz jego megalomanię. A ponieważ oboje się tutaj zaszyliście, kompletnie odkleili się od rzeczywistości i uważa, że nawet najbardziej prymitywne numery ujdą mu na sucho. To jest pewnie jakaś forma eskapizmu, ale ostrzegam cię, że tego biednego starego grzyba niedługo trzeba będzie zamknąć w zakładzie. Zacznie mordować ludzi na lewo i prawo, w jasny dzień, i wpadnie w szal, jeśli ktoś ośmieli się to założyć.

Pióro Rhody skrobało, druty Pauliny stukały o siebie, a Margery podśmiechiwała się z uznaniem. John rzucił jej wdzięczne spojrzenie, ale stwierdził, że jego ukochana śmieje się z jakiegoś fragmentu książki - czy można sobie wyobrazić coś bardziej frustrującego? Perły mądrości, które wysypały się w tym momencie z ust Pauliny, świadczyły przynajmniej o tym, że chociaż ona go słuchała.

- Jeśli pozwolisz ludziom zachować ich tajemnice, John - zawyrokowała - to może oni pozwolą ci zachować twoje.

- Nie wiem, do czego pijesz - zareplikował. - Nie mam żadnych tajemnic.

Frank spojrział na syna podejrzliwie, a Rhoda odchrząknęła bez żadnych podtekstów.

Paulina udała, że wyraża powszechne rozczarowanie:

- Sądziliśmy, że ty i Margery przyszykowaliście dla nas małą niespodziankę - na po świętach...

- Niedobrze mi się robi, kiedy tego słucham - powiedział jej John bez ogródek.

- Przepraszam - odparła Paulina. - Może to Margery szykuje dla ciebie małą niespodziankę?

- Co? - spytała Margery, podnosząc wzrok znad książki i kładąc palec w miejscu, w którym przerwała lekturę.

- Nie przejmuj się, moja droga - uspokajała Paulina - Nie wydam cię.

Margery, która nie miała ochoty na aktorskie występy, wróciła do czytania.

- Żadnego z was obojga - dodała Paulina, której ten spektakl jeszcze się nie znudził, ani na chwilę nie przerywając robótek.

- Nie wydasz nas! - powtórzył John, z furią grając swoją rolę, bo nie miał większego wyboru. - To mi się podoba! Mogę zapytać, w jakim celu myszkowałaś dziś rano w pokoju wujka Williego?

- Kiedy, kochanie? - dociekała Paulina z tylko odrobinę urażoną miną.

- Kiedy brał kąpiel. Wkładałaś mu do owsianki zatrute pensy?

- Coś w tym rodzaju, kochanie. Dokładniej mówiąc - wyjaśniła

- wstawiłam mu do pokoju kwiaty.

- Na zgodę?

- Tak, kochanie.

- Wciąż ci nie wybaczył, że zatrulaś mu babeczki bakaliowe?

- Nie wiem, kochanie, nie pytałam.

- Ty i wujek Willie mieliście się kiedyś ku sobie. Z tego, co sły-  
szałem, to był prawie romans.

- On teraz ma Esther Hobbs, kochanie.

- Kolejna dziwna rzecz! - natarł ponownie John, nie dając jej  
ani chwili wytchnienia. - Odmawiał zgody na to, żeby ktoś się nim  
opiekował, dopóki o mało się nie udławił na śmierć tymi babecz-  
kami, a teraz bardzo się cieszy z tej zasłony dymnej. Wygląda na  
to, że już ci nie ufa, prawda?

Rhoda odłożyła pióro.

- Przestań wygadywać głupoty, John. Wszyscy jesteśmy tym  
zmęczeni.

- Dobrze. - John usiadł. - Ale wydaje mi się, że życie pod nazi-  
stowską okupacją to będzie piknik w porównaniu ze świętami spę-  
dzonymi w tym domu. Nie wolno mi myśleć tego, co mówię, a tym  
bardziej mówić tego, co myślę. I tak samo jak ci żałośni Niemcy  
musicie się bardzo czegoś bać albo odczuwać straszne wyrzuty su-  
mienia, bo inaczej nie bylibyście tacy drażliwi.

- Drażliwość to ostatnie słowo, jakiego bym tu użyła - oznajmi-  
ła Rhoda, liżąc znaczek.

- To nie świadczy o tobie zbyt dobrze - zripostował John - bo  
właśnie oskarżyłem moją stryjeczną babkę Paulinę o dwukrotną  
próbę zabójstwa, a ona jak gdyby nigdy nic dalej robi na drutach.  
To nie jest... normalne.



Rhoda westchnęła i powiedziała:

- Kochanie, nie mógłbyś poczytać sobie kryminałów jak Margery?

- Chcę się czymś zająć - odparł John.

- W takim razie zanieś ten list na pocztę. Kiedy wrócisz, podwieczorek będzie gotowy. Potem Margery może cię zabrać do kina i kiedy już nasycisz się dreszczowcami, przyprowdzi cię z powrotem.

- Wyśmienity pomysł! - powiedziała Margery, ale bez śladu entuzjazmu.

- Wolałbym pójść z ciocią Pauliną - zakomunikował John. - Jest starszą i o wiele bardziej interesującą kobietą.

Na co Margery stwierdziła:

- A ja wolałabym zostać tutaj i być uprzejma dla twojego ojca. Tutaj jest cieplej.

- Aż do kolacji będę zajęty wypisywaniem karteczek pod choinkę - zakomunikował Frank.

- W takim razie nie będę ci przeszkadzała - powiedziała Margery. - Czy można sobie wyobrazić coś uprzejmiejszego?

I z wdzięcznością powróciła do swojej książki.

### 3

Paulina, jak się okazało, trzymała Johna za słowo i pojawiła się po podwieczorku, wyglądając jeszcze starzej i bardziej interesująco niż zazwyczaj, opatulona we wszystko, co miała, nie wyłączając maski gazowej.

- Lepiej ją załóż - doradził jej John, biorąc ją pod ramię - a ja

wzmę kask taty, na wypadek gdyby po drodze zrobiło nam się niedobrze.

- Paulina jest taka niezawodna - powiedziała Rhoda, kiedy samochód odjechał. - Nic nie jest w stanie jej zniechęcić.

- Chyba należało z nimi pojechać - mruknęła Margery z lekkim poczuciem winy.

- Ależ nie, moja droga, skoro nie chciałaś - pocieszała ją Rhoda. - Paulinie zawsze podoba się wszystko, co robi.

Chociaż był pierwszy dzień świąt i Esther Hobbs miała wolne, łaskawie zajrzała po podwieczorku, aby doprowadzić wujka Williego do ładu. Była jedyną osobą, którą dopuścił do swoich sekretów, i tego dnia nikt inny nie mógł wchodzić do jego pokoju. Jego przeziębienie nie do końca było kurtuazyjnym kamuflażem wymyślonym przez Rhodę w celu wyjaśnienia, dlaczego tak wyniośle potraktował wujka Jeffa i ciocię Meg. W salonie przez cały dzień w nieregularnych odstępach pojawiały się poszlaki w postaci dosyć paskudnego kaszlu. Frank był jednak za bardzo zajęty własnymi tajemniczymi knowaniami, aby się zastanawiać, czy wujek Willie jest poważnie chory, ale Rhoda zdołała znaleźć czas na zadanie sobie pytania, czy nie należałoby posłać po doktora Goslinga.

- Absolutnie nie należałoby - zawyrokował Frank. - Niech się nafaszeruje, czym chce, i nacieszy. Po świątach możemy go posłać do domu opieki i kazać go gruntownie zdekarbonizować.

Względnie obcej osobie, takiej jak Margery, wydało się to dosyć bezduszne. Owszem, Rhoda od czasu do czasu wyrażała zatroskanie dochodzącymi z góry odgłosami kaszlu, ale najbardziej empatyczne słowa, w które zdołała taktownie ubrać swoje zmartwienie w wypowiedziach skierowanych do męża, brzmiały: "Nie chce-

my, żeby nam się przewrócił w trakcie przyjęcia". Wyglądało jednak na to, że Frank był gotów podjąć takie ryzyko. Oboje pokładali bezgraniczną wiarę w Esther Hobbs, a sam wujek Willie najwyraźniej przedkładał jej towarzystwo nad obecność wszystkich innych, więc dlaczego Margery się martwi? Cała reszta jest spokojna.

Rhoda zwierzyła się Margery ze swojej rzekomo jedynej prawdziwej obawy:

- Gdyby tylko Frank i wujek Willie współpracowali ze sobą, zamiast mieć osobno tajemnice i cały czas umykać przed sobą. To chyba wielki błąd, żeby dwaj ludzie próbowali być gwiazdami tej samej sztuki, prawda?

- Oczywiście - potwierdziła Margery ze swojego profesjonalnego punktu widzenia. - Pozabijają się nawzajem na śmierć.

- Byłaby wielka szkoda - westchnęła Rhoda.

Nawet ją interesowało wyłącznie przyjęcie. "To z pewnością nie jest normalne" - pomyślała Margery.

4

"Może dobrze, że Johna i panny Redpath nie ma" - pomyślała trochę później, ponieważ wujek Willie, upewniwszy się, że Frank jest zajęty w swoim gabinecie, a Pauliny nie ma w salonie, pokuśtykał po schodach na dół - wsparty na ramieniu Esther - aby zapytać, z czego to wynika, że jak tylko on pojawia się na dole, to wszyscy są poza domem.

Kiedy podsunięto mu koncepcję, że jest dokładnie na odwrót, upierał się, że Frank, Paulina i John próbują go unikać.

- Tak, ty też, moja droga - oskarżył Margery. - Nie chcecie mieć

w święta na głowie takiego starego pryka jak ja. - Nie pozwolił jej, żeby mu przerwała: - Dobrze, dobrze, rozumiem. Nie obrażam się. Ale Paulina! - Esther opuściła go łagodnie na fotel. - Nie wiem, co wstąpiło w tę kobietę. Jaki to ma sens być drażliwym o rzeczy dawno pogrzebane i zapomniane? Nie mam pojęcia, co powiedziałem - nie pamiętam, żebym cokolwiek mówił - ale wygląda na to, że solidnie ją uraziłem. Bo inaczej czemu by mnie tak unikała?

- Nie unika cię, wujku Willie - powiedziała Rhoda. - Jesteś po prostu dosyć zajęty i nie chciała ci przeszkadzać.

- Pszsz! - Wujek Willie stanowczo odpierał wszelkie próby negowania jego słów, ale potem przyznał wielkodusznie: - Oczywiście, że jestem zajęty - poza wszystkim innym jutro mamy ubieranie choinki - ale chcę z nią porozmawiać o dawnych czasach. Będzie pamiętała różne rzeczy, prawda?

- Jakiego rodzaju rzeczy? - dociekała Rhoda.

- Właśnie o to chodzi - odparł wujek Willie. - Jest coś, o czym ona nie chce, żebym pamiętał. Wszystko pogrzebane i zapomniane. Ale jak mam jej powiedzieć, że zapomniałem, skoro nie pamiętam, o co chodzi?

Żadna odpowiedź nie padła, lecz zadzwonił telefon. Rhoda poszła odebrać.

Margery i Esther Hobbs doradziły wujkowi Williemu, żeby się nie męczył i nie próbował sobie przypominać różnych rzeczy.

- Nie-nie-nie-nie! - zaprotestował z furią i wyjaśnił, że wcale się nie męczy i niczego nie próbuje sobie przypominać. - Ale Paulina wyszła za człowieka, którego posłaliśmy do więzienia czy coś takiego. Na pewno bardzo źle to przyjęła. Nie mam pojęcia. Aż do teraz nie chciałem do tego wracać. Było, minęło. Nieważne. To wróci.

Wszystko zawsze wraca. Tak naprawdę zszedłem tylko po to, żeby trochę sobie wzmocnić nogi, bo chcę jutro być sprawny. Mam ostatnio za mało ruchu. Beryl i ja dużo kiedyś chodziliśmy. To znaczy Paulina. Tak, Paulina. Ona i Beryl bardzo się ze sobą przyjaźniły. Razem w tym siedziały. Ale ją odprawiliśmy. Nigdy nie było żadnych podejrzeń wobec Pauliny. Nikt nie miał pojęcia. To głupie martwić się teraz o to wszystko. Nie byłaby szczęśliwa jako żona oszusta, prawda? Za diabła nie mogę sobie przypomnieć całej historii. Ale to do mnie wróci. Codziennie coś do mnie wraca, prawda, panno Hobbs?

- Moim zdaniem wszystkie te rzeczy, które pan sobie przypomina, są wspaniałe - odparła Esther zgodnie z oczekiwaniem.

Wujek Willie ją uszczypnął i skarcił za te czcze pochlebstwa, ale przyznał, że to prawda - że ma dobrą pamięć, że pamięta o rzeczach, o których nie pamięta nikt inny, i że wracają do niego w różnych niedogodnych momentach, kiedy nie może ich zapisać, i żałuje, że w odróżnieniu od Esther nie umie stenografować, bo wtedy mógłby wszystko zapisywać i nikt inny nie potrafiłby odczytać jego notatek, gdyby je gdzieś zawieruszył.

W tym momencie wróciła Rhoda i powiedziała, żeby wujek Willie podszedł do telefonu, jeśli podoła.

Wujek Willie oznajmił, że jak najbardziej podoła, i pociągnął za sobą Esther Hobbs. Jednak na korytarzu wymknął się jej i o własnych siłach pocwałował do gabinetu, skąd po chwili dały się słyszeć uprzejme dociekania Franka. Wujek Willie powiedział coś o telefonie i Rhoda pospiesznie wyciągnęła go z gabinetu, a następnie zaprowadziła do małej garderoby, w której znajdował się wspólny telefon.

Wujek Willie zaczął się kajać:

- Przepraszam, przepraszam! Nie wiedziałem. Biedny Frank! Przyłapałem go! Poszukiwanie skarbu, co? A więc to trzyma w rękawie!

- Szszsz! - uciszała go Rhoda, odciągając wujka poza zasięg słuchu reszty towarzystwa.

5

"Tak, to zdecydowanie korzystne, że John zabrał swoją ciocię do kina" - pomyślała Margery. Mądrze postanowiła, że nie wspomni mu o tym małym epizodzie, bo nie dałby biednej pannie Redpath ani chwili spokoju. Nie żeby panna Redpath jakoś szczególnie się przejmowała tym, co mówił John albo inni - co swoją drogą również zdawało się trochę nienaturalne i z pewnością krył się za tym jakiś mechanizm obronny. Nawet jeżeli w tym wypadku mamy do czynienia z dymem bez ognia - dywagowała Margery - to dym bywa prawie tak samo śmiertelny, nawet jeżeli ktoś tak jak Paulina używa maski gazowej.

W każdym razie Margery miała zamiar trzymać język za zębami do momentu, kiedy będzie już po tym bardzo ważnym przyjęciu u Redpathów, i uznała, że to samo trzeba będzie doradzić panie Hobbs.

Czy Esther Hobbs można powierzyć tajemnicę? Margery zastanawiała się nad tym (nie po raz pierwszy). Tajemnicy wujka Williego najwyraźniej dochowywała całkiem kompetentnie...

A po świętach John i ona ogłoszą, że są małżeństwem, i nie będą mieli już przed sobą żadnych tajemnic (jakże uroczo!). Po świę-

tach wujek Willie napisze nowy testament; nie będzie już potrzeby udawać; nic już nie będzie miało znaczenia...

"Ale ubaw!" - pomyślała Margery ucieszona, że na przyjęcie przechodzi Gwendoline Lucas. Panna Lucas przez kilka kadencji była producentką w Królewskiej Akademii Sztuk Dramatycznych, a Margery jedną z jej najbardziej obiecujących uczennic. A teraz uwiła sobie gniazdko u niejakich państwa Crosbie, którzy subtelnie zarzucali sieci na starego Williego, i nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że wyłącznie w tym celu przychodzą na przyjęcie. Nawet jeżeli na tej niwie nie odniosą sukcesu, to poznają obiecującą młodą aktorkę, która nazywa się Margery Dore. Kolejny sekret. Bo nikt nie chciałby dzielić skóry na niedźwiedziu i nikt nie chciałby pisać do panny Lucas i nagabywać jej - z pewnością miała tego powyżej uszu - prawda? Poza tym Margery zawarła z mamą niepisana umowę, że będzie pomagała jej ze stołówkami. Ale gdyby angaż jej zaproponowano!... Nawet mama nie oczekiwałaby od niej, że odmówi, zwłaszcza gdyby już przyjęła ofertę!

Żegnajcie, stołówki i zaloty oficerów... żegnajcie, słowa mamy, że Margery nie powinna się tym przejmować, bo trwa wojna (a tak naprawdę biedaczkę przepełniała nostalgiczna zazdrość, bo w duchu liczyła na zaręczyny, a przynajmniej ekscytujące perypetie swojej córki, o których mogłaby opowiadać znajomym - na pewno nie na jakiegoś okularnika o niczym się niewyróżniającym imieniu John, który nie przyniósłby chluby żadnej szanującej się teściowej).

Może wszystkie matki takie są. Może pani Redpath również chciała rozmawiać o Johnie, a nie tylko o nim myśleć, i może pani-

kuje na myśl, że ona i jej mąż zniweczą wszelkie jej wysiłki wobec Howarda Wortleya i jego żony...

"No cóż - pomyślała Margery - na jutrzejszym przyjęciu wielu szkód nie narobią..."

6

Goście zaczęli się schodzić zaraz po obiedzie i o trzeciej w całym domu było już dosyć tłoczno. W gabinecie Franka i w jadalni wyłożono przekąski. Pod naporem kolejnych gości wcześniej przybyli przenosili się do saloniku. Choinka stała w pokoju muzycznym. Pokój wujka Williego, kwatery służących i większość sypialń oznaczono zakazem wstępu.

Jako pierwsi przybyli Coultardowie ze swoimi dwoma nieznośnymi synkami, potem państwo Wortley z Esther Hobbs i trójką starannie umytych nastoletnich ewakuowanych. Rhoda usiłowała wymieszać tych pierwszych gości, ale się okazało, że towarzysko mają bardzo różne konsystencje. Coultardowie uważali Wortleyów za równych sobie, lecz Wortleyowie w ogóle nie potrafili umiejscowić Coultardów, bo powiedziano im tylko, że on jest dyrektorem szkoły, co w żaden sposób nie określało jego pozycji społecznej. Pani Coultard, elegancko odziana, krzepka i wesoła, krzątała się i pomagała Rhodzie, zwracając się do niej "moja droga" (ale po szkocku, co nikomu nic nie mówiło), natomiast pan Coultard zwracał się do Franka i Howarda per sir (w stylu grzecznego ucznia prestiżowej prywatnej szkoły, co mówiło jeszcze mniej).

Gromadka bardzo małych dzieci przybyła pod skrzydłami niezawodnej panny Hunt, sekretarki lorda i lady Bayhamów, ale bez



tychże osobistości; następnie pojawiły się dwie miłe dziewczynki z warkoczami i guwernantka; a potem stracili już rachubę. Esther Hobbs sprytnie zagoniła sporą grupę młodocianych do wyścigu kwalifikacyjnego muzykalnych krzesel - wszyscy uczestnicy tego maratonu mieli otrzymać nagrody pocieszenia, ale na zdobywców pierwszego i drugiego miejsca czekały nagrody specjalne. Osiągnięto w ten sposób podwójny cel: pozostali mieli więcej miejsca przy stole w jadalni, a jeszcze inni mieli więcej miejsca w żołądkach na przekąski, które czekały na nich w gabinecie. W niebie mogłoby to trwać wiecznie, ale na szczęście nie byli w niebie. Cio-cia Paulina zasiadła dostojnie przy fortepianie, który z części klawiszy wydawał jednak dźwięki, i nie pozwoliła się stamtąd ruszyć, odrzucając wszelkie propozycje, aby odpoczęła i coś przekąsiła.

Nadmiarowa grupa dorosłych została starannie wyselekcjonowana i oddelegowana przez Franka do sali bilardowej, gdzie odbyła się staroświecka zabawa zwana "puddingiem artyleryjskim". W rywalizacji wzięli udział między innymi major Smythe, biskup Mewdley, pan Crosbie, czyjś znajomy, na którego mówiono stary Bertie, czy nikomu nieznana, ale zupełnie tym niezrażona starsza kobieta w peruce. Turniej ostatecznie wygrał (a może przegrał?) Frank, który musiał zanurzyć głowę w mące i zjeść ukrytą w niej śliwkę, a następnie pójść do łazienki, aby umyć twarz. Stanowczo wszystkich poinstruował, że do jego powrotu nikomu nie wolno dotykać choinki.

Rozmowy toczyły się na tematy ogólne. Wszyscy wędrowali z pokoju do pokoju, w skrytości ducha mocno już znużeni zabawą w "na kogo wypadnie, na tego być", lecz Paulina pomysłowo różnicowała podejmowaną tematykę. Coraz więcej osób zadawało Rho-

dzie kłopotliwe pytania o miejsce pobytu sir Willoughby'ego Keene-Cottona, którego to miejsca Rhoda nie znała i nie miała odwagi się domyślać, w związku z czym ograniczyła się do wyrażenia zaskoczenia, że jej mąż tak długo nie wraca. W końcu z rozbijającą szczerością zwierzyła się, że jej ojczym przygotowuje niespodziankę dla całego towarzystwa i nikt nie wie, co to jest, oprócz panny Hobbs (wszyscy spojrzeli na państwa Wortleyów, którzy podzielili się rolami: on uśmiechnął się z dumą, a ona z wdziękiem ukloniła), a następnie zaapelowała do zgromadzonych, by się postarali, żeby ta niespodzianka przypadła im do gustu niezależnie od tego, na czym będzie polegała. Jej uchwałę przyjęto przez aklamację, po czym rozległ się gwar radosnych domysłów.

W pewnym momencie zapadła krótka cisza, którą pani Crosbie przerwała donośnym "och!", po czym zasłoniła sobie usta dłonią, a następnie poprosiła wszystkich, żeby na nią nie zważali i rozmawiali dalej.

- To nic takiego - powiedziała do Margery, kiedy gwar powrócił - po prostu właśnie sobie uświadomiłam, co zamierza zrobić sir Willoughby Keene-Cotton. Cóż za sytuacja! Cóż za ironia losu! Wszyscy przyszliśmy tutaj w nadziei, że go poznamy i z nim porozmawiamy, choć być może osaczymy biedaka i zadręczymy na śmierć, a tymczasem mogę się założyć, że nikomu z nas nie uda się z niego wydusić ani słowa! On to zrobił specjalnie, stary padalec!

- Chce pani powiedzieć, że wyszedł? - spytała Margery. - To będzie jego tajemnica?

- Nie, nie. Zobaczymy go, o to niech się pani nie kłopotuje. Ale zdziwi się pani! - zaśmiała się z uznaniem. - Ten to umie się chronić! Zawsze był w tym mistrzem. Nie przejmuj się, Gwen, moja

droga, jestem pewna, że pani Redpath jeszcze nas zaprosi. Po świętach. Nie pozwolę mu uciec. Nie żywcem. - Pokiwała stanowczo głową, a następnie skierowała swoje jasnoniebieskie oczy na symfonię życia, która się przed nią rozgrywała.

- Bardzo miło wiedzieć, kochanie, że zatrzymałaś się tak blisko mnie - zwróciła się serdecznie do Margery przygarbiona drobna kobieta nazwana przed chwilą Gwen. Jej dźwięczny i trochę piskliwy głos zawsze kojarzył się Margery z komarem z *Alicji po drugiej stronie lustra*. (Nie mówiła tak oczywiście na scenie i nie do końca tak mówiła również w życiu prywatnym, ale przez pierwsze parę minut po jej poznaniu odnosiło się takie wrażenie). - Z twoją twarzą, moja droga, i z twoim nazwiskiem powinnaś doskonale sobie poradzić na scenie - czy nie zawsze ci to mówiłam?

Margery napomknęła, że niestety zrezygnowała ze sceny (a może to scena zrezygnowała z niej), na co Gwen powiedziała:

- Co za lekkomyślność, moja droga. Masz tyle możliwości!

W tym momencie zabawa w muzykalne krzesła raptownie dobiegła końca, a Rhoda znowu zaczęła się zastanawiać, dlaczego Frank tak długo nie wraca. "Chyba nie stanie się nic złego, jeśli wszyscy tylko popatrzymy sobie na choinkę?" - pomyślała i klasnęła.

- Chodźcie wszyscy, oświetlimy choinkę.

Wszyscy musieli się zatem jakoś wcisnąć do saloniku muzycznego, co zajęło trochę czasu.

Tak się niefortunnie złożyło, że pierwszą nagrodę za muzykalne krzesła zgarnął starszy z potworków państwa Crosbie, skutkiem czego zaczął się trochę wynosić ponad ogół.

- Wio! Dawaj! Zbierajcie się wszyscy! - pokrzykiwał na star-

szych od siebie.

("Nie, nie jest to najwyższa półka" - ucieszyli się Wortleyowie).

Kiedy zgaszono światła i wszyscy uprzejmie podziwiali choinkę w całym jej splendorze, dramatycznie rozdzwonił się dzwonek do drzwi.

- Zobacz, kto to jest, John - poleciała Rhoda. - To mogą być porządkowi. Chociaż nie, jest dopiero wpół do piątej, więc na pewno nie zrobiliśmy nic złego.

- Spokojnie, mamó - tonował ją John, poklepując po plecach.

Miał właśnie ruszyć do drzwi, ale coś go zatrzymało, a mianowicie głos Esther Hobbs, który stał się nadzwyczaj sztuczny i podniesiony.

- Ciekawe, kto to jest - powiedziała z emfazą.

- A - powiedział ze zrozumieniem John i usiadł.

- Pójdziemy zobaczyć? - zaproponowała w przyływie śmiałości Esther, po czym zaczęła brać pod swoje skrzydła dzieci i dodała mniej teatralnym tonem: - Wiecie, co myślę? To może być Święty Mikołaj!

- O Boże! - jęknął John.

- Żadne "może być" - stwierdziła Eveline Crosbie całkiem głośno.

- Założę się, że to policjant - stwierdził potworek Coultardów. - Na bank. Przyszedł się napić - wyjaśnił mniej rozgarniętym od siebie.

Całkiem liczna gromadka dzieci bardzo życzliwie zwróciła Esther Hobbs uwagę, że nie istnieje ktoś taki jak Święty Mikołaj.

- A ja myślę, że to właśnie on - powtórzyła uparcie Esther.

- I w jego wieku zamarznie na śmierć, jeśli się nie pospieszymy

i go nie wpuścimy - stwierdziła Evie. - Nawet stąd prawie słyszę, jak świszczy.

- Święty Mikołaj musi już być całkiem stary - wtrącił pan Crosbie.

- Dziewięćdziesiąt lat - poinformowała go krótko i węzłowato jego małżonka.

- Moim zdaniem nie powinni mu na to pozwalać - mruknął major Smythe do jego ekscelencji biskupa Mewdley, który zareagował na te słowa dziwnymi gestami sugerującymi, że Redpathowie bez wątpienia znajdują się w tych sprawach w rękach Boga.

Poza sceną tymczasem zrobiło się zamieszanie, kiedy Esther Hobbs wpuściła do ciemnego holu trochę zimnego zmierzchu.

Przerażający głos wychrypiał:

- Czy to jest dom zwany Four Corners?

- Tędy, Święty Mikołaju - dał się słyszeć głos Esther, a zaraz po nim wrzaski dzieci: "To Święty Mikołaj! Żaden Święty Mikołaj, głupolu, nie ma takiej osoby. A właśnie, że jest...".

- Nie-nie-nie-nie-nie! - protestował Święty Mikołaj, nie chcąc się rozstać z wręcz gigantycznym workiem, pod którego ciężarem zataczał się w stronę drzwi salonu.

Potężne stęknienie, ostatni świst, kaszlnięcie człowieka stojącego nad grobem... i w pokoju stanął Święty Mikołaj!

Wrzaski dzieci, w większości pełne zachwyty plus kilka szyderczych; nieliczne krótkotrwałe jęki zgrozy...

- Aż za bardzo to realistyczne - narzekała pani Crosbie. - Może to dobrze, że chłopak od Hobbsów jest kiepskim aktorem, bo mogłaby wybuchnąć panika...

- Świetna charakteryzacja! - zaintonowała Gwen przeciągle

swoim głosem komara.

- On wcale nie jest ucharakteryzowany - poinformowała ją półgłosem Margery. - Nie licząc dodatkowej brody. On naprawdę tak wygląda.

- No widzę - rzuciła pani Crosbie, mrużąc z uznaniem oczy. - Zawsze tak wyglądał.

- Aż nie mogę uwierzyć! - wyznał jej małżonek, na którym postać Świętego Mikołaja zrobiła jeszcze większe wrażenie.

- Czy to nie jest Frank? - wydusiła skonsternowana gospodyni, potem pisnęła, kiedy syn ją uszczypnął, by następnie sapnąć, gdy rozpoznała pożyłkowane, sękaty dłonie swojego ojczyma.

Święty Mikołaj rzucił worek na podłogę, niezdarnie go otworzył i zaczął swój występ na poważnie.

- Może byś poszedł i powiedział ojcu, kochanie, żeby zaczekał, aż wujek Willie skończy, zanim...

- Mamo - przerwał jej błagalnie John - bardzo cię proszę, spróbuj zachować spokój.

Opróżniwszy worek, Święty Mikołaj zaczął zdejmować prezenty z choinki i rozdawać na chybił trafił.

("Frank będzie wściekły" - jęknęła bezsilnie Rhoda).

Podarunki wszyscy dorośli przyjmowali z udawaną wdzięcznością, z początku trawieni obawą, że zburzą iluzję, ale kiedy już się rozgrzali i przewyciężyli onieśmielenie, ściskali mu dłoń, bili bravo i gratulowali, pilnując się, by zwracać się do niego tylko per Święty Mikołaju. Niektórzy wyrażali niepokój, czy czekające na dworze renifery nie zmarzną - czy mają coś smacznego w workach na obrok? Czy Święty Mikołaj nie zapomniał ich przywiązać? No i czy po tylu stuleciach wchodzenia przez komin nie uważa nowo-

czesnego zwyczaju wchodzenia drzwiami frontowymi za nieco zimny i oficjalny?

Kominami na pewno wchodziło się cieplej, odparł Święty Mikołaj i wszyscy uznali, że jak na człowieka w jego wieku była to całkiem niezła riposta.

Kiedy wujek Willie ogołocił już całe drzewko, zostawiając wyłącznie ozdoby choinkowe, anielskie włosie, świeczki i czubek w kształcie wróżki, oczom zgromadzonych ukazały się zasłonięte wcześniej karteczki, owinięte jak bluszcz wokół pnia i gałęzi. Święty Mikołaj zaśmiał się butnie i triumfalnie w stronę Rhody, a następnie włożył binokle i zaczął metodycznie, jeden po drugim, odrywać kartoniki...

- Podejrzewam, że ojciec przejrzał jego plany i dlatego stara się nie wchodzić mu w drogę - pocieszał John Rhodę bez większego przekonania.

Wujek Willie poprosił wszystkich dorosłych o wybranie karteczki. Jak się okazało, na każdej z nich widniała rymowanka zawierająca zaszyfrowaną wskazówkę.

- Poszukiwanie skarbu - wyjaśnił, po czym sam wybrał karteczkę, chwilę pomyślał i ruszył przed siebie z zadowoloną miną.

- Uważam, że powinniśmy zostawić jedną karteczkę dla ojca - stwierdził łagodnie John.

- Bzdura! - prychnął Święty Mikołaj i zniknął z salonu.

Wyglądało na to, że nikt nie uznał za nierozsądne, aby sam Święty Mikołaj dołączył do zabawy, i po jego wyjściu wszyscy komentowali, jaki to wspaniały starszy pan. Następnie każdy starał się znaleźć jakiś kącik, by rozgryźć widniejące na karteczkach łamigłówki, po czym się z niego wyłaniał i zaczynał niezbyt pewnie

szukać, najpierw w salonie, potem w holu i wreszcie po całym domu.

Kiedy w salonie zrobiło się luźniej, dzieci pracowicie rozpakowały paczki, dmuchały w trąbki, strzelały z kapiszonów, odpalały petardy, wrzucały do kominka małe bomby, pomagały się wykluć "węzom faraona", wysyłały pod sufit napędzane żywym ogniem balony, zmuszały rozmaite gumowe zwierzątka do piszczenia albo warczenia i wreszcie nakręcały mechaniczne zabawki.

Nikt nie usłyszał stukania w szybę, dopóki nie zostało wielokrotnie powtórzone. Ponieważ już jakiś czas temu nastąpiła pora zaciemnienia, przed otwarciem drzwi tarasowych trzeba było pogasić wszystkie światła.

John odsłonił wszystkim postać z workiem, która strzepywała z butów śnieg.

- Czy to Four Corners? - spytała postać chrapliwym głosem.

- Tak, tak. - John bezceremonialnie wciągnął przybysza do środka, zamknął drzwi balkonowe, zaciągnął zasłony i ponownie zapalił światła.

- O rany, znowu będziemy to wszystko przerabiali - powiedziała pani Crosbie, niemająca ochoty brać udziału w poszukiwaniu skarbu.

Rhoda, która właśnie odbyła pełną niepokoju rozmowę z Pauliną (a raczej wygłosiła monolog, bo Paulina tylko bezużytecznie się uśmiechała), podeszła do Świętego Mikołaja

- Myślę, drogi wujku Willie - zaczęła, ale nagle urwała. - Och - westchnęła i usiadła.

Uzmysłowienie sobie, że to nie jest ten sam Święty Mikołaj, zajęło innym trochę więcej czasu. Zadowolone i zaskoczone dzieci z



bezdenne worka Świętego Mikołaja otrzymały kolejną porcję prezentów i nie zauważyły, że ten staruszek jest cieniem wcześniejszego siebie, że jego brwi są teraz ewidentnie sztuczne, a wąsy tandetnie przymocowane, że jego dłonie są względnie silne i białe, a twarz grubo pomalowana farbą.

Z kolei Frank nie od razu zauważył, że choinka stała w gruncie rzeczy ogołociona, goście rozproszyli się po domu, poszukiwanie skarbu dawno się rozpoczęło, a przyjęcie zbliżało się ku końcowi.

"Czyli tego właśnie się obawiała biedna pani Redpath" - pomyślała Margery, spotykając się z Rhodą spojrzeniem.

"Biedny ojciec" - pomyślał John...

Z tej niezręcznej sytuacji dosyć paradoksalnie wybawił wszystkich celowy brak taktu potworka Coultardów.

Rzeczony potworek, który nadal zuchwale wynosił się ponad wszystkich, podkradł się od tyłu do Świętego Mikołaja i zerwał mu z głowy futrzaną czapę, odsłaniając rozdzielone starannym przedziałkiem włosy Franka Redpatha. Pośród ogólnego śmiechu rozpoczęła się gonitwa po całym salonie za małym psotnikiem, a kiedy już go złapano, dostał solidne lanie.

Frank znowu wcielił się w rolę sumiennego gospodarza i z dumą patrzył, jak starsi goście z zagubionymi minami wodzą wzrokiem po tak genialnie przez niego skonstruowanych kryptogramach. Parę godzin po tym, jak wszystkie dzieci i niektórzy dorośli udali się do domów, spora grupa poszukiwaczy skarbu nadal biedziła się nad łamigłówkami. Frank, który usłyszał o succès fou wujka Williego, udawał oburzonego i nawet opuścił salon ze słowami "ta zniewaga krwi wymaga" na ustach, ale wujek Willie bar-

dzo mądrze rozplynął się w powietrzu i drzwi do apartamentu małżeńskiego były zamknięte na klucz.

- Nie dręcz go - powiedziała Rhoda. - Pewnie jest już prawie martwy.

- Mam nadzieję, że całkiem martwy - odparł Frank. - Nie zamierzam urywać mu głowy, ale wszyscy ci ludzie chcą się z nim zobaczyć i mu pogratulować, więc się ich nie pozbędziemy, dopóki tego nie zrobią.

Już miał zapukać ponownie, ale przeszkodziła mu w tym Keevil.

- Przepraszam, panie Redpath, ale sir Willoughby Keene-Cotton powiedział, że kładzie się do łóżka i nie chce, żeby mu przeszkadzano.

- Ach, tak? - obruszył się Frank, przypominając sobie, że do typowych środków ostrożności wujka Williego należała puszką z zatykami do uszu, dzięki którym - jak nieraz z dumą oznajmiał - nic nie było go w stanie obudzić.

- Dobra - postanowił Frank ku wielkiej uldze Rhody. - Dzisiaj damy mu spokój.

Zjedli kolację na zimno, na którą musieli zaprosić wszystkich wciąż pozostających w ich domu maruderów.

Wortleyowie zabrali, a raczej siłą zaciągnęli Johna na kolację do siebie. Państwo Crosbie po jakimś czasie wrócili do domu, lecz Gwendoline Lucas pozwolono zostać. Nieznajoma kobieta w peruce okazała się żoną biskupa Mewdley. Oboje (a także ich szofer) zostali prawie do północy, jako że doczesne szczątki Fernalnego Freddiego miały bardzo dużo do powiedzenia o doczesnych szcząt-

kach Wrednego Williego, ten pierwszy bowiem był chłopcem na posyłki tego drugiego w prywatnej szkole z pensjonatem.

Redpathowie w końcu poszli do łóżka obarczeni obietnicami złożenia wujkowi Williemu gratulacji od całej rzeszy ludzi - obietnicami czysto grzecznościowymi, których spełnienia nikt nie miał prawa od nich oczekiwać i których oczywiście nie spełnili.

## VI. Morderstwo po świętach

1

Na pierwszy zwiastun tragedii Rhoda natrafiła następnego dnia rano, kiedy schodziła na śniadanie.

Czyhała na nią Keevil.

- Bardzo panią przepraszam, pani Redpath, ale wydało mi się to trochę dziwne. - Zwilżyła wargi. - Trzy razy poszłam na górę ze śniadaniem i zapukałam do drzwi, a tu ani mru-mru. To znaczy od sir Willoughby'ego Keene-Cottona.

- Dobrze, Keevil, ja spróbuję - powiedziała Rhoda.

Pomyślawszy, że nawet całe godziny dystyngowanego i pełnego szacunku stukania nie obudzą starego człowieka z woskowymi zacyzkami w uszach, huknęła w drzwi zaciśniętą pięścią.

Nic się nie wydarzyło, zatem podeszła do drzwi garderoby i potraktowała je tak samo. Wciąż nic się nie wydarzyło. Zaglądała we wszystkie dziurki od klucza, ale nic nie zobaczyła.

- Dobrze, Keevil - zwróciła się znowu do krążącej koło niej pokojówki - sprowadzę pana Redpatha.

Razem z Frankiem znaleźli klucz pasujący do drzwi za szafą w sypialni Franka, którymi mogli wejść do prywatnej łazienki wujka Williego, a stamtąd przez małą garderobę do dużego salonu połączonego z sypialnią, w którym mieszkał wujek.

W pokoju nie widać było żadnych oznak bytności człowieka, jeśli nie liczyć pewnego bałaganu, który nie dotyczył jednak łóżka. Łóżko wyraźnie odstawało od reszty, jako że było starannie pościelone. Najwyraźniej nikt w nim nie spał.

Nie znaleźli też żadnych śladów po stroju Świętego Mikołaja.

2

To przerosło oczekiwania nawet Johna.

- Żywy czy martwy - powiedział ostro Frank - gdzie on się podziewa?

- Zapakowaliście go w papier i odesłaliście z powrotem do domu towarowego - oskarżył ich John.

- Kochanie... Naprawdę... Proszę cię... - słabo zaprotestowała Rhoda. - Nie jesteśmy w nastroju do żartów.

- Akurat ja w żadne żarty się nie bawię - zaprzeczył żarliwie John. - Nigdy w życiu nie byłem mniej rozbawiony. Do tego jeszcze Margery źle się czuje...

("Nie, ze mną wszystko w porządku" - padło od strony Margery).

Frank zadzwonił dzwonkiem do wzywania służby. Czekali, dygocząc. Przez szeroko otwarte okno do apartamentu małżeńskiego wlewał się siarczasty mróz.

Bardzo szybko pojawiła się Keevil.

- Kiedy sir Willoughby Keene-Cotton powiedział wczoraj wieczorem, że idzie położyć się do łóżka - spytał ją Frank - widziałaś, żeby rzeczywiście szedł na górę?

- Tak, proszę pana. Dopiero co wszedł do domu, cały obsypany śniegiem.

- Był wcześniej na zewnątrz?

- Tak, proszę pana. Miał w rękach pudełko czekoladek. To tutaj. - Wskazała leżącą na stole bombonierkę.

John podszedł do stołu i zobaczył, że pudełko jest otwarte, a jedna czekoladka zniknęła.

Frank odprawił Keevil z zaleceniem, aby na razie nikomu nic nie mówiła.

- Wygląda na to, że wyszedł po raz drugi - stwierdził John. - Może po kolejne czekoladki. Tato, byłeś wczoraj w ogrodzie. Czy ty nie...

- Pytasz, czy go nie zamordowałem i nie ukryłem jego ciała w bałwanie? - przerwał mu ze złością Frank. - Nie, nie miałem na to czasu. A teraz się zamknij. - Frank z rozdrażnieniem chodził po pokoju. - Pewnie trafiła mu się wskazówka z bałwanem. Ale nawet jeżeli, to dlaczego wychodził dwa razy? Miał ze sobą worek, kiedy zniknął ze swoim kartonikiem?

- Nie, nie sądzę.

- Nie, wczoraj wieczorem w salonie były dwa worki - zaświadczyła Margery, szcękając zębami.

- W takim razie pewnie nie dał rady wnieść więcej niż jednego pudełka naraz, więc wyszedł po raz drugi, żeby... ach, ten biedny, głupi, chciwy, stary idiota!

- O czym ty mówisz? - jęknęła sina z zimna Rhoda.

- Chodź i zobacz.

Wszyscy zebrali się wokół Franka, który stał w otwartym oknie z widokiem na trawnik za domem.

Bałwan zniknął. Na jego miejscu stała teraz Paulina, która najwyraźniej właśnie się podniosła znad jego zdewastowanych pozostałości. Mechanicznie otrzepywała się ze śniegu. Zimowe poranne słońce wyszło zza chmur i przez kilka krótkich chwil oświetlało

błyszczące płaty śniegu wokół stóp Pauliny, a także coś, co wyglądało na ogromną kałużę krwi.

- To jego strój Świętego Mikołaja - przekonywała uspokajająco Rhoda, lecz uwaga ta nie zrobiła na jej dygoczących towarzyszach większego wrażenia.

- Obawiam się... że to... wujek Willie - odezwał się w końcu Frank z wielkim wahaniem.

- Och... Nie!

Kiedy do apartamentu małżeńskiego wpadły promienie słońca, Rhoda zaczęła się modlić, a Paulina spojrzała do góry.

Na widok kolekcji zaskoczonych twarzy w oknie uniosła ręce w dziwnie teatralnym geście zgrozy połączonej z rodzajem bezsilnego błogosławieństwa, a potem szybko nimi potrząsnęła, jakby chciała wybić swojej widowni z głowy pomysł z podejściem do niej, i sama ruszyła w stronę domu.

- Czyli to on był w bałwanie! - mruknął z niedowierzaniem John, kiedy schodzili jej na spotkanie.

- Idiota! - Ojciec uraczył go stężoną dezaprobatą. - Doskonale wiesz, co było w bałwanie.

- Czekoladki?

- Czekoladki.

- Niech ktoś zadzwoni do doktora Goslinga - zasugerowała im w holu Paulina. - Chociaż obawiam się, że nic tu już po nim.

Rhoda posłusznie zniknęła.

- Może tylko zemdłał... - rzucił bez przekonania Frank.

- Jest całkiem zimny i sztywny - powiedziała Paulina. - Chyba leżał tam przez całą noc. Że też nikt z nas nie pomyślał...

- Skąd mieliśmy wiedzieć? - Frank uciął jej karcące uwagi. -

Powiedział, że idzie położyć się do łóżka, a drzwi były zamknięte na klucz...

- Masz rację, nie mogliśmy nic zrobić - przyznała Paulina. - A on musiał umrzeć całkiem nagle i bezboleśnie, bo w przeciwnym razie usłyszałabym z mojego pokoju krzyk.

- Nie możemy go tam zostawić - stwierdził Frank. - Chodź, John, pomóż mi wnieść go do środka.

- Chyba nie powinniśmy dotykać ciała, tato. Znaczy, nagła śmierć...

- Lepiej go tam zostawić - zgodziła się Paulina. - Będą formalności... śledztwo...

Frank jęknął. W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi frontowych.

- To pewnie Esther. Margery, moja droga, idź i przekaz jej wiadomość. A potem zjedz śniadanie.

Margery posłusznie wykonała polecenie.

Rhoda wróciła od telefonu.

- Gosling zaraz przyjedzie. Pomyślałam, że dobrze będzie zadzwonić również do majora Smythe'a. Przyśle jakiegoś sierżanta.

- Zapobiegliwa kobieta! - pochwalił ją Frank. - W sumie to wszyscy możemy zjeść śniadanie, co? Bo właściwie to dlaczego mielibyśmy tego nie zrobić?

Jego rozumowania nie zakwestionował nikt oprócz Johna.

- Tato, a czy moglibyśmy rzucić okiem na miejsce zbrodni, zanim przyjedzie policja i wszystko zadepcze?

- My, czyli kto?

- Ty i ja.

- Dobrze - zgodził się z rezygnacją Frank. - Obawiam się jed-



nak, że śmierci biednego wujka Williego nie spowija żadna mroczna tajemnica. Jest dla mnie całkiem oczywiste, co się stało.

- W takim razie powiedz mi, o co chodzi - poprosił John, prowadząc ojca na zewnątrz - bo dla mnie to wcale nie jest oczywiste.

3

Ciało wujka Williego, wciąż w stroju Świętego Mikołaja, leżało kilka stóp od przewróconego bałwana.

Starając się zostawić jak najmniej śladów na śniegu, ojciec i syn podeszli i przez kilka minut stali w milczeniu. Potem Frank bez słowa wyjął z zaciśniętej dłoni nieboszczyka niewielki kartonik. Sprawnie trzymając go przez chusteczkę (ze względu na odciski palców), podał synowi, który chwycił kartonik za brzegi i przeczytał:

Najbielszy człek, jakiego znam

Śród śniegu i lodu stoi sam

A w trzewiach jego, to nie żart

Przecudny znajdziesz skarb.

- Rozumiem - powiedział John. - Tak, to dobra wskazówka. Chyba będzie lepiej, jeśli włożysz mu ją z powrotem do ręki.

Frank tak właśnie zrobił.

- Widzisz, było tyle pudełek z czekoladkami, że uznałem, że lepiej będzie schować je w jednym miejscu aż do drugiego dnia świąt.

- Wszystkie?

- W pierwszy dzień świąt oddaliśmy mu kilka bombonierek do dyspozycji, a kilka zarezerwowaliśmy pod choinkę.

- Jak długo te pudełka przeleżały w bałwanie?

- Całkiem długo. Były bardzo duże i pomyśleliśmy, że w domu nie byłyby bezpieczne.

- Skąd wiedziałeś, że wujek Willie wybierze akurat tę wskazówkę?

- Jak mógłbym to przewidzieć? Pomyślałem, że jeśli weźmie ją osoba dostatecznie łebska, aby rozwiązać zagadkę, to starczy jej przytomności umysłu, aby ją wręczyć któremuś z dzieci. Raczej się nie spodziewałem, że dorosła osoba wymknie się w pojedynkę z domu po ciemku.

- Wierzę ci - odparł po namyśle John. - Chociaż równocześnie tak właśnie postąpiłby wujek Willie.

- Być może - przyznał Frank - ale szanse na to, że trafi na tę wskazówkę i będzie w stanie ją rozszyfrować, były jak jeden do stu.

- John milczał. - Nie sądzisz? - naciskał Frank, podskakując na rozgrzewkę.

- Tak, tak - odparł uspokajająco John. - Masz najzupełniejszą rację, tato, to wygląda całkiem podejrzanie.

- Co masz na myśli?

- Brrrrr - zadygotał wymijająco John. - Jak myślisz, na co umarł?

Frank przestał tańczyć i spróbował wzruszyć ramionami.

- Hipotermia? Wstrząs? Najwidoczniej nie miał tak końskiego zdrowia, jak sądził. Jak wszyscy sądziliśmy.

- Dlaczego jego drzwi były zamknięte na klucz?

- Pewnie nie chciał, żeby ludzie szukali skarbu w jego pokoju.

- Myślisz, że klucz ma w kieszeni?

- Miejmy nadzieję.

- Jeśli nie, to może go zostawił w jakichś innych drzwiach?

- Tak, tak, to możliwe.

- Ale dlaczego miałyby to zrobić?

- Że jak?

- Słuchaj, tato, kiedy przyjedzie policja, nie wymyślajcie z mamą kłamstw na temat tego, co waszym zdaniem powinno było się wydarzyć, bo tylko pogorszycie sprawę.

Frank jęknął i zapytał ze szczerym - jak się wydawało - zaskoczeniem:

- Dlaczego mielibyśmy wymyślać kłamstwa? Fakty są aż nadto oczywiste. Ja tutaj nie widzę niczego podejrzanego.

- A co z tymi śladami stóp? - spytał John.

- Oj, chodźmy już na śniadanie - westchnął błagalnie Frank.

4

Sierżant Dawes składał raport majorowi Smythe'owi.

Nadkomisarz był korpulentnym, srebrnowłosym mężczyzną z wylupiastymi oczami i zmatowiałymi wąsami. Rzetelnością i sprawnością podwładnego wydawał się nie mniej poruszony i zaskoczony niż śmiercią starego przyjaciela.

Przedstawiwszy szefowi sprawę w ogólnych zarysach, sierżant Dawes z pełnym szacunku brakiem zainteresowania czekał, aż nadkomisarz coś powie. Nadkomisarz pochwalił sierżanta Dawesa, że bardzo zgrabnie przedstawił sprawę i zasługuje na najwyższe uznanie. Sierżant Dawes jednak nadal czekał bez słowa, więc Smythe odchrząknął i spróbował jeszcze raz:

- Muszę w ciągu dnia pojechać do St. Aubyn ale... prawdę rze-

kłszy... spory szok... to wszystko... znałem zmarłego... oczywiście nie za dobrze... jego brata lepiej... mimo wszystko... zresztą nieważne... - Z miną człowieka, który odsuwa na bok osobiste uczucia i zabiera się do rzeczy, poprzekładał jakieś papiery. - Byłem wczoraj wieczorem na tym przyjęciu, wie pan...

- Tak, panie nadkomisarzu.

Dawes znalazł potwierdzenie tego zeznania w swoim notatniku.

- Znajduję się zatem w tej szczęśliwej sytuacji, że mogę potwierdzić to, co mi pan mówi... Znaczy...

- Tak, panie nadkomisarzu - powtórzył Dawes.

- Oczywiście nie powinni byli mu pozwolić tak się ubrać i latać po mrozie... ale był z niego stary uparciuch... więc nie sądzę, aby można było obarczać pana i panią Redpath...

- Nie, panie nadkomisarzu. - Tym razem Dawes wręcz mu przerwał.

- Nie. Ale musimy wszystko bardzo dokładnie wyjaśnić, prawda, i dopilnować, aby wszystko było, jak należy. Trevor zbadał ciało, hm, i rozmawiał z Goslingem? Wszystkim gruntownie się zajmą... Przyczyna zgonu i takie tam... Koroner i w ogóle...

- Słusznie, panie nadkomisarzu - powiedział Dawes z nieoczekiwaną empatią. - Wszystkie rutynowe czynności. Wszystko trzeba sprawdzić. Nagła śmierć, panie nadkomisarzu, a nie był pod stałą opieką lekarza.

- Właśnie, właśnie - odparł Smythe. - Nie podejrzewamy oczywiście, że doszło do przestępstwa.

- Nie, panie nadkomisarzu.

- Nie, nie, nie - wzmocnił swoją poprzednią wypowiedź Smy-

the, a potem dodał jeszcze raz: - Nie. Muszę przyznać, że wszystko daje się bardzo zadowalająco wyjaśnić. Żadnych podejrzanych okoliczności, co?

- Nie, panie nadkomisarzu. Chyba że...

- Tak?

Dawes spojrzał w nieco wylupiaste oczy nadkomisarza i wyznał nieśmiało:

- Jest tylko drobna sprawa ze śladami stóp wokół bałwana, panie nadkomisarzu.

- Śladami stóp, mówi pan?

- Nie wiem, czy warto podążać tym tropem. Według pana Redpatha - to znaczy pana Johna Redpatha - skoro nieboszczyk wyszedł z domu po raz drugi, to powinien być też drugi zestaw śladów stóp. Bardzo spostrzegawczy młody człowiek, jak się wydaje. Poskładał wszystko do kupy. Były ślady stóp jego cioci, która odkryła ciało, ślady stóp jego samego i jego ojca, a także nieboszczyka podchodzącego do bałwana - a potem wracającego. Ale w nocy znowu padał śnieg, więc ślady stóp starszego pana dosyć się zatarały. A teraz znowu pada, więc musimy uwierzyć panu Redpathowi na słowo i być może tylko coś tam sobie powymyślał.

- Bardzo możliwe - zgodził się z nim wielkodusznie nadkomisarz. - Ale nie całkiem rozumiem, o co chodzi z tymi śladami stóp. - Pokręcił głową. - Czy pan uważa, że zeznania młodego Redpatha mogą mieć jakieś znaczenie, Dawes?

Na co Dawes odparł:

- Jeśli pan Redpath ma rację, panie nadkomisarzu, to by znaczyło, że nieboszczyk nie wychodził po raz drugi z domu.

- Co? Niechże pan da spokój! W takim razie jak się dostał na

trawnik?

- Będziemy to musieli sprawdzić, panie nadkomisarzu - przyznał Dawes. - Być może za drugim razem się przewrócił i stoczył na trawnik. Na ciele są pewne ślady, które mogą potwierdzać taką hipotezę. Z jednej strony przy tak głębokim śniegu bardzo by się nie posiniaczył. Z drugiej strony być może w ogóle nie wychodził, tylko przypadkowo wypadł przez okno.

- Że co? Niby jak? - zdziwił się Smythe.

- To mogłoby wyjaśniać ślady stóp - taktownie naprowadzał Dawes nadkomisarza. - Sprawdzę to, jeśli pan sobie życzy, panie nadkomisarzu - dodał, bo decyzja w tej sprawie należała oczywiście do jego zwierzchnika.

- Tak, tak, niech pan sprawdzi, niech pan sprawdzi! - zdecydował zwierzchnik, a potem zaczął narzekać: - Szkoda, że Trevor nie potrafi określić momentu śmierci trochę dokładniej.

Dawes podzielał tę opinię, ale nawet w najlepszych okolicznościach zbyt wielka precyzja nie jest w tych sprawach możliwa, a tutaj przecież był mróz, ciało długo leżało w śniegu, w związku z czym *rigor mortis*<sup>9</sup> nie dawał żadnych wskazówek i razem wzięwszy, starszy pan mógł umrzeć w szerokim przedziale czasowym od momentu, kiedy pokojówka jako ostatnia widziała go żywego, do chwili sprzed paru godzin, kiedy panna Redpath znalazła go martwego. I zamarznętego na kość.

W świetle dostępnych faktów sprawa leżała zatem poza obszarem nauki i zakresem obowiązków sierżanta Dawesa.

- *Rigor mortis*... Zamarznęty na kość - powtórzył Smythe, w żadnym razie nie uciekając od tych poszlakowych i technicznych dowodów. Nie do końca dał się jednak przekonać. - Istnieją chyba

inne sposoby obliczania momentu śmierci? To znaczy oprócz opierania się na poszlakowych dowodach...

- Zrobiliśmy listę wszystkich uczestników przyjęcia - przerwał mu z szacunkiem Dawes. - Może któryś z nich widział denata później niż pokojówka.

- Ale to wszystko poszlaki, Dawes - zaprotestował nadinspektor. - Nie można wierzyć w to, co ludzie mówią ani co im się wydaje, że widzieli. Nawet jeżeli powiedzą prawdę, daleko nas to nie zaprowadzi. Nie, nie, nie! Musimy się dowiedzieć, co jadł na przyjęciu... poznać umiejscowienie... tych treści... w jelitach... tego typu sprawy...

- Życzy pan sobie sekcji zwłok, panie nadkomisarzu?

- Tak. Uważam... Z pewnością należy przeprowadzić sekcję zwłok. Sam pan powiedział, że mógł umrzeć w dowolnym momencie między przyjęciem a następnym dniem rano. To dziwne liczne towarzystwo, kręcące się po domu... Sam tam byłem, więc wiem najlepiej, mnóstwo ludzi chciało go przydybać... Takie są fakty. Z drugiej strony, jak pan mówi, niewykluczone, że stoczył się po zboczu albo został wypchnięty... to znaczy wypadł z okna. Bogiem a prawdą, Dawes, ta sprawa mi się nie podoba. Bardzo mi się nie podoba - powtórzył, co ogromnie podniosło go na duchu - i proszę, żeby pan przeprowadził rzetelne śledztwo. Niech się pan zabiera do roboty. - Dawes wstał. - I chciałbym jeszcze raz porozmawiać z Trevorem, jeśli jest gdzieś w pobliżu.

- Życzy pan sobie jeszcze raz zobaczyć się z policyjnym lekarzem, panie nadkomisarzu?

- Tak, tak! I niech pan powie inspektorowi Brooke'owi, że nie mogę siedzieć z założonymi rękami przez całe przedpołudnie.

- Czy to już wszystko, panie nadkomisarzu?

- Tak... Znaczy... dziękuję, Dawes. Dobrze się pan spisał. Jestem bardzo zadowolony z tego, jak pan poukładał najważniejsze elementy tej sprawy.

Dawes ruszył do drzwi, ale usłyszawszy ściszony pomruk komisarza, odwrócił się.

- Coś jeszcze, panie nadkomisarzu?

- Nie, nie! - Smythe pospiesznie wziął do ręki długopis, a potem rzucił od niechcienia: - Pomyślałem tylko... gdyby pan przypadkiem spotkał Culleya... niech mu pan powie, że chcę z nim chwilę porozmawiać.

- Nadinspektora Culleya, panie nadkomisarzu? - powtórzył z przejęciem sierżant.

- Tak właśnie powiedziałem - odparł Smythe urażonym tonem.

5

Sierżant Dawes odnalazł nadinspektora Culleya i przekazał mu wiadomość od nadkomisarza, nie okazując po sobie ani zaskoczenia, ani zaciekawienia. Culley również nie okazał ani zaskoczenia, ani zaciekawienia. Przedpołudnie upłynęło mu na szkoleniu kontyngentu konstabli rezerwy, więc był za bardzo zmęczony na prywatne uczucia, których zresztą nie miał w zwyczaju okazywać, nawet gdy się napatoczyły.

Z kolei major Smythe sprawiał wrażenie człowieka, którego można byłoby zbić z nóg uderzeniem piórka używanego przezeń do czyszczenia fajki w momencie, w którym bezszelestnie pojawił się nadinspektor.



- Posłał pan po mnie, panie nadkomisarzu?

- Ja? Znaczy, tak, posłałem! W rzeczy samej, posłałem. Proszę usiąść. Od razu lepiej. Zapali pan?

Culley czekał cierpliwie, aż majorowi Smythe'owi wszystko się przypomni.

- Chodzi o śmierć sir Willoughby'ego Keene-Cottona, Culley.

- Tak, panie nadkomisarzu - odparł ze zrozumieniem Culley.

- Tak. Cóż, to ważna osoba, wie pan... i nie chcielibyśmy popełnić żadnych błędów... zgodzi się pan?

- Tak, panie nadkomisarzu.

- Tak. - Uspokojony w tej kwestii nadkomisarz zaszeleścił notatkami, nad którymi pracował. - Nie zatrzymam pana długo... Wiem, że mamy wojnę i tak dalej... Ale... Tak... Pojawia się parę problemów...

- Doprawdy, panie nadkomisarzu? - spytał uprzejmie Culley.

- Tak - upierał się Smythe, po czym nagle porzucił notatki i zaczął mówić prosto z serca: - Widzi pan... znałem denata.

- Och.

- Przyznaję, że nie była to znajomość zażyła, ale co nieco o nim słyszałem. Pomijając fakt, że byłem wczoraj wieczorem na tym przyjęciu i że jego śmierci towarzyszyły pewne podejrzane okoliczności... - Odsunął od siebie notatki. - Coś zawsze mi mówiło, Culley, że jeśli istnieje na świecie człowiek, który urodził się po to, aby zostać zamordowanym, to tym człowiekiem jest właśnie sir Willoughby Keene-Cotton.

## VII. Motywy morderstwa

Nadinspektor Culley zareagował na to wyznanie z szacunkiem i bez krytyki, ale bynajmniej nie bez zaciekawienia - uspokajająca powściągliwość była jego największym zawodowym atutem i potrafiła zdziałać cuda.

- Sądzi pan, że to było morderstwo, panie nadkomisarzu? - spytał.

- Niczego takiego nie powiedziałem - odparł ostro Smythe - ale... cóż... nie chcielibyśmy popełnić jakichś błędów. Mamy wprowadzić wojnę, ale nie możemy dopuścić do tego, aby społeczeństwo sobie pomyślało, że policja nie zajmuje się już zapobieganiem przestępstwom i wykrywaniem ich, co zawsze musi stać na pierwszym miejscu, nadgodziny i niedobory kadrowe to żadna wymówka.

- Naturalnie, panie nadkomisarzu - potwierdził życzliwie Culley.

- Zgadzam się - kontynuował szybko Smythe - że gdyby ktoś chciał zamordować starszego pana, to dziesiątki razy mógłby to zrobić wcześniej (i prawdopodobnie by zrobił). No i wszyscy musimy kiedyś umrzeć, nie zawsze we własnym łóżku. A w wieku sir Willoughby'ego Keene-Cottona - wie pan, miał już na karku dziewięćdziesiątkę - nie ma niczego zaskakującego w tym, że ktoś nagle padnie trupem. Całe to zamieszanie związane z wczorajszym ubieraniem choinki nawet młodszego człowieka mogłoby zabić. Więc sam pan widzi! Nie licząc jakichś bredni na temat śladów stóp, które kazałem Dawesowi sprawdzić, wszystko jest najzupeł-

niej naturalne i wiarygodne... Całkiem transparentne i legalne... Nic podejrzanego.

- Może pańskim zdaniem jest za bardzo naturalne i niepodejrzane - zasugerował po chwili Culley.

- Tak czy inaczej muszę zaangażować w to koronera - wyjaśnił Smythe - więc pomyślałem, że pana ściągnę i poproszę o radę. Może zechciałby pan trochę powęszyć i powiedzieć mi, co pan o tym sądzi.

- Pod jakim kątem, panie nadkomisarzu?

- Pod wszystkimi możliwymi kątami, począwszy od najbardziej oczywistego.

- Pieniądze?

- Oczywiście. Śmierć sir Willoughby'ego Keene-Cottona wpłynęła na sytuację bardzo wielu ludzi. Skandalicznie bogaty człowiek. Nikt dokładnie nie zna rozmiarów jego majątku. Ale willa we Włoszech, zamek w Hiszpanii, kolejny w Szkocji, dom w Londynie - jeden starszy pan i tyle nieruchomości! Ktoś mógł go zamordować wyłącznie z pobudek antykapitalistycznych. To niemożliwe, żeby żył z więcej niż jednej ósmej dochodów, a reszta się akumulowała, zjadała własny ogon, nikomu nie przynosiła pożytku. Przypuszczam, że nawet wojna i podatek wyrównawczy nie uszczupliły w zauważalnym stopniu jego zasobów.

- Jak się tego wszystkiego dorobił?

Nadkomisarz prychnął.

- Mój drogi Culley, przez całe życie nie zarobił ani pensa. To wszystko po prostu spadało mu z nieba! W większość majątku się wzenił. Jego pierwszą żoną była Kate Cameron, bardzo bogata wiktoriańska aktorka.

- Królowa Dziewica sceny... Mgliście sobie przypominam.

- Ja ją pamiętam bardzo dobrze. I niech mi pan uwierzy na słowo, że "dziewica" to było niedopowiedzenie. Raczej purytanką albo zakonnica. Wiodła ascetyczne i proste życie, ciułała grosz do grosza, dopóki w średnim wieku nie straciła głowy i nie wyszła za dwa razy od siebie młodszego mężczyznę.

- Zdarza się - zawyrokował Culley.

- Niezwykle pożądana partia, wie pan - sam się w niej durzyłem jako nastolatek... Łamała serca na lewo i prawo. Potem wkroczył stary sir Willoughby Keene-Cotton i dokonał podboju... Nie mam pojęcia, jak on to zrobił, bo już wtedy trochę przypominał krewetkę. Straciła głowę i serce i na dobre porzuciła scenę. W tamtym czasie krążyły pogłoski, że tak naprawdę to straciła głos albo pamięć (niektórzy nawet mówili, że reputację) i małżeństwo wymusiła na niej konieczność. Jak było, tak było, w każdym razie jej charakter i osobowość odmieniły się w dniu ślubu - odtąd żyła jak bogaczka. No i zmarła jak bogaczka - wszystko zostawiła sir Willoughby'emu Keene-Cottonowi...

- Który wedle wszelkich danych już wtedy był całkiem bogaty - uzupełnił Culley.

- Mało powiedziane! Jego młodszy brat Roger zbił fortunę w Afryce Południowej - chyba na złocie - a potem rozwiódł się z żoną i wydziedziczył syna, więc wszystko dostał Willie. Wyjątkowo niesprawiedliwe, ale cóż zrobić. Jakby już wtedy nie był dostatecznie bogaty, rok po śmierci Kate Cameron ożenił się z wdową po Jacobie Hepworcie!

- Który, z tego co pamiętam, był milionerem, prawda? Guziki, jeśli się nie mylę.

- Możliwe - przyznał Smythe bez zainteresowania, ale dodał wymownie: - Był również ojcem pani Redpath. Kolejny skandal. Ze względu na zbrodniczo niejasny i łatwowierny testament pani Redpath nie zobaczyła z tych pieniędzy ani pensa i wszystko zgar-  
nął jej ojczym.

- A pani Redpath to...?

- Przepraszam, zapomniałem, że pan nie wie. Pan i pani Redpath to gospodarze wczorajszego przyjęcia. Sir Willoughby Keene-Cotton się u nich zatrzymał - poinformował go Smythe i szybko dodał: - To bardzo miła kobieta i oboje są całkiem dobrze sytuowani, ale przypadkiem wiem, że od dłuższego czasu czekali na śmierć starszego pana. Co jest najzupełniej naturalne. Sądzę, że on też o tym wiedział, i jak go znam, to właśnie to tak długo trzymało go przy życiu... - Nadkomisarz zaśmiał się refleksyjnie.

- I sądzi pan, że w końcu zmęczyło ich czekanie...?

Smythe uśmiechnął się szeroko, a potem zmarszczył brwi i powiedział:

- Nonsens! - Potem jednak przyznał wbrew sobie: - Mieli najwięcej okazji... ale to zupełnie niedorzeczne. - Roześmiał się dla podkreślenia, jak bardzo niedorzeczne. - Musi pan z nimi porozmawiać, Culley, ale najpewniej stwierdzi pan, że Rhoda Redpath jest poza wszelkimi podejrzeniami. Jej mąż, przyznaję, to bardziej prawdopodobny kandydat. Impulsywny. Nieobliczalny. Nie umiem go zaszufładować. Ni pies, ni wydra... To z pewnością główny powód, dla którego ludzie nie za bardzo go lubią... Boją się wszystkiego, co im się wymyka... Sam taki jestem. Wytrawny kłamca i wygaduje mnóstwo rozbijających bzdur - sam pan zauważy, Culley, ale często można pomyśleć, że on wierzy w to, co

mówi, i nabrać się na jego żarty. Z drugiej strony... - Smythe urwał i pokręcił głową.

- Z drugiej strony nie uważa pan, że mógłby się posunąć do zamordowania starszego pana? - podpowiedział Culley.

- Oczywiście, że nie. Przede wszystkim nie starczyłoby mu odwagi. Podczas pierwszej wojny wyłgał się od wojska jako pacyfista. Nie poluje, nie strzela. W sumie niezbyt mądry. Dyletant. Artystyczna dusza, ale bez szczególnego talentu artystycznego. Choć wystarczająco inteligentny, aby się ożenić z sensowną kobietą i uczciwie zarabiać na życie. Ale ona raczej nie miała zbyt łatwo.

- Tak?

- To znaczy ze sprowadzaniem go na ziemię. Coś mi kołacze, że to właśnie Frank Redpath przyszedł pewnego dnia rano z kilofem i zaczął rozkuwać Shaftesbury Avenue. Wstrzymał cały ruch do czasu interwencji policji. Dotarła też do mnie informacja, że aresztowano go kiedyś jako sufrażystkę!

- Sufrażystkę!

- Miał świetny ubaw. Dopiero w areszcie zauważyli, że jest mężczyzną!

- To wymagało całkiem sporej odwagi - zauważył Culley.

- Ale raczej nie morduje się staruszka dla kawału - zaprotestował Smythe.

- Dla kawału nie - przyznał Culley.

- A taki człowiek nie popełniłby też przestępstwa dla pieniędzy - przekonywał Smythe.

- Zupełnie nie ten typ. - Culley przychylił się zyczliwie do opinii swojego zwierzchnika. - Podsumujmy, panie nadkomisarzu. Sir Willoughby Keene-Cotton przejął trzy majątki, tak?

- Cztery - skorygował go Smythe i wyjaśnił przeprasząco: - Nie wspomniałem o jego własnych pieniądzach, które odziedziczył po śmierci ojca?

- Nie, panie nadkomisarzu, nie wspomniał pan, że miał jakieś własne pieniądze - odparł Culley z lekkim wyrzutem w głosie. - Już sobie pomyślałem, że była jeszcze jedna wdowa, z którą się ożenił.

Smythe się rozpromienił i powiedział:

- I tu docieramy do sedna sprawy! Bo była!

- Doprawdy, panie nadkomisarzu?

- A nawet wciąż jest.

- Przeżyła go?

- Owszem. Co więcej, nie ma grosza przy duszy!

- Ach! Po raz trzeci ożenił się dla przyjemności.

- Raczej z nawyku. Może pod wpływem impulsu. Albo z czystej rycerskości. Jestem ostatnim człowiekiem, którego należałoby pytać, dlaczego to zrobił. Była wdową już od dłuższego czasu. Pani Sinclairowa Horsham. Mąż pastor zapracował sobie na wielki skarb w niebie, ale na ziemi raczej nic nie uzbierał. Po śmierci zostawił jej tylko dużą rodzinę. Pożyczyła trochę kapitału i otworzyła restaurację gdzieś w Chelsea. I zarabiała na niej. Całkiem bystra kobieta, jak się zdaje. Wyszła za sir Willoughby'ego Keene-Cottona w dziewięćset trzydziestym trzecim. Dawno przekroczył siedemdziesiątkę i na pewno wszyscy liczyli na to, że kipnie dużo wcześniej.

- Obecna lady Keene-Cotton w znaczącym stopniu korzysta na śmierci sir Willoughby'ego Keene-Cottona? - dociekał Culley.

- Dostaje absolutnie każdego pensa - odparł Smythe.

Zapadła nabożna cisza.

- To znaczy - uzupełnił podaną przez siebie informację Smythe, kiedy już osiągnął pożądany efekt - o ile mi wiadomo. Nie umiem powiedzieć, czy pieniądze Hepworthów należały do niego bezwarunkowo, ale jeśli tak, to wygląda na to, że Redpathowie nawet nie powąchają tej forsy.

- Bardzo pechowo - przyznał Culley. - Ale skoro wszystkie pieniądze dostaje lady Keene-Cotton, to państwo Redpath są wyłączeni z pańskiego morderstwa, prawda, panie nadkomisarzu?

- Będzie to dla nich wielką pociechą - ironizował Smythe. - Ale co pan ma na myśli, mówiąc o moim morderstwie?

- Przyjeliśmy założenie, że to było morderstwo, tylko na potrzeby dyskusji - odparł Culley bez śladu zakłopotania. - A w takim przypadku najsilniejszy motyw ma żona denata - zwłaszcza jeśli, jak pan sugeruje, wyszła za niego dla pieniędzy.

- Nie miałem prawa tak sugerować - zaprotestował Smythe. - Nie widziałem jej na oczy, więc jak mógłbym oceniać, czy byłaby zdolna do zamordowania z zimną krwią starego człowieka? Trudno mi w to uwierzyć.

- Łatwiej jest w to uwierzyć w odniesieniu do osoby, której się nie zna, niż którą się zna - zwrócił mu uwagę Culley i kontynuował: - Skoro nigdy nie widział jej pan na oczy, to czy może pan z pełnym przekonaniem twierdzić, że nie było jej wczoraj na przyjęciu?

- Że jak?

- Jeśli założymy, że to ona jest morderczynią, to nie musimy za wszelką cenę wystrzegać się melodramatyzmu - powiedział przeprasząco Culley. - Takie przyjęcie stanowiłoby nadzwyczajną okazję dla zaradnego mordercy.



- Zasłużyłem sobie na to, Culley - ocenił major Smythe. - Pańska teoria jest fascynująca, ale nie zadziała.

- Nie?

- Nie. Przypadkiem wiem, że lady Keene-Cotton została zaproszona na święta do Four Corners, ale biedaczka jest w gruncie rzeczy przykuta do łóżka. Obawiam się zatem, że to uwalnia ją od podejrzeń.

- To rzeczywiście zapewnia jej bardzo dobre alibi - przyznał Culley.

- Lepsze trudno sobie wyobrazić - potwierdził z żalem Smythe.

Culley wyprostował się na krześle zamyślony.

- To mi przypomina sprawę Hillmanów... Mąż przez dwa lata udawał sparaliżowanego, żeby mieć alibi potrzebne do zamordowania kochanka żony... Neuroza funkcjonalna, zamydlił oczy wszystkim lekarzom, niczego mu nie udowodniono...

- Dobry Boże, pańskim zdaniem to możliwe, żeby...?

- Takie rzeczy się zdarzają.

- Cóż za pomysł! To by wyjaśniało, dlaczego...

Zadzwoił telefon. Smythe podniósł słuchawkę.

- Tak? A, to pan, Brooke... Zuch-chłopak! Przekazał pan jej wiadomość?... A, nie jej, tylko pani Horsham! Bo to ona olewała?! Aha, odebrała, rozumiem...

Wyraz jego twarzy uległ zmianie, kiedy słuchał skrzeczącego głosu inspektora Brooke'a. Nadkomisarz odłożył słuchawkę, mrużąc coś niecenzuralnego pod nosem.

- Inspektor Brooke zadzwonił na plebanię w Borrowfield, miejsce zamieszkania lady Keene-Cotton - zwrócił się do Culleya. -

Przekazał wiadomość o śmierci sir Willoughby'ego pani Cyrilowej Horsham, która była bardzo smutna, ponieważ jej teściowa...

- Jej teściowa? - Culley uniósł brwi.

- Tak, Culley. Lady Keene-Cotton zmarła w Boże Narodzenie.

## VIII. Motywy po świętach

1

- To trochę rozjaśnia sytuację - stwierdził Culley. - Skoro nie żyje, to nie mogła zabić męża. Panie nadkomisarzu, najlepiej zróbie, jadąc do Four Corners. Rzucę okiem na miejsce zbrodni i porozmawiam z państwem Redpath.

- Niech pan zaczeka! - Nadkomisarz oparł głowę na dłoniach. Culley czekał. - Nie ma pośpiechu, nadinspektorze. Będzie tam Dawes i jego ludzie, sprawdzą poszlaki i zrekonstruują przebieg zdarzenia... - Wyprostował się na krześle i wbił wzrok w sufit. - Lady Keene-Cotton zmarła w Boże Narodzenie, sir Willoughby Keene-Cotton w drugi dzień świąt. - Spojrzał na Culleya. - Kto u licha dostaje teraz pieniądze?

- Oto jest pytanie, prawda, panie nadkomisarzu?

- Testament traci ważność - uznał Smythe. - A to zdejmuje podejrzenia z całej rodziny Horshamów. Nie mają teraz motywu.

- Tak, stracili go w Boże Narodzenie. To byłby strzał w stopę...

- Zgrabnie pan to ujął. Żadne z nich nie dostanie ani pensa. Nie sądzi pan, że to samo w sobie jest istotne?

- Że sir Willoughby Keene-Cotton zaczekał z umiarem na swoją żonę?

- Za duży zbieg okoliczności...

- Ale takie rzeczy się zdarzają.

- Umarł bez wyznaczenia spadkobierców - podjął Smythe swój trop myślowy i dodał: - Ciekawe, kto w tej sytuacji jest jego najbliższą rodziną...

- Wkrótce się dowiemy - zapewnił go z przekonaniem Culley.

- Zawsze był z pana cierpliwy człowiek, Culley... - Wziął do ręki książkę telefoniczną. - Od razu się dowiemy. Jego adwokatem był stary Merivale. Myślę, że nadal jest. Nie zaszkodzi do niego zadzwonić...

- Absolutnie nie zaszkodzi, panie nadkomisarzu...

- Lepiej jest mieć w ręku jakieś informacje, zanim zaczniesz się przesłuchiwać ludzi... Człowiek czuje się wtedy pewniej...

- Dziękuję panu, panie nadkomisarzu.

- Jest! - Smythe znalazł numer. Podniósł słuchawkę i wykonał wszystkie niezbędne czynności. Czekając na zgłoszenie się rozmówcy, powiedział: - Z tego, co wiemy, biedny Willy został zamordowany tylko po to, aby jego żona po nim nie dziedziczyła...

- W tym przypadku musieliby zamordować starszą panią.

- Czyli na złość go zamordowali? Może i tak. Halo? Kancelaria Merivale i Jorkins? Tu major Smythe, nadkomisarz Blandshire. Chciałbym zamienić kilka słów z panem Merivale'em. Seniorem. Co? Kiedy to dosyć pilne... A! Dziękuję... Tak, rozumiem... "Wyjazd służbowy" - zacytował na potrzeby Culleya ("Ale wciąż żyje" - mruknął z ulgą Culley). - Mógłby mi pan powiedzieć, kiedy wróci? Dopiero jutro? Pojechał na wieś do klienta i wróci dopiero jutro - powiedział Smythe do Culleya i już miał odłożyć słuchawkę, lecz Culley w ostatniej chwili zdążył mu zasugerować, żeby zapytał o nazwisko tego klienta.

Smythe szarpnął słuchawką z powrotem do ucha.

- Chwileczkę! Halo? Czy mógłby mi pan podać nazwisko tego klienta?

Smythe słuchał z nienaturalnym spokojem. Zakończywszy roz-

mowę, uśmiechnął się do nadinspektora z uznaniem i powiedział:

- Sprytnie z pana strony, Culley. Ten klient to sir Willoughby Keene-Cotton, a stary Merivale zabrał ze sobą asystenta...

- Interesujące - przyznał Culley.

2

- Dlaczego wszystko musi się dziać naraz? - spytał Frank nerwowo i retorycznie w salonie Four Corners.

- Jak nie urok, to przemarsz wojsk - odparła Paulina, sięgając do swojej skarbicy gotowych odpowiedzi na retoryczne pytania.

- Dom pełen policjantów - zakomunikował wszystkim Frank na wypadek, gdyby ktoś nie zauważył. - Pan Merivale przychodzi na obiad - przypomniał wszystkim na wypadek, gdyby zapomnieli. - A teraz nadinspektor Culley - oznajmił wszystkim na wypadek, gdyby nie wiedzieli (bo jeśli wiedzieli, to najwyraźniej w ogóle się tym nie przejmowali). - Kto to jest? I dlaczego przychodzi? - spytał Frank z gorącym pragnieniem, aby ktoś się tym zainteresował.

- Major Smythe najwyraźniej zarządził szczegółowe śledztwo w sprawie śmierci wujka Williego - wyjaśniła wyrozumiale i przepraszająco Rhoda.

- W jego wieku powinien mieć coś lepszego do roboty... O Boziu, co to było?

Dom się zatrząsł i od sufitu w salonie odpadło trochę tynku.

- To zapewne sierżant Dawes i jego wesoła kompania - stwierdziła Rhoda, która zawsze miała na podorędziu jakiś dowcip.

- Rekonstruują przebieg zdarzenia - dodał John, który wykazywał pełne zadowolenie zainteresowanie hałasami nad głową.

- Do licha ciężkiego, nie mogliby zabierać nas po kolei do jadalni i spokojnie przesłuchiwać?

- Nadinspektor Culley to zrobi - prorokował John.

- Dlaczego nie uszanują naszych uczuć? - narzekał Frank. - Nie wystarczy im, że wciągają w to koronera, muszą jeszcze grać w klasy w pokoju wujka Williego...

Skrzywił się, a wszyscy inni z bólem zamknęli oczy, kiedy po podłodze apartamentu małżeńskiego przesunięto jakiś ciężki mebel.

- To rzeczywiście dosyć uciążliwe - przyznała w końcu nawet Paulina.

Pojawiła się Keevil, manifestując swoje rozdrażnienie i dezaprobatę, aby zapytać, jak ma postąpić z nadinspektorem Culleyem, kiedy ten już przyjedzie, bo ona nie zna obowiązującej w takich sytuacjach etykiety.

- Wprowadź go tutaj - polecił lekkomyślnie Frank. - W kupie różniej. Jeden policjant w salonie jest wart trzech policjantów w...

- Kolejny łomot, a potem huk. - Co oni tam wyprawiają, Keevil?

- Słucham, panie Redpath? Nie umiem powiedzieć - odparła asekuracyjnie pokojówka, ale w przelocie zdążyła Rhodzie wyjaśnić: - Zabrali wszystkie worki z piaskiem sprzed drzwi frontowych, proszę pani, a Edith dała im trochę podglówek...

- Podglówek!

Rhoda posunęła się do tego, że uniosła brwi.

- Dlaczego więc nie urządzą sobie cichej bitwy na poduszki, zamiast rzucać w siebie meblami? - zastanawiał się Frank.

- Naprawdę nie umiem powiedzieć, proszę pana - powtórzyła Keevil asekuracyjnie i wyszła.

- Ona cię nie lubi, tato - zdiagnozował John.

- Biedna Keevil - współczuła jej Rhoda. - Ponieważ jest u nas tylko na zastępstwie, nie może nawet powetować sobie tego wszystkiego złożeniem wypowiedzenia.

Łomot nad głową, który przerwał jej tym razem, przeistoczył się w raczej oczywisty i znajomy dźwięk, który odebrał wszystkim mowę. To znaczy wszystkim oprócz Johna, który trącił łokciem Margery:

- Obudź się, kochanie! Muzyka kameralna...

Margery zawzięcie go ignorowała i kontynuowała robienie na drutach, do którego z braku innych rozrywek zabrała się tego dnia rano.

Paulina wyjrzała przez okno i stwierdziła:

- O rany, chyba przestało padać!

Nasunęło to Rhodzie pewien pomysł:

- John, może pokażesz Margery krater Spelmanów? Dzieci zjeżdżają z niego na sankach - powiedziała do Margery z odrobiną snobizmu weteranki bombardowań. - To był niewybuch, zapadł się...

- Myślę, że nikt z nas nie powinien opuszczać tego pokoju - zaopiniował John.

- A to dlaczego? - rzucił ostro Frank.

- Kto tak powiedział, kochanie? - dociekała Rhoda.

- Nikt nam nie kazał tkwić przez cały ranek w dusznym salonie - uspokajała ciocia Paulina.

- To dlaczego tutaj siedzimy? - spytał John.

- Ja z pewnością nie mam takiego zamiaru. - Paulina zaczęła z determinacją zwijać swoją robótkę. - Sprawdź, jaka jest pogoda, a

potem może pójdę na mały spacer do miasteczka i z powrotem. Jeśli chcesz znać moje zdanie - powiedziała do Johna, idąc w stronę drzwi balkonowych - tobie i Margery też bardzo dobrze by zrobiła odrobina świeżego powietrza.

- Morderca może wciąż kręcić się po okolicy - rzuciła apatycznie Margery. - Zawsze uderzają kilka razy, prawda, John?

- Ona żartuje - wyjaśnił John Paulinie na wszelki wypadek.

- Potrafię zadbać o siebie - zareplikowała Paulina i otworzyła drzwi na taras.

Nie zamykając ich za sobą, ruszyła przed siebie nieustraszonym krokiem. Wszyscy na nią patrzyli, dygocząc cierpliwie.

Nagle rozległ się potworny krzyk i huk.

- Jeeez... co to było! - zawołał Frank, kiedy Paulina, blada i roztrzęsiona, przytruchtała z powrotem do pokoju.

Opadła bezwładnie na fotel, a Rhoda poszła po brandy.

- Co to było?

Frank i John bezdusznie ją porzucili i podbiegli do drzwi prowadzących na taras.

Na ścieżce wzdłuż opadającego w stronę trawnika zbocza leżało coś, co wyglądało jak sterta ubrań.

- To tylko kolejne zwłoki - ocenił John.

- Czyje? - spytał Frank.

- Dawes z nadgorliwości zawodowej wypadł przez okno.

- Nie żyje?

- Tak.

- Świetnie!

Frank zamknął drzwi tarasowe i wrócił na swoje miejsce akurat



w momencie, kiedy Rhoda przyniosła brandy, a za nią wszedł sierżant Dawes.

Ten ostatni był jak najbardziej żywy - i to w nadnaturalnym stopniu.

- Bardzo przepraszam, panie Redpath - powiedział, niekulturalnie się pocąc - ale najlepiej będzie, jeżeli będą się państwo trzymali z daleka od domu albo pozostaną wewnątrz. Mamy rozkaz sprawdzenia wszystkich możliwych hipotez...

- Nie możecie tego robić gdzie indziej? - spytał Frank.

- Sprawdzenia czego? - spytał John.

Jednak drzwi tarasowe znowu były otwarte na oścież, a sierżant zdążył już opuścić salon. Zobaczyli i usłyszeli, jak w trakcie swoistej mowy pogrzebowej nad leżącym na ścieżce zaimprovizowanym ciałem wykrzykuje gorączkowe polecenia. Po chwili cofnął się wyczekująco i na ścieżkę spadło kolejne ciało, ale kilka metrów bliżej zbrocza.

- To gorsze niż nalot - ocenił Frank. - Jak myślisz, ile to potrwa?

- Sądzę, że sprawdzą wszystkie okna po tej stronie domu - odparł najspokojniej w świecie John.

- Dziękuję, kochanie, już wszystko w porządku - powiedziała Paulina przywrócona do życia przez brandy. - Myślę, że powinni byli nas ostrzec - brzmiała jej jedyna pretensja.

- Ostrzec! - zawołał Frank. - W ogóle nie mają prawa tego robić! W dzisiejszych czasach policji się wydaje, że wszystko jej wolno. To jest mój dom i nie będę tego tolerował.

- Nie powstrzymasz ich, tato...

- Zamknij się! To wszystko twoja wina, bo chciałeś się powy-

mądrzać z tymi śladami stóp. Następnym razem bądź łaskaw pilnować swojego nosa.

- Następnym razem! Czyli planujesz kolejne morderstwa, tato?

- John - interweniowała z wyrzutem Rhoda. - Musimy próbować powstrzymywać się od mówienia takich rzeczy.

- Czyżbyś była lekko podenerwowana, mamo?

- Podenerwowana! - wrzasnęła Rhoda, kiedy pośród licznych okrzyków zachwytu z okna na piętrze spadło trzecie ciało i triumfalnie potoczyło się po zboczu.

- Już prawie skończyli - skomentował John, stojąc przy drzwiach na taras. - Jeszcze parę zwłok i im się uda. Stawiam na okno pokoju Keevil. Ciekawe, co wujek Willie tam robił...?

- Trzymaj język za zębami - warknął Frank.

- Twoją irytację uważam za nierozsądną - odpowiedział mu John. - Przecież chcemy się dowiedzieć, co się naprawdę stało z biednym wujkiem Williem, prawda?

- Nie, nie chcemy - odparł Frank krótko i węzłowato.

- Ale jeśli nie poznamy prawdy - kontynuował John - to do końca życia będzie nad nami wisiał cień. Jak mam się ożenić z Margery, jeśli będzie nade mną wisiał cień?

- To się nie żeń, wszystko mi jedno - odparł Frank.

- Nie chodzi tylko o nas - my jesteśmy młodzi i możemy razem stawić czoło przyszłości - ale co z tymi wszystkimi wiekowymi biedactwami na przyjęciu? Jak arcybiskup Mewdley ma zachować szacunek mieszkańców swojej diecezji, skoro może być mordercą? I gdzie był podczas przyjęcia profesor Larkin? Po pierwszych dwóch minutach nigdzie go nie widziałem...

Weszła Keevil.

- Nawet Keevil - ciągnął John - może mieć kłopoty ze znalezieniem zatrudnienia jako osoba zamieszana w morderstwo...

- Nadinspektor Culley - oznajmiła mściwie Keevil i opuściła salon, a fakt, że jest osobą zamieszaną w morderstwo, wzbudził w niej tak wielki niesmak, że wyglądała na osobę absolutnie zdolną do jego popełnienia.

### 3

Mściwe oznajmienie Keevil najwyraźniej odnosiło się do wysokiego, lecz niepozornego mężczyzny w szarym garniturze, który jakimś sposobem wślizgnął się już do pokoju, kiedy ona go anonsowała. ("Wygląda na całkiem poczciwego" - pomyślała z ulgą Margery. "Wygląda na całkiem rozsądnego" - uznała z ulgą Paulina. "Nie mamy powodu się go bać" - powiedziała sobie z ulgą Rhoda. "Nareszcie ktoś całkiem inteligentny - pomyślał John - co za ulga!" "Co za ulga - pomyślał Frank - nareszcie ktoś, komu możemy zaufać!")

Nadinspektor Culley nie spodziewał się wrogiego przyjęcia, ale jeszcze mniej się spodziewał aż tak ciepłego powitania.

Frank w jednej chwili znalazł się przy nim, przedstawił go wszystkim, popchnął na fotel, otoczył papierośnicami i zapalkami i bez zbędnej zwłoki rozpoczął swoją przemowę.

- Właśnie takiego człowieka nam potrzeba - mówił. - Wokół wydarzeń wczorajszej nocy narosły pewne nieporozumienia. Nie wiem, czyja to wina, ale tak naprawdę sprawa jest dosyć prosta. Oto co się wydarzyło. Podczas przyjęcia urządziliśmy coś w rodzaju poszukiwania skarbu. Ojczym mojej żony, który był przebrany

za Świętego Mikołaja, znalazł kryjówkę z czekoladkami w bałwanie na trawniku. Przepadał za czekoladkami, panie nadinspektorze, i zakradł się do swojego pokoju, nie mówiąc nic nikomu. Potem chyba postanowił znowu zejść na dół i sprawdzić, czy zostały jeszcze jakieś bombonierki. Niestety nie chciał przyznać, że jest bardzo stary i nie powinien taszczyć ciężkich worków, i ciągle przemieszczać się z mroźnego nocnego powietrza do ciepłego pokoju i z powrotem, a potem jeszcze raz i jeszcze raz. Powiedział pokojówce, że kładzie się do łóżka i nie chce, żeby mu przeszkadzano, ale najwyraźniej znowu się wymknął, upadł, stoczył się na trawnik i umarł. Naturalnie wszyscy myśleliśmy, że jest w łóżku, więc znaleźliśmy go dopiero dzisiaj rano...

- Wczoraj położyliśmy się dosyć późno - potwierdziła wersję Franka jego żona - i powinnam była wtedy sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku - kajała się skruszona - ale zamknęłam drzwi na klucz i nie było większego sensu budzić go...

- Nie mieliśmy pojęcia - wtrąciła się Paulina - jak mogliśmy się domyślać... znaczy, skąd miało nam to przyjść do głowy?

- Rzeczywiście - powiedziała Rhoda, która zapomniała to powiedzieć - skąd, no, skąd? - Przerwała, aby zaczerpnąć tchu, i nie zdołała powstrzymać Johna od wtrącenia swoich trzech groszy.

- Ale przecież w kółko ci powtarzam, tato - zaczął - że gdyby po prostu przewrócił się na zboczu, to nie stoczyłby się tak daleko. Z drugiej strony gdyby lunatykował - starym ludziom to się zdarza - i wyszedł przez okno, to nie można wykluczyć, że znalazłby się dokładnie tam, gdzie go znaleźliśmy. Mało prawdopodobne, ale możliwe. I jeszcze bardziej możliwe, gdyby zawędrował na poddasze. Gdyby tam wypadł z okna, mógłby się odbić...

- Co za bzdury! - zbył go Frank.

- Wcale nie bzdury - zripostował John - tylko najprostsze wyjaśnienie tej zagadki. Policja też tak uważa, ale muszą się upewnić i to właśnie robią - nie rozumiesz? Są po twojej stronie, tato.

- Nie ma żadnej mojej strony - warknął Frank. - No dobra - skapitulował nagle i westchnął ze znużeniem. - Wypadł z okna poddasza, panie nadinspektorze. Ja nie mam nic przeciwko temu.

- Nie mógł spaść ze zbocza - kontynuował John, nie dając Culleyowi dojść do głosu - ani też nie mógł podejść po raz drugi do bałwana, bo wtedy zostałyby nieparzysta liczba śladów...

- Tak, tak, rozumiem argument o śladach, proszę pana - zdołał się wtrącić Culley.

- Gdyby po prostu podszedł do bałwana i umarł, to nie mógłby wrócić do domu - stwierdził John, który uznał, że musi wszystko ładnie podsumować.

- Oczywiście, oczywiście - uspokajał Culley, najwyraźniej nie mając świadomości, że policja nadal krząta się na terenie trawnika. - Myśli pan zatem, że ojczym pańskiej żony wypadł przez okno, panie Redpath? - zapytał Culley Franka.

- Nie, wcale tak nie myślę - odparł Frank.

- W takim razie potrafi pan podać lepsze wyjaśnienie dla śladów stóp?

- Spadochroniarz - rzucił Frank bez chwili wahania. - Nie, nie potrafię. Tak, potrafię. Szczerze mówiąc, sądzę, że mój syn plecie dyrdymały.

- Dlaczego, u licha, miałbym sobie wymyślić brakujące ślady stóp? - bronił się John. - Narysowałem bardzo staranny schemat,

panie nadinspektorze, zanim przyszli fotografowie i policjanci i wszystko zdeptali.

- Mogę go zobaczyć?

- Oczywiście - odparł John i z dumą wyjął rysunek z kieszeni.

Culley włożył binokle.

- Bardzo czytelne - pochwalił Johna. - Z pewnością warto się temu przyjrzeć.

- Uważa pan, że to ważne? - jęknął Frank.

- Tę kwestię trzeba będzie wyjaśnić - odparł Culley.

Z holu dobiegły odgłosy, które wskazywały na to, że silni mężczyźni wnoszą po schodach niby-zwłoki.

- Naprawdę nie możemy tego wyjaśnić w żaden inny sposób? - westchnął z rezygnacją Frank.

Culley zacisnął usta i w zamyśleniu oglądał schemat Johna.

- Co pan na to, że zmarł podczas pierwszego wyjścia na dwór, po czym śnieg zatarł jego ślady, a za drugi trop odpowiedzialny jest ktoś w tego samego rozmiaru butach, kto również podszedł w to miejsce, znalazł go martwego i oddalił się, nic nie mówiąc?

- Tak, to jest jakieś rozwiązanie - przyznał Frank. - Czy pana zdaniem to mogłem być ja? - spytał i dodał triumfalnym tonem: - Ależ oczywiście! Moje buty Świętego Mikołaja były dokładnie w tym samym rozmiarze!

- Absurd - wtrącił się jeszcze raz John. - Powiedział pokojówce, że kładzie się spać.

- Rzeczywiście - przyznał Culley, po czym ponownie się zamyślił. - Ale może się pomyliła. Albo on wychodził, a nie wchodził.

- Bzdury! - skarcił go John. - Musi się pan bardziej postarać, panie nadinspektorze.

- Ależ kochanie - tonowała go Rhoda.

- Z pewnością jesteśmy w stanie bardziej się postarać - uspokajał Culley. - Jeśli musimy - dodał.

- Przychodzi panu do głowy inne wyjaśnienie? - spytał z niepokojem Frank.

- Może zmarł gdzie indziej - odparł bez emocji Culley - a następnie przeniesiono go na trawnik i tam zostawiono.

Zapadła cisza, bo wszyscy przyswajali sobie te słowa - cisza tak głęboka, że można byłoby usłyszeć spadające na trawnik ciało - i rzeczywiście usłyszano je.

- O rany - jęknęła w końcu Rhoda. - To by znaczyło...

Paulina spojrzała na nadinspektora Culleya srogo, ale potem zaśmiała się wyrozumiale i powiedziała wyjątkowo łagodnym głosem:

- Ależ panie Culley, pan prawie sugeruje...

- Że go zamordowano, proszę pani? To nie jest jedyna logiczna konkluzja, chociaż oczywiście nie możemy sobie pozwolić na pominięcie tej możliwości.

- Ależ nie myśli pan chyba poważnie... - zaczęła Rhoda, a następnie szybko wzięła do ręki jakąś robótkę, aby pokazać, że nie drżą jej ręce - nic z tego, drżały. - Musi pan pamiętać - znalazła dla Culleya usprawiedliwienie - że nie znał pan mojego ojczyma, który był najzyczliwszym z ludzi. To wykluczone, aby ktoś chciał go zamordować. Wie pan co - uśmiechnęła się promiennie - nadkomisarz Smythe bardzo się z nim przyjaźnił. On może panu powiedzieć, jaki to absurdalny pomysł.

Nadinspektor Culley nie miał na to innej odpowiedzi jak tylko nieartykułowane pomruki pod nosem.

Zamiast niego odezwał się John. Wyprana z emocji rzeczowość nadinspektora - albo coś innego - najwyraźniej go otrzeźwiła:

- To nie ma sensu, panie inspektorze. To oczywiste, że nie został naprawdę zamordowany - na poważnie. Przyznaję, że gadałem głupoty o tych śladach stóp, i wujek przypuszczalnie stoczył się ze zbocza - jak powiedział ojciec. I to by było tyle! Całe to zamieszanie jest najzupełniej zbędne i przepraszam, że się do niego przyczyniłem...

- Na litość boską, niech sobie będzie zamordowany i miejmy to z głowy! - wybuchnął nagle Frank. Wstał i zaczął kursować między oknem a krzesłem. - Jakie to ma, u diabła, znaczenie? Zamordowałem go, panie nadinspektorze.

- Nie, nie zamordowałeś go, tato.

- Nie kłóć się ze mną!

- Spokojnie, Frank, mój drogi. - Rhoda podeszła do niego. - Nikt nie uważa, że zamordowałeś wujka Williego. Przecież masz alibi, kochanie...

- Nie, nie mam. Przez całkiem długi czas jego i mnie nie było w pokoju. Kiedy skończyłem się przebierać za Świętego Mikołaja, spotkałem go w holu, zabiłem, zaniósłem ciało na trawnik i rzuciłem koło bałwana. Potem sfalszowałem wskazówkę do poszukiwania skarbu. To ja powiedziałem pokojówce, że wujek Willie kładzie się spać. Jeden Święty Mikołaj prawie się nie różni od drugiego, a w holu było praktycznie ciemno. Podrzuciłem do jego pokoju czekoladki i wróciłem na przyjęcie. Starannie wszystko zaplanowałem, ale zapomniałem o tych przeklętych śladach stóp. Zagadka wyjaśniona.

- Jak pan go zabił, panie Redpath? - spytał Culley.



- Co? Uderzyłem go w... Nie, dałem mu zatrutą czekoladkę. Ma za swoje, chciwiec przeklęty.

Nawet Margery się rozbudziła.

- Ale... nie rozumiem... dlaczego...

- Dlaczego go zabiłem? - wrzasnął Frank, zagłuszając gorączkowe krzyki na trawniku. - Bo był potwornie uciążliwy - rzucił pierwszy argument, jaki przyszedł mu na myśl. - Bo był wtrącającym się do wszystkiego starym idiotą, zakichanym nudziarzem - co tylko chcecie. Co tylko pan chce - powtórzył dobitnie w stronę nadinspektora Culleya, podczas gdy kolejne ciało spadło na trawnik. - Byle tylko powiedział pan swoim ludziom, żeby przestali wyrzucać biednego starego pier... przez okno!

4

Nadinspektor Culley cichym krokiem wyszedł z salonu. Zaowocowało to znaczną redukcją poziomu hałasu. Po powrocie usiadł wygodnie.

- Muszę państwa wszystkich przeprosić - powiedział. - Nie do końca zrozumiałem, co oni kombinują. Mamy teraz w policji mnóstwo nadgorliwców. A teraz, panie Redpath... - wyjął duży notatnik - przejdziemy przez to wszystko jeszcze raz.

- O, nie! Nie dam rady! - odparł Frank słabym głosem.

- Proszę nie traktować mojego męża zbyt poważnie - wtrąciła Rhoda. - Wszyscy jesteśmy dzisiaj dosyć roztrzęsieni.

- To całkiem naturalne, proszę pani.

- Weszło nam to w nawyk - powiedział Frank, który trochę się rozchmurzył. - Pierwszego dnia po jego przyjeździe zwróciłem mo-

jej żonie uwagę na to, jak łatwo byłoby go zamordować, prawda, Rhoda? - Rhoda potwierdziła. - Widzi pan, on był taki uparty... - ciągnął Frank, po czym dodał: - Chyba nawet powiedziałem, że gdybyśmy mu zasugerowali, że ktoś w jego wieku na pewno nie wyskoczy z okna na poddaszu, to właśnie by to zrobił!

- A zatem jeśli rzeczywiście wyskoczył z okna na poddaszu - powiedziała Rhoda z przekonaniem, że nadinspektor zrozumie - to wszystko zaczyna wyglądać dosyć makabrycznie, prawda?

- Jak również ironicznie - wtrącił Frank.

- Ironicznie, proszę pana?

- Tak - odpowiedziała za niego Rhoda, skwapliwie przybliżając się do nadinspektora. - Bo już nie chcieliśmy go mordować...

- JUŻ?

- Nie to miałam na myśli! - zarzekała się Rhoda, a potem nieco spuściła z tonu w interesie prawdy absolutnej: - To znaczy już od siedmiu lat nie chcieliśmy...

- Od jego ślubu nie mieliśmy już motywu - wyjaśnił Frank.

- Żadnego motywu, panie Culley: wszystkie jego pieniądze dziedziczy żona. Oczywiście - przyznała - jak wspomniał mój mąż, wujek Willie rzeczywiście był trochę trudnym gościem...

- Cholernie uciążliwym...

- Naturalnie często mieliśmy ochotę go zamordować... - ("A niech mnie" - mruknął pod nosem John). - ...ale w sumie - kontynuowała Rhoda - zalety goszczenia go u nas zdecydowanie przeważały nad wadami. Może niekoniecznie dla nas samych, ale nasi sąsiedzi bardzo chcieli go poznać. Jako ważne ogniwo łączące nas z przeszłością. Miał charyzmę, panie nadinspektorze - jeśli mogę się posłużyć tym wyświechtanym określeniem...

- Charyzmę, tak - przyznał Culley. - Z tego, co słyszałem, na wczorajszym przyjęciu był duszą towarzystwa.

- Ludzie przyjechali z całej okolicy wyłącznie po to, aby go poznać! Ludzie, którzy w przeciwnym razie z pewnością by się nie pojawili ze względu na zaciemnienie, niedobory benzyny i tym podobne. W sumie święta mieliśmy znacznie weselsze niż w zeszłym roku. Przyjazd wujka Williego sprawił, że warto się było wysilić, a on sam był naprawdę wspaniały, nie szczędził starań i wydatków!

- Wygląda więc na to, że miała pani wszelkie motywy do tego, aby nie mordować ojczyma? - podsumował życzliwie Culley.

- Chyba że już po świętach - zgodził się z nim radośnie Frank. Rhoda zmarszczyła brwi.

- A, po świętach... - powtórzył Culley, delektując się tymi słowami. Chyba miał zamiar coś powiedzieć, ale się rozmyślił i powiedział coś innego: - Wróćmy do tych pieniędzy, które się pani należały po ojcu... - Urwał na chwilę, aby sprawdzić reakcje, ale zauważył tylko, że starsza pani w kącie przestała robić na drutach. - W każdym razie tak mi mówił nadkomisarz, że teraz wszystko odziedziczyłaby lady Keene-Cotton, prawda...?

Starsza pani wróciła do swojej robótki.

- Owszem - przyznała Rhoda, a Culley wyprostował się na krześle i wpatrywał się w nią natarczywie. - Ale właśnie to chciałam panu powiedzieć - kontynuowała niezrażona przenikliwością jego wzroku. - Mój ojczym był najżyczliwszym i najhojniejszym z ludzi, jeśli się go znało i wiedziało, jak nad nim zapanować. - Szybko mówiła dalej, nie czekając na odruchowe prychnięcie Franka: - Przed swoim ostatnim małżeństwem przepisał na mnie wszystkie pieniądze po moim ojcu.

- O! - Nadinspektor Culley rozejrzył się wokół siebie, ale nikt nic nie powiedział. - To bardzo miło z jego strony. Cieszę się, że mi pani o tym powiedziała.

- To jest droga donikąd - skomentował życzliwie John. - Nie zyskujemy na śmierci starszego pana ani pensa.

- Tak naprawdę... - zaczął Frank, ale poczuł na sobie spojrzenie Johna i urwał.

- Tak, panie Redpath?

- No powiedz, powiedz! - naciskał John. - Dobra, w takim razie ja powiem. Prysnęła pańska ostatnia nadzieja na to, że coś pan na nas znajdzie - zwrócił się do Culleya. - Liczyliśmy na to, że nasz wiekowy krewny napisze nowy testament i nas w nim uwzględni - jeśli będziemy dla niego bardzo mili. Oczywiście mama właśnie dlatego go tutaj zaprosiła. Dzisiaj miał napisać nowy testament, ale nie żyje. Czyli jedyną osobą materialnie zainteresowaną jego śmiercią jest wdowa - a ona leży przykuta do łóżka.

- Ileż w tym prawdy! - stwierdził przyjemnie zaskoczony Frank, całkiem czule patrząc na syna. - Zupełnie o tym zapomniałem. To zupełnie zdejmuje z nas podejrzenia, prawda?

Starsza pani o wypłowiałych blond włosach nadal robiła na drutach, natomiast młodsza z upiętymi w kok gęstymi włosami koloru mysiej sierści przerwała tę czynność, ale tylko po to, aby schylić się po dopiero co upuszczony na podłogę wzornik. Podniosła się zarumieniona, w czym po takim wysiłku nie było niczego podejrzanego.

- Czyli miał dzisiaj sporządzić nowy testament? - dopytywał Culley z wyczekiwaniem. - Dlaczego?

- Decyzja zapadła po wizycie kapitana Freera z żoną w Wigilię -

odpowiedziała Rhoda i wszyscy po kolei zaczęli szczegółowo opisywać tę okoliczność.

- Lady Keene-Cotton od jakiegoś czasu choruje - kompetentnie podsumowała całą opowieść panna Paulina Redpath - i sir Willoughby Keene-Cotton musiał uwzględnić możliwość, że jego małżonka umrze wcześniej od niego.

- Rozumiem - odparł Culley i uznał, że już dostatecznie długo trzyma swojego asa w rękawie. - Czyli nie wiedzą państwo, że lady Keene-Cotton zmarła w pierwszy dzień świąt?

- Co takiego? - zdumiał się Frank.

Rhoda była nie mniej zaskoczona, jak również poruszona.

- O rany! - powiedziała.

- Kurczę, co za pech! - ocenił John.

- Czyli oni też nie mają motywu - zwrócił uwagę Frank. - To znaczy rodzina Horshamów. To znaczy po świątach już nie mieli. Dla wszystkich sprawa zaczyna wyglądać bardziej optymistycznie. Teraz nikt nie ma motywu! Hurra!

- To nie jest gra, tato.

- Przepraszam.

- Bardzo trudno będzie ustalić, co należy zrobić z pieniędzmi - stwierdziła Paulina - ale jestem pewna, że pan Merivale tak załatwi sprawę, aby wszyscy byli zadowoleni.

- Dziwna rzecz, że nikt z was nie wiedział o śmierci lady Keene-Cotton. - Culley wrócił do tematu. - Sądziłbym bowiem, że natychmiast wysłali sir Willoughby'emu Keene-Cottonowi telegram.

- Mój ojczym nie wiedział - powiedziała Rhoda.

- Tak, zmarł bez tej wiedzy - podkreśliła panna Redpath. - Należy się z tego tylko cieszyć. I tak dopiero po świątach mógłby coś

w tej sprawie zrobić. Był w tak znakomitym nastroju i tak bardzo się cieszył na ubieranie choinki. Nie widziałam nic złego w tym, aby ukryć przed nim tę wiadomość, dopóki przyjęcie się nie skończy, więc nic o tym nie mówiłam.

Podniosła wzrok znad robótki i stwierdziła, że wszystkie oczy są skierowane na nią.

- Nic pani nie mówiła o czym, panno Redpath? - spytał Culley oficjalnym tonem.

- No jak to o czym? O śmierci lady Keene-Cotton.

- Pani wiedziała?

- Co to ma być?... Paulina, co ty wygadujesz?... Jak mogłabyś wiedzieć?...

- Niech się zastanowię - odparła Paulina, chcąc wszystkim odpowiedzieć na ich pytania. - To było wczoraj rano. Spotkałam na podjeździe gońca od telegrafu. Byłam zaskoczona, bo nie wiedziałam, że roznoszą depeche w drugi dzień świąt. Proszę się nie martwić - powiedziała, bo ogarnęło ją współczucie dla Culleya, który miał taką poważną i zdezorientowaną minę. - Schowałam ją w bardzo bezpiecznym miejscu. Chciałby pan, żebym po nią poszła? - spytała z rozpromienioną miną, kiedy przyszedł jej do głowy ten jakże fortunny i dobrze świadczący o jej troskliwości pomysł.

- Gdyby była pani taka łaskawa, panno Redpath.

- Paulino, doprawdy! - skarciła ją Rhoda, kiedy starsza pani wróciła, wymachując telegramem tak, jakby to był lizak na pocieszenie dla dziecka, które nabiło sobie guza. - Doprawdy! - powtórzyła, kiedy Culley przyjął tę nagrodę pocieszenia, nie okazując ani śladu wdzięczności. - Przynajmniej mnie mogłaś powiedzieć!

- Ależ nie, moja droga - zaprotestowała Paulina. - Wszyscy wie-

my, jaka jesteś sumienna, a to nieszkodliwe małe oszustwo wcale mnie nie martwiło. Inspektorze, mam nadzieję, że nie zrobiłam nic złego?

Widać było po niej, że sama tak nie uważa. Culley postanowił pominąć jej pytanie milczeniem. Starannie złożył telegram i schował do pękatego portfela. Potem wstał i zwrócił się do Rhody życzliwym tonem:

- Myślę, że na dzisiaj to będzie wszystko, pani Redpath. Mogę tylko przeprosić za najście w tak przykrych chwili.

- Ależ nie ma za co! - zawołała radośnie Rhoda.

- Zapraszamy, gdyby pan przypadkiem przechodził... - mruknął gościnnie Frank, ruszając w stronę drzwi.

- Wygląda na to - stwierdził Culley - że biedny starszy pan nie mógł umrzeć w bardziej niedogodnym momencie, prawda?

- No raczej... W rzeczy samej... Absolutnie! - potakiwali wszyscy na wyścigi.

- I sądzę, że niedługo znajdziemy wyjaśnienie dla tych śladów stóp - zapewnił Culley gospodarza, idąc za nim do wyjścia.

- Zawsze jestem do pańskiej dyspozycji, panie nadinspektorze - zaoferował się Frank.

W tym momencie zadzwonił dzwonek do drzwi.

- To będzie pan Merivale! - wykrzyknęła Rhoda. - Może pan zostanie i z nim porozmawia, panie Culley?

Nadinspektor odparł, że rozmowę z prawnikiem przewidział na później, a teraz planuje wrócić na komisariat, aby poznać wyniki sekcji zwłok.

- Teraz, kiedy zna pan już drogę... - mówił Frank, podając Culleyowi płaszcz, lecz nagle urwał i zakrzyknął: - Co? - Cofnął się i

przewrócił emaliowaną miskę z wizytówkami, która stała na stoliku w holu.

Culley w naciągniętym do połowy płaszczu zmierzał do wyjścia, a kamienną ciszę, jaka na chwilę zapadła, przerwał dziki wrzask Johna, który chwycił niechętną Margery wpół i zaczął z nią tańcować, a w końcu zupełnie bez tchu padł razem z nią na otomanę.

- Twarz taty! - wydukał bezsilnie. - K-k-kochanie, w-w-widziałś twarz t-t-t...!

Pojawiła się Keevil i bez słowa otworzyła drzwi frontowe.

Culley minął stojących za progiem zdezorientowanych ludzi i zręcznie umknął do swojego samochodu.

5

"Czy oni wszyscy urwali się ze szpitala wariatów, czy może to ja tracę rozum? - dumał, prowadząc ostrożnie do Mewdley. - Nie sądzą chyba, że w ciele denata znajdziemy arszenik. Na czym ten dowcip polega? Dziwnie to wygląda". Pokręcił głową, tak jakby dowcipy nie miały prawa być dziwne.

Kiedy wreszcie poznał wyniki autopsji, przeżył kolejny szok. W ciele denata wprawdzie nie było arszeniku, ale znaleziono w nim dużą ilość niedawno połkniętego laudanum - i to w dawce wystarczającej do uśmiercenia trzech starszych panów (jak to ujął lekarz policyjny).

Ponadto, według majora Smythe'a, widziano, jak podczas przyjęcia sir Willoughby Keene-Cotton spożywa szereg babeczek bakaliowych, a umiejscowienie tych treści w jelitach wskazywało, że zgon nastąpił w ciągu godziny od spożycia tychże babeczek.



"Hm! - pomyślał Culley. - Czy to jest ten dowcip...? W jaki sposób wiąże się z babeczkami bakaliowymi...?"

## IX. Babeczki bakaliowe po świętach

Culleyowi trudno było uwierzyć, że babeczki bakaliowe były za-trute. Doktorowi Trevorowi również. Pokręcił głową smutno i cierpliwie - taki miał nawyk.

Siedzieli we trójkę w gabinecie nadkomisarza.

- W takim razie jak pan tłumaczy wyniki sekcji zwłok? - spytał surowo major Smythe.

Doktor zareagował kolejnym wzruszeniem ramion i kręceniem głową, do czego dodał kilka nerwowych parsknięć.

- Przedawkował jakieś lekarstwo? - zasugerował w końcu Culley swoim cichym, aksamitnym głosem.

Nastąpiło cierpliwie okazanie dowodu numer trzy - pustej buteleczki syropu na kaszel znalezionej w pokoju denata przez Dawesa - a po nim trochę wachania i ostrożnego lizania.

- No tak, rzeczywiście - preparat laudanum. Hm. Bardzo dziwne. Ale od tego nic by mu się nie stało, no chyba że wypiłby duszkiem pięć takich buteleczek, a tego raczej nie zrobił.

Dowód rzeczowy numer jeden - czekoladki - okazał się nie bardziej satysfakcjonujący.

- Będziecie musieli poczekać na analizę jakościową - skarcił Trevor Culleya i Smythe'a za ich niecierpliwość.

- Nie widzę, jak to ma nam pomóc - marudził zirytowany Smythe. - Cała trucizna mogła być w tej jednej brakującej czekoladce, którą zjadł.

Trevor prychnął tylko lekceważąco.

- Nie dałoby się tego zrobić?

- Ależ dałoby się, kto powiedział, że by się nie dało... O Boże!...

Żeby się za długo nie rozwodzić, wymagałoby to wielkiej zręczności, a czekoladka miałaby bardzo dziwny smak - co to była za czekoladka?

W bombonierce znajdował się stosowny katalog, dzięki któremu udało się wydedukować, że brakująca czekoladka należała do grupy migdałowy ślimak. Ustalono również, że był to jedyny migdałowy ślimak w tym konkretnym pudełku.

- To rozstrzyga sprawę - ocenił Smythe. - Tak musiało być. Ktoś wiedział, że denat wybierze ją najpierw. Pozostałe okażą się pewnie nieszkodliwe...

Trevor doradził jednak gruntowne przebadanie wszystkich zżywanych przez denata lekarstw.

Culley zapewnił go, że nie zostanie to zaniedbane. Skoro znaleziono niepodważalne ślady otrucia, gruntownej analizie trzeba będzie poddać wszystko, co denat zjadł tamtego dnia.

Trevor powiedział, że śmierć na skutek zatrucia laudanum nastąpiłaby w ciągu kilku godzin, śmiertelna dawka różni się w zależności od wieku i stanu zdrowia denata i w przypadku sir Willoughby'ego Keene-Cottona wystarczyłaby całkiem niewielka ilość specyfiku, a ponieważ laudanum to oksydymorfina, spowodowałaby zaśnięcie, śpiączkę i zapaść, zwłaszcza w skojarzeniu z przejedzeniem.

- To mocno ułatwia sprawę, co? - rzucił Smythe do Culleya. - Raczej nie można wątpić, że się przejadł. Wszystkie te babeczki bakaliowe!... I to prawdopodobnie po sutym obiedzie. Mogę jednak zaręczyć, że nie był ani trochę senny, kiedy wystąpił jako Święty Mikołaj. W życiu czegoś takiego nie widziałem! Sam bym tak nie potrafił, a jestem przeszło dziesięć lat od niego młodszy.

No, no! Co nam to mówi, Culley? - Po czym sam sobie odpowiedział na to pytanie: - Po namyśle postawiłbym na babeczki bakałiowe. Strasznie mnie męczą. Wsuwał jedną po drugiej. Nie wiedziałem, że tak za nimi przepada, ale może ktoś inny wiedział?

- Ma pan na myśli jakiegoś innego uczestnika przyjęcia, panie nadkomisarzu?

- Bogiem a prawdą, nie bardzo widzę, jak ktoś mógłby zatruć czekoladki, Culley, skoro cały czas były w bałwanie; chyba że zamierza pan uwierzyć w tę piękną historyjkę, którą panu opowiedział Frank Redpath.

- Oczywiście mam ją z tyłu głowy, ale zgadzam się z panem, panie nadkomisarzu - nie potrafię na poważnie myśleć o nim jako o mordercy - zresztą o żadnej z tych osób nie potrafię myśleć jako o mordercy, nawet gdybyśmy znaleźli rozsądny motyw, którego do tej pory nie znaleźliśmy.

- W takim razie to musiałby być ktoś na przyjęciu - orzekł Smythe. - A niech mnie licho! Co za historia! Do tej pory nie mogę uwierzyć. Większość ludzi z przyjęcia od wielu lat znam z widzenia.

- Zauważył pan kogoś, kogo denat wydawał się szczególnie obawiać, panie nadkomisarzu?

- Niech pomyślę. Teraz, kiedy pan o tym wspominał... Był ten stary profesor, który próbował go przyszpilić - nigdy wcześniej go nie widziałem... I tak! Teraz, kiedy pan o tym wspomina - były dwie inne osoby, których starał się... powiedzmy, unikać - dokończył rozpromieniony Smythe.

- Tak? - dociekał cierpliwie Culley.

- Pierwszą z tych osób byłem ja - zakomunikował Smythe. - Nie

zdołałem z nim zamienić ani słowa. Unikał mnie, powiedziałbym, ostentacyjnie!

- A ta druga osoba, panie nadkomisarzu? - spytał jeszcze cierpliwiej Culley, doceniwszy mały dowcip nadkomisarza.

- Drugą osobą był biskup Mewdley.

- Rozumiem, panie nadkomisarzu.

Smythe powściągnął żartobliwe zapędy.

- Rzecz jasna, to naturalne, że czuł się dosyć niezręcznie na myśl o konwersowaniu ze znajomymi w przebraniu Świętego Mikołaja.

- Bardzo rozsądny wniosek - przyznał Culley. - Ktoś jeszcze? Doktor Trevor odchrząknął.

- Potrzebuje mnie pan jeszcze? - wtrącił nieśmiało.

- Co? Aha, wybacz, Trevor. Nie, nie sędzę.

Trevor ruszył do wyjścia.

- Nie był pan na wczorajszym przyjęciu? - spytał go niespodziewanie Smythe.

- Mmmm? Aa! Ha, ha!

Lekarz policyjny wyszedł, chichocząc.

- To już jest coś - rzucił Smythe, kiedy drzwi się zamknęły. - Była tam oczywiście ciotka Redpathów - podjął. - Nawiasem mówiąc, co pan o niej sądzi? Rozmawiałem z nią i powiedziała mi, że sir Willoughby Keene-Cotton był przez ostatni tydzień dosyć kłótlivy. *Difficile* - tego słowa użyła. To po francusku. Ale jeśli dobrze zrozumiałem, chodziło tylko o plany związane z przyjęciem. Nie chciał dopuścić nikogo z rodziny do tajemnicy, więc musieli zatrudnić bratanicę Wortleyów, którzy mieszkają obok, żeby się nim opiekowała. Muszę ją przesłuchać, Culley. Widywała go częściej

niż wszyscy inni, a sir Willoughby Keene-Cotton bywał przewrotny i całkiem niewykluczone, że zwierzył się obcej osobie również ze spraw niezwiązanych z przyjęciem. Co się tyczy przygotowań do ubierania choinki, odniosłem wrażenie, że między nim a Frankiem Redpathem o mało nie doszło do rękoczynów, przestali ze sobą rozmawiać i niezależnie od siebie realizowali własne plany. I oczywiście potem się okazało, że obaj wpadli na ten sam pomysł! Trochę frustrujące dla Redpatha. Starszy pan zabawiał się jako pierwszy, dowiedział się nawet o poszukiwaniu skarbu i próbował przypisać sobie całą zasługę. Można powiedzieć, że starał się skupić na sobie całą uwagę. Redpath udawał rozwścieczonego, ale tak naprawdę bardzo dobrze nad sobą panował.

- Ale to przecież możliwe, że był mocno wyprowadzony z równowagi?

- Tak, i najprawdopodobniej był. Ale nie jest to chyba motyw do zamordowania kogoś, jak pan sądzi?

- Raczej nie, panie nadkomisarzu. Pokłócił się również z panną Redpath, prawda?

- Z taką kobietą nie da się kłócić. Chodzi w chromowanej zbroi, po której wszystko spływa. Ja również nie widzę w niej morderczyni... Chyba że była w nim zakochana, po kolei powybijiała wszystkie jego żony, a na koniec jego samego, kiedy nikt nie mógł już zyskać ani pensa na jego śmierci. Chcę powiedzieć, że może być obłąkana - wyjaśnił przepaszająco. - Morderstwo ze złośliwości, co? Dobry tytuł, ale nie przywiązuję większej wagi do tej teorii. To prawda, że Paulina Redpath jest starą panną, kiedyś była guwernantką Rhody Redpath, ale nie sprawia na mnie wrażenia rozgoryczonej, odtrąconej kobiety. Wręcz przeciwnie, powiedziałbym,

że po cichutku ułożyła sobie życie - i przypuszczalnie również wszystkim innym - dokładnie tak jak chciała. A pan jak ją odebrał, nadinspektorze?

- Myślę, że znakomicie pan ją scharakteryzował, panie nadkomisarzu - odrzekł Culley, po czym zrelacjonował zwierzchnikowi epizod z telegramem.

- No widzi pan. Typowe! - Smythe się ucieszył, że fakty tak zgrabnie potwierdziły jego analizę psychologiczną.

- Czyli nie sądzimy, że to ona zatrąła babeczki bakaliowe, panie nadkomisarzu? - spytał Culley.

- Do diabła z babeczkami - rzucił Smythe. - Nawet jeżeli ktoś zatrął parę z nich, to za żadne skarby świata nie umiem sobie wyobrazić, jak miałyby doprowadzić do tego, żeby to sir Willoughby Keene-Cotton je zjadł.

- Raczej nie mógł wcisnąć mu ich do gardła - przyznał Culley. - O co chodzi, panie nadkomisarzu? - spytał, ponieważ zwierzchnik wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami.

Nagle speszony Smythe wybąkał:

- Chyba wariuję. Kiedy pan to mówił, przypomniała mi się jedna błądka związana z przyjęciem.

- Na temat babeczek? - dociekał Culley.

- Tak - ale do diabła z tymi paskudztwami! To, co teraz panu powiem, Culley, jest nieoficjalne i sam nie uważam tego za znaczące...

- Chętnie wysłucham, panie nadkomisarzu - zachęcał go cierpliwie Culley.

- Pamiętam, że panna Redpath podała mu kilka babeczek. John Redpath stał w pobliżu i spytał ją, czy nadstawia drugi poli-

czek, a ona odparła, że sypie mu na głowę rozżarzone węgielki. To wszystko.

- Ciekawe, o co jej chodziło - skomentował lakonicznie Culley.

- O nic! Jeśli rzeczywiście zatrul się babeczkami, to musiały mu zostać przysłane osobiście w paczce i nie musiał mu ich podawać ktoś z uczestników przyjęcia. Co pan na to?

- Państwo Freer zostawili trochę paczek, kiedy przyjechali w Wigilię - wyliczał Culley. - Ale z tego, co mi mówiono, na wszystkich widniał napis: "Nie otwierać przed pierwszym dniem świąt", a nie mieli motywu, żeby mordować go po świętach.

- W każdym razie - kontynuował nadkomisarz z lekkim uśmiechem - gdyby ktoś życzył sobie jego śmierci przed świętami, to nie zatrulby babeczek bakaliowych.

- Skąd ten wniosek, panie nadkomisarzu?

- Nikt nie je babeczek bakaliowych przed świętami, bo to podobno przynosi pecha.

- Trafny argument.

- Dziękuję panu. Ale chyba tracimy czas. Trwa wojna i popełniono morderstwo, a my gadamy bzdury o migdałowych ślimakach i babeczkach bakaliowych!

- Próbujemy ustalić, jak podano truciznę - wyjaśnił uspokajająco Culley.

- Sir Willoughby Keene-Cotton był starym człowiekiem - stwierdził Smythe. - Nie dopuszczał do siebie lekarzy, sam sobie dawkował lekarstwa i może któregoś razu przesadził.

- Łatwo go było zamordować. Powiedzieli tak zresztą Redpawie.

- Niby tak, ale nie mają motywu, Culley.



- Nikt nie ma motywu. To jest najbardziej znacząca kwestia w tym śledztwie.

Smythe wzruszył ramionami.

- Może pan to tak ująć, jeśli pan chce, ale wyniki sekcji zwłok mogą mieć najzupełniej naturalne wyjaśnienie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że od co najmniej pięćdziesięciu lat denat brał znaczne lekarstwa.

- Cieszę się, że pan poruszył ten temat, panie nadkomisarzu - powiedział Culley. - To może wyjaśniać, dlaczego Frank Redpath był taki przejęty, kiedy usłyszał, że otwieramy zwłoki.

- Rzeczywiście - przytaknął skwapliwie Smythe. - Musimy poczynać sobie ostrożnie, Culley.

- Zgadza się z panem, panie nadkomisarzu - powiedział Culley. - Nie neguję, że to może być czysty zbieg okoliczności, że sir Willoughby Keene-Cotton zmarł kilka godzin po swojej żonie i tuż przed przyjazdem pana Merivale'a, który miał sporządzić nowy testament. Nie umiem sobie wyobrazić, jak komukolwiek mogłoby przynieść korzyść, że zmarł bez wyznaczenia spadku...

Przerwał mu dzwonek jednego z wielu telefonów na biurku.

- Tak? - rzucił Smythe do słuchawki, przy pierwszej próbie wybierając właściwy telefon. - A! O wilku mowa. Natychmiast wprowadzić.

- Merivale?

Smythe skinął głową i zerknął na zegarek.

- Mam nadzieję, że nie mówi zbyt rozwlekle... Musi być prawie taki stary jak sir Willoughby Keene-Cotton...

Culleyowi nie wydało się to zbyt obiecujące.

Ale do gabinetu wpadł wysoki, chudy mężczyzna, i to z takim

impetem, jakby go ktoś kopnął w zadek.

- Uff! - powiedział pan Merivale, zdejmując czarny filcowy kapelusz i odsłaniając tym samym łysą i wysoko sklepioną czaszkę - był zresztą kompletnie bezwłosy, jeśli nie liczyć bardzo wąskich, krótko przyszytych wąsów, po których wyraźnie było widać, że je farbuje.

- Ależ pogoda! - wykrzyknął pan Merivale, energicznie zrzucił z siebie płaszcz i zaczął chuchać w dłonie. - Biedny sir Willoughby Keene-Cotton! W końcu umarł. Oczywiście bez wyznaczenia spadkobierców. Ubiegam się o tytuł zarządcy spadku. Najlepiej się do tego nadaję. W grę wchodzi mnóstwo pieniędzy. Wszystko powinna przejąć Korona. Nadinspektor Culley, tak? A, faktycznie, spotkaliśmy się w progę. Policja chce się wszystkiego dowiedzieć, dlatego tutaj jestem. Żadnej najbliższej rodziny, są jednak zobowiązania moralne, na które prawo spojrzę przychylnym okiem. Rodzina Horshamów. Redpathowie, bratanek i bratanica Kate Cameron - dziewczyna, która jeździ po Europie, chłopak w RAF-ie, z żoną i dzieckiem ewakuowanymi do Stanów. Wszyscy powinni coś dostać. Dalej idzie żona jego brata Rogera, nie żyje, ale zostawiła po sobie syna - renta wojskowa z ostatniej wojny, postrzelony w stopę, szkoda, sympatyczny chłopak, żonaty. - Znowu chuchnął w dłonie.

Smythe, który czuł się i wyglądał jak bardzo stary balon, z którego spuszczonego trochę powietrza, zdołał wtrącić pół zdania:

- Chce pan powiedzieć... Wszystkie te osoby... Znaczą... Mają roszczenia... Znaczą...

- Żadnych roszczeń, ale sir Willoughby Keene-Cotton praktycz-

nie ich utrzymywał. Nie widzę powodu, aby mieli stracić na jego śmierci...

- Rzeczywiście wydaje się dosyć drastyczne, aby mieli... Znaczący... Faktycznie... Znaczący...

Pan Merivale zaczął buszować w cygarnicy nadkomisarza, przyjmując za pewnik, że otrzymał stosowne zaproszenie.

- Pyta mnie pan o zdanie? - rzucił, odgryzając koniec cygara. - Powiem panu. To najlepsza rzecz, jaka mogła się wydarzyć.

- Doprawdy?

- Największy pożytek dla największej liczby ludzi. niesprawiedliwy testament. Zawsze tak mówiłem. Wszystko dla Horshamów i na tym by się skończyło...

- Ale... W sensie... Miał spisać nowy testament... Znaczący...

- Który mógł być jeszcze gorszy. Więc jeśli polujecie na mordercę, to powiem wam, gdzie szukać.

- Tak?

- Dobra wróżka - wyjaśnił lakonicznie pan Merivale. - W najbardziej odpowiednim momencie weszła przez komin. Ha, ha! Sam często o tym myślałem. Chcecie sprawdzić moje alibi? Dobra, coś się zmyśli. Teraz muszę już lecieć. Śmierć bez spadkobierców to zawiła sprawa, nie ma czasu do stracenia, jutro wszyscy mogą być martwi. Miejmy nadzieję, że wojna zabiła część osób, które były na utrzymaniu sir Willoughby'ego. Oszczędziłoby mi to mnóstwo zacho-  
du, ha, ha! Nie mówię tego poważnie, ma się rozumieć. Nienawidzę tej wojny, strasznie się boję, strata pieniędzy, strata czasu, strata ludzi, a na dodatek niczego nie dowodzi... - Włożył płaszcz i kapelusz, a następnie wziął do ręki aktówkę.

- Znaczący... Chwileczkę... - wydusił podenerwowanym tonem

Smythe.

- Coś jeszcze? - Zaskoczony Merivale obrócił się na pięcie i uniósł brwi, a dokładniej nieowłosione miejsce, w którym innym ludziom wyrastają brwi.

- Chodzi mi tylko... - Smythe się zaciął i poszukał wzrokiem pomocy u Culleya.

- Chodzi o tego bratanka, panie mecenasie - gracko podsumował całą kwestię Culley.

Smythe pokiwał z wdzięcznością głową i przepaszająco wzruszył ramionami. Nie żeby on i nadinspektor Culley nie wierzyli w dobre wróżki - zdawał się mówić jego wyraz twarzy - ale czy ten syn Rogera Keene-Cottona nie kwalifikuje się jako najbliższa rodzina...?

- Oczywiście! - potwierdził z emfazą Merivale. - Już dawno powinien być milionerem. A skoro sir Willoughby Keene-Cotton nie zostawił testamentu, to powinien być w stanie wykupić całą Europę i zakończyć wojnę. Jednakowoż został *expressis verbis* wydziedziczony. Najzupełniej legalnie.

- Czy... znaczy... to jest... znaczy...

- Czy wie o tym, że nie dziedziczy? - zinterpretował Culley słowa Smythe'a.

- Rzecz jasna. Nie ma sensu płakać nad rozlanym mlekiem. Miał stały dochód od rodziny i rentę, dość, żeby przeżyć jako kawaler...

- Ale mówił pan, że jest żonaty...?

- Myślicie, że on to zrobił? Na pewno nie! To byłoby zabijanie kury znoszącej złote jaja. Zresztą mieszkał za granicą. Teraz może

jest w Anglii, nie wiem, ale wkrótce się dowiem, dałem ogłoszenie w gazecie. Ktoś na pewno je zauważy.

- Tak, tak - zgodził się Smythe. - Keene-Cotton to rzadkie nazwisko. Proszę dać mi znać, kiedy pan go znajdzie.

- Nie zrobię tego, jeśli ma pan zamiar go powiesić - rzucił na odchodnym Merivale. Nagle się zachwiał i chwycił za klamkę, bo inaczej padłby jak długi na podłogę. - Keene-Cotton? Nie. Po rozwodzie przyjął nazwisko panięskie matki. Nie pamiętam dlaczego, ale sprawdzę to dla pana...

- A, tak, niech sobie przypomnę... - Smythe miał to nazwisko na końcu języka. - Roger Keene-Cotton ożenił się z panną...

- Freer - dopowiedział Merivale. - Millicent Freer. Ładna dziewczyna, jej ojciec był właścicielem maszyn kąpielowych w Durbanie. W końcu czemu nie?

Po tych słowach wyszedł.

## X. Przyjęcie rodzinne po świętach

1

Freer też jest nazwiskiem dosyć rzadkim.

Kolejny zbieg okoliczności? Culley uznał jednak, że warto będzie złożyć osobistą wizytę w Borrowfield.

Następnego dnia wyruszył wcześniej rano pociągiem - przy takim stanie dróg była to szybsza podróż niż samochodem. Przyszło mu do głowy, że państwo Freer, mimo głębokich zasp, w Wigilię przyjechali samochodem. Byli bardzo zestresowani, lecz wyrazili ulgę, kiedy usłyszeli, że sir Willoughby Keene-Cotton jest w znakomitym zdrowiu. Według Johna Redpatha ich zachowanie wynikało ze świadomości, że lady Keene-Cotton długo już nie pożyje. Bez ogródek nalegali, by sir Willoughby Keene-Cotton pilnie zmienił testament. Niemniej jednak nie zmartwiło ich, że to się stanie dopiero po świętach, i wyjechali, "wyglądając dziesięć lat młodziej", jak to ujęła spostrzegawcza panna Redpath! I zostawili prezenty świąteczne bez wyjątku opatrzone napisem "Nie otwierać przed drugim dniem świąt" na stole w holu razem z innymi prezentami, które (czy wiedzieli o tym?) również podlegały zakazowi otwierania przed drugim dniem świąt!

A sir Willoughby Keene-Cotton zmarł bez wyznaczenia spadkobierców, skutkiem czego jego bratanek powinien zostać dziesięciokrotnym milionerem. Owszem, według pana Merivale'a bratanek wiedział, że nie dziedziczy, ale pan Merivale wydawał się trochę za bardzo pewny siebie jak na ponadosiemdziesięcioletniego

staruszka, a poza tym co z panią Freer? Czy ona również o tym wiedziała?

Motywy po świętach, nie otwierać przed drugim dniem świąt, babeczki bakaliowe po świętach, morderstwo po świętach...

Dosyć problematyczny motyw, no i wybrano dosyć niepewny sposób popełnienia morderstwa... Opuścili jednakże Four Corners, wyglądając dziesięć lat młodziej. Tak jakby zapobiegli jakiejś katastrofie. Nie sprawiali wrażenia, że zdają się na los, tylko że coś zaplanowali albo umówili się na coś matematycznie pewnego.

Jak to możliwe? Skąd ta pewność?

Cóż, nie było większego sensu w zadawaniu sobie głupich pytań, chociaż dzięki tym spekulacjom monotonna podróż minęła nadinspektorowi Culleyowi w mgnieniu oka.

Z Ambledale do Borrowfield pojechał taksówką. Celowo nie uprzedził Horshamów o swojej wizycie i ciekawiło go, jak zostanie przyjęty. Taksówka była wprawdzie przedpotopowa, ale za to prowadziła ją ostrożnie bardzo elegancka młoda dama w czapce z daszkiem. Wysadziła go pod progiem niespodziewanie brzydkiego domu, z którego odchodziła farba, i zagłębiła się w lekturze książki *Literatura, filozofia i polityka świata* (wydanie kieszonkowe) w oczekiwaniu na to, aż jej usługi przewozowe znowu będą potrzebne.

Wiele okien domu było zasłoniętych czarnymi zasłonami, zapewne dla pokazania, że rodzina wciąż jest w żałobie, a drzwi niechętnie otworzyła Culleyowi zaczerwieniona służąca z widocznymi odmrożeniami.

Culley przybrał swoją najłagodniejszą i najbardziej uspokajającą postawę i wręczył służącej wizytówkę.

Nie okazała zaskoczenia.

- Zobacze, kto jest w domu - obiecala mu zdawkowo.

Culley musial poczekać na zewnatrz. Z glębi domu dobiegly go odglosy rozmowy, po czym sluzaca znowu sie pojawila, wciaz sama, i szybkim krokiem poszla na gore. Chwile pozniej rozleglo sie skrzywienie furtki ogrodowej i koło Culleya stanęła speszona kobieta z siatką na zakupy.

- O - wybąkala. - Dzień dobry. Jestem pani Horsham. Mój mąż... Co się stało? Znaczy... nie wejdzie pan?

- Jestem z policji, pani Horsham - zaczął Culley.

- Tak, oczywiście - przerwała mu życzliwie. - Tak mi przykro, ale bardzo się teraz martwimy. Mój mąż, wie pan - znaczy, jego matka - jak powiedziałam wczoraj wieczorem inspektorowi...

- Inspektorowi?

- No, temu w sprawie światła w pakamerze.

- Jestem z Mewdley, pani Horsham, i wykonuję rutynowe czynności w związku ze śmiercią sir Willoughby'ego Keene-Cottona.

- Ach tak? - odezwała się pani Horsham ściszym głosem i nabożnie zamknęła drzwi. - Tędy - powiedziała i ruszyła przodem na paluszkach.

Culley znalazł się w małym, skąpo umeblowanym pokoju, najwyraźniej przeznaczonym dla odwiedzających o wątpliwej pozycji społecznej. Pani Horsham z głośnym trzaskiem podpałiła w kominku coś przypominającego koks i zaprosiła Culleya, żeby usiadł w pobliżu i się ogrzał.

- Taka zdradliwa pogoda dla starych ludzi - powiedziała, wskazując tę pogodę ręką - i to w święta; do tego jeszcze wojna i



wszystko... i wszystko - dodała szybko, aby nie pozostawiać żadnych kwestii bez wyjaśnienia, po czym zdjęła wełnianą czapkę, co pozwoliło Culleyowi dostrzec ładną kobietę, która na skutek poważnego podejścia do życia straciła cały kształt i barwę.

Usiadła na skraju głębokiego fotela i spojrzała na gościa z mądrą miną, wyczekująco zaciskając usta.

- Przepraszam, że się narzucam w takim momencie - powiedział oficjalnie Culley - ale sir Willoughby Keene-Cotton zmarł tak nagle, jak pani wie...

- Rzeczywiście! Dzwonił pan do mnie. Obawiam się, że... To się wydawało takie... Trzy zgony w ciągu kilku godzin, znaczy... To jest...

- Trzy, pani Horsham?

- Stara pani Turtle... Będzie nam jej brakowało...

Culley cmoknął.

- Pani teściowa, lady Keene-Cotton, również zmarła nagle?

- Od jakiegoś czasu słabowała. Trwała przy życiu siłą woli, jak mówi mój mąż. Chyba sam nie zdawał sobie sprawy, ile w tym było prawdy. Kiedy przekazaliśmy wiadomość, po prostu zasnęła i już się nie obudziła. Jej życiowa walka się skończyła.

- Skończyła... - powtórzył cicho Culley, a potem się otrząsnął i spytał:

- Jaką wiadomość ma pani na myśli?

- O śmierci jej męża - wyjaśniła pani Horsham, ciągle pogrążona w transie.

Culley nie pokazał po sobie ani śladu zaskoczenia czy dezorientacji.

- Lady Keene-Cotton zmarła w pierwszy dzień świąt - powie-

dział.

- Cóż za smutne święta - skwitowała krótko pani Horsham.

- Sir Willoughby Keene-Cotton, wie pani, zmarł dopiero w drugi dzień świąt, a może nawet następnego dnia.

Panią Horsham przeszedł dreszcz.

- Poczuliśmy się prawie tak, jakbyśmy to jednak my go zamordowali.

- Jednak?

Nareszcie ocknęła się z transu.

- Widzi pan - wyjaśniła posępnie - żartowaliśmy sobie kiedyś na temat zamordowania naszego bogatego ojczyma. Niezbyt sympatyczna myśl, prawda? Biedna Josephine od jakiegoś czasu miała mętlik w głowie. Naprawdę uważała, że to ona zamordowała męża, i to ją martwiło...

- Naturalnie - mruknął z wielką cierpliwością Culley.

- Znaczy dostawała od niego listy i zdawała sobie sprawę, że wciąż żyje.

- O.

- Doktor Clark mówi, że starzy ludzie dosyć często mają takie urojenia. Myśli od czynów oddziela taka cienka linia... Żona doktora też miała urojenia, tylko w jej przypadku dotyczyły małego dziecka - najczęściej dotyczą małego dziecka. Jakie to straszne umrzeć z grzechem na sumieniu, mówi mój mąż.

- Wydaje się jednak, że to nie był przypadek pani teściowej. Mówiła pani, że to nie sumienie ją męczyło.

- Nie możemy jej oceniać według zwyczajnych kryteriów. Całe życie musiała myśleć o pieniądzach, więc siłą rzeczy w końcu nic innego nie wydawało się jej zbyt realne. Realne było dla niej tylko,

że umiera wcześniej od męża i zostawia nas bez środków do życia. Widzi pan, wszyscy zaczęliśmy liczyć na spadek... Teraz, kiedy ceny są dwa razy wyższe i dwóch chłopców chodzi do szkoły - co tydzień nowe zeszyty! - a do tego jeszcze Archie i Dinah - choć on chyba jakiś czas temu sprzedał swój udział - nic więc dziwnego, że biedna Josephine miała poczucie, że na nią liczymy i że nas zawiedzie - co w pewnym sensie było prawdą - i to dlatego Angelina, moja szwagierka, zdecydowała się pojechać tam osobiście, żeby przepisać wszystko na nią. Tak postanowiła i tak zrobiliśmy; ona i jej matka zawsze dobrze się rozumiały; jakie to cudowne! Wróciła i powiedziała, że z pieniędzmi wszystko dobrze się ułoży, ale powie matce, że sir Willoughby Keene-Cotton nagle zmarł, bo tak będzie prościej. I tak zrobiła. Mojemu mężowi to się nie podobało, ale nie miał pojęcia, że to prawda, nikt nie miał pojęcia, i Josephine zmarła w spokoju ducha, nie mając najmniejszych podejrzeń, że my... że Angelina...

Przerwał jej odgłos kroków na schodach.

Po chwili do pokoju weszła rozkojarzona i zdyszana kobieta w wieku lat około trzydziestu.

- O! - powiedziała na widok nadinspektora. - Nie wiedziałam, że masz gościa, Verna.

A ponieważ w palcach ozdobionych pięknym manikiurem obracała wizytówkę Culleya, oświadczenie to należało potraktować nieco metaforycznie.

- A oto i moja szwagierka! - zawołała pani Horsham, tak jakby wtargnięcie tejże potwierdzało wszystko, co mówiła nadinspektorowi.

Wstała i zaczęła wykonywać takie gesty, jakby karmiła niewi-

działne kury - Culley uznał, że w ten symboliczny sposób oficjalnie ich sobie przedstawia.

- Pani Freer? - spytał. - Bardzo się cieszę. Chciałbym zamienić z panią parę słów. W cztery oczy, jeśli to możliwe.

- Chodzi o śmierć sir Willoughby'ego Keene-Cottona - wtrąciła szybko Verna.

- Pewnie włączyli w to koronera - stwierdziła chłodno Angelina. - Dobrze. Verno, możesz odejść. Ja się zajmę panem Culleyem.

Verna oddaliła się bez większych protestów, najwyraźniej przyzwyczajona do przyjmowania poleceń Angeliny.

- Proszę usiąść, nadinspektorze - zaproponowała Angelina z wdziękiem mruczącej kotki (co kryło w sobie dodatkowy podtekst: "Mnie nie musi pan się bać").

Podeszła do kominka, następnie usadowiła Culleya na głębokim, ale niezbyt eleganckim fotelu, a sama z wdziękiem przysiadła na obitej tapicerką (teraz nieco podartą) osłonie kominkowej.

Kiedy już dzięki temu zyskała nad nim dużą przewagę sytuacyjną, poczęstowała go papierosem. Odmówił, sama jednak zapaliła.

- Wydobył pan z mojej szwagierki coś użytecznego? - Culley nie odpowiedział, więc dodała: - Verna to straszna kłamczucha.

- Doprawdy?

- Gryzie ją sumienie - wyjaśniła Angelina Freer. - Nie wiem, z czego to wynika, ale im bardziej ludziom dokucza sumienie, tym więcej kłamią. Cyril jest o wiele gorszy - a może powinnam powiedzieć: lepszy? - bo on naprawdę wierzy we wszystkie swoje kłamstwa. Zamierza pan go przesłuchać?

- Może pani powie mi wszystko, co chcę wiedzieć.

- To zależy, co dokładnie chce pan wiedzieć.
- W Wigilię przyjechaliście z mężem samochodem, aby odwiedzić pani ojczyma?
  - Owszem - odparła Angelina, nie mając nic do ukrycia.
  - To wtedy zobaczyła pani ojczyma po raz pierwszy?
  - Po raz pierwszy i najwyraźniej ostatni.
  - Może mi pani powiedzieć, co między wami zaszło?
  - Pięknie pan to ujął! Nic szczególnego "między nami nie zaszło". Jak pan wie, chciałam, żeby zrobił coś z testamentem, zanim będzie za późno. Nie było mi łatwo przejść do rzeczy. Tak wiele o mnie słyszał i tak bardzo chciał mnie poznać, że ciągle przesadzał mnie z krzesła na krzesło, żeby mnie dobrze widzieć. Uzmysłowiłam mu, jak bardzo chora jest biedna matka i jak bardzo on sam jest stary, a on ciągle pytał, jak się mam, gdzie mieszkam i za kogo wyszłam za mąż...
    - Nie wiedział, że wyszła pani za jego bratanka?
    - Właśnie to było takie dziwne! Musiał wiedzieć, ale najwyraźniej zapomniał.
    - Osobliwe - skomentował Culley.
    - No cóż, był bardzo stary.
    - Ale próbowała mu pani przypomnieć?
    - Owszem, próbowałam, ale nie wiem, czy to sobie przyswoił. Spytałam, czy chciałby zobaczyć Puffy'ego, ale ten pomysł dosyć mocno go przeraził. Powtarzał, że chce widzieć tylko mnie. A potem znowu zapytał, jak się mam, gdzie mieszkam i za kogo wyszłam za mąż.
    - Ale koniec końców obiecał coś zrobić z testamentem?
    - Tak, nareszcie zrozumiał, że matka prawdopodobnie umrze

wcześniej od niego.

- Czy to go zaszokowało?

- Powiedziałabym raczej, że ucieszył się na myśl, że ją przeżyje. Podejrzewam, że bardzo starzy ludzie tak mają. Był najzupełniej pewien, że pożyje jeszcze wiele lat, ale obiecał zaraz po świętach posłać po prawnika, jeśli to ma nas uszczęśliwić.

- Szkoda, że nie pożył jeszcze kilku godzin dłużej - ocenił Culley.

- Bardzo niefortunne - przyznała Angelina.

- Albo nie umarł kilka godzin wcześniej...

Angelina zmarszczyła brwi i zgasła papierosa.

- Tak - wyszłoby na to samo, prawda? Ale nie wiemy oczywiście, jak wyglądałby zmieniony testament.

- Święta prawda - potwierdził Culley. - Może to dobrze, że zmarł bez wyznaczenia spadkobierców. Tak wydaje się myśleć pan Merivale, jego adwokat. Na pani miejscu bym do niego napisał. Oszczędzi mu to publikowania ogłoszeń w sprawie pani męża.

- Co to ma znaczyć? - spytała ostro Angelina. - Przecież Puffy nie dziedziczy.

- Pan Merivale uważa, że może uda mu się coś zrobić - odpowiedział jej Culley bez emocji.

- Przecież to absurdalne - prychnęła nieufnie Angelina.

- Nie zaszkodzi spróbować - zwrócił jej uwagę Culley. - Sądziłem, że ucieszy się pani z tej informacji.

- Och, ja... cieszymy się oczywiście, no chyba że - uśmiechnęła się rozbrajająco - zamierza pan nas aresztować za morderstwo.

- Na razie nie ma mowy o aresztowaniu kogokolwiek za morderstwo - zapewnił ją Culley.

- Byłam przekonana, że jest inaczej - mruknęła Angelina ze strapioną miną. - W takim razie po co pan tutaj przyjechał?

- Chcemy mieć wszystko ładnie poukładane, zanim wejdzie koroner.

- Rozumiem. "Obecnie nie ma żadnych podstaw do podejrzeń, że doszło do przestępstwa" - zacytowała, nie potrafiąc ukryć ulgi w głosie. Oczy nadal jednak miała czujne. Wyjęła kolejnego papierosa i przyglądając się mu, rzuciła od niechcienia: - Tak przy okazji, w jaki sposób umarł? To znaczy... tak naprawdę.

Papieros nie odpowiedział, więc włożyła go do ust.

- Zmarł z powodu otrucia laudanum - odpowiedział Culley i papieros pozostał niezapalony. - Na razie nie ustaliliśmy, w jaki sposób je zażył. Ponieważ miał zwyczaj zażywać wiele leków patentowych, na wnioski jest trochę za wcześnie.

- Oczywiście - zgodziła się rzeczowo, a gdy zauważyła, że Culley na nią patrzy, spytała z zainteresowaniem: - Co to jest laudanum?

- Preparat opium - odparł Culley swobodnym tonem. - Zdaje się, że czasem używany w syropach na kaszel.

- Rzeczywiście mocno kaszlał. - Angelina w końcu zapaliła papierosa. - Nie znaleźliście w jego pokoju pustej buteleczki po syropie na kaszel?

- Zgadza się, proszę pani, znaleźliśmy. - Odczekał kilka chwil, a potem wstał i powiedział: - Będę się zbierał. Mógłbym przed wyjściem zamienić parę słów z pani mężem?

- Chce się pan zobaczyć z Puffym? Jest w ogrodzie. Przyślę go do pana.

- Proszę się nie kłopotać. Niech pani zostanie tu, w cieple, pani Freer. Chętnie rozejrzę się po ogrodzie.

- Proszę mu powiedzieć, żeby przestał odświeżać i przyszedł do domu - poleciła Angelina. - Pan niech też przyjdzie i napije się czegoś przed odjazdem.

- Będzie mi bardzo miło. - Culley uprzejmie przyjął zaproszenie i wyszedł do ogrodu.

2

Puffy'ego łatwo udało się zlokalizować.

- Akurat kiedy postanowiłem się zająć jakąś robotą - powiedział zakłopotany nadinspektorowi. - Złapał mnie pan na gorącym uczynku! Rozmawiał pan z moją żoną? Świetnie! Jeśli ona nie zdołała pana przekonać, że tego nie zrobiliśmy, to nie wiem, jak mnie miałyby się to udać.

- Czego nie zrobiliście, panie Freer? - spytał niewinnie Culley.

- No jak to czego, morderstwa.

- O jakie morderstwo panu chodzi?

- To się panu udało! Mogliśmy też ukatrupić starszą panią! Nie przyszło mi to do głowy.

Wbił łopatę w stertę śniegu i poprowadził nadinspektora ogrodową ścieżką.

- Czyli sądzi pan, że sir Willoughby Keene-Cotton został zamordowany? - spytał Culley.

- Nie, nie - odparł Puffy, uświadomiwszy sobie, że funkcjonariusze policji bywają trochę za bardzo dosłowni. - To tylko taki żart między Angy a mną. Wymyślaliśmy kiedyś różne misterne sposoby zamordowania naszego ukochanego i bogatego krewnego. Coś pan mówił? - spytał tuż po tym, jak głośno zarechotał.



- Czy coś mówiłem, panie Freer? Nie, nie sędzę - odparł Culley, który tylko westchnął.

- Więc widzi pan - ciągnął Freer - gdybyśmy to my byli odpowiedzialni za tę robotę, tobyśmy jej tak bardzo nie spaprali. Bo przecież zabito ich w złej kolejności. Rażąca niedbałość, co?

- Jednak z tego, co zrozumiałem, jest pan najbliższym krewnym sir Willoughby'ego Keene-Cottona.

- Co takiego? - Puffy stanął jak wryty. Szybko się jednak opamiętał, wziął nadinspektora pod rękę i odprowadził go jak najdalej od domu, w którym najprawdopodobniej miały swoje źródło takie kuszące spekulacje. - Nie, inspektorze. To była tylko odrobina myślenia życzeniowego mojej żony. Sądziła, że będziemy w prawie. Że dowiedzimy "niesprawiedliwości" czy coś. Obawiam się jednak, że nic z tego.

- A to dlaczego? - zapytał współczująco Culley. - Prawo nie traktuje tego rodzaju wyjątków zbyt życzliwie, panie Freer. Zwłaszcza jeśli nie ma innych żyjących krewnych.

- To na nic. - Freer poprawił wysłużony duszpasterski kapelusz, który z nieznanych powodów miał na głowie. - Stary niezguła - znaczy prawnik - panu to powie, chyba że wszystko mu się zapomniało. Prawda jest taka, że mój ojciec już dawno temu sobie wymyślił, że nie jestem jego synem.

- Och - powiedział Culley, kiedy dotarli do ceglanego muru i zawrócili.

- Tego właśnie dotyczyła cała ta awantura - ciągnął Puffy. - Pewnie miał rację. Nigdy się tego nie dowiemy. W ogóle do siebie nie pasowali. Mama była niezależna finansowo, więc nie chciało jej się robić rabanu - jej ojciec był naprawdę nieźle sytuowany i zo-

stawił jej całkiem spory majątek. Plaża kąpielowa w Durbanie. Oczywiście już dawno sprzedała interes.

- Więc kiedy pańska matka zmarła... - odpowiedział Culley.

- Ma pan rację: powinienem być względnie bogatym człowiekiem. A nawet byłem i mógłbym nadal być. Sam sobie jestem winien... Podczas ostatniej wojny straciłem dwa palce u nóg, dzięki czemu mam dożywotnią rentę. Zawieszenie broni, mama nie żyje, bez żony, bez domu, bez pracy. Nie miałem nic oprócz mnóstwa pieniędzy. Wszystko szybko przegrałem w kasynie. No, może nie wszystko - część poszła na hulanki i swawole, a resztę przepiłem. Ciekawi pana to wszystko, inspektorze? - Culley zapewnił go, że tak. - Nie bardzo rozumiem dlaczego. Ale chciałbym, żeby pan wszystko wiedział, to panu oszczędzi wiele mozolnej pracy śledczej, prawda? Będę więc z panem absolutnie szczerzy. Tak, przyznaję, że w pewnym okresie życia było ze mną kiepsko - o mało nie poszedłem do pracy!

- Co temu zapobiegło?

- Sir Willoughby Keene-Cotton temu zapobiegł. Po śmierci starego sir Rogera de Covely odnalazł mnie i dał mi stały dochód, więc znowu byłem uratowany przed tym najcięższym upokorzeniem, czyli wzmiankowaną koniecznością podjęcia pracy, i zacząłem, jak przystało na dzentelmena, znowu pić! - Kolejne parsknięcia śmiechu. - Spędzałem życie w hotelowych barach na kontynencie, okrywając Anglię złą sławą. W hotelu Towers w Nicei dostałem taką niby-pracę, która polegała na tym, że opiekowałem się turystami. Tak poznałem Angy. Była wcześniej z jakimś draniem, który zostawił ją na pastwę losu, i zarabiała trochę podobnie jak ja - organizowała partie brydża i takie tam. Nigdy wcześniej nie my-

ślałem o małżeństwie, ale wywiedziałem się na jej temat, a ona na mój i jakoś to się zazębiło. Angy ma bardzo silny charakter, chociaż udaje głupiutką. Powiedziała mi coś, z czego wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, a co mnie pięknie otrzeźwiło: że po śmierci wujka Williego nie będę już miał dochodu. Czyli będę musiał wziąć się w garść i zacząć coś robić.

- Więc się pan z nią ożenił - podsumował Culley.

- Uratowała mi życie - stwierdził po prostu Freer. - A teraz oboje jesteśmy biedni jak myszy kościelne i mimo wszystko będę musiał znaleźć jakąś pracę. Może to dobrze?

Culley dopiero po kilku chwilach się zorientował, że szkic autobiograficzny, którego tak cierpliwie wysłuchał, zakończył się pytaniem, i postanowił na nie odpowiedzieć.

- Myślę, że prawnik sir Willoughby'ego Keene-Cottona - pan Merivale - rozważa między innymi pański przypadek. Z pewnością niedługo się do pana zgłosi.

Zaskoczenie Puffy'ego wyglądało najzupełniej naturalnie.

- Stary niezguła? Sądzi pan, że coś zaszła?

- On sam zdaje się w to wierzyć.

Puffy zdobył się na głębokie westchnienie i powiedział:

- No, no! Chyba zawiązano spisek przeciwko temu, żebym uczciwie zarabiał na życie, prawda? Mówił pan o tym Angy?

- Pańska żona nie wie?

- Skąd miałyby wiedzieć?

- Wydała mi się inteligentną osobą.

- Prawda? - zgodził się z nim Puffy z najzupełniej spontanicznym i szczerym entuzjazmem. Ten chłopięcy wyraz twarzy już po chwili ustąpił miejsca podejrzliwej minie. - Czy pan próbuje nas

na czymś złapać? - zapytał z wyrzutem. Spojrzenie Culleya wydało się aż za bardzo niewinne, więc kontynuował: - Próbuje pan udowodnić, że mamy motyw? To znaczy co do morderstwa po świętach? Bez szans. Mamy alibi.

Skoro już rozmowa potoczyła się tym torem, Culley zwrócił mu uwagę na następującą rzecz:

- W przypadku otrucia alibi nie ma większego znaczenia. Gdyby dźgnięto go nożem albo zastrzelono...

- Rozumiem - powiedział powoli Freer. - Mógł zostać otruty na sto sposobów, w dowolnym momencie i przez prawie każdego. Mógł też połknąć to przypadkowo, prawda? Był wielkim miłośnikiem toników. Moja żona mówi, że w jego pokoju stało całe mnóstwo buteleczek. Jedna z nich mogła zawierać laudanum... - urwał, kiedy zbliżyli się do domu.

- Tak, w istocie - odparł cicho Culley.

Do domu weszli w milczeniu. Freer powiesił znoszony kapelusz na wieszaku, odsłaniając rzadkie, bezbarwne włosy, które wyraźnie odcinały się od jego czerwonej twarzy, czyniąc ją jeszcze czerwiejszą.

- Bo to... znaczy... to był ten lek, który, jak pan mi mówił, spowodował jego śmierć, prawda?

- Owszem - potwierdził Culley.

- A - stwierdził życzliwie Freer. - Nie ma to jak trochę ruchu, żeby się rozgrzać, co?

Starł pot z twarzy i zaprowadził nadinspektora do salonu.

Salon plebanii znajdował się na pierwszym piętrze; najwyraźniej było to przerobione poddasze nad garażem, do którego prowadził długi korytarz. Pomieszczenie miało aż trzy ściany zewnętrzne, więc nie nadawałoby się do zamieszkania, gdyby nie antracytowy piecyk, wokół którego oprócz Verny i Angeliny kulił się również sam proboszcz i pielęgniarka ze szpitala w pełnym rynsztunku wojennym.

Wielebny Cyril Horsham był mężczyzną o ziemistej cerze i kanciastej szczęce, miał takie same jak Angelina duże, brązowe oczy o ciętym spojrzeniu i tak samo jak ona czarne włosy. Brat i siostra byli do siebie bardzo podobni. Culley nie mógł się nadziwić, jak to możliwe, że przy tak podobnych rysach twarzy Angelina jest taka piękna, a Cyril Horsham tak mało urodziwy. Fotografia lady Keene-Cotton podpowiedziała mu, skąd wzięły się te rysy, a potem zaczęło nurtować go pytanie, jak to możliwe, że oboje mają tak idiotyczne miny.

Odmówił pozostania na obiedzie, ale dał się poczęstować alkoholem i ze współczuciem słuchał opowieści proboszcza o ostatnich chwilach jego matki - opowieści zakończonej elokwentnym i długim hołdem dla życzliwości, ofiarności i sumienności siostry Hastings, która miała zostać z nimi aż do pogrzebu. Pielęgniarka słuchała tego bez żadnych oznak emocji na kamiennym obliczu.

W związku z jakimiś dobiegającymi z dołu młodocianymi wrzaskami Verna opuściła pokój. Culley nadstawił ucha i spytał, czy to ta dwójka dzieci wróciła do domu. Proboszcz odparł, że jeździły na sankach, że dwójka jest jego, chłopiec i dziewczynka, oprócz tego jest jeszcze adoptowana przez nich sierotka, a także dwójka dzieci ewakuowanych.

Na co Angelina mruknęła enigmatycznie:

- Biedna Verna... Po tym wszystkim, co przeszła...! - Po czym siostra Hastings nagle wybiegła, aby uspokoić jakiś domowy harmider.

Przed wyjściem Culleyowi udało się jeszcze przydybać pielęgniarkę. Dowiedział się, że lady Keene-Cotton doszła do siebie po dwóch udarach, które pozostawiły po sobie tylko sporadyczne napady dezorientacji. Śmierć nastąpiła całkiem nagle i bezboleśnie z powodu krwotoku mózgowego. Tak, od kilku lat brała laudanum, ale przez te ostatnie tygodnie życia nieregularnie, ponieważ nie należała do kobiet, które kapitulują wobec bólu. Ważna była dla niej przede wszystkim świadomość, że laudanum jest pod ręką i że ona w każdej chwili może po nie sięgnąć - siostra Hastings wyraziła nadzieję, że nadinspektor Culley rozumie ten stan.

Nadinspektor Culley odparł, że chyba tak.

Nie uzyskał już żadnej innej istotnej informacji, może poza tą, że w drugi dzień świąt zmarła lady Turtle, wielebny Cyril przejechał w sumie czternaście mil na rowerze, aby ją wyprawić na tamten świat, i wrócił do domu dopiero późnym wieczorem, co albo zapewniało mu alibi na czas przyjęcia u Redpathów, albo nie zapewniało - w każdym razie można to sprawdzić, gdyby zaszła taka konieczność.

## XI. Rozprawa u koronera

1

- Ależ do diaska, człowieku, to zamyka sprawę!

- Niekoniecznie, panie nadkomisarzu - odparł z szacunkiem Culley.

- To jak pan wytłumaczy, że ten osobnik wiedział, że sir Willo-ughby Keene-Cotton zmarł z powodu zatrucia laudanum? Może telepatycznie?

- To rzeczywiście wydało mi się trochę podejrzanę - przyznał spokojnie Culley.

- A jego żona skierowała pańską uwagę na pustą buteleczkę po syropie na kaszel?

- To łatwiej daje się wytłumaczyć. Mogła ją tam widzieć.

- Bardziej prawdopodobne, że sama ją tam zostawiła.

- Razem z pudełkiem zatrutych czekoladek? Przecież wszystkie czekoladki zostały zbadane i okazały się nieszkodliwe, jak sam pan mówił.

- Wszystkie te, których nie zjadł, Culley. O tych, które zjadł, nic nie wiemy.

- Co każe nam powrócić do tematu migdałowego ślimaka - powiedział zadumany Culley i dodał tytułem wyjaśnienia: - Skoro doktor twierdzi, że śmierć musiała nastąpić w ciągu kilku godzin po spożyciu trucizny.

- Są jeszcze babeczki bakaliowe - przypomniał mu Smythe - nie wspominając o tych wszystkich patentowych lekarstwach. Paczki na stole w holu mogły być - i przypuszczalnie były - pomyślane ja-

ko zasłona dymna. Tak inteligentna kobieta bez problemu wymyśliłaby scenariusz otrucia takiego staruszka - bardzo łatwego do zamordowania, przypominam panu - w którym laudanum zostało by połknięte dopiero po paru dniach. Każdy, kto znał sir Willoughby'ego Keene-Cottona, potrafiłby to wszystko opracować z matematyczną precyzją.

- Ciekawa uwaga - stwierdził Culley - ale przecież ona go nie знаła, panie nadkomisarzu. Nigdy wcześniej go nie spotkała.

- Nie poznała go osobiście, to prawda...

- No i przydałby się bardziej przekonujący motyw dla państwa Freer, panie nadkomisarzu. To znaczy po świętach...

Smythe skwapliwie zabrał się za szukanie motywu, brzydtko marszcząc przy tym czoło. W końcu rozpromienił się i powiedział:

- Co pan powie na to: chcieli, żeby umarł przed świętami!

- Aha! - odparł Culley. - Dużo lepiej!

- Wszystko się zgadza! - zawyrokował Smythe wdzięczny za tę zachętę. - Jak tylko pani Freer się zorientowała, że jej matka umrze, postanowiła dopilnować, żeby jej bogaty ojczym umarł wcześniej!

- Czyli zamordowała go dla dobra swojej rodziny, panie nadkomisarzu?

- Sam pan mówił, że sprawia wrażenie jedynej w tym gronie osoby, która ma wszystkie klepki na miejscu, i że najwyraźniej przyzwyczaili się do tego, że to ona wyciąga ich z tarapatów.

- Zgadza się - przyznał Culley - ale tym razem chyba nie wyciągnęła, prawda, panie nadkomisarzu?

- Nie, nic z tego nie wyszło. Ale nie mogła wiedzieć, że jej mat-



ka umrze w pierwszy dzień świąt. Prawdopodobieństwo tego było bardzo niewielkie.

- Taka kobieta nie stawiałaby na tak niepewnego konia - przyznał Culley.

- W takim razie musimy wziąć pod uwagę dwa istotne czynniki - powiedział stanowczo Smythe. - Po pierwsze, w grę wchodziło mnóstwo pieniędzy. Po drugie, sir Willoughby Keene-Cotton był człowiekiem łatwym do zamordowania. Nie musimy więc poszukiwać osoby o mentalności zabójcy. Nie chodzi zatem o znalezienie kogoś, kto go zabił, tylko zbieranie dowodów do czasu, aż odkryjemy, kto mu pozwolił samemu się zabić. Dobra, czeka nas mnóstwo roboty, a jutro jest rozprawa u koronera. Poproszę o jej odroczenie. Zgadza się pan?

- Nie, panie nadinspektorze.

- Że jak?

- Myślę, że wystarczy nam dowodów dla ławy przysięgłych u koronera, panie nadinspektorze. Moim zdaniem im szybciej zakończymy śledztwo, tym lepiej. Nawet jeśli uzyskamy niejednoznaczny werdykt, oczyścimy trochę atmosferę, a jednocześnie wcale nie będziemy musieli odkładać sprawy na półkę.

- Chyba ma pan rację - zgodził się niechętnie Smythe i westchnął. - Rozprawa u koronera z pewnością nie zagmatwa sprawy bardziej, niż pan próbuje to zrobić. W takim razie lepiej niech pan już leci, Culley, i porozmawia z Footringiem.

- Dziękuję, panie nadkomisarzu - powiedział Culley i wstał, żeby wykonać polecenie, ale nie chcąc zostawiać nadkomisarza w tak ponurym nastroju, dodał: - Moim zdaniem koronera warto zaan-

gażować choćby tylko w celu uzyskania satysfakcjonującego wyjaśnienia tych śladów stóp.

Smythe wytrzeszczył oczy, a potem jęknął:

- Naprawdę wciąż się nimi zajmujemy?

- W każdym razie ja wciąż się nimi trochę zajmuję, panie nadkomisarzu. To dosyć logiczne - wyjaśniał zwierzchnikowi - że denat nie mógł zostać zamordowany przez Franka Redpatha i porzucony na trawniku, a jednocześnie wypaść przez okno poddasza i stoczyć się po zboczu, i jeszcze zostać otruty przez pana i panią Freer, prawda, panie nadkomisarzu?

- Skoro tak pan to ujmuje, to nie mógł - zgodził się Smythe. - Ale w takim razie nie widzę, jak mielibyśmy to wyjaśnić jutro u koronera. Dobra, niech pan już leci.

2

Rozprawa u koronera odbyła się następnego dnia w sali Crown Hotel w Mewdley.

Herbert Footring, koroner, był miejscowym adwokatem i prowadził rozprawę taktownie, kompetentnie i spokojnie. Zgromadził dygoczącą z zimna ławę przysięgłych, która na początku była bezdennie znudzona, ponieważ koroner nie podjął żadnych szczególnych wysiłków, aby ich zainteresować, a przynajmniej trochę rozruszać ich mózgi. Cierpliwie słuchali fachowego wywodu doktora Trevora o materiale dowodowym. Zrozumieli, że sekcja zwłok wykazała, iż przyczyną śmierci było zatrucie laudanum, i wiedzieli, że ich sprawą jest zdecydować, w jaki sposób albo za czyją sprawą trucizna dostała się do organizmu denata. Kobieta w skórzanym

płaszczu, która miała zaczerwieniony nos, opowiedziała o rozmaitych lekarstwach, jakie na ogół zażywał jej ojczym. Specyfiki te opisała wedle swojej najlepszej wiedzy, ale z konkretnych nazw potrafiła wymienić tylko glukozę, jodynę, rabarbar i senes. Jakiś czas przed Bożym Narodzeniem zmarły upadł i skręcił sobie obie nogi, po czym pozwolono mu je własnymi sposobami nastawiać i zwalczać ból. Ponadto paskudnie kaszlał, ale często mu się to zdarzało i wiedział, jak temu zaradzić.

- Tak - odpowiedziała na pytanie koronera - przywiózł ze sobą całe mnóstwo lekarstw. I pamiętam, że dostarczyłam mu jakąś miksturę na kaszel z Mewdley.

Nie, nie rozpoznała dowodu rzeczowego numer dwa, kiedy go jej okazano. Widniała na nim etykiетка apteki londyńskiej, więc zmarły musiał przywieźć go ze sobą.

Jako następny zeznawał Edward Gover, miejscowy aptekarz, który wymienił lekarstwa dostarczone przez niego sir Willoughby'emu Keene-Cottonowi do Four Corners. Była wśród nich mikstura na kaszel z dziewiętnastego grudnia, przy czym zamówienie zostało powtórzone dwudziestego pierwszego grudnia i ponownie dwudziestego trzeciego, ponieważ zmarły chciał mieć zapas na święta.

Następnym świadkiem był sierżant Dawes, który oznajmił, że nie znaleziono żadnych innych pustych buteleczek oprócz tej okazanej na rozprawie. Zniknęły również inne leki wymienione przez pana Govera, łącznie z pustymi buteleczkami. Jego zeznanie wywołało pomruk zainteresowania pośród ławników, bo nareszcie pojawiła się jakaś sugestia zagadki kryminalnej. Szybko jednak przestali zastanawiać się nad tym, gdzie się podziały puste bute-

leczki (a swoją drogą gdzie się normalnie podziewają puste buteleczki?), ponieważ Dawes zeznawał teraz jeszcze ciekawsze rzeczy i dał im pewne wyobrażenie o sprawności i rzetelności miejscowych sił policyjnych, o jakich im się do tej pory nawet nie śniło.

- Pańskie zeznanie sprowadza się więc do tego - podsumował pan Footring na użytek ławników - że wyniki pańskiego śledztwa oparte na dowodach przedstawionych przez pana Johna Redpatha okazały się... negatywne?

- Niesatysfakcjonujące, panie koronerze - skorygował go Dawes. - Na tyle, na ile udało nam się ustalić metodą praktycznych eksperymentów, nie jest możliwe, aby denat wypadł z któregoś okna.

I to było wszystko, co miał do powiedzenia ten świadek.

Wezwano Johna. Powiedział, że mógł się mylić w kwestii śladów stóp, ale z całą pewnością je zauważył po odkryciu zwłok i uznał, że należy to wyjaśnić.

Wezwano Franka Redpatha. Był z synem, kiedy ten zauważył ślady stóp, ale osobiście nie uważał, że wymagają wyjaśnienia.

- Dlaczego? - spytał po krótkim milczeniu koroner.

- Ponieważ, jak powiedziałem następnego dnia rano nadinspektorowi, to ja zaniósłem biednego staruszka na trawnik tamtego wieczoru i zostawiłem go koło bałwana.

Pozbawiona emocji, niewzruszona postawa pana Footringa natychmiast się ulotniła.

- Zostawił go pan na trawniku - na całą noc!

- Tak, zostawiłem - odparł Frank.

Pan Footring zdołał się opanować.

- Zechciałby pan wyjaśnić ławie przysięgłych, dlaczego pan to

zrobił, panie Redpath?

Frank posłusznie odwrócił się w stronę ławników.

- Ponieważ nie żył - zakomunikował.

Ławnicy wytrzeszczyli na niego oczy.

- Skąd pan wiedział, że nie żyje? - naprowadzał go Footring.

- Zbyt wiele razy widziałem śmierć, aby się pomylić. Podczas poprzedniej wojny pracowałem w szpitalu Czerwonego Krzyża. Przez rok byłem noszowym we Francji... - ("Pierwsze słyszę" - mruknął pod nosem John). - Właśnie wyszedłem do ogrodu, aby wkroczyć jako Święty Mikołaj na przyjęcie. Ojczym mojej żony leżał na ścieżce. Miałem przy sobie latarkę i szybko się zorientowałem, że nie żyje. Nie miałem czasu do namysłu. Trzymał w rękach duże pudełko czekoladek, a także jedną z napisanych przeze mnie wskazówek dotyczących poszukiwania skarbu. Bałwan na trawniku był przewrócony, więc połączyłem kropki. Nie mogłem go tam zostawić, a gdybym miał go zanieść do jego pokoju, ktoś musiałby mi w tym pomóc. Potem uznałem, że zadzwonię do Goslinga. Przy odrobinie szczęścia, pomyślałem, załatwię wszystko po cichu i nikt z gości o niczym się nie dowie. W holu znalazłem pokojówkę. "O, Keevil" - usłyszałem podenerwowany głos, który należał do mnie samego. Byłem tak roztrzęsiony, że ledwo sam go rozpoznałem. Ona zresztą w ogóle go nie rozpoznała. "Tak, sir Willoughby?" - odparła i to mi nasunęło ten cały przeklęty pomysł. Zauważyłem, że wciąż trzymam w rękach pudełko czekoladek. Powiedziałem jej, że kładę się do łóżka i nie chcę, żeby mi przeszkadzano, nie chcę kolacji ani w ogóle niczego. Doskonale mnie zrozumiała i pomogła mi wejść po schodach. Zostawiłem pudełko czekoladek w jego pokoju, przypomniałem sobie, że zawsze śpi z oknami otwartymi na

oścież, pogasiłem wszystkie światła, zamknąłem drzwi na klucz i zszedłem na dół. W samą porę. Goście zaczęli rozpierzchać się po całym domu w ramach poszukiwania skarbu. Potem zaniósłem ciało wujka Williego na miejsce koło bałwana, włożyłem mu do ręki wskazówkę, a do kieszeni klucz do jego pokoju. Cały czas padało, więc pewnie zasypało jego ślady. Potem wszedłem przez drzwi tarasowe jako Święty Mikołaj, zgodnie z moim pierwotnym planem. Uznałem, że tak będzie bardziej realistycznie - wyjaśnił popiesznie Frank - niż gdybym przyszedł z łazienki.

- Całkiem rozsądnie - mruknął pan Footring, grając na czas. - Jestem pewien, że tak rzeczywiście było... bardziej realistycznie...

- Tak naprawdę to nie - odparł Frank - ponieważ wujek Willie dopiero co zrobił to samo znacznie lepiej. Wszystko świetnie mu wyszło i przyjęcie się rozkręciło. Wszyscy mówili o tym, jak wspaniała była wujek Willie jako Święty Mikołaj. Raczej nie mogłem oznajmić, że nie żyje.

- Nie - musiał się zgodzić koroner - ale kiedy goście już poszli... Frank jęknął.

- Myślałem, że nigdy sobie nie pójda...! Wszyscy tak bardzo chcieli mu pogratulować, że ledwo zdołałem ich powstrzymać przed włamywaniem się do jego pokoju! Potem biskup, jego żona i panna Lucas zostali na kolacji, wszyscy bardzo zadowoleni z wujka Williego i tak radośnie przekonani, że on wciąż żyje i że znowu go zobaczą, kiedy już odzyska siły. Na koniec dnia wszyscy byliśmy bardzo zmęczeni i trochę podchmieleni. Moja żona, moja ciocia i panna Dore w doskonałych humorach poszły spać, zanim ja zdążyłem przerwać moje aktorskie występy. Czekałem na syna, który poszedł na kolację gdzie indziej, ale wrócił taki z czegoś zadowolo-

ny, że znowu przegapiłem okazję do ogłoszenia swojej kwestii. To wszystko - powiedział Frank i czekał.

- Dziękuję panu, panie Redpath. To, co od pana usłyszeliśmy, z pewnością wiele wyjaśnia - Footring spojrział w stronę ławników - nawet jeżeli nie możemy pochwalić pańskich działań w wymiarze moralnym. - (Nie, ławnicy z pewnością nie potrafili się na to zdobyć). - Jednak nie jesteśmy tu po to, aby krytykować pański ewentualny brak empatii czy najzwyczajszego dobrego smaku, lecz aby zbadać fakty. Mówi pan, że następnego ranka poinformował pan o tym wszystkim nadinspektora? Nie mam w aktach takiego zeznania. - Udawał, że przegląda papiery. - Nie. Nadinspektor Culley z pewnością chciałby panu zadać kilka pytań.

- Dziękuję, panie koronerze - powiedział Culley, wstając. - Zaoszczędziłoby to policji sporo zachodu - zwrócił się do świadka - gdyby wcześniej pan trochę mniej kluczył, panie Redpath.

Niespodziewanie ze swojego miejsca podniosła się Rhoda.

- Bardzo przepraszam za męża! - powiedziała udęczonym i trochę egzaltowanym głosem. - Podczas przyjęcia z pewnością przechodził straszne katusze, a następnego dnia rano wszyscy byliśmy dosyć mocno zestresowani. Z trudem byliśmy w stanie usłyszeć własne słowa, a co dopiero myśleć o tym, co mówimy...

- Doskonale panią rozumiem, pani Redpath - odparł uspokajająco Culley. - Łatwiej przyznać się do morderstwa, niż wdawać w zawiłe wyjaśnienia...

- I znacznie szybciej - dodała ucieszona Rhoda.

- Jeszcze tylko parę kwestii, panie Redpath - powiedział Culley. - Buty z cholewami. Stroje Świętego Mikołaja, pański i sir Willoughby'ego, były właściwie identyczne.

- Pochodzą z tego samego sklepu, Furlong & Davenham. Mieli tylko dwa rozmiary.

- Czyli pan wiedział, że ojczym pańskiej żony przebierze się na przyjęciu za Świętego Mikołaja?

- Ależ nie! Gdybym wiedział, oddałbym mu mój strój. Zamówiłem go dawno temu, a on zupełnie niezależnie zamówił taki dla siebie. Miałem pewne podejrzenia po czymś, co powiedział mój syn, ale nie zamierzałem zmieniać planów. Ktoś musiał być Świętym Mikołajem, a nie miało sensu liczyć pod tym względem na wujka Williego, zwłaszcza po jego wypadku. Szczerze mówiąc, nie sądziłem, że podoła, kiedy przyjdzie co do czego.

- Przejdźmy do tych czekoladek - podjął Culley. - Nie miał pan powodów podejrzewać, że są zatrute?

- Te w bałwanie? Nie, oczywiście, że nie.

- Czy to były czekoladki zostawione przez państwa Freer?

- Nie, te zjadł w pierwszy dzień świąt. Te w bałwanie leżały tam od dawna. Niektóre chyba sam zamówił.

- Nie ma pan pewności?

- Absolutnej pewności nie mam. Ale jakie to ma znaczenie? Wszystkie zostały zbadane, prawda? - Doskonale wiedział, że policja skonfiskowała wszystkie czekoladki, co do jednej.

("Gdyby człowiek przynajmniej miał świadomość, że policjanci je zjedli - żaliła się w myślach Rhoda - toby mu serce tak nie pękało!")

Culley kontynuował jednak ten wątek:

- Myślałem o tej czekoladce, której brakowało, kiedy następnego dnia wszedł pan do jego pokoju. Widzi pan, sir Willoughby Ke-



ene-Cotton najprawdopodobniej zjadł tę czekoladkę tuż przed śmiercią i nie można wykluczyć, że w ten sposób się otrul.

Frank wyglądał na bardzo zakłopotanego. Poczzerwieniał, a potem zbladł.

- Ale... ale... Zapewniam pana... To niemożliwe... Nie wchodzi w grę, nadinspektorze.

- Widzi pan - odparł Culley uprzejmie - tego właśnie nie wiemy.

- Ja wiem, że ta czekoladka nie była zatruta - powiedział Frank bardzo stanowczym tonem, zaciskając powieki.

- To może będzie pan łaskaw powiedzieć ławnikom, skąd pan to wie - zasugerował życzliwie Culley.

- Stąd - Frank z podniesionym czołem patrzył w stronę ławników - że kiedy włamaliśmy się tego ranka do jego pokoju i zastanawialiśmy się, co robić... to tak naprawdę... Wiecie, jak człowiek się zachowuje w takich sytuacjach... To ja zjadłem tę czekoladkę.

### 3

Trochę zawstydzony Frank usiadł. Obecni na sali mieli poczucie, że tylko bardzo odważny i uczciwy człowiek potrafiłby tak stać i robić z siebie kompletnego idiotę. Pan Redpath wydał się ławnikom bardzo miłym dżentelmenem, mimo wszystkiego, co o nim słyszeli, zwłaszcza jeśli podczas poprzedniej wojny był noszowym, o czym nie słyszeli. Ponadto bardzo współczuli jego biednej żonie, tym bardziej że miała taki czerwony nos. Czyli jednak to nie było morderstwo, uznali. Denat musiał wypić za dużo mikstury na ka-

szel, bo nikt nie chciałby truć takiego nieszkodliwego starszego pana.

Nawet sumienność i pomysłowość pana Merivale'a (który przybył późno i chuchał w dłonie), hojnie rozdzielającego pieniądze swojego zmarłego klienta między rozmaite rozrzucone po całym świecie strony, dla których śmierć (jak sam powiedział) sir Willoughby'ego Keene-Cottona w takim, a nie innym momencie była nieoczekiwaną manną z nieba, nie zdołały wytworzyć na rozprawie atmosfery podejrzeń o morderstwo. Wręcz przeciwnie - niezależnie od tego, co na ten temat sądził sam pan Merivale. Wyrecytował wstępną listę podejrzanych, nad którą od kilku dni tak mozolnie pracował, a potem postanowił podzielić się myślą, jaka zrodziła się w jego bezwłosej (nie licząc wąsów) głowie, a mianowicie że żadna z tych stron (bez wyjątku bardzo sympatycznych) nie mogła wiedzieć, że zyska na śmierci denata choćby złamanego pensa.

- ...To by było wszystko, zrobiłem, co mogłem, sam nie uważam, że motywem były pieniądze, jestem jeszcze potrzebny? Nie? To dobrze.

Znowu chuchnął w dłonie, znowu tak się opatulił, że nikt by go nie rozpoznał, zwawym krokiem wszedł do szafy i zaśmiał się sympatycznie z własnego błędu, kiedy go z niej wyciągnięto, w końcu wyszedł na korytarz i rozprawę kontynuowano. Były nawet próby przywrócenia jej odrobiny powagi, kiedy wstał major Smythe, aby przedstawić ławnikom swoją wiedzę wynikającą z rozległego doświadczenia życiowego i długiej (za długiej) znajomości z denatem, a teraz wygłaszał jakieś swoje (dosyć koślawe) podejrzania, których nie potraktowano zbyt poważnie, więc musiał stonować

swą wypowiedź i w końcu podsumował samego siebie, stwierdzając przeprasząco, że jako nadkomisarz hrabstwa czuł się zobligowany zlecić szczegółowe śledztwo, ale fakty bez wątpienia mówią same za siebie, a on jest ostatnią osobą, która chciałaby wkładać kij w szprychy. Po tej deklaracji usiadł i uważnie słuchał starego Footringa, któremu wkładanie kija w szprychy wychodziło oczywiście znacznie lepiej.

Footring zakończył swoją zwięzłą, a zarazem kompleksową wypowiedź kanonadą zaprzeczeń. Nie ma powodu podejrzewać, że ktokolwiek zyskał - a z pewnością że ktokolwiek wiedział, że zyska - na tej śmierci. Nie ma też żadnych dowodów potwierdzających przypuszczenie, że którakolwiek czekoladka ani też którakolwiek potrawa spożyta w przedziale czasowym wyznaczonym przez lekarza policyjnego była zatruta. Można uznać za najzupełniej prawdopodobne i w wysokim stopniu charakterystyczne dla usposobienia denata, że z roztargnienia albo niechęcy przedawkował laudanum w preparacie na kaszel. Jedna buteleczka takiego syropu na ogół nie zawiera śmiertelnej dawki laudanum, a tym bardziej dawki zgodnej z wynikami badań narządów denata, ale według pana Govera było pięć innych buteleczek z lekami, które w przepisanych dawkach wystarczyłyby denatowi na kilka tygodni. W sytuacji kiedy buteleczek tych nie znaleziono, można rozsądnie założyć, że zostały opróżnione i wyrzucone przez samego denata, który który - należy pamiętać - miał prawie dziewięćdziesiąt lat i w odniesieniu do spraw bieżących często zawodziła go pamięć. Pan Footring przytoczył przypadek kobiety, która zmarła na skutek przedawkowania środka nasennego, co przypuszczalnie wynikało z faktu, że nowa służąca umyła kieliszek po lekarstwie, a denatka, zamiast

polegać na swojej pamięci, miała zwyczaj uznawać stan kieliszka za wskaźnik tego, czy zażyła środek nasenny. Dowody przedstawione na rozprawie dotyczącej śmierci tej kobiety miały charakter czysto poszlakowy, podobnie jak w tym przypadku. Pan Footring zasugerował jednak, że jeżeli ktokolwiek umyślnie otruił sir Willoughby'ego Keene-Cottona laudanum i chciał, aby to wyglądało na przedawkowanie leków, to prawdopodobnie, jeśli nie z całkowitą pewnością, dopilnowałby tego, aby po jego śmierci znaleziono więcej niż jedną buteleczkę.

Ławnicy sprawiali wrażenie, że wniosek ten wydaje im się bardzo zasadny, i poszli się naradzać.

- Uzgodniliście werdykt? - zapytał koroner przewodniczącego ławy przysięgłych po jej powrocie.

Przewodniczący, niski mężczyzna w dużych okularach z prawdziwego szylkretu, które stanowiły jego najważniejszą cechę charakterystyczną, odchrząknął z poważną miną, a potem zniżonym głosem powiedział koronerowi niecierpliwie i prawie zdawkowo, że uzgodnili werdykt przypadkowej śmierci, ponieważ nie przedstawiono właściwie żadnego wyjaśnienia, w jaki sposób i za czyją sprawą laudanum trafiło do organizmu denata.

Pan Footring zaakceptował werdykt skinieniem głowy i już miał zamiar przemówić, gdy przewodniczący ławy przysięgłych ponownie odchrząknął i zakomunikował, tym razem bez śladu zdawkowości, że pragnie coś dodać.

- Proszę bardzo, zezwalam.

- Chciałbym powiedzieć, panie koronerze, że postępowanie każdego człowieka, który... hm... zuchwale poniewiera zwłokami

wyłącznie ze względu na przyjęcie bożonarodzeniowe, zasługuje na najsurowsze potępienie.

- Tak, tak - mruknął pan Footring, który poczuł się srogo zbesztany. - Najzupełniej się z panem zgadzam, panie Dove... znaczy... dziękuję panu.

4

- Tato! Czy to wszystko prawda? - spytał John, kiedy znaleźli się na zewnątrz.

- A brzmiało tak, jakbym to zmyślił? - odpowiedział Frank pytaniem na pytanie.

- Nie - musiał przyznać John - brzmiało zupełnie wiarygodnie, to znaczy dla kogoś, kto cię zna. Dziwi mnie jednak, że ława przysięgłych się na to nabrała.

- Być może - zasugerował Frank - starczyło im rozsądku, aby sobie uświadomić, że nie istnieją lepsze wyjaśnienia dla tych twoich cennych śladów stóp. To znaczy w prawdziwym życiu. A gdybyś miał chociaż odrobinę prawdziwej spostrzegawczości, zamiast powierzchownego wścibstwa, to również zdałbyś sobie z tego sprawę i nie robił z nas wszystkich idiotów - z siebie również. A teraz chodźmy.

John wziął pod rękę Margery i poszedł za swoimi grubo opatulonymi rodzicami do miejsca, w którym zaparkowali samochód.

- Bogu dzięki, że już po wszystkim! - westchnęła Margery.

- Nie dostrzegam żadnych powodów do wdzięczności - marudził John. - A z tego, co widzę, wcale nie jest po wszystkim. Do końca życia będziemy żyli w cieniu podejrzeń o morderstwo. Tata

na pewno sobie myśli, że genialnie to wszystko zaaranżował, ale nie sądzę, aby stary Smythe był usatysfakcjonowany. A nadinspektor Culley nie jest głupi. I powiem we własnym imieniu, że w tej sprawie wciąż pozostaje kilka dziwnych kwestii, które mnie niepokoją.

Margery uszczypnęła go w ramię.

- Kochanie, proszę cię, nie - błagała.

- Bo chyba nie chcemy, żebyśmy zostali skazanymi za poplecznictwo, prawda, najdroższa?

Frank obrócił się na pięcie z sarkastycznym śmiechem.

- Nie możesz zostać skazany za poplecznictwo, jeśli nie masz pojęcia, kogo niby miałbyś chronić, więc się nie martw. Jesteś tak absolutnie niewinny, że robisz błędy gramatyczne: "zostali skazani", a nie "zostali skazanymi". - Podszedł do samochodu, w którym usadowiła się już Paulina, a potem wrócił i powiedział zniżonym tonem: - Gdybyś był tak dobrym detektywem, jak ci się wydaje, to już byś wiedział, co się stało, a nie w kółko o tym gadał.

- Dobra, tato, nie musisz pluć - odparł John, po czym zdjął okulary i potrząsnął nimi. - Przestaną nosić okulary, jeśli nie wolno mi nic widzieć. Myślałem, że po świętach już będzie mi wolno, ale najwyraźniej nie. Nieważne, Margery. Niech wszyscy zawisną, skoro mają taką ochotę. Kogo to obchodzi?

Paulina zrobiła dla niego miejsce w samochodzie i rzuciła dla oczyszczenia atmosfery:

- Z tego, że ludzie chcą zachować kilka spraw w tajemnicy, Johnie, nie wynika, że dopuścili się morderstwa.

- Biedni idioci - odparł John - jakie mają znaczenie ich głupie tajemnice?

- Mają znaczenie właśnie dlatego, że są głupie, kochanie - powiedziała Rhoda, która dostrzegłszy w lusterku wstecznym swój nos, zaczęła szukać w torebce pudru.

- To jakieś szaleństwo - stwierdził John, po czym wysiadł z samochodu i pociągnął za sobą Margery. - Bycie martwym ci się nie spodoba, tato, wiesz o tym. To najgorsza rzecz, jaka się może komukolwiek zdarzyć. Zawsze tak mówiłeś.

- Nie wątpię - odparł Frank - ale bycie żywym może być jeszcze bardziej kłopotliwe.

Nacisnął samostart.

- Dokąd idziemy? - spytała Margery, broniąc się niezbyt energicznie.

- Właśnie kogoś zobaczyłem - powiedział John, co stanowiło niezbyt rozsądne uzasadnienie jego kolejnych ruchów, a mianowicie zaciągnięcia jej w głąb High Street, nagłego wskoczenia do jakiejś bramy, a potem rzucenia się na wysokiego, ale poza tym niczym się niewyróżniającego przechodnia.

- Nadinspektor Culley albo nie nazywam się John Redpath!

- W rzeczy samej, proszę pana!

- Wraca pan na komisariat?

- Owszem...

- Możemy pójść z panem?

- Zamierzamy przyznać się do morderstwa? - spytała Margery gotowa na wszystko.

- Niekoniecznie - odparł John.

- Rozprawa u koronera poszła bardzo ładnie - stwierdził Culley.

- Werdykt wydał mi się nader niesatysfakcjonujący - powie-

dział John.

- Doprawdy, proszę pana?

- A panu nie?

- Ja nie narzekam.

Skręcili w Worplesden Road, gdzie rozmowa stała się nieco łatwiejsza.

- Czy policja umyła już ręce od tej sprawy? - zapytał John.

- Pozostaje jeszcze parę niewyjaśnionych kwestii, które trzeba będzie uporządkować - przyznał Culley.

- Zgadzam się - powiedział John. - Chociażby buteleczki po lekarstwach. Nie mogły wyparować. Muszą być w kubie na śmieci, zwrócono je puste czy coś. No i jest coś podejrzanego z tymi Freerami. Smythe i koroner najwyraźniej to zatuszowali. Moim zdaniem tuszowanie takich rzeczy jest bardzo głupie.

Culley spojrział na niego, a następnie na jego towarzyszkę, zadając sobie pytanie, czy podziela tę opinię.

- Nie chcemy bez potrzeby robić nieprzyjemności - powiedział powściągliwie.

- Tuszowanie różnych rzeczy to najpewniejszy sposób na robienie nieprzyjemności - powiedział John na wypadek, gdyby nadinspektor sam tego nie wiedział, do czego dorzucił gratisowo taką oto informację: - Tata i mama kłamią jak najęci z jakiegoś idiotycznego i zupełnie trywialnego powodu. Nie żeby mamę choć trochę to wszystko obchodziło, a tata nie ma żadnej reputacji do stracenia, więc to musi dotyczyć kogoś innego. Może nawet mnie. Jeśli tak, to chcę wiedzieć, o co chodzi. Moja... znaczy... narzeczona już teraz myśli, że to ja zamordowałem wujka Williego, a ja myślę, że ona to zrobiła...



- Moim zdaniem - przerwała mu Margery - nie powinniśmy marnować czasu nadinspektora na te bzdury, John.

- Nie żeby któreś z nas miało motyw, o ile mi wiadomo - kontynuował John niezrażony i Margery pociągnęła go za rękaw, żeby go powstrzymać - ale pozostaje faktem, że gdyby ojczym mojej mamy zmarł przed świętami, pieniądze dostaliby Horshamowie, a gdyby zdążył spisać nowy testament, Bóg raczy wiedzieć, co by się stało. Był starym człowiekiem i łatwo ulegał impulsom. Mógł zdecydować, że zostawi wszystko Margery albo pannie Hobbs. Po dobrej kolacji mógł nawet zdecydować, że cały majątek przeznaczy na świątynię zawierającą jego prochy. Coś w stylu Tadź Mahal...

- Chodź już, John - nakłaniała go Margery, patrząc na zegarek.  
- Twój biedny tata czeka w samochodzie.

- Nie czeka. Ale jeśli czeka, to nic mnie to nie obchodzi. Na czym skończyłem?

- Dotarliśmy do Tadź Mahal - podpowiedział mu Culley, podczas gdy w mniej metaforycznym sensie dotarli na komisariat policji w Mewdley. - Ale nie ma potrzeby, żebyście tutaj stali na zimnie. Wejdźcie do środka, jeśli chcecie omówić te wszystkie sprawy.

- Nie, nie mamy teraz czasu. Chciałem tylko panu powiedzieć trzy rzeczy.

- Tylko trzy, proszę pana? W takim razie chciałbym je usłyszeć.

- Po pierwsze, musi pan mieć świadomość, że mój ojciec i matka od tak dawna mieszkają na tym półwiejskim odludziu, że stracili wszelkie poczucie proporcji. Po drugie, jeśli biedny ojczym mojej matki rzeczywiście został zamordowany, to moim zdaniem nie należy tego tuszować.

- Nie, nie! - uspokajał go Culley nie mniej od samego Johna

zbulwersowany takim pomysłem. - A trzecia rzecz, proszę pana?

- ...Przepraszam, rozglądałem się za narzeczoną... A, tam jest! - (Margery z wielkim zainteresowaniem wpatrywała się w bardzo nudną witrynę sklepową). - Po trzeciej, nadinspektorze, jestem absolutnie przekonany, że wujka Williego nie mógł zamordować nikt z nas.

- To bardzo miło, proszę pana - powiedział uprzejmie Culley, który chciał się już od niego uwolnić, ale John jeszcze nie skończył.

- Jestem tak bardzo przekonany o naszej niewinności - kontynuował John - że chciałem pana zaprosić na parę dni do Four Corners, żeby się pan trochę porozglądał. Miejsce zdarzenia i takie tam. Co dwie głowy, to nie jedna. Razem możemy dotrzeć do prawdy.

- Obawiam się, że nie bardzo mogę, proszę pana - odparł łagodnie Culley, tytułem wyjaśnienia kiwając głową w stronę posterunku. - Mam do wykonania pewne rutynowe czynności.

- Nie może pan ich zrzucić na jakiegoś podwładnego?

- Obawiam się, że nie.

- Aha.

- Lepiej niech pan się zabawi w detektywa i da znać, co pan odkrył. Będę bardzo zainteresowany.

Uśmiechnął się życzliwie i zniknął za drzwiami posterunku.

- No, to tyle - powiedziała Margery, stając u boku wpatzonego przed siebie Johna.

- Moim zdaniem on myśli, że wujka Williego rzeczywiście zamordowało jedno z nas! - powiedział, bo tylko takie wyjaśnienie potrafił znaleźć dla delikatnego przytyku nadinspektora.

- Raczej uważa, że jesteś trochę za bardzo pewny, że żadne z nas tego nie zrobiło. Zresztą ja też tak uważam - stwierdziła Margery i zabrała go stamtąd.

5

Kiedy siedzący w swoim biurze major Smythe usłyszał od Culleya o tym krótkim spotkaniu, jeszcze bardziej wybałuszył swoje już i tak mocno wylupiające oczy.

- Nader nieregulaminowe. Nader... znaczy... nieregulaminowe - powtórzył i uznał, że najlepiej będzie się do tego ograniczyć, ale nie umiał się powstrzymać od dodania: - Oczywiście rozumiem jego punkt widzenia. Sam bym chciał, żeby sprawa była trochę bardziej uporządkowana, kiedy odłożymy ją ad acta...

- Ależ my nie przestajemy nad nią pracować, panie nadinspektorze.

- Nie, nie... ale jak on powiedział... miejsce zdarzenia... Coś w tym może być. Co by było, gdybym ja tam pojechał?

- Poważnie, panie nadinspektorze?

- Nie, chyba nie... ale znajomy rodziny, całkiem nieoficjalnie... Mógłby na coś natrafić...

- Czy to by nie wypadło trochę niezręcznie?

- Mmm... - Smythe oprzytomniał. - Dosyć brzydki numer. I osobiście nie podzielam jego niezłomnej wiary w niewinność tej rodziny, a pan?

- Nie jestem pewien, czy nie podzielam - powiedział Culley powoli.

- Czyli pan podziela? - zdziwił się Smythe, po czym popadł w

zadumę. - Zgadzam się, że jego opowieść na rozprawie u koronera brzmiała całkiem do rzeczy, a nawet wiarygodnie...

- Tak, ja również to zauważyłem, panie nadinspektorze.

- Niemniej jednak - z żalem skonkludował Smythe - nie mógł pan przyjąć zaproszenia od Johna Redpatha. Jego rodzice pewnie nie byliby zachwyceni, gdyby wiedzieli, co on kombinuje! I nie ulega wątpliwości, że jak już panu mówiłem, Frank Redpath jest pierwszorzędnym kłamcą. Koroner i przysięgli tego nie uwzględnili. Znany fortel, Culley: przyznać się do małego przestępstwa, aby zatuszować duże...

Wszedł posterunkowy.

- Jakaś pani chce się z panem zobaczyć, panie nadkomisarzu. Spiesz się. Jeśli pan znajdzie czas.

- Niech ją pan wprowadzi - polecił niechętnie Smythe. - Ciekaw jestem, kto to.

Culley też był ciekaw.

- To raczej nie ma nic wspólnego z tą sprawą - ocenił Smythe. - Pewnie chodzi o maskę gazową... Albo zgubiła dowód tożsamości... Nic związanego ze mną. Ale oplać się być uprzejmym.

Culley natomiast miał w głowie obraz zmarzniętej młodej damy, która wyteżonym wzrokiem wpatrywała się w bardzo nieciekawą witrynę sklepową...

Drzwi się otworzyły i posterunkowy zaanonsował panią Redpath.

Do biura Smythe'a weszła Rhoda.

Sprawiała wrażenie bardzo poruszonej. Upuściła parasol, po czym zaczęła ścierać z nosa warstwy pudru.

Kiedy major Smythe otrząsnął się ze zdziwienia, szybko doprowadził do rozluźnienia atmosfery. Miała już okazję poznać nadinspektora Culleya?... Świetnie. Przeprosił za wciąganie jej w nieprzyjemną procedurę policyjnego śledztwa i rozprawy u koronera.

Rhoda zbyła przeprosiny machnięciem ręki i szybko przeszła do rzeczy, odzyskując panowanie nad sobą, kiedy tylko trochę się ogrzała.

- Rozumiem - powiedziała, pozwalając kurtuazyjnemu majorowi poczęstować się papierosem - że właśnie był tutaj mój syn.

- Zamienił z Culleyem kilka słów na zewnątrz - sprostował major Smythe.

Rhoda szeroko uśmiechnęła się do nadinspektora.

- Na pewno uznał pan jego zachowanie za bardzo dziwne. Bardzo pana za niego przepraszam. Zaprosił pana do nas, aby pan nadal badał sprawę śmierci mojego ojczyma! Niestety lubi się od czasu do czasu porządzić.

Smythe wygłosił jakąś ponadczasową uwagę na temat młodzińskich zachowań.

- Tak, najwyraźniej bardzo mu zależało, abyśmy obaj odkryli prawdę - przyznał Culley.

- Czyli chciał pana pouczyć, jak powinien pan wykonywać swój zawód! - oburzyła się Rhoda.

- Naturalnie badamy sprawę pod wszystkimi możliwymi kątami - powiedział Smythe. - Próbujemy dotrzeć do bratanka i bratanicy Kate Cameron. Scotland Yard dyskretnie wywiaduje się o dwójkę pozostałych Horshamów i wysłaliśmy inspektora do Bor-

rowfield. Mimo werdyktu, jaki zapadł u koronera, na razie nie odwołujemy śledztwa. Ale proszę się nie martwić, pani Redpath, może pani mieć pewność, że Culley nie nastąpi na więcej odcisków, niż trzeba - jest geniuszem dyskrecji.

- Tak słyszałam - odparła Rhoda. - Prawdę powiedziawszy, nie miałam pojęcia, że podchodzicie do tego tak gruntownie.

- Musimy - powiedział Smythe posepnym tonem.

- Czyli zapewne powiedzieliście Johnowi, że jesteście zbyt zajęci, żeby przyjąć jego zaproszenie.

- Oczywiście nie potraktowaliśmy jego zaproszenia poważnie - zapewnił ją Smythe. - Jak mi nie mam, ten młodzieniec nie miał upoważnienia do zapraszania policjantów do pani domu. Ja sam również nie przyjąłbym zaproszenia - dodał i westchnął smętnie.

- Zachował się bardzo niegrzecznie - przytaknęła gorliwie Rhoda. - Powiedziałam mu, że tak się po prostu nie robi, a poza tym jest to trochę nieregulaminowe, prawda?

- Nader nieregulaminowe - poparł ją z emfazą Smythe.

- Właśnie dlatego - spieszyła Rhoda z wyjaśnieniami - postanowiłam sama tutaj przyjść, to znaczy w nadziei, że zastanę panów obu i będę mogła wytłumaczyć i przeprosić za zachowanie syna, które mogło wam się wydać dosyć dziwne...

- Wcale nie - wybąkał uprzejmie major Smythe.

- A teraz, kiedy już powiedzieliście, jak bardzo obaj jesteście zajęci - wstała, uśmiechając się do nich - tym bardziej dostrzegam, jak wielką wykazałam się zarożumiałością, sądząc, że jeśli przyjdę tutaj osobiście, zdołam przekonać pana Culleya.

- Przekonać mnie, proszę pani?

- Do przyjęcia zaproszenia - powiedziała Rhoda, podnosząc z

podłogi parasol. - Bylibyśmy niezmiernie wdzięczni, gdyby major Smythe nam pana odstąpił.

## XII. Przyjęcie rodzinne po świętach

1

To już było dla majora Smythe'a za wiele. Odstąpić Culleya, to ci dopiero! Nikt nie jest tu taki ważny, żeby nie można było się bez niego obejść. Potrzebna jest tylko mała reorganizacja, to wszystko.

- Na litość boską, biegnij za nią, człowieku, zanim zmienią zdanie.

Culley przez chwilę poudawał - niezbyt usilnie i dosyć oficjalnie - że się wzbrania, po czym rzeczywiście pobiegł.

- Widzi pan - wyjaśniała Rhoda Culleyowi w gabinecie Franka - oboje nie potrafimy uwolnić się od podejrzania, że mój ojczym został umyślnie zamordowany, i nie chcemy do końca życia trwać w niepewności. Nie żebyśmy przywiązywali jakąkolwiek wagę do plotek, ale jest narzeczona mojego syna... a raczej jej matka... i ciocia mojego męża... panna Redpath... Ze względu na nią... Zaprzyjaźniła się tutaj z wieloma ludźmi... Nie żeby sama nie umiała o sobie zadbać, ale... - zaplątała się w swoim wywodzie Rhoda.

- ...ale wiadomo, jacy są ludzie - dokończył za nią gracko Frank i kontynuował: - Wujek Willie o wiele za bardzo lubił życie, aby przedawkować miksturę na kaszel. I był zbyt ostrożny. Gdyby był aż tak rozkojarzony, to już dawno by się zabił.

- Z drugiej strony lat mu nie ubywało - zauważył Culley. - W świetle przedstawionych u koronera dowodów werdykt wydał mi się całkiem rozsądny.

- Każdemu, kto nie znał mojego ojczyma, wydałby się rozsądny - przyznała Rhoda. - Mnie jednak wydaje się o wiele bardziej



prawdopodobne, że rzuciłby się z okna na poddaszu powodowany swarliwością, niż żeby przypadkowo się otruł. Pan w to oczywiście nie wierzy, ale to najszczęśliwsza prawda.

- Na przykład gdybym ja chciał go zamordować - wtrącił jeszcze Frank - po prostu bym mu powiedział, że umrze, jeśli przeleży całą noc zagrzebany w śniegu, i on by to zrobił.

Culley nagroził tę uwagę uśmiechem pełnym należącego jej uznania, a potem zapytał:

- Czyli chcecie, abym spróbował udowodnić, że go zamordowano, czy tak?

Jeśli liczył na to, że wzbudzi swoim pytaniem sensację, to się rozczarował.

- Nie, nie - poprawiła go cierpliwie Rhoda.

- Chcemy, żeby dowiedział się pan prawdy - oznajmił po prostu Frank. - Jeśli to był wypadek, będziemy niezmiernie wdzięczni, jeśli pan to udowodni. Niemniej tak wiele osób mogło go otruć na tak wiele różnych sposobów, więc jeśli na dalszym etapie się okaże, że ktoś miał silny motyw, byłoby wielką ulgą się dowiedzieć, że...

- Jeśli to on... - przerwała mu Rhoda.

- ...że nie mógł tego zrobić - dokończył Frank.

- A! - powiedział Culley, kiedy już wszystko to sobie przyswoił.

- Więc tak uważacie! Macie na myśli kogoś konkretnego? - Po ucieszeniu ich protestów spróbował jeszcze raz: - Czyli nie znacie nikogo, w kogo znajomości z denatem na późniejszym etapie mógł pojawić się motyw?

- Prawie wszystkie osoby, które przyszły na przyjęcie, przyznały się do jakiegoś rodzaju znajomości z moim ojczymem - po-

wiedziała Rhoda. - W większości bardzo luźnej, a w pewnej części prawdopodobnie całkiem zmyślonej. Część z nich mogła mieć motyw do zamordowania go, ale jestem przekonana, że tylko w takim sensie, w jakim wszyscy go mamy.

- W dzisiejszych czasach pisze się tyle kryminałów, że morderstwo ludzi stało się swoistym intelektualnym sportem - powiedział Frank.

- To jest właśnie najgorsze w tej sprawie - westchnął Culley. - Nabrała charakteru kryminalnego, jeszcze zanim się zaczęła, że tak powiem, bo sir Willoughby Keene-Cotton umarł tak szybko po żonie i tuż przed spisaniem nowego testamentu...

- Aż trudno uwierzyć! - poparła go Rhoda. - Nigdy o czymś takim nie słyszałam, przynajmniej w prawdziwym życiu, a pan?

- Nie w tych stronach - przyznał Culley.

- Nie żeby ktoś zyskał na uniemożliwieniu mu spisania nowego testamentu - przypomniała mu Rhoda.

- Nikt nie mógł wiedzieć, że zyska - doprecyzował Culley.

- Nawet gdyby ktoś wiedział, to na pewno by tego nie zrobił.

- A mimo to oboje sądzicie, że go zamordowano - powiedział Culley.

- Oboje uważamy, że musiał zostać zamordowany - poprawił go Frank.

- Ale nie bardzo widzicie, jak mógł zostać zamordowany - odpowiedział Culley.

- Nie bardzo widzimy, jak ktokolwiek mógł zostać zamordowany. - W ten dosyć mętny sposób podsumowała wymianę zdań Rhoda.

Frank od jakiegoś czasu bawił się groźnie wyglądającym sztyle-

tem na swoim biurku, zapewne szukając w nim natchnienia.

- Jest tylko jeden realny motyw dla zabicia człowieka - powiedział. - Mianowicie strach. Obejmuje chyba prawie wszystko, nie wyłączając odwagi. Również próżność wynika ze strachu. Niech pan sam pomyśli, nadinspektorze. W tym właśnie momencie wszyscy nawzajem się zabijamy z czystej próżności! Boimy się, że ktoś nam powie, że jesteśmy brzydki, wredni, podstępni, głupi i zupełnie nieważni...

- Nie, Frank, kochanie... - uspokajała go Rhoda.

- Uważamy się za pępek świata - kontynuował Frank - i dopóki możemy tak o sobie myśleć, nie ma znaczenia, kogo zabijamy. Każdy z nas uważa się za pępek świata - nie tylko ty, ja i nadinspektor, ale również okrutni naziści na niebie, biedni uciemiężeni Polacy i im podobni...

- Tak, oczywiście, Frank, mój drogi - tonowała go Rhoda - ale pan Culley nie chce tego wiedzieć.

- Nie obchodzi mnie, czy chce. Ja się przyznaję. Zamordowałbym każdego, kto ośmieliłby się sugerować, że nie jestem pępkiem świata!

I rzucił sztylet na biurko.

Culley postanowił jak najszybciej zareagować, zanim pan Redpath zdąży znowu się przyznać do zamordowania ojczyma żony.

- A zatem, podsumowując, uważacie, że sir Willoughby Keene-Cotton musiał zostać zamordowany, ale nikogo konkretnego nie podejrzewacie i nie wiecie, w jaki sposób mógłby zostać zamordowany.

- Tylko przez kogoś oszalałego ze strachu - powiedział Frank.

Nadinspektorowi oddano do dyspozycji pokój świętej pamięci sir Willoughby'ego Keene-Cottona. Może znajdzie tam jakąś inspirację - usłyszał od gospodarzy.

Culley udał się tam, aby rozpakować kilka rzeczy i trochę się ogarnąć przed kolacją, i już po chwili usłyszał stukanie do drzwi.

- Proszę!

Wszedł John.

- Czyli zmienił pan zdanie!

- Jak pan widzi.

- A niech mnie! Może mi pan podać jakieś wyjaśnienie czy muszę czekać do ostatniego rozdziału?

- Pańska matka mnie przekonała.

- Czyli tak kombinowała! Niezwykłe, nie sądzi pan?

- W każdym razie jestem, proszę pana, więc nie będziemy się tym przejmowali.

- Nic dziwnego, że tata był nie w sosie.

- A był nie w sosie?

- Tak, ale teraz wszystko już w porządku. Mama go uspokoiła.

Ona zawsze osiąga swój cel. Zauważył pan?

- Nie, proszę pana.

- Tata chyba też nie zauważył. Teraz pewnie mu się wydaje, że pański pobyt tutaj to jego pomysł.

- Podczas gdy w rzeczywistości pomysłodawcą był pan.

- Szczerze mówiąc - wyznał John, patrząc, jak Culley się rozpakowuje - nie miałem większej nadziei, że się pan zgodzi. Zaprosiłem pana po części dla zrobienia na złość Margery - żeby musiała

pracować nad sobą, bo ulega zbyt wielu negatywnym impulsom - a po części po to, żeby usłyszeć, co pan powie.

- Doprawdy, proszę pana? - powiedział Culley, zdejmując płaszcz.

John zauważył, że nadinspektor nie ma na rękawach klipsów rowerowych, a to już było coś.

- Wie pan, nie musi pan wkładać stroju wieczorowego...

- Zamierzałem tylko się umyć, proszę pana.

- Nie będę panu w tym przeszkadzał - powiedział John i poszedł za nim do łazienki wujka Williego, gdzie nadinspektor Culley umył się z charakterystyczną dla jego zawodu gruntownością. - Był jeszcze jeden powód, dla którego chciałem, aby pan zamieszkał w tym domu - stwierdził dobitnie John (kiedy Culley po raz trzeci uniósł głowę). - Chciałby pan go poznać?

- Tak, bardzo proszę.

- Tata powiedział, że gdybym był tak dobrym detektywem, za jakiego się uważam, to już bym wiedział, co się stało, zamiast w kółko o tym mówić.

- Pański ojciec tak powiedział? - dociekał z zainteresowaniem Culley.

- Coś w tym rodzaju - odparł John, otwierając drzwi małej szafki, która okazała się pusta, więc na powrót je zamknął. - I do diabła, zabolalo! A pan nie byłby sfrustrowany, gdyby cały dom o czymś wiedział i wszyscy by się z pana śmiali pod nosem? "Nie widział programu!" Oczywiście, że chcę się dowiedzieć, co to jest.

- Naturalnie, proszę pana. I pomyślał pan, że jestem w stanie pomóc?

- Wszyscy mają za swoje - powiedział John, wycofując się

usłudźnie, kiedy Culley wytarł twarz i wyszedł z łazienki. - Gdy im powiedziałem, co zrobiłem, obserwowałem ich jak ryś. Najpierw strasznie się oburzyli, a potem spojrzeli po sobie. Kilka chwil później matka bąknęła coś na temat wełny, więc ojciec zawrócił i wszyscy czekaliśmy pod domem handlowym, w którym mama zniknęła na ponad godzinę. A teraz pojawia się pan. Akcja się zagęszcza, prawda?

- Być może - odparł Culley, który właśnie zamierzał się uczesać i napotkał wzrok Johna w lustrze. - Twierdzi pan, że wszyscy oprócz pana o czymś wiedzą?

- Wszyscy - potwierdził ponuro John. - Ciocia Paulina od początku coś wie, to oczywiste, ale ona zawsze kipi od tajemnic. Na tym między innymi zasadza się jej urok i przypuszczalnie daje jej to poczucie bezpieczeństwa na starość. Nawet Margery...

- A - powiedział Culley.

- Po co mówić "A" takim tonem, to niedorzeczne! - prychnął John ze zniecierpliwieniem. - To obraźliwe! Margery z jakiegoś powodu zamknęła się w skorupie. Nie wolno mi nawet "wiedzieć", o co chodzi, dopóki mi tego nie powiedzą. Obowiązuje mnie "zakaz wchodzenia na trawnik". Cudowna sprawa, co, kiedy kobieta nie ufa nawet własnemu mężo... przyszłemu mężowi? Dostyć przerażające.

- Przerażające - delektował się Culley.

- Już przed świętami było ciężko - można zwariować od czegoś takiego - a teraz, kiedy wujek Willie został zamordowany, to trwa dalej. I wygląda na to, że nigdy się nie skończy, chyba że rozwikłamy zagadkę, nadinspektorze.

Z impetem opadł na głęboki tapicerowany fotel, który zatrzesz-

czał w ramach protestu.

3

Rodzina Redpathów poczęstowała Culleya naprawdę dobrą kolacją, a on wbrew kontestowanym przez Rhodę zapowiedziom Franka nie mlaskał ani nie brzękał sztućcami ("Może właśnie o to klócili się w gabinecie - pomyślał John - ale być może o coś innego"). Nie mówił też o jedzeniu, jak zauważyła ciocia Paulina, czego w dzisiejszych czasach nie można powiedzieć o klasach wyższych, aczkolwiek nie potrafił powstrzymać się od komentarza, że zważywszy na wojnę i tak dalej, całkiem dobrze się urządzili na święta.

Redpathowie, których ogarnęły wyrzuty sumienia, uznali, że powinni się jakoś rozgrzeszyć, i złożyli wszystko na karb szczodrości i braku skrupułów wujka Williego, który koniecznie chciał "pójść na całość" w święta, wojna czy nie wojna.

- Było tego niemal za dużo - narzekała Rhoda. - Prawie się pochorowaliśmy, prawda, Frank?

- Nie wiem, skąd to poczucie winy - powiedział John. - Jeśli kogoś mieli aresztować za przemyt jedzenia, to wujka Williego. To nie była wasza wina.

- Nie, nie - odparła Rhoda - ale było tego tak strasznie dużo.

- Teraz jest tyle samo - zwrócił jej uwagę John - a tata właśnie bierze drugą dokładkę. Goszcząc przy stole policjanta! A! - powiedział nagle. Przełknął to, co miał w ustach, i odwrócił się w stronę Culleya. - Poszlaka! Apetyty w święta! Gdzie one się podziały? I dlaczego... - John z zamyśloną miną wypił łyk lekkiego wina, a po-

tem odstawił kieliszek i stuknął pięścią w stół - i dlaczego nagle powróciły?

- Od śmierci Williego nie dysponujemy już jego przydziałem - wyjaśnił Frank.

- Czyli pani ojczym nie jadł zbyt wiele? - zapytał Culley uprzejmie Rhodę.

- Przeciwnie, jadł całkiem sporo - stwierdził stanowczo John.

- Tak, to prawda - potwierdziła Rhoda. - Wujek Willie bardzo lubił jeść.

- Bardzo - poparł ją Frank.

Zapadła nieco przygnębiająca cisza, w trakcie której nadinspektor Culley zachodził w głowę, czy apetyty państwa Redpath naprawdę się poprawiły od chwili śmierci sir Willoughby'ego, czy też może od rozprawy u koronera.

Panna Redpath, której wegetarianizm przenosił płynne zmiany jej apetytu do niezgłębionej dziedziny domysłów, bez śladu poczucia winy odsunęła od siebie insynuacje tego bardzo męczącego młodego człowieka i powiedziała:

- Podczas świąt, z powodu stanu zdrowia sir Willoughby'ego, przyjęcia i tak dalej, wszyscy byliśmy za bardzo zmartwieni, żeby dużo jeść. Teraz, kiedy jest już po rozprawie, a także po przyjęciu, wszyscy możemy odetchnąć.

Nadinspektor Culley usiłował zadowolić się tym wyjaśnieniem.

Zauważył jednak, że Margery Dore, niezależnie od tego, jak mocno przed świętami angażowała się w konsumpcję, podczas obecnego posiłku prawie w ogóle nie otwierała ust - nawet po to, żeby się odezwać.



Culley uznał, że jeszcze za wcześnie, by przypierać ludzi do muru i po kolei ich przesłuchiwać. Lepiej poczekać, aż odkryje, co chce wiedzieć, ponieważ na obecnym etapie nie wiedział nawet, czego szukać.

Zagadka apetytów przed świętami mogła istnieć jedynie w wyobraźni Johna Redpatha. Otaczające pannę Dore bariery powściągliwości mogły być naturalnym i zrozumiałym mechanizmem obronnym przed niekulturalną dociekliwością jej narzeczonego. "Gdybyś był tak dobrym detektywem, jak ci się wydaje, to już byś wiedział, co się stało, a nie w kółko o tym gadał". Te słowa mogły oznaczać, że wiedzieli, kto popełnił morderstwo, i chcieli, aby to zostało oficjalnie stwierdzone, ale mogły też znaczyć, że wiedzieli o mocnych dowodach przeciwko komuś, w kogo niewinność bez reszty wierzyli, ale chcieli jej oficjalnego udowodnienia; i wreszcie mogły znaczyć (tak, tak, tego też nie mógł wykluczyć), że próbowali kogoś zrobić i zaprosili go tutaj, aby móc mu podrzucić całą masę dowodów przeciwko tej osobie... Culley miał zatem świadomość, że musi zachować ostrożność i otwarty umysł. No cóż... był w tym całkiem dobry.

Panie tradycyjnie opuściły jadalnię i zostawiły trzech panów nad kieliszkami porto. John Redpath zrobił się trochę mniej spięty: on i jego ojciec patrzyli na Culleya zadumanym, melancholijnym wzrokiem. Przypominali parę spanieli. Pochlebiało mu to, ale jednocześnie wprawiało w zakłopotanie.

Chętnie odpowiadali na pytania, a ich odpowiedzi wydawały się szczerze. To nie mogła być ich wina, że z każdą kolejną odpo-

wiedzią zagadka stawała się jeszcze bardziej zawikłana. A może jednak mogła?

Culley próbował odkryć korzenie wzajemnej antypatii między gospodarzem a denatem - te jednak okazały się płytkie i dość trywialne, a ponadto sięgały wstecz zaledwie jakiś tydzień przed przyjęciem świątecznym.

- Oczywiście nigdy mnie nie zaaprobował - wyznał rozbijając Frank Redpath - w związku z czym ja nigdy się nie pofatygowałem pokochać go tak bardzo jak moja żona.

To również wydawało się Culleyowi najzupełniej naturalne i zrozumiałe.

Tak samo było z Johnem.

- Staruszek właściwie nie dostrzegał mojego istnienia, chyba że dopatrywał się u mnie jakichś uchybień. Byłem dla niego wyłącznie kolejnym obciążeniem hipoteki mamy - tak jak tata - tylko trochę bardziej kosztownym. Margery próbowała trochę go urobić przed świętami.

- Doprawdy, proszę pana? - zachęcił go Culley, doceniając jego szczerłość.

- Tak. Widzi pan, myśleliśmy, że jeśli Margery będzie codziennie wobec niego trochę kokieteryjna, a jednocześnie będzie sprawiała wrażenie umiarkowanie chętnej do wyjścia za mnie, to może on z czystej przekory okaże zainteresowanie naszymi zbliżającymi się zaślubinami. "W razie wątpliwości bierz ślub, wszystko jedno z kim" - zawsze to powtarzał, a jako niepodważalny dowód na to, że wybór małżonka nie ma znaczenia, wskazywał mamę i tatę.

Frank był zachwycony.

- A więc takie rzeczy knuła na górze twoja młoda dama! Zach-

dziłem w głowę, co ona tam robi.

- Myślę, że robiła spore postępy - podjął John, analizując sprawę z obecnej perspektywy. - Wujek Willie odnosił się do mnie coraz przyjaźniej - mógł mi nawet zostawić wszystkie swoje pieniądze, gdyby wykorzystał wszelkie inne sposoby zrobienia tacie na złość, które przyszły mu do głowy - a potem ja wszystko zepsułem, kiedy przyłapałem go na tym, jak ćwiczy przed lustrem rolę Świętego Mikołaja.

Frankiem targnął paroksyzm bezgłośnego śmiechu.

- Tak było, tak było!

- A przecież on sam po mnie posłał! - podkreślił John nie bez rozżalenia. - Stary głupiec! Był tak bardzo zaprzątnięty bożonarodzeniowymi igraszkami, że nie miał w głowie miejsca na nic innego.

- Sądzi pan, że nie myślał o niczym innym? - spytał Culley. - O niczym ważniejszym... niezwiązanym z Bożym Narodzeniem?

- Absolutnie nie - stwierdził stanowczo Frank.

- Tak nam się w każdym razie wtedy wydawało - doprecyzował John - ale dziś nie jesteśmy już tacy pewni.

- Bo nie chodziło tylko o nas - wyjaśnił rzeczowo Frank. - Miał na pieńku również z Pauliną.

- Pokłócił się z panną Redpath?

- Nie wyobrażam sobie, jak ktokolwiek mógłby się pokłócić z ciocią Pauliną - wtrącił John.

- Wujek Willie jak najbardziej był do tego zdolny - zripostował Frank. - Chociaż ona pewnie nie wiedziała, że jest z nim w sporze.

- Niemniej jednak nie wchodziła mu drogę - przypomniał sobie John.

- Tak. To interesujące. Ponieważ zazwyczaj jeśli ludzie chcą się kłócić z Pauliną, ona im na to pozwala i po sprawie. A wujka Williego wydawała się celowo unikać. Co było do niej bardzo niepodobne.

- Nie umie pan zgadnąć, czego dotyczył spór?

- Paulina jest bystrą i rzeczową starszą panią. Wujek Willie próbował napisać autobiografię i strasznie mu się myliły pokolenia. W pierwszym dniu po przyjeździe zamienił kolejności żon, z jedną ożenił się kilka razy, a z resztą dopuścił się bigamii. Paulina bardzo taktownie wszystko to uporządkowała, ale kiedy poszła się położyć, on znowu pomieszał wszystkie żony. Podczas pierwszej części jego wizyty była naprawdę wspaniała: opiekowała się nim, pilnowała, żeby nie zabijał się częściej, niż to było konieczne... Pomagała mu wchodzić pod górę, ale tak, żeby sobie myślał, że to on ją prowadzi... najróżniejsze rzeczy... a potem coś poszło nie tak...

- Powstała między nimi jakaś idiotyczna kłótnia o babeczki bakaliowe - podpowiedział John.

- Babeczki bakaliowe?

Culley nadstawił uszu.

- Nie mówmy o tym - błagał Frank. - Lepiej zagrajmy partyjkę brydża. Przecież nie zacznie pan węszyć już dzisiaj wieczorem.

- Jak pan sobie życzy - powiedział uprzejmie Culley i podążył za gospodarzem do salonu.

5

Kiedy weszli, w radiu nadawano wiadomości.

Margery zapewniła sobie duży motek wełny i przystąpiła do

kolejnych robótek.

Pod koniec wiadomości Rhoda zaczęła się krzątać na paluszkach, aby przygotować stolik karciany. Kurtuazyjne oferty pomocy zbyła ruchem ręki.

Culley nie grał w brydża. Aby oczyścić sobie na noc głowę, zabrał się za rozwiązywanie krzyżówki w "Telegraph".

Margery również nie grała, a ponieważ szybko straciła cierpliwość do robienia na drutach, zaczęła z energią kursować po salonie.

- Szukam książki - wyjaśniła w reakcji na surową krytykę ze strony Johna.

- Jest ich tutaj mnóstwo - powiedział jej John na wypadek, gdyby nie zauważyła.

- Ale nie ta, której szukam - zripostowała.

- Jeśli chodzi ci o *Zawiłości angielskiego prawa*, to trzymasz ją w ręku.

- Nie, nie o tę.

Odstawiła ciężką księgę z powrotem na półkę, usiadła i wróciła do robienia na drutach. Nieco później zniknęła i usłyszeli, że zaczęła grać na fortepianie.

Kiedy skończyli grać w brydża, zniknął również John.

Fortepian grał jeszcze przez kilka chwil, a potem ucichł.

- Oby nie mieli cichych dni - powiedziała Rhoda.

- Jestem pewna, że nie - odparła Paulina.

- A ja nie mam takiej pewności - polemizował z nią Frank.

- No, może jakaś drobna sprzeczka, jak to między kochankami - przyznała Paulina.

- Ojej! - powiedziała Rhoda. - Mam nadzieję, że ona nie zaczy-

na już działać mu na nerwy.

- Zdecydowanie bardziej prawdopodobne, że jest na odwrót - zaopiniował Frank.

- No, no! - powiedział Culley, który skończył rozwiązywać krzyżówkę (był w tym dobry). - Chyba się położę. - Wstał. - Panie wybaczą, ale na ogół chodzę wcześniej spać. Człowiek sobie wypracowuje różne nawyki.

- Obawiam się, że my wypracowaliśmy sobie nawyk siedzenia do późna - poinformowała go Rhoda. - W przeciwnym razie człowiek tak wcześnie się budzi. A to nie ma sensu, skoro jest zaciemnienie, gazeta jeszcze nie przysłała ani nic. Dobranoc, panie Culley. Proszę mi obiecać, że pan krzyknie, jeśli będzie pan czegoś potrzebował - powiedziała z ujmującym uśmiechem.

Culley obiecał, że tak zrobi. Po drodze przez hol do schodów nie zamierzał podsłuchiwać prywatnej rozmowy, ale drzwi saloniku muzycznego były uchylone, a poza tym jeśli ci ludzie nie chcą, żeby ich szpiegować, to czego właściwie chcą?

Usłyszał głos Johna, który mówił:

- Skoro nie chcesz mi pozwolić, żebym powiedział komukolwiek innemu, to pozwól mi powiedzieć nadinspektorowi Culleyowi. Moim zdaniem nie powinniśmy niczego przed nim zatajać, a jestem pewien, że możemy mu zaufać. - Odpowiedzi Margery nie usłyszał, ale z pewnością była wroga. - Dlaczego... dlaczego? Jeśli nie powiesz mi dlaczego, kochanie, to zacznę podejrzewać...

- Szszszsz! - dało się słyszeć z ust Margery, która właśnie weszła do holu.

Culley położył dłoń na klamce drzwi do salonu, aby wyglądało, że dopiero co stamtąd wyszedł.

Uśmiechnęła się do niego.

- Zmykam do łóżka - powiedziała i zwiwnym krokiem przemknęła po schodach.

Culley miał już pójść za jej przykładem, ale złapał go John.

- Otóż - zaczął John, biorąc go pod ramię i wchodząc razem z nim na schody - nie wiem, co pan o tym sądzi, nadinspektorze, ale ja jestem absolutnie pewien, że w pokoju wujka Williego jest gdzieś schowany testament.

- Co pan powie?

- A przychodzi panu do głowy lepszy powód, żeby ktoś miał go zamordować po świętach?

- Skoro już pan o to pyta - odparł uczciwie Culley - to nie, nie przychodzi mi do głowy.

- Świetnie - podsumował John.

6

Culley natychmiast się zorientował, że jego nadzieje na wczesne położenie się do łóżka były nadmiernie optymistyczne i że będzie mógł mówić o szczęściu, jeśli nie spędzi całej nocy na opukiwaniu boazerii i szukaniu tajnych szuflad.

- Wszystkie papiery sir Willoughby'ego przestudiował pan Merivale - powiedział do swojego bardzo zaangażowanego współpracownika (dosyć nikłym głosem).

- Oczywiście - odparł John. - A policja przeczesła grunt precyzyjnym grzebieniem. Wiem o tym wszystkim. Mimo to jestem absolutnie przekonany, że staruszek chciał sprowadzić tę dwójkę na manowce.

- Ma pan na myśli państwa Freer? - inteligentnie odgadł Culley.

- Nie wiemy, kto to naprawdę był - zwrócił mu uwagę John, który niczego nie przyjmował za pewnik. - Mogli być nawet parą międzynarodowych oszustów. To dziwne, że wujek Willie nie wiedział o tym, że Angelina wyszła za jego bratanka, dopóki mu o tym nie powiedziała.

- Ja też zwróciłem na to uwagę, ale pamięć już nie służyła mu tak dobrze jak dawniej.

- Bardzo dogodnie dla niej - odparł John. - Hm, ale chociaż mu o tym powiedziała, to bardzo się postarała, żeby wujek Willie go nie zobaczył.

- Myśli pan, że się podszywał pod jego bratanka?

- Radzę panu bardzo dokładnie go sprawdzić, nadinspektorze, zamiast dalej wierzyć we wszystko, co mówi.

- Dobrze, proszę pana - powiedział z szacunkiem Culley.

- Ją też - ciągnął zuchwale John. - Proszę pamiętać, że nikt jej wcześniej nie widział. Niech pan również zwróci uwagę, że kiedy przyjechała do domu na święta, nawet jej matka jej nie знаła.

- Ale co z bratem, proszę pana? Pojechałem do Borrowfield, rozmawiałem z proboszczem i z państwem Freer. Dostrzegłem wyraźne rodzinne podobieństwo między bratem i siostrą.

- Skąd pan wie, że widział pan tych samych Freerów co my? - spytał szybko John i zanim Culley zdążył zastanowić się nad odpowiedzią, kontynuował: - Nieważne, pominiemy to. Ale nawet jeśli założymy, że są ludźmi, za których się podają, to nie wydaje się panu podejrzane, że wyjechali stąd bardzo uszczęśliwieni ogólnikową obietnicą, że wujek Willie jakiś czas po świętach pośle po swo-



jego prawnika? W sytuacji kiedy jego szanowna małżonka mogła w każdej chwili umrzeć...!

- Owszem, proszę pana - powiedział Culley i z zainteresowaniem zapytał: - A według pana z czego to wynikało?

- Albo - odparł John takim tonem, jakby jego wyjaśnienia same się nasuwały - od ręki napisał nowy testament i oni z nim wyjechali...

Culley musiał zaprotestować:

- To nie takie proste. Jest kwestia świadków...

- Nie ma problemu z załatwieniem paru świadków później. Nie sposób udowodnić, że nie było ich przy podpisywaniu. Ale nie uważam tego za bardzo prawdopodobne.

- Rozumiem.

- Gdyby wujek Willie to zrobił, to dla ratowania własnej skóry...

- Tak, proszę pana.

- Bardziej prawdopodobne, że ich rozjuszył... - ("To rzeczywiście wydaje mi się bardziej do niego podobne" - wtrącił Culley) - ...a tym samym podpisał na siebie wyrok śmierci.

- Och.

- To pana zaskoczyło? - spytał John. - Dziwne, ciekawi mnie dlaczego. Moim zdaniem to bardzo rozsądne rozwiązanie. Starzy ludzie nie lubią próśb o pieniądze. Nie lubią myśleć, że inni czekają na ich śmierć, ale państwo Freer nie chcieli zdawać się na los w kwestii, kto umrze pierwszy. Nawet gdyby ich matka pożyła jeszcze parę tygodni, nie byli tacy głupi, aby zaufać dziewięćdziesięcioletniemu starcowi, że dotrzyma obietnicy, więc kiedy niezbyt grzecznie wyprosił czarującą Angelinę, wsypała truciznę do jego

płukanki, nie mając świadomości, że on nie czyści zębów, jeśli nie szykuje się żadne przyjęcie, albo nie ma żadnych zębów do czyszczenia (dokładne szczegóły nie mają znaczenia), i wyjechali, mówiąc mamie, że wujek Willie pośle po świętach po swojego prawnika. To im zapewniło alibi. Mama, która może liczyła na zgarnięcie głównej nagrody, powiedziała, że dopilnuje, aby nie zapomniał (słyszałem to) - i niech pan uważa, nadinspektorze - to mama zadzwoniła do pana Merivale'a, a więc, o ile mi wiadomo, wujek Willie nie miał z tym nic wspólnego!

Po tych słowach Culley mógł tylko opaść z szacunkiem na głębokoci, tapicerowany fotel, który zatrzeszczał na znak protestu.

- Ale wujek Willie nie urodził się wczoraj - kontynuował radośnie John. - Po ich wyjeździe robi im brzydki numer.

- Spisuje nowy testament - podjął wątek Culley - wzywa pokojówkę albo pannę Dore, albo pannę Hobbs na świadka i chowa testament za boazerią. Dziwne tylko, że żadna z nich o tym nie wspomniała.

- Pytał pan je o to? Nie pytał pan. Zresztą pewnie je przekupił, żeby milczały. Raczej nie możemy ich przesłuchać jeszcze tej nocy, więc...

- Więc spędzimy noc na opukiwaniu ścian, czy tak?

Culley zaczął zbierać w sobie energię.

- Może nie będzie potrzeby - odparł John.

- O. - Culley sprawiał wrażenie rozczarowanego. - Nie bądźmy ludźmi małej wiary, proszę pana...

- Nie będziemy - powiedział John, patrząc na nadinspektora wyczekującym wzrokiem.

- Proszę mówić i nie przejmować się mną. - Culley wyprosto-

wał się na fotelu i spojrzał na młodego człowieka z zainteresowaniem. - Wyśpię się kiedy indziej...

- Nie przejmowałem się panem - odparł John - tylko się zastanawiałem, co tak dziwnie szeleści w pańskim fotelu.

- Co takiego! - Culley zerwał się na nogi.

- Widzi pan - wyjaśnił John - uwrażliwiłem się na to przed świętami. To znaczy na dźwięk szeleszczącego papieru w momencie, kiedy człowiek na czymś siada. Już przed kolacją zauważyłem w tym fotelu coś dziwnego. Może została tam jakaś wskazówka do poszukiwania skarbu. Ale dlaczego tu na górze? No dobrze, rozetniemy go i zajrzemy.

Bez dalszych ceregieli wyjął duży nóż i bez skrupulów przystąpił do maltretowania tapicerki.

Bez wątpienia coś pod nią było. John pracował powoli, aby nie uszkodzić ewentualnego interesującego dokumentu. Ostrożnie i zręcznie wyłuskiwał z watomanej kryjówki duże ilości brązowego papieru. Po kilku chwilach trzymał w dłoniach coś, co wyglądało jak rozplaszczona paczka. Drżącymi palcami usunął zewnętrzne opakowanie. W środku ukazała się jakaś gęsta masa, z początku zupełnie nierozpoznawalna.

Potem ich olśniło.

- Babeczki bakaliowe! - wysapał John głęboko przejętym głosem, kiedy dla pewności skosztował kilka zmasakrowanych fragmentów.

- Babeczki bakaliowe - powtórzył Culley.

Spojrzeli na siebie szeroko otwartymi oczami.

### XIII. Babeczki bakaliowe po świętach

1

- Babeczki bakaliowe! - powtórzył Culley.

- Proszę o chwilę ciszy - powiedział John. - Muszę pomyśleć. Babeczki bakaliowe... Babeczki bakaliowe... (O Boże, to straszne). Babeczki bakaliowe przed świętami podobno przynoszą pecha, jak mówiła Paulina. Wujek Willie nie był zabobonny, zjadł pięć albo sześć i dał słowo, że połknął trzypensówkę, a potem poszedł do ogrodu, żeby umrzeć, ale nie umarł, przewrócił się jednak i skrzył sobie nogi. Czyli Paulina miała rację. Nadinspektorze, babeczki bakaliowe przyniosły pecha! Ciocia Paulina miała rację! Babeczki bakaliowe przed świętami!... Zaraz po przyjeździe pomylił kolejność żon i Paulina, starsza pani o bystrym umyśle, uporządkowała je dla niego, ale jak tylko odwróciła się plecami, znowu je pomieszała; nie żeby zapomniał, tylko nie mógł sobie przypomnieć; potem Paulina powiedziała, że babeczki bakaliowe przed świętami przynoszą pecha, a on się przewrócił i wykręcił sobie nogi nie w tę stronę, co trzeba, ale nie pozwolił Paulinie ich odkręcić... Na czym stanąłem?

- Nie mam pojęcia, proszę pana.

- Niech pan tu nie sterczy i nie patrzy na mnie jak kamerdyner, proszę usiąść, człowieku. Tak lepiej. Zaczynamy do czegoś dochodzić. Chciałbym wiedzieć do czego. Paulina. Przejechała się na tych babeczkach. Wcześniej taktownie się nim opiekowała, ale potem jej tego zabronił i zgodził się na to, aby zatrudnili Esther Hobbs (coś mi mówi, że Esther odgrywa ważną rolę w tej historii,

ale nie mam pojęcia dlaczego. Nieważne). Nie podobało mi się, że Paulina miała rację z pechowością babeczek bakaliowych. Myślałem, że mu powie "a nie mówiłam", ale nie powiedziała. Co się potem dzieje? Paulina idzie powęszyć do jego pokoju, kiedy on bierze kąpiel. Ja sugeruję (w formie żartu), że wkłada mu do owsianki zatrute pensy. Ona się śmieje. Mówi, że wstawiła do pokoju kilka kwiatów. Na zgodę? Ona mówi: "Tak, kochanie". (Czy w jego pokoju rzeczywiście były kwiaty? Czy ktoś to sprawdził? Nie, raczej nie). "Wybaczył ci, że zatrąłaś mu babeczki bakaliowe?" - pytam (w formie żartu). Ona mówi, że nie wie. Przypuśćmy, że na zgodę przyniosła mu nie kwiaty, tylko babeczki. Schował je w fotelu, bo naprawdę myślał, że są zatrute, a nie chciał jej urazić. Trochę durne? Owszem, ale zarazem krok w dobrym kierunku. Może uważał, że rzeczywiście przynoszą pecha, i zamierzał je zjeść dopiero po świętach. Nie, to byłoby jeszcze głupsze. Czy naprawdę nie powiedziałem absolutnie niczego przydatnego?

Zamilkł ze smętną miną.

- Z pewnością ma pan na podorędziu mnóstwo pomysłów - przyznał Culley.

- To dobrze - odparł John. - Chyba pójde już spać, a pan? Myśli mi się już trochę rozbiegają. Podświadomość przejmuje kontrolę. Oświecenie przyjdzie wraz ze świtem. W tym nasza nadzieja. Ale coś panu powiem - rzucił jeszcze od drzwi.

- Tak? - zachęcał go Culley, który teraz, kiedy się okazało, że mimo wszystko się wyśpi, był bardziej życzliwie usposobiony.

- Należy jak najszybciej przesłuchać Esther Hobbs.

- Zaraz z rana - obiecał całkiem radośnie Culley.

- Niech pan śpi dobrze - pożegnał się John.

Ale Culley nie spał zbyt dobrze.

Spać nie dawały mu nie tylko babeczki bakaliowe, chociaż już leżąc w łóżku, myślał o nich przez prawie godzinę. Nadkomisarz przywiązywał dużą wagę do babeczek na przyjęciu i wspomniał, że nikt nie je babeczek bakaliowych przed świętami, ale sir Willoughby najprawdopodobniej jadł i nawet przy uwzględnieniu bujnej wyobraźni młodego pana Redpatha nadal otaczała je pewna aura tajemnicy; mgliste podejrzenie, że były zatrute albo że sir Willoughby uważał je za zatrute; co mogło nasunąć mordercy pewien pomysł; mordercy, który chciał, aby sir Willoughby umarł po świętach, i wiedział, że staruszkowi wybito z głowy myśl o zjedzeniu przed świętami większej ilości babeczek bakaliowych. Ale jeśli mamy tutaj do czynienia z morderstwem, to wyjątkowo niedorzecznym. Czy to do pomyślenia, aby panna Redpath próbowała go otruć? I dlatego zaszyła w fotelu babeczki bakaliowe?

Leżąc w łóżku, nadinspektor Culley usilnie próbował zwizualizować sobie prawie dziewięćdziesięcioletniego człowieka, który na czworakach operuje igłą i nitką.

Przedsięwzięcie to zakończyło się niepowodzeniem. Babeczki musiała zaszyć w fotelu kobieta; mężczyzna nie zrobiłby tego tak schludnie.

Kobieta... Ale w jakim celu? Jeśli panna Redpath przyniosła je do pokoju, czy to na zgodę, czy z morderczymi intencjami, jaki był sens zaszywać je w fotelu? Inna kobieta... która wiedziała, że są zatrute, i nie chciała, aby sir Willoughby je zjadł, ale jednocześnie nie chciała, aby morderca wiedział, że sir Willoughby ich nie

zjadł...? Jeszcze inna kobieta, która wiedziała, że są zatrute, i chciała, aby sir Willoughby umarł, ale dopiero po świętach...?

Czy uchwycił właściwy trop?

Babeczki bakaliowe po świętach...

Morderstwo po świętach...

Babeczki bakaliowe i morderstwo. Babeczki bakaliowe po świętach...

Nie, nie tylko babeczki bakaliowe nie dawały Culleyowi spać; one raczej tuliły go do snu swoim kojącym refrenem. I Culley by zasnął - i śnił o morderstwie, babeczkach i buteleczkach po lekarstwach, zaginione testamenty i migdałowe ślimaki układałyby się w jego podświadomości w logiczną całość, jego najbardziej szalone pomysły zazębiały się z jego najdurniejszymi pomysłami jak w krzyżówce (był dobry w ich rozwiązywaniu), i już-już czekał na oświecenie, które przychodzi wraz ze świtem - lecz coś, co nie miało nic wspólnego z jego myślami, rozbudziło go nagle i całkowicie.

To musiał być jakiś hałas. Odgłos skradania się, a może szurania albo stukania? O, znowu... Teraz nazwałby to raczej drapaniem. W każdym razie nie mogło być wątpliwości: ktoś był w jego pokoju!

Szur, szur, pyk, chrup.

Jakby ktoś próbował coś otworzyć. Może szufladę... a może tajną skrytkę...?

Ale przecież gdyby ktoś chciał przeszukać pokój denata, to nie czekałby, aż Culley przyjedzie i położy się do łóżka. No chyba że to jakiś głupi żart, że specjalnie zaprosili go tutaj, aby zrobić z niego idiotę. Culley dostrzegał i taką możliwość.

Zapalił światło.

W pokoju nikogo nie było. Wstał z łóżka i zapalił pozostałe światła, aby się upewnić.

Nikogo.

Stał bez ruchu i nasłuchiwał. Nic. Czekał. O, znowu...

Szur, szur... (lekki szelest?)... cyk... pum! A przecież w pokoju było pusto!

O! Szuranie dochodziło zza drzwi garderoby.

Culley przybliżył się po cichu (zadając sobie pytanie, czy nie powinien mieć rewolweru).

Garderoba nie była zamknięta na klucz. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi.

Ze środka wyskoczył ogromny czarny kot. Wygiął grzbiet i zaczął z siebie wydawać oburzone, nieartykułowane dźwięki; potem widocznie postanowił zaakceptować sytuację, bo zamruczał przytulnie. Zaczął się łąsić nie tylko do nóg nadinspektora Culleya, ale również do nóg mebli - a właściwie do wszystkiego, co się nawinęło - tak bardzo mu zależało na stworzeniu atmosfery dobrej woli.

Potem wrócił do garderoby i zaczął drapać pazurami w kącie.

"Myszy - zdiagnozował cierpliwie Culley. - Jeśli to nie ustanie, to w ogóle się nie wyśpię".

Wszedł do garderoby i wziął kota na ręce z zamiarem przeniesienia go do kuchni, bo jeśli koty w ogóle mają spędzać noc pod dachem, to właśnie tam. I kiedy stanął na jednej z klepek podłogi, która okazała się obluzowana, spod spodu doszedł go nie piszczący protest podpodłogowej myszy, ale - tak, ponad wszelką wątpliwość - szelest!

"O Boże! - jęknął w duchu Culley. - Jeśli to kolejne babeczki



bakaliowe, to rzucę tę sprawę. A jeśli to naprawdę testament, to odejdę ze służby. Zresztą może najwyższa pora".

Kiedy już złamał ostrze swojego noża i pilniczek do paznokci, w końcu podważył deskę pogrzebaczem ("Szkoda, że wcześniej go nie zauważyłem" - pomyślał), co natychmiast poskutkowało niezbyt silnym, ale również niezbyt przyjemnym zapachem.

Włożył dłoń do środka i wyjął kolejną zawiniętą w brązowy papier paczkę, tym razem większą i nie tak płaską. Była starannie zawinięta i wyraźnym, chociaż nieco chwiejnym pismem zaadresowana do sir Willoughby'ego Keene-Cottona.

Culley otworzył ją z irytacją, złoścąc się na własną idiotyczną ciekawość. W środku znalazł dwa skrzydełka indyka, podudzie i dużą porcję puddingu śliwkowego w zestalonej mazi sosu chlebowego, tartej bułki, tłuczonych kasztanów i farszu - poszlakowe dowody nie pozwalały choćby w przybliżeniu ustalić daty śmierci tego wszystkiego...

Znowu usiadł i podrapał się po głowie. "W zmyślonej historii cała sprawa pewnie byłaby dla mnie oczywista..."

Przezornie zachował brązowy papier pakunkowy, który włożył do szuflady, a zestaloną maź umieścił tam, gdzie wcześniej babeczki bakaliowe - w pustej łazienkowej szafce na lekarstwa. To znaczy z wyjątkiem jednego skrzydełka indyka, które zabrał na dół razem z kotem, aby jedno i drugie wyeksponować do ogrodu.

Raczej nie przewidywał, że następnego dnia rano kot zostanie znaleziony martwy na skutek zatrucia laudanum. Koty mają dziewięć żyć i zbyt wiele zdrowego rozsądku, aby się otruć. "Ale jeśli kot rzeczywiście umrze - pocieszał się, wracając do łóżka - oszczędzi nam to zachodu z badaniem całej tej brei. No i sam się prosił".

Kot nie umarł. Ba, o świcie powrócił, uznawszy, że w czasach znacjonalizowanej gospodarki kuchnia stanowi marne źródło pożywienia w porównaniu z apartamentami małżeńskimi, zwłaszcza takimi, w których doszło niedawno do podejrzanego zgonu.

- Skończyła się wyżerka, ty mały sępie - powiedział Culley srogo, ale bezskutecznie. - Nie ma już dowodów rzeczowych - próbował wytłumaczyć kotu - bo wszystkie zjadłeś.

Ale kot nie dał się nabrać.

Stał na środku pokoju i z tęskną miną patrzył w sufit, przypominając biblijnego małego Samuela.

Sufit wznosił się wysoko, a na tym etapie Culley oczywiście nie zdołał już wykrzesać z siebie zaskoczenia faktem, że w różnych miejscach pod tymże sufitem wisiało wiele innych paczek.

Stanął na stole i z imitacji świecznika zdjął dwie paczki (zawierające szprotki i ładny kawałek grillowanego steku). Zwiększywszy swój zasięg przy użyciu postawionego na stole krzesła, a także swojego starego znajomego pogrzebacza, z przedpotopowej belki pod sufitem zdjął dwie następne paczki (kolejna porcja puddingu śliwkowego i skryształizowanych owoców) i - idąc za ciosem - udało mu się dogrzebać do dodatkowych zapasów babeczek bakaliowych w zatykającej niewielki otwór wentylacyjny papierowej torbie.

Sumienny nadinspektor starannie rozpakował wszystkie paczki, schował papier do szuflady, a ich zawartość zarchiwizował razem z innymi dowodami rzeczowymi w łazience.

"Marnotrawstwo - prychnął. - Jeśli to ma być dowcip, to bardzo lekkomyślny. Marnowanie żywności jest dzisiaj prawie tak sa-

mo poważnym przestępstwem jak morderstwo. Jeśli uda mi się dowiedzieć, kto to wszystko tutaj powkładał, to może zdołam go aresztować za marnotrawstwo, nawet jeżeli nigdy nie udowodnię mu morderstwa".

Ta myśl nie bardzo go jednak pocieszyła.

Wrócił spojrzeniem do zbezczeszczonego fotela. Tutaj przynajmniej miał określony punkt zaczepienia. Kobieta! *Cherchez la femme!*<sup>10</sup>

Sporządził w głowie listę wszystkich zamieszanych w sprawę kobiet i postanowił przesłuchać je po kolei, a podczas przesłuchania poruszyć temat babeczek bakaliowych. Świt nie przyniósł mu oświecenia - wręcz przeciwnie. Ale przynajmniej teraz jedna z niewiadomych zamieniła się w wiadomą niewiadomą, a to już był jakiś krok - trudno powiedzieć, czy do przodu, czy do tyłu, ale wszystko jest lepsze od stania w miejscu.

O tak wczesnej porze nie mógł się spodziewać, że ktoś z rodziny już będzie na nogach, więc złapał kota i zszedł z nim do kuchni (co było lepsze od bezczynności).

W domu nadal panowało zaciemnienie i cisza, nie licząc odgłosu wymiatania popiołu z pieców i brzdękania talerzami.

Miękkim krokiem wszedł do ciepłej, jasno oświetlonej kuchni.

- O rany! - zdziwiła się tęga kobieta, ale na widok kota odtajała.

- Ciągle włazi przez okienko w garderobie - wyjaśnił Culley.

Przedstawiony w ten przyjazny sposób kot umył ręce (a raczej brzuch) od dalszych zobowiązań towarzyskich, a Culley stwierdził, że jest całkiem mile widzianym gościem.

Kucharka była wręcz zachwycona, że nie musi już się ukrywać z ciekawością dotyczącą śmierci biednego sir Willoughby'ego Ke-

ene-Cottona. Do tej pory najwyraźniej poczytywała sobie za obowiązek krytykować liczne zarozumiałe, choć interesujące teorie wygłaszane przez Keevil, która - jak się okazało w trakcie rozmowy - opuszczała tego dnia Four Corners i w odróżnieniu od kucharki nie widziała powodu, by nie mówić tego, co miała ochotę powiedzieć. Pan Sills wraca z urlopu, mówiła kucharka, i na pewno będzie niezwykle zasmucony wiadomością o śmierci sir Willoughby'ego Keene-Cottona, ponieważ miał bardzo dobre zdanie o tym dżentelmenie starej daty, który nie wiadomo jakim cudem tak młodo wyglądał.

- Starszy pan miał dobry apetyt? - rzucił Culley w ramach przyneęty.

- Co prawda, to prawda - odparła kucharka. - Lubił jeść i wcale się z tego powodu nie krygował - nie tak jak niektórzy, co w kółko gadają o białkach i takich tam i wszystko im trzeba specjalnie przygotować.

Nie żeby panna Redpath nie była bardzo miłą kobietą; jak przychodziła wtykać nos do garów, to można się z nią było dogadać, nie tak jak z innymi.

- Lubiła czasem sama trochę pogotować - opowiadała pobłaźliwie kucharka. - Chciała wypróbować takie tam różne z książek, a ja nie jestem z tych, co nie chcą się nauczyć czegoś nowego - wszystko jest dla ludzi, prawda?

Culley potwierdził tę opinię i wyraził uznanie dla wspaniałomyślności kucharki, objawiającej się tym, że wpuszczała do kuchni amatorów.

- Nikogo innego bym nie wpuściła - przyszła błyskawiczna odpowiedź.

Oczywiście poza panem i panią domu?

- Och, im jest wszystko jedno, co jedzą, byle tego było dużo! W dzisiejszych czasach ciężko jest ich karmić tak, jak przywykli.

- Czy sir Willoughby był wybredny w kwestii jedzenia?

- Ależ skąd! Zjadał wszystko, co mu się posłało na górę, i wołał o więcej! Aż trudno uwierzyć, że tyle się w nim tego mieściło! Bo jakiś duży chłop to z niego nie był.

- Tyle się mieściło - powtórzył Culley i uzupełnił w myślach: "Albo i nie mieściło". - Podobno lubił babeczki bakaliowe?

- Zgadza się, panie Culley. I nie był zabobonny. Panna Redpath przysłała i mi powiedziała, żeby do każdego posiłku posyłać mu na górę kilka babeczek bakaliowych; przed świętami czy po świętach, wszystko jedno, ponieważ starszy pan nie wierzył w pecha; a ja zawsze sobie mówiłam, że babeczki po tych świętach to babeczki przed następnymi, więc czym się tu przejmować? No i babeczki wchodziły na górę regularnie jak w zegarku, zupełnie jak na mojej pierwszej posiadzie, gdzie zawsze były jajka na śniadanie, czy je zjadali, czy nie. Teraz się wydaje, że to był wielki grzech, całe to marnotrawstwo w dużych domach przed wojną. Słyszałam, że przed poprzednią było jeszcze gorzej - ludzie zjadali parę kęsów i resztę zostawiali na talerzach. Trzeba to przyznać sir Willoughby'emu, że chociaż wychował się w bogatej rodzinie i nigdy nie musiał myśleć o pieniądzach, to nigdy nie zostawiał niczego na talerzu ani nie odsyłał na dół!

Culley nagroził tę postawę należnym jej aplauzem.

- Jak tylko pan Sills usłyszał, że przyjeżdża sir Willoughby, powiedział do mnie: "Nie wiem, jak ty to zrobisz, żeby miał to, do

czego przywykł". Chodziło mu o wojnę. Ale sir Willoughby załatwił dodatkowy prowiant i całkiem nieźle sobie poradziliśmy.

- I nic się nie marnuje - skomentował z uznaniem Culley.

- W tym domu nic się nie marnuje - zapewniła go surowo kucharka. - Jeśli sami nie dajemy rady, to dajemy świniom, no chyba że kurom. A panna Redpath zawsze odkłada coś dla ptaków, żeby nie głodowały, póki śnieg jest taki głęboki.

- Panna Redpath, jak się zdaje, nie stanowi dużego obciążenia dla domowej spiżarni - stwierdził Culley.

- Znaczy jako wegetarianka? No tak, zostaje więcej dla innych.

- To bardzo miło - powiedział przyjaźnie Culley i z aprobatą rozejrzał się wokół siebie. - Widzę, że starannie gromadzicie makulaturę - stwierdził, kiedy jego wzrok zatrzymał się na przepelnionym koszu. - Kiedy ją ostatnio odbierali?

- Najczęściej odbiera ją chłopak z warzywniaka. Jest skautem i coś za to dostaje. Ale w święta zrobił sobie przerwę, no i doszły wszystkie te prezenty, więc nie wiem, jak on się z tym majdanem zabierze.

- Ach! - odparł Culley i wyjaśniał na twarzy.

Pojawił się kolejny punkt zaczepienia: makulatura! Potwornie nużąca praca, ale trochę cierpliwości może się opłacić - zwłaszcza zbadanie opakowań prezentów świątecznych, których większość "odłożono na bok" na przyszły użytek domowy, ale kucharka powiedziała konspiracyjnym tonem, że jako funkcjonariuszowi policji nie będzie mu żałowała.

Nareszcie mając się czym zająć, Culley przeniósł całą makulaturę do swojego pokoju z pomocą niejakej Edith Moxon, która w reakcji na to zadanie otworzyła szerzej oczy ze zdziwienia i trochę

pochichotała. Kiedy Culley już zaspokoił jej ciekawość, uznała, że ją "nabiera", niemniej jednak zdołał zaaranżować krótkie przesłuchanie, familiarnym tonem wprowadzając temat babeczek bakaliowych i zadając jej pytanie, czy nie uważa za dziwne, że siedzenie fotela tak nagle się rozpekło. Edith potwierdziła, że to, owszem, dziwne, ale przecież podczas świąt wydarzyło się mnóstwo takich dziwnych rzeczy, a jej powiedziano, żeby niczego nie ruszać przed zakończeniem przyjęcia. Jakieś paczki wisiały też pod sufitem, ale - o rany - zniknęły, pewnie policja je zabrała...

Kiedy o wpół do ósmej zajrzała do niego Keevil, zapytał ją prosto z mostu, czy to ona wszyła w tapicerkę fotela paczkę z babeczkami bakaliowymi. Nie raczyła potraktować jego pytania poważnie. Spojrzała na fotel, cmoknęła i powiedziała, że niektórzy nie zasługują na to, aby mieć ładne rzeczy. Potem spojrzała na Culleya, którego ledwo było widać pośród stosów papierów na podłodze, i nie okazując żadnych emocji, spytała, czy może coś jeszcze dla niego zrobić. Zapewnił ją, że na razie nie będzie mu potrzebna.

Kiedy w końcu spojrzał na zegarek i stwierdził, że można zakończyć zaciemnienie, dysponował już interesującym faktem.

Usiadł pod oknem i w zimnym świetle poranka wpatrywał się w dwa bileciki, stosownie do pory roku ozdobione na brzegach obrazkami liści ostrokrzewu. Na jednym widniał napis: "Drogiemu Williemu z życzeniami wielu kolejnych Wesołych Świąt, kochająca Josephine", a na drugim: "Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku, kochająca Josephine"...

Na jego oko pismo należało do tej samej osoby i wydawało mu się, że całkiem niedawno widział podobne - podobne, ale jeszcze bardziej chwiejne. Jęknął, uświadomiwszy sobie, że będzie musiał

jeszcze raz przejrzeć opakowania prezentów. Podczas pisania na brązowym papierze pakunkowym ręka zwykle bardziej się chwieje... Nie! - przypomniał sobie. Zniknęła konieczność powtórzenia całego proceduru...

Podszedł do szuflady, a potem wrócił do kręgu zimnego porannego światła z kawałkiem złożonego brązowego papieru w dłoni. Rozłożył go. W papier ten owinięte były babeczki bakaliowe wszyte w tapicerkę fotela. "Sir Willoughby Keene-Cotton, Four Corners, St. Aubyn, Mewdley, Blandshire". (Babeczki bakaliowe po świętach... Morderstwo po świętach...)

"To jest słód, który leżał w domu, który zbudował Jack, który..." [11](#) - nucił Culley do zaimprovizowanej melodii.

Czy to jest kobieta, która wysłała paczkę, która była wszyta w fotel...? Lady Keene-Cotton?

Culley nie był jednak ekspertem od charakterów pisma, więc nie mógł mieć pewności.

Nie mógł też mieć pewności w kwestii tych dwóch bilecików. Całkiem niewykluczone, że życzenia na jednym z nich bez żadnych podstępnych zamiarów napisał ktoś inny, zwłaszcza jeśli ta biedna kobieta była zbyt chora, aby osobiście się zająć prezentami świątecznymi. Byłoby najzupełniej zrozumiałe, gdyby pani Freer przywiozła prezent od matki. Nie mogła wiedzieć, że lady Keene-Cotton już wcześniej wysłała mężowi prezent. Paczka z babeczkami bakaliowymi przyszła pocztą. Niezbyt typowe, żeby wysyłać coś takiego pocztą, i to luźno zawinięte, a nie w pudełku. Poza tym sir Willoughby Keene-Cotton nie mógł się otruć tymi babeczkami bakaliowymi, ponieważ były wszyte w siedzenie fotela i sir Willoughby Keene-Cotton ich nie zjadł.



Ale co on u licha zjadł?

4

Idiota! Nie mogli przyjąć pocztą. W kwestii tych babeczek Culley robił z siebie idiotę albo ktoś robił z niego idiotę, niemniej uznał, że niezależnie od tego, jak bardzo się ośmieszy, musi zgłębić tę sprawę.

Temat babeczek poruszył przy śniadaniu. Rhoda zachichotała pod nosem, a Frank ryknął śmiechem. Paulina uśmiechnęła się smutno i powiedziała, że jest to typowy przykład próżności sir Willoughby'ego, prawda? "Urocze!" - skomentowała z kolei Margery.

Nikt się nie przejął kwestią babeczek. Starszy pan je ukrył, ponieważ nie chciał przyznać, że apetyt w końcu przestał mu dopisywać, a nie zamierzał urazić uczuć gospodarza i gospodyni. Proszę bardzo! Najzupełniej racjonalne i niewinne wyjaśnienie! Zawinął je w kawałek brązowego papieru z jednego z prezentów świątecznych i zaszył w fotelu. Nikt - nawet John - nie dostrzegł niczego dziwnego w tym, że starszy pan (po staroświecku wychowany w bogatym domu - czy jak to ujęła kucharka) władał igłą sprawnie jak kobieta, i Culley na razie postanowił zachować tę kwestię dla siebie.

Zwrócił się do panny Redpath i Rhody Redpath (każdej z nich z osobna), mówiąc, że nie dostrzega żadnych przestępczych motywów w zaszyciu babeczek bakaliowych w fotelu, więc jeśli one to zrobiły, to mogą spokojnie skrócić jego męki i przyznać się do tego. Żadna się jednak nie przyznała i obie na późniejszym etapie

zdradziły, że żarcik nadinspektora Culleya trochę je już męczy. Margery Dore serdecznie ubawiło, że oskarżono ją o coś tak głupiego i bezsensownego, więc sprawa, która najwyraźniej leżała jej na sercu, nie miała nic wspólnego z babeczkami bakaliowymi.

Niech лихо weźmie te przekłete babeczki!

Ale sprawa z ich ukryciem w fotelu po prostu musiała zostać wyjaśniona. Wyglądało na to, że nie odpowiada za nie żadna z kobiet w domu, pozostawała zatem tylko panna Hobbs.

O której Culley właściwie zapomniał.

5

Wortleyowie powitali go serdecznie. Teraz wychodziło na to, że znali sir Willoughby'ego Keene-Cottona od urodzenia, a jego śmierć niezmiernie ich przygnębiła, zwłaszcza że państwo Redpath to nie tylko ich najbliżsi sąsiedzi, ale również najdrożsi przyjaciele. Bardzo ich ucieszyło, że rozprawa u koronera miała tak pomyslny przebieg. Esther tak strasznie się jej obawiała. Biedne dziecko, chociaż ma tylko dziewiętnaście lat, jest strasznie sumienna i czuje się odpowiedzialna za to, co się wydarzyło. Ale koroner potraktował ją niezwykle łagodnie i za bardzo jej nie nękał.

- Ja również nie będę jej nękał - zapewnił ich Culley. - Przyszędłem tutaj z nadzieją, że pomoże mi z paroma kwestiami, które usiłuję wyjaśnić.

Wortleyowie spojrzeli po sobie.

- Jestem pewna, że Esther z radością zrobi co w jej mocy - powiedziała Ida. - Jeśli pan pozwoli, pójdę jej poszukać.

Culley pozwolił i kiedy już zostali sami, zapytał uprzejmie Ho-

warda:

- Czyli sir Willoughby Keene-Cotton był waszym starym znajomym?

Howard uniósł się nieznacznie na palcach, a potem opadł i ledwo zauważalnie kołysał się do tyłu i do przodu, rozmyślając nad odpowiedzią. Westchnął cicho i przemówił tonem męża, który nie musi się już obawiać, że żona go usłyszy:

- Starzy znajomi to za dużo powiedziane, panie nadinspektorze. To były raczej stosunki sąsiedzkie. W tak małej miejscowości, na dodatek podczas wojny, nie możemy pozwolić sobie na to, aby nie traktować ludzi po sąsiedzku, prawda?

- W takim razie nie znaliście sir Willoughby'ego, zanim tutaj zamieszkał?

- Tak naprawdę to nigdy wcześniej go nie spotkaliśmy - odparł z wahaniem Howard.

- A podczas jego poprzedniego pobytu u Redpathów?

- Tak, parę razy go widzieliśmy.

- Może tym razem widywaliście go częściej?

Howard Wortley ponownie się zakołysał.

- Tylko po sąsiedzku - odparł. - Wojna... Święta i tak dalej...

Na tym etapie nadinspektor Culley miał już pewność, że Wortleyowie po raz pierwszy i ostatni spotkali sir Willoughby'ego na przyjęciu świątecznym u Redpathów.

- Nigdy nie robił pan żadnych interesów z denatem? - zapytał głównie dla przyjemności płynącej z obserwowania, jak Howard znowu unosi się na palcach.

Czego też Howard nie omieszkał uczynić.

- W tych sprawach, panie nadinspektorze, człowiek o mojej po-

zycji musi być ostrożny. Wciąż kontroluję szereg gazet. Dotarło do mnie, że sir Willoughby jest zainteresowany wydawanym przeze mnie nowym tygodnikiem i być może dlatego tak bardzo zależało mu na tym, aby się z nami spotkać.

- O - odparł Culley.

- Nie żebym miał coś przeciwko porozmawianiu z nim o tym - wyznał wielkodusznie Howard - i podejrzewam, że byłbym w stanie dać mu to, czego szukał - bo to w końcu nie byle kto, jeśli mnie pan rozumie. W dzisiejszych czasach nikt z nas nie jest szczególnie bogaty, więc nie możemy kręcić nosem na dobrego inwestora.

- W rzeczy samej... - Culley był pod tak wielkim wrażeniem niejednoznaczności używanych przez Howarda sformułowań, że niechęć się nią zaraził. - ...Szkoda, że umarł.

- Tragedia - zgodził się z nim Howard. Z rozmachem wytarł nos i przestał się kołysać. - Ale tragedie, podobnie jak wojny, są zsyłane na nas po to, abyśmy się zahartowali, prawda? Aby wydobyc z nas to, co najlepsze, i wzmocnić więzi międzyludzkie.

Culley cierpliwie wysłuchał jeszcze kilku filozoficznych uogólnień wypływających z wieloletniej znajomości Howarda ze światem i z naturą ludzką i wywnioskował z całej tej przemowy, że śmierć sir Willoughby'ego wytworzyła więź między Wortleyami a ich najbliższymi sąsiadami Redpathami. Howard wyraził aprobatę dla faktu, że nadinspektor Culley porządkuje tę sprawę.

- Nie chcemy zostawiać zbyt wielu niewyjaśnionych wątków, bo prędzej czy później ludzie zaczną gadać. Nie żeby ludzi można było powstrzymać od gadania, bo natury ludzkiej nie da się zmienić. John Redpath - kontynuował Howard - i bez tego ma ciężko, bo nie przyjęli go do służby wojskowej ze względu na wzrok czy

coś tam innego, i ludzie sugerują, że uchyla się od służby albo należy do piątej kolumny tylko dlatego, że podczas poprzedniej wojny jego ojciec przypadkiem był pacyfistą i w odróżnieniu od niektórych nie musi wyrzekać się własnych poglądów, ponieważ jego syn nie walczy na froncie, a on nie musi udawać, że to go smuci. Nie żebym sam był pacyfistą, ale podziwiam ludzi, którzy mają odwagę bronić własnych przekonań. Dlatego nie wycofuję się z mojej propozycji dla młodego Redpatha. Młodych ludzi bardzo dzisiaj brakuje i ta współpraca bardzo mi odpowiada, więc też nie będę udawał zasmuconego faktem, że młody Redpath nie służy w wojsku.

- To bardzo miło z pańskiej strony - mruknął Culley, próbując sobie nie wyobrazić Rhody Redpath mordującej własnego ojczy-  
ma w celu wytworzenia więzi z Wortleyami i umieszczenia syna w redakcji nowego wojennego tygodnika Howarda.

Nie miał też czasu wyrazić uznania dla Howarda Wortleya za pomoc i podżeganie pacyfistów i morderców (w ciągu ostatnich kilku minut te dwa słowa jakimś dziwnym sposobem stały się synonimami), ponieważ weszła pani Wortley z Esther Hobbs i z chłodnego saloniku, w którym się znajdowali, wygoniła swojego na tym etapie radośnie nadętego męża.

Esther Hobbs usiadła na podłokietniku fotela i znad krawędzi swoich niezniszczalnych okularów spozierała nieufnie na nadinspektora. Cierpliwie wysłuchiwała małej przemowy Culleya na temat uporządkowania niewyjaśnionych wątków śledztwa.

Spytał ją o rodzinę i ogólny kierunek życia i ambicji, mając nadzieję, że dzięki temu przestanie być taka spięta, ale po chwili uzmysłowił sobie, że łatwiej osiągnie ten cel, jeśli przejdzie do rze-

czy i zacznie zadawać pytania, na które będzie mogła udzielać nieosobistych odpowiedzi. Tak właśnie zrobił, a ona tak właśnie odpowiadała. Jak na swój wiek była bardzo poważną, bezbarwną młodą kobietą. Najwyższa pora, żeby ktoś ją pocałował, zaszokował, spróbował rozśmieszyć albo coś, choć bez wątpienia było na to jeszcze mnóstwo czasu.

Powiedziała, że do cioci i wujka (tak dla niej życzliwych) przyjechała na wakacje, ale nie chciała odmawiać przyjęcia pracy w roli sekretarki sir Willoughby'ego, aby zrobić przyjemność państwu Redpath (również bardzo życzliwym).

Jaka to była praca? Połączenie pielęgniarki z asystentką?

- Tak naprawdę byłam tylko jego sekretarką - odparła Esther. - Sir Willoughby nie dawał mi odpocząć, zajmowałam się głównie jego autobiografią. Ale tak naprawdę moim zadaniem było sprawić, żeby miał jakieś zajęcie i... żeby poczuł się ważny. Większość czasu spędzał w swoim pokoju, a kiedy przyszły święta, nie bardzo mogli sobie z nim poradzić, bo zrobił się strasznie skryty i nie chciał się zwierzać nikomu z rodziny.

- Tak, tak, rozumiem. Chciałem zapytać o tę autobiografię. Jak daleko dotarł?

Na to pytanie nie było jej łatwo odpowiedzieć.

- Dużo pisałam na maszynie, a on zawsze był bardzo zadowolony z tego, co mu przynosiłam, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, żeby kiedykolwiek to przeczytał. Miał problemy ze wzrokiem i na niczym nie potrafił się dłużej skupić. Tak naprawdę - dodała (zwrot ten wyraźnie napawał ją otuchą).

- Nie sądzi pani, aby to zostało kiedykolwiek opublikowane?

- O, nie!

Esther Hobbs zaśmiała się przyjaźnie z dziwnego pomysłu, który urodził się w głowie nadinspektora Culleya.

- Chciałbym zobaczyć ten maszynopis, jeśli ma pani jakieś fragmenty.

Spojrzała na niego przez okulary, a potem znad nich, ale żadną z tych dróg nie dało się uniknąć odpowiedzi, więc mrugnęła i powiedziała:

- Jaka szkoda! Tak naprawdę miałam tego całkiem sporo, ale niestety...

Urwała, ponieważ sumienie nasunęło jej wątpliwości, czy może kontynuować.

- Podarła pani? - rzucił Culley bez śladu krytycyzmu w głosie.

- Och, nie! Ale po jego śmierci zaczęłam się zastanawiać, co z tym zrobić, więc tak naprawdę, szczerze mówiąc, dałam to pannie Redpath.

- Tak?

- Powiedziała, że chciałaby zobaczyć maszynopis. Tak naprawdę znała sir Willoughby'ego bardzo dobrze. Była tak jakby towarzyszką jego pierwszej żony.

- Pierwszej? - zdziwił się Culley.

- No może drugiej. Niestety strasznie mu się mieszały pokolenia.

("Tak, ten wątek ciągle gdzieś wyskakuje" - pomyślał Culley).

- ...Panna Redpath potrafiłaby to uporządkować i ocenić, czy warto to zatrzymać, i ogólnie to ona najlepiej by wiedziała, co z tym zrobić.

- No i co z tym zrobiła?

- Powiedziała, że odda maszynopis panu Merivale'owi, kiedy

ten przyjdzie. Razem z innymi papierami. Nie mam pojęcia, czy to zrobiła.

- W tym, co pani przepisała, nie było niczego... skandalizującego?

- O panie Redpath?

- O kimkolwiek.

- Nie, jestem pewna, że nie było.

- Całkiem pewna?

- Tak, oczywiście. Bo tak naprawdę, szczerze mówiąc, większość zmyśliłam. I wszystko było bardzo nudne.

- Zmyśliła pani?

- Tekst nie miałby żadnego sensu, gdybym tego nie zrobiła - a jemu to najwyraźniej nie przeszkadzało, więc zmyślałam.

- A zatem - powiedział Culley powoli - panna Redpath zobaczyła tylko zatwierdzony przez panią maszynopis. Co się stało z jego notatkami?

- Notatkami?

("Oczy mnie mylą czy lekko się zarumieniła?" - zastanawiał się Culley).

- Słyszałem, że dużo notował.

- A tak, bardzo dużo. - Miała gładkie i wąskie czoło, ale zdołała je zmarszczyć. - Wszędzie się walały. Widzi pan, ciągle coś sobie przypominał i natychmiast to notował.

- Aha. Dziwne, że przepadły.

- Rzeczywiście dosyć dziwne - zgodziła się Esther. - Bo tak naprawdę należał raczej do ludzi, którzy niczego nie wyrzucają, jeśli pan mnie rozumie. A przecież kiedy przeglądałam z panem Meri-



vale'em jego papiery, nie znaleźliśmy ani jednej notatki napisanej jego charakterem pisma!

- W makulaturze też nic nie było - uzupełnił Culley - bo z kolei ja ją przeszukałem.

- Rzeczywiście dziwne, prawda? - powtórzyła Esther, podtrzymując swoje stanowisko.

- Osobliwe - przytaknął Culley. - Sądzi pani, że gdzieś je schował?

- Chyba tak musiało być. Ale nie mam pojęcia dlaczego.

- Może miał zwyczaj chować różne rzeczy?

- Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek to zrobił. Nie zachował listów, notatek ani innych...

- Może babeczki bakaliowe - przerwał jej Culley.

- Co?

- Babeczki bakaliowe i tym podobne.

- Babeczki bakaliowe?

- Tak powiedziałem.

Esther Hobbs zadała sobie pytanie, czy nadinspektor Culley przypadkiem nie zwariował.

Nadinspektor Culley zadał sobie takie samo pytanie.

- Nie zaszyła pani paczki babeczek bakaliowych w tym dużym fotelu w jego pokoju, panno Hobbs?

- Zaszyłam... Na litość boską, dlaczego miałabym zaszywać w fotelu babeczki?

- Zrobiła to pani?

- Oczywiście, że nie.

Nie, oczywiście, że tego nie zrobiła, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości, a tym samym ostatnia nadzieja Culleya prysła!

- Czy to znaczy, że znalazł pan partię babeczek bakaliowych zaszytą w fotelu w jego pokoju? - spytała z niedowierzaniem.

- Owszem - powiedział Culley.

- Kiedy to było?

- Wczoraj w nocy - zakomunikował Culley.

- Przedziwne! - skomentowała Esther, która naprawdę chciała pomóc biednemu nadinspektorowi, tak bardzo przejętemu babeczkami bakaliowymi, na które po prostu musiało istnieć jakieś wyjaśnienie, ale za żadne skarby świata nie przychodziło jej do głowy. Kierując się poczuciem obowiązku, zaczęła się intensywnie zastanawiać.

Culley wstał jednak do wyjścia.

- Dzisiaj nie będę już pani dłużej męczył, panno Hobbs...

- Wcale mnie pan nie męczy - odparła uprzejmie Esther. - Żałuję, że nie mogłam bardziej panu pomóc. Czy te babeczki to ważna poszlaka?

Otworzyła szerzej oczy. ("Z zaciekawienia, a nie z obawy" - zdiagnozował Culley).

- Być może nie - przyznał Culley - w każdym razie chciałbym się dowiedzieć, kto je tam włożył.

Esther Hobbs doskonale to rozumiała, zresztą sama również chciałaby się tego dowiedzieć, ale...

- Na litość boską, z jakiego powodu zaczął pan szukać babeczek bakaliowych? - Po prostu musiała o to zapytać.

- Nie szukaliśmy babeczek bakaliowych - bronił się odruchowo Culley. - Szukaliśmy testamentu.

To brzmiało jeszcze głupiej, ale panna Hobbs natychmiast pojaśniała.

- Ach tak, rozumiem. I pomyślał pan, że sir Willoughby mógł go gdzieś schować.

- Coś w tym rodzaju - wyznał Culley i z ulgą stwierdził, że jego rozmówczyni zadowolili się tym wyjaśnieniem.

Dotarł aż do drzwi, gdy zatrzymało go pewne słowo wypowiedziane przez pannę Hobbs - nie teraz, tylko wcześniej.

W jej ostatnim zdaniu z jakiegoś powodu odstawało od reszty niepozorne słowo "go".

A raczej nie samo słowo, tylko sposób, w jaki panna Hobbs je wypowiedziała. "I pomyślał pan, że sir Willoughby mógł go gdzieś schować".

Nadinspektor Culley nie tylko wrócił do salonu, ale i usiadł ponownie.

- Na jakiej podstawie pani sądzi, że sir Willoughby spisał przed śmiercią nowy testament, panno Hobbs? - spytał ją spokojnym tonem.

- To nie był testament, tylko... kodycył czy coś w tym rodzaju - odpowiedziała sumiennie.

- W takim razie na jakiej podstawie sądzi pani, że spisał kodycył?

Esther sprawiała wrażenie nieco wytrąconej z równowagi.

- Wiem o tym, bo go poświadczyłam.

- Kiedy to było? - (Teraz pytania zadawał Culley).

- W Wigilię. - (Esther chciała mu wcześniej pomóc, a teraz najwyraźniej pomagała).

- Rano czy po południu?

- Rano.

- Przed wizytą państwa Freer?

- Tak.
- Zanim postanowił posłać po swojego prawnika?
- Tak, oczywiście.
- I nie ma pani żadnej wiedzy o tym, co z nim zrobił?
- Mam... sir Wi... Panu chyba powinnam powiedzieć...
- Tak, proszę mi powiedzieć.
- Właściwie to obiecałam nic nie mówić.
- Tak? A dlaczego?

- Bo to... Przepisałam go na maszynie, on się podpisał, potem panna Dore i ja poświadczyłyśmy i on jej go oddał na przechowanie. To miał być tak jakby prezent ślubno-święteczny dla jej przyszłego męża - Johna Redpatha - i miał pozostać tajemnicą, aż święta się skończą. Panna Dore miała nic nie mówić panu Redpathowi i obiecałam, że ja też nie powiem... Co się stało, panie Culley?

Nadinspektor Culley zbladł.

## XIV. Motywy po świętach

1

- Więc o to chodzi! - mówił do siebie po drodze do Four Corners. - Od początku o to chodziło! Zaginiony testament! Jedyny możliwy motyw dla morderstwa po świętach!

Jednak John Redpath sam tak powiedział, więc nie mógł o tym wiedzieć. A w każdym razie nie mógł wiedzieć, że testament ma panna Dore, bo inaczej by go szukał.

No chyba że razem to uknuli i mydlili mu oczy. Albo specjalnie dali mu podsłuchać tę rozmowę w saloniku muzycznym i schowali kodycył w takim miejscu, żeby on go znalazł. Babeczki bakaliowe i inne rzeczy to była tylko scenografia, która miała utrudnić poszukiwania w stopniu zwiększającym wiarygodność całej inscenizacji.

"Proste rozwiązanie, które wszystko wyjaśnia" - pomyślał Culley. Był rozdarty: z jednej strony chciał, aby było prawdziwe, a z drugiej strony miał nadzieję, że nie jest. Z trzeciej strony bał się, że jest. Wszystko tak dobrze do siebie pasowało. Powiedział sobie, że pasuje wręcz za dobrze, aby było prawdziwe, ale sam dostrzegał, że takie myślenie jest tylko racjonalizacją.

Kodycył stanowił "motyw po świętach", czyli dokładnie to, czego się bali państwo Redpath: że coś takiego wyskoczy i pogrąży osobę, której niewinność może być później niemożliwa do udowodnienia i w którą oni sami bez reszty wierzyli. "To nie może być żadne z nas!"... Frank Redpath nie umiał sobie wyobrazić, że morderstwo popełniono dla pieniędzy. Za jedyny prawdziwy powód do zabicia człowieka uważał strach.

Ale strach obejmował wszystko, łącznie z miłością do pieniędzy. Pieniądze to jedyna bezpieczna broń dla tych, którzy lękają się stawić czoło przyszłości...

Tak, motyw niewątpliwie istniał. Frank i Rhoda Redpath wiedzieli, że starszy pan został zamordowany, ale nie pojmowali, w jaki sposób miałyby się to dokonać! Najzupełniej naturalne, ale również trochę niespójne, prawda? Czyż sami nie zwrócili mu uwagi, jak łatwo byłoby zamordować wujka Williego?

Nikt nie musiał go zabijać, wystarczyło po prostu pozwolić, żeby zabił się sam. A kto - siłą rzeczy zadał sobie pytanie Culley - najczęściej widywał się z denatem w ostatnich dniach jego życia - poza Esther Hobbs?

Łatwe morderstwo! Gdyby nie te ślady stóp, nie sposób byłoby dostrzec jakiegokolwiek podejrzanego okoliczności.

Ale John Redpath zwrócił uwagę na ślady stóp, co zdejmuje z niego podejrzenia.

Idiota! Nie zdejmuje z niego, tylko ściąga na niego! Idiota, że wcześniej nie dostrzegł, czemu służyły ślady stóp! Miały zostać zauważone, tak samo jak miał się pojawić zaginiony kodycył. Prawdziwy morderca wiedział, że ślady stóp nie mają nic wspólnego z morderstwem, ale muszą zostać wyjaśnione. Jeśli ci dwoje byli w to zamieszani - razem albo osobno - to całą rzecz na pewno starannie zaplanowali. Zapowiadało się łatwe morderstwo i wszystko zostało przewidziane - ale nikt, nawet jego własny syn, nie mógł przewidzieć, że Frank Redpath przeniesie zwłoki na bezpieczną odległość od domu, ponieważ trwało przyjęcie świąteczne!

Czy John Redpath próbuje zrzucić to przestępstwo na państwa Freer, którym nigdy nie będzie można niczego udowodnić?

Ale tutaj również wszystko podejrzanie dobrze do siebie pasowało, prawda?

Culleyowi zgrzytało, że ta sprawa zawiera wszystkie niezbędne składniki zagadki kryminalnej. Począwszy od bałwana, w którym powinno być ukryte ciało, ale nie było. Dawno zaginiony spadkobierca, który jednak nie dziedziczył. Groźna i skandalizująca autobiografia, która nie była ani groźna, ani skandalizująca, tylko bełkotliwa i niespójna. Ślady stóp, które nie miały nic wspólnego z morderstwem. I całe to zatrute jedzenie, które nie tylko nie było zatrute, ale również nie zostało zjedzone.

A teraz zaginiony testament i para morderców z motywami po świętach.

"No, no, jeśli chcą być konsekwentni, to nie mają motywu i nie są mordercami". Tak oto rozmyślał Culley. Pobożne życzenie?

2

Margery Dore zlokalizował bez większego problemu po dźwiękach fortepianu. W saloniku muzycznym siedziała obok niej panna Redpath. Momentami grały razem - na dwie ręce.

Bach...

Culley uwielbiał Bacha, czasami sam go grywał. Dawało mu to jakąś odskocznnię od krzyżówek, a niekiedy pomagało w rozwikłaniu trudnej sprawy. Bach nie miał zwyczaju włączać różnych rzeczy niezwiązanych z tematem: życie wydawało się dzięki temu schludne i uporządkowane, skoncentrowane na Bogu. Usuń Boga i włóż na jego miejsce morderstwo, a potem idź do łóżka i pozwól Bachowi myśleć za ciebie. Skutki bywają rewelacyjne...

Jako pierwsza zauważyła go panna Redpath. Udawała bardzo przestraszoną.

- Ojej, nadinspektor Culley! - zakrzyknęła.

- Jak widać.

- Czy pan tam siedział i wykonywał czynności dochodzeniowe?

- Coś w tym rodzaju, panno Redpath.

- Co za szczęście, że przyłapał nas pan na tak niewinnym zajęciu! Którą z nas bardziej pan podejrzewa?

- Nie jestem w tej kwestii wybredny - powiedział wesoło Culley.

- Właśnie otrzymałem pewne bardzo podejrzane informacje o was obu.

- Psiakrew - zaklęła Margery - widział się z panną Hobbs.

Zagrała dominantę durową, a potem zwróciła ku niemu twarz.

- Widzę to po jego minie.

- Nie będę zaprzeczał - odparł Culley.

Zapadła cisza, w czasie której Paulina zaczęła składać nuty. Margery przystąpiła do długiej tyrady:

- Przecież to ona jest najbardziej podejrzaną osobą w tej sprawie. Nie sądzi pan? Nikt nie wie, skąd się wzięła. Wortleyowie nigdy wcześniej nie wspominali, że mają bratanicę, i nie widzę powodu, dla którego mieliby tak starannie wyjaśniać jej pochodzenie, chyba że jest nieślubną córką Idy albo kochanką Howarda...

- Proszę cię! - upomniała ją surowo panna Redpath, nie przerywając porządkowania nut.

- Albo ich szantażuje - kontynuowała niezrażona Margery. - Sir Willoughby mógł coś wiedzieć o dawnym życiu Howarda. - Oczyszczyła gardło i znowu zaczęła mówić swoim wyraźnym, rozplywającym się młodym głosem: - Ida może być nieślubną córką jednej z



jego żon. A tak w ogóle to skąd się wzięły wszystkie te pieniądze Howarda? Nikt tego nie wie. Na pana miejscu bardzo starannie przyjrzałabym się całej trójce, nadinspektorze. - Culley miał już odruchowo obiecać, że to zrobi, ale Margery potrząsnęła brązowym kokiem i mówiła dalej, nie dając mu czasu na odezwanie się: - Któreś z nich może być nawet jego najbliższą rodziną. Usłyszeli, że jego żona nie żyje, a on następnego dnia spisuje nowy testament. Albo był jedyną żyjącą osobą, która wiedziała, kim są Wortleyowie. Rozpoznał ich na przyjęciu i podpisał na siebie wyrok śmierci.

- Wygląda na to, że nieustannie podpisywał na siebie wyrok śmierci - wtrącił Culley.

Paulina cmoknęła wyrozumiale.

- A więc, jak pan widzi - podsumowała Margery - Wortleyowie mogą mieć motyw. To znaczy do morderstwa po świętach.

- Motywy po świętach - powtórzył Culley. - Słusznie, słusznie!

- Podstępnie zatrudnili Esther Hobbs jako jego sekretarkę, aby usunęła wszelkie obciążające ich dokumenty, które mogły się znajdować w jego posiadaniu. Proszę pamiętać, że miała dostęp do wszystkich jego papierów.

- Ten fakt nie uszedł mojej uwagi - zapewnił ją Culley, podziwiając jej występ. ("Poradzi sobie na scenie - pomyślał - ale jeśli chce grać w prawdziwym życiu, to musi się nauczyć wierzyć w to, co mówi: występ Johna Redpatha był znacznie bardziej przekonujący"). - Ponadto zaciekawilo mnie, że wszystko, co denat napisał w ostatnim tygodniu swojego życia, zniknęło.

- Wszystko zniknęło? - zawołała Margery z przejęciem i niedo-

wierzaniem, po czym dodała bez przekonania: - W takim razie sam pan widzi!

- Naprawdę wszystko zniknęło? - spytała panna Redpath tonem plotkarki. Niezmiennie

- Na to wygląda - odparł Culley takim tonem, jakby dzielił się plotkami. - Ktoś był w jego pokoju i solidnie posprzątał!

- Esther! - wydyszała Margery (nie wierząc w swoje słowa).

- Panna Hobbs oczywiście temu zaprzecza - powiedział Culley.

- Oczywiście - powtórzyła po nim Margery.

- Nie sądzę, żeby pana okłamywała, panie nadinspektorze - wtrąciła miłosiernie panna Redpath. - Ma dopiero dziewiętnaście lat i jest bardzo, bardzo sumienna.

- Mnie też się taka wydała - zgodził się z nią Culley w całej rozciągłości. - Powiedziała mi również, że sir Willoughby zostawił mnóstwo porozrzucanych po całym pokoju notatek. A jeśli ona ich nie zniszczyła, to kto to zrobił?

Paulina również w całej rozciągłości zgodziła się ze swoim rozmówcą.

- To bardzo, bardzo dziwne - powiedziała. - Jestem pewna, że sam by ich nie zniszczył. Nie przyszłoby mu to do głowy.

Culley zauważył jej konsternację.

- A zatem pani to zrobiła, panno Redpath?

- Och, nie! - odparła cierpliwie. - Powiedziałabym panu o tym. To właśnie mnie dręczy: nie znalazłam niczego do zniszczenia.

Odłożyła na bok starannie zebraną stertę nut i otrzepała dłonie z kurzu.

- Czyli rzuciła pani okiem?

- Może i rzuciłam - odparła przyjaźnie, jakby robiła mu przy-

sługę tym zwierzeniem. - O rany, dziś czwartek, prawda? Muszę lecieć. - Będąc już w drzwiach, widocznie zmiękła w swym postanowieniu, bo wróciła do nadinspektora, który patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. - Biedny sir Willoughby - westchnęła, po czym łaskawie udostępniła mu swoją osobistą wiedzę o denacie, której nie uzyskałby od nikogo innego: - Bardzo nierozsądnie trzymał na wierzchu różne kompromitujące papiery - dzienniki i listy od ludzi, którym pożyczył pieniądze albo tak mu się wydawało. Byłoby bardzo miło, gdyby to wszystko wpadło w ręce policji - po jego śmierci. I to nie tylko dlatego, że mieliby z tym mnóstwo roboty, która przypuszczalnie nie wniosłaby nic do sprawy. Ale teraz już naprawdę muszę lecieć, więc pan wybaczy. Margery, moja droga, nie pozwól mu się dręczyć. Ale jestem pewna, że nie będzie tego robił - rzuciła na odchodnym.

- Czy ona leci gdzieś w każdy czwartek? - spytał Culley, bo przez parę chwil nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Prowadzi w miasteczku zajęcia plastyczne. Przychodzą przeróżni ludzie. Ona uważa, że mimo wojny nie należy zaniedbywać sztuki. Zgadzam się z nią, a pan? To naprawdę wspaniały człowiek. Z wierzchu wydaje się tak szacowna i konwencjonalna, ale w odróżnieniu od większości starych ludzi nie jest ani trochę drażliwa na swoim punkcie i nic jej nie szokuje. I w ogóle się nie przejmuje tym, co ludzie sobie pomyślą.

- Na to wygląda - mruknął Culley z niejasną intencją.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pan jej aresztować - dodała Margery, zauważywszy jego zamyślony wyraz twarzy.

- Za co? - spytał niewinnie.

- Za ukrywanie poszlak czy co tam pana zdaniem zrobiła...

- Nie, nie sądzę, abym się odważył - wyznał Culley.

- To wszystko było dosyć niemądre - ciągnęła Margery, odwdzięczając mu się szczerością za szczerść. - Starszy pan nie potrafił niczego zapamiętać na dłużej niż minutę - to znaczy z teraźniejszości. Próbował być na nią obrażony o te babeczki, ale na Paulinę strasznie trudno jest być obrażonym. Siedział w swoim pokoju, ponownie przeżywając przeszłość, i po chwili nie mógł sobie przypomnieć, o co jest obrażony! Podejrzewam, że przypomniałaby mu, gdyby ją wpuścił do swojego pokoju, ale nie wpuścił. W końcu doszedł do wniosku, że chodzi o coś, co się wydarzyło za panowania królowej Wiktorii. Pokuśtykał na dół, aby ją zapytać, o co poszło, a potem jej powiedziec, że jej wybaczył!

- I powiedział jej?

- Nie, niestety nie było jej w domu.

- O!

- Oczywiście nic jej o tym nie wspomnieliśmy.

- My, czyli kto?

- Wszyscy. Oprócz Johna, który zabrał ją do kina. Jemu też nic nie powiedziałam, bo już wcześniej był całkiem podejrzliwy.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu całej tej tajemniczości i szeptów w święta. A potem sir Willoughby'ego poproszono do telefonu i wtarabanił się do gabinetu, w którym pan Redpath wypisywał karteczki na choinkę. To wtedy się domyślił, że będzie poszukiwanie skarbu. Był bardzo z siebie zadowolony.

- Kiedy to wszystko się stało?

- W pierwszy dzień świąt.

- W pierwszy dzień świąt - powtórzył Culley zamyślonym to-

nem. - Co jeszcze się wydarzyło w pierwszy dzień świąt?

- Jacyś ludzie, na których mówiono wujek Jeff i ciocia Meg, przyjechali samochodem na obiad. Sir Willoughby był za bardzo zajęty prezentami świątecznymi, żeby się z nimi zobaczyć. Powiedzieliśmy, że paskudnie kaszle, co było prawdą, i zastanawialiśmy się na głos, czy wyzdrowieje na tyle, aby pojawić się na przyjęciu.

- Pani go widziała w pierwszy dzień świąt?

- Tak, mówiłam panu. I przesiedziałam z nim parę godzin rano. Esther miała wychodne.

- Tak? Czyli panny Hobbs nie było, kiedy zszedł na dół?

- Była. Wróciła po podwieczorku, żeby doprowadzić go do ładu. Nikogo innego nie chciał wpuścić do swojego pokoju, póki na wierzchu leżały prezenty.

- A, czyli panna Hobbs słyszała o tym tajemniczym wydarzeniu za panowania królowej Wiktorii?

- Tak, słyszała. Ale to nie było nic sensownego, jakaś niezwykle zawikłana historia o tym, że posłał męża panny Redpath do więzienia. Mówił, że to nie miało nic wspólnego z nią samą i że głupio z jej strony, że się tym teraz przejmuje. Żałował, że nie potrafi sobie przypomnieć szczegółów. Twierdził jednak, że różne rzeczy codziennie powracają. Żałował też, że nie umie stenografować tak jak Esther, bo mógłby wszystko zapisywać i nikt nie potrafiłby przeczytać tych notatek, gdyby zostawił je na wierzchu. Przypuszczam, że dlatego myszkowała. Gdybyśmy wiedzieli, że on umrze, tobyśmy o tym oczywiście powiedzieli, ona by mu przypomniała, o co chodziło, i zdałby sobie sprawę, że nic poważnego się nie stało. Ale skąd mogliśmy wiedzieć, że tak nagle umrze?

- W rzeczy samej. Czyli panna Redpath nie wiedziała, że sir

Willoughby próbuje sobie przypomnieć, dlaczego jej mąż poszedł do więzienia?

- Ja z pewnością nie mogłam jej o tym powiedzieć, bo przecież to nie mógł być jej mąż, prawda? Poza tym to przypuszczalnie nie miało nic wspólnego z nią.

- Panna Hobbs mogła jej powiedzieć.

- Tak, pewnie mogła.

Znowu pojawiła się konieczność oczyszczenia gardła.

- Panna Hobbs nie sprawia wrażenia osoby, która umie dochować tajemnicy - sondował ostrożnie Culley.

- Tajemnicy starego Williego skutecznie dochowała - zwróciła mu uwagę Margery.

- W czasie świąt tak, ale po świątach było z tym już gorzej.

Po krótkiej chwili milczenia Margery powiedziała:

- Zapewne to wszystko oznacza, że mnie wydała?

- To trochę niebezpieczne powierzyć innej kobiecie tajemnicę, prawda, panno Dore? - zasugerował Culley.

- Tak, przyszło mi to do głowy - zgodziła się z nim Margery. Zmarszczyła czoło, a potem pokręciła głową i powiedziała: - Nie wolno panu mieć do niej pretensji. Widocznie ma za mało wyobraźni, aby zmyślać kłamstwa, więc z reguły nie ma innego wyjścia, jak tylko mówić prawdę. Po prostu nic innego oprócz prawdy nie przychodzi jej do głowy i to wszystko.

- Tak, sędzę, że to wszystko - powiedział Culley, ale odczekał chwilę na wypadek, gdyby to nie było wszystko, a potem zachęcił: - A teraz, panno Dore, może mi pani opowie, jak to było.

- Chyba muszę - przyznała z niechęcią Margery - jeżeli po to

pan tutaj siedzi. Nie mogę bez końca ściągać pana na boczne tory, prawda?

- Wolałbym, żeby pani tego nie robiła - odpowiedział jej Culley szczerym tonem.

- Nie powiedział pan nic Johnowi? - spytała z niepokojem.

- To on nie wie?

- Nie wie, jaką byłam idiotką. Oślicą w najgorszym wydaniu! Biedny John!

- Czy mogłaby pani wyrażać się trochę jaśniej?

- Każdy poziom jasności mi odpowiada. Mówiąc po ludzku, dałam potworną plamę.

- W takim razie zobaczmy, co się da w tej sprawie zrobić - powiedział Culley z fałszywym optymizmem. - Może nie jest tak źle, jak się pani wydaje.

- Nie widzę, jak mogłoby być gorzej. Wszystko takie daremne i niepotrzebne, i najzupełniej typowe dla mnie. Podejrzewam, że muszę panu powiedzieć?

- Nie ma pani takiego obowiązku, ale chętnie bym posłuchał.

- Aha. - Niepocieszona Margery wstała i zaczęła chodzić wokół fortepianu, a potem znowu usiadła. - To może by pan zaczął mnie dręczyć - wyduszać ze mnie zeznania albo coś - zamiast tak siedzieć i czekać, aż zrobię z siebie idiotkę. Doprowadza mnie to do szału.

Culley posłusznie odchrząknął.

- Sir Willoughby sporządził przed śmiercią kodycył - zaczął prosto z mostu. - Zostawił Johnowi Redpathowi roczny dochód w wysokości pięciuset funtów rocznie, a pani i panna Hobbs poświadczyłyście to podpisami. Dał pani kodycył na przechowanie.

Poprosił panią, aby nic pani o tym nie mówiła do końca świąt, ponieważ to miał być prezent ślubno-święteczny - w każdym razie tak powiedziała panna Hobbs.

- Wszystko się zgadza - potwierdziła Margery. - "Teraz już będzie pani musiała za niego wyjść" - powiedział do mnie. Urocze, prawda? Poza tym byłam z siebie dumna, że tak sprytnie to załatwiłam, bo z grubsza do tego zdążałam. Pan pewnie sobie myśli, że to było nikczemne i prymitywne zagranie, ale tak naprawdę nie chodziło nam o pieniądze. Myśleliśmy, że jeżeli zainteresujemy sir Willoughby'ego naszymi zaślubinami, podniesie to pozycję społeczną Johna. Z punktu widzenia mojej matki John nie jest zbyt dobrą partią, zwłaszcza w dzisiejszych czasach. I pomyśleliśmy, że wujkowi Williemu może się spodobać, że zostanie naszym dobrym duchem. Ciekawa jestem, czy pan mnie rozumie.

- Bardzo troskliwie z pani strony - powiedział Culley ze zrozumieniem. - Jestem pewien, że sprawiło mu to dużo radości. Czyli pieniądze to był tylko dodatek, tak? Tak naprawdę chcieliście go wykorzystać jako wabik?

- Tak!... Że też pan to dostrzegł!

- Część tej historii już wcześniej słyszałem - przyznał skromnie Culley. - Zauważyłem również, że pani i młody pan Redpath nie byliście jedynymi ludźmi, którzy wykorzystywali sir Willoughby'ego w tej roli.

- Naprawdę?

- Pan i pani Redpath wykorzystywali go jako "ogniwo". Za jego pośrednictwem załatwili Johnowi pracę, jak słyszałem.

- Co takiego? Załatwili mu pracę?

- Tak. Nie wiedziała pani, że pan Howard Wortley przyjął go do



redakcji swojego nowego tygodnika?

- Nie! To w tej sprawie John jest taki tajemniczy! Skąd pan o tym wie? Kto panu powiedział? Chcę wiedzieć wszystko!

- Właśnie to usłyszałem od pana Wortleya. Nie znam oczywiście żadnych szczegółów, ale proszę mi wierzyć, że wszystko jest w porządku. Wydaje się nawet, że śmierć sir Willoughby'ego jeszcze mocniej przypieczętuje tę transakcję.

- Przedziwna rzecz! - zawołała radośnie Margery. - Może Wortleyowi się wydaje, że John dziedziczy tytuł albo coś. Ach, jak się cieszę! Kochany wujek Willie! Podejrzewam, że John nie chciał chwalić dnia przed zachodem słońca.

- Wygląda na to, że słońce już zaszło - ocenił Culley.

- Nawet gdyby nic z tego nie wyszło - powiedziała Margery, odsuwając od siebie wszelkie wątpliwości i obawy - to nie ma większego znaczenia, ponieważ ja również załatwiłam sobie pracę!

- Doprawdy?

- Przez państwa Crosbie. Przyszli na przyjęcie z wywieszonymi jęzorami i mieli nadzieję, że porozmawiają z wujkiem Williem, ale był tak zajęty odgrywaniem roli Świętego Mikołaja, że nie rozmawiali z nim, ale rozmawiali ze mną, dzięki czemu poznałam Gwendoline Lucas. To tylko niewielka rola, ale w Londynie i może do czegoś doprowadzić. Hopsalala! - Wstała i zatańczyła. - Jak również alleluja! Teraz mogę podrzeć ten przekłety kodycył, bo nie ma już znaczenia!

- Nie robiłbym tego, proszę pani - powściągał ją Culley.

- A to dlaczego? - Margery nie dawała się powściągnąć.

- Bo to dowód rzeczowy - odparł z zakłopotaniem Culley.

- Dowód rzeczowy? - Margery przestała tańczyć, aby móc zro-

bić trochę zaskoczona minę. - Dowód na co? A, ma pan na myśli poszlakę.

- Właśnie - odparł Culley. - Będę musiał go przejąć, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

- Absolutnie nie mam nic przeciwko temu. Może pan go oddać do analizy, udowodnić, że został sfalszowany czy coś w tym rodzaju. Nie ma już teraz żadnej wartości.

- Z pewnością nie będzie miał żadnej wartości, jeśli go pani zniszczy - zgodził się z nią sarkastycznie Culley. - Czy nie rozumie pani jednak, panno Dore, że ten kodycył daje pani i młodemu panu Redpathowi motyw?

- Motyw morderstwa? - oprzytomniała nagle Margery. - Tak, gapa ze mnie, przepraszam. W jakimś sensie nam daje.

- Motyw po świętach - pieczołowicie wyjaśnił Culley. - Nie ma ich aż tak wielu, żebym mógł sobie pozwalać na pominięcie jakiegokolwiek z nich - stwierdził przepaszająco. - Badam sprawę morderstwa - kontynuował, odwołując się do jej empatii - i chyba pani widzi, w jak trudnym jestem położeniu. Sir Willoughby sporządził ten kodycył w Wigilię. Był starym człowiekiem i za chwilę mógł już o tym nie pamiętać. Co by się wtedy stało? Przyjeżdżają pan i pani Freer, a on obiecuje posłać po pana Merivale'a, żeby mógł spisać nowy testament. Nowy testament mógł uchylić kodycył. Panu Johnowi groziła utrata tego przyjemnego źródła dochodu.

Culley przerwał, aby zetrzeć pot z twarzy.

- John? - powiedziała z gruntu zdumiona Margery. - Chyba pan nie sądzi, że John... Przecież on nic o tym nie wiedział...

- Być może - zgodził się z nią Culley. - Ale jest dobry w domy-

ślaniu się...

- To prawda - powiedziała powoli Margery - i mógł pomyśleć... Ale chyba pan nie sądzi, że zamordowałby starego człowieka...

- Nie chcę myśleć, że którekolwiek z was to zrobiło. A jeśli potrafi pani udowodnić, że nie pokazała pani tego dokumentu panu Johnowi, to oczywiście osłabia jego motyw...

- To oczywiste! - prychnęła Margery.

- Nie zmienia to jednak faktu - ciągnął uparcie Culley - że tylko wy dwoje skorzystaliście na okoliczności, że śmierć nastąpiła w tym, a nie innym momencie. Jesteście jedynymi ludźmi z rozsądnymi motywami po świętach. Nie mogę przecież zamykać oczu na ten fakt, prawda?

Po długim milczeniu Margery wzięła głęboki wdech i zaczęła mówić, a w jej głosie dało się słyszeć coś, co brzmiało jak ulga. (Ulga?)

- W takim razie lepiej nie będę go niszczyła - powiedziała. A potem coś sobie uświadomiła i spojrzała na nadinspektora ze zgrozą. - To straszne! O mało tego nie zrobiłam. Dzięki Bogu byłam dostatecznie głupia, aby nadal mieć nadzieję, że istnieje cień szansy na to, że wszystko nam się upiecze. Ale oczywiście nie ma na to najmniejszej szansy. Teraz to już nie ma znaczenia. Nic nie ma znaczenia. Pójdę po niego.

Wróciła po kilku chwilach z cennym dokumentem, który Culley dokładnie przejrzał. Stała nad nim i dmuchała mu w kark. Kiedy dotarł do końca, powiedziała:

- No widzi pan: Esther Hobbs, The Larches, Kilburn; Margery Dore, The Grange, St. Anselms, Nr Middleswick - to ja. To nas pięknie rozgrzesza, co?

- Że jak? - odparł zaskoczony Culley. - Z czego was rozgrzesza?

- No jak to, z morderstwa. Jak powiedziałam, ten dokument jest kompletnie bezwartościowy. Czy to nie dowodzi naszej niewinności?

Culley zmarszczył brwi.

- Chodzi pani o to, że nie widziała pani, jak podpisywał...

- Ojej - westchnęła skonsternowana Margery - udaje pan głupiego! A ja myślałam, że dlatego tak bardzo chciał pan zobaczyć ten kodycył. Jest kompletnie bezwartościowy, ponieważ to ja go poświadczyłam. A mąż albo żona świadka nie mogą być beneficjentami testamentu. - Culley nic nie mówił, więc Margery ciągnęła dalej: - Tak naprawdę to tracimy, bo gdyby sir Willoughby przeżył, pokazałabym kodycył panu Merivale'owi, który zadbałby o jego odpowiednie poświadczenie. Dlatego się wtedy nie martwiłam. Wiedziałam, że na razie kodycył nic nam nie da, ale przybycie pana Merivale'a to zmieni. Jednak sir Willoughby zmarł, więc obawiam się, że nie ma już nadziei - sprawdziłam to we wszystkich książkach prawniczych, które udało mi się znaleźć...

Culley wciąż powoli i irytująco kręcił głową. Zwrócił pannie Dore uwagę, że to, co mówi, jest bardzo rozsądne, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby John Redpath poślubił jedną z poświadczonej już po podpisaniu kodycyłu.

- Jeśli zechce, może się ożenić z panią albo panną Hobbs.

- Ale... - zaczęła protestować Margery.

- Nie mógłby być beneficjentem testamentu tylko w sytuacji - kontynuował Culley stanowczo, lecz przyjaźnie - gdybyście już wcześniej byli małżeństwem.

W tym momencie Margery w końcu straciła wszelką nadzieję i

cierpliwość. Podeszła do stołka przed fortepianem i powiedziała rozgniewanym tonem:

- Czy nie mówił pan, że John panu powiedział? Próbowałam go przed tym powstrzymać, ale powiedział, że i tak to zrobi. Jesteśmy już po ślubie. O to właśnie chodzi. Jesteśmy małżeństwem od ponad miesiąca, ale trzymaliśmy to w tajemnicy aż do końca świąt... O rany, co się dzieje? Coś pana zabolalo?

Nie, Culley tylko się śmiał...

## XV. Motywy morderstwa

- Więc myśli pan, że to zdejmuje z nich podejrzenia, tak? - zapytał major Smythe znużonym głosem.

Nadkomisarz nie był w najlepszym nastroju i najchętniej położyłby się do łóżka. Miał parszywą pracę: gdyby nie wojna, absolutnie by się jej nie podjął. Był na nią za stary. Dostyc już zrobił dla swojego kraju podczas poprzedniej wojny. Tylko próżność kazała mu myśleć, że powinien robić coś ważnego dla swojej ojczyzny podczas tej wojny. Tylko próżność, nic innego... Czyste zadufanie w sobie. Skutek: zamiast najnormalniej w świecie i bez żadnych konsekwencji położyć się do łóżka, siedział do północy, czekając na Culleya, aż ten do niego przyjdzie i złoży sprawozdanie z postępów śledztwa, a teraz siedział i słuchał tych wszystkich bzdur o babczkach bakaliowych i zaginionych testamentach. Za późno na takie rzeczy - był już na nie za stary. I w gruncie rzeczy nie miał nic do roboty oprócz martwienia się i brania za wszystko odpowiedzialności. Nie należało pozwalać Culleyowi gościć u Redpathów, a potem kursować po całej okolicy i przesłuchiwać miejscowych ziemian. Nadinspektor też w gruncie rzeczy nic nie osiągnął. Psiakrew, nie zbliżył się ani o cal do rozwiązania sprawy! Ni cholery nic nie wyjaśnił! Tylko słuchał, co ludzie mówią, chłonał to wszystko i wierzył w każde słowo! Major Smythe podszedłby do sprawy morderstwa zupełnie inaczej, gdyby mu pozwolono coś zrobić - ale nie, był za stary, najwyższa pora, żeby umarł, a on chciał tylko położyć się do łóżka... najnormalniej w świecie i bez żadnych konsekwencji...

Stłumił ziewnięcie.

- Tak? - powtórzył głośno, bo Culley poza wszystkim sprawiał wrażenie głuchego.

- Zdejmuje z nich podejrzenia? Nie, panie nadkomisarzu - odparł Culley z doprowadzającą do szału rzeczowością. - Margery Dore mogła się dowiedzieć o przepisach związanych z poświadczeniem dopiero po otruciu starszego pana.

- Morderstwo na nic, co? Dobry tytuł i ładna historyjka. Sam w nią nie wierzę i panu też radzę nie wierzyć we wszystko, co panu mówią, Culley.

- Oczywiście, panie nadkomisarzu.

- A co się tyczy motywów po świętach, to osobiście sędzę, że pana najlepszym punktem zaczepienia są te znikające notatki...

- Zgadzam się, że trzeba to wyjaśnić - łaskawie przyznał Culley.

- Ta ciotka Redpathów - ciągnął Smythe. - Jest tutaj coś podejrzanego. To węszenie po domu. Pięknie pan ją przyłapał. Ale dlaczego, u licha, dłużej pan jej nie przesłuchał?

- Powiedziała, że notatki i inne rzeczy już wcześniej zniknęły.

- Powiedziała - powtórzył Smythe za bardzo zmęczony, aby prychnąć sarkastycznie.

- Poza tym nie chcemy odgrzewać dawnego skandalu, dopóki nie będziemy mieli pewności, że w jakiś sposób wiąże się z morderstwem. Pomyślałem więc, że na razie poszukam kogoś innego, kto z tych samych powodów mógł trochę powęszyc.

Smythe mruknął coś w tym guście, że wszyscy mamy prawo do własnych odczuć i stosowania własnych metod, nawet takich, które laikowi wydają się okrężne, a potem zapytał cierpliwie:

- Do czego się pan dokopał?

Culley wyjął swój duży notatnik.

- Mnóstwo motywów, panie nadkomisarzu, ale żaden z nich mi się za bardzo nie podoba.

- No to wysłuchajmy. - Smythe odchylił się na krześle i zamknął oczy, po czym otworzył je i powiedział: - Może zwróci moją uwagę coś, co panu umknęło. - I ponownie je zamknął. Ale nagle ugryzło go sumienie. Oto siedzi sobie wygodnie przed własnym kominkiem po całym dniu bezczynności, podczas gdy biedny Culley gonął po okolicy i słuchał gadaniny różnych ludzi o denacie. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej wyczerpującego! Biedak wyglądał na wykończonego. - Na litość boską, niechże się pan czegoś napije - polecił rozdrażnionym tonem, lecz w przyjaznej intencji.

- Dziękuję - powiedział zadowolony z tego pomysłu Culley.

- A teraz - rzucił polubownym tonem Smythe, kiedy szklanki były już napełnione - posłuchamy o tych motywach, co? I spróbujemy zdecydować, który jest najsilniejszy. Dobra! Wał pan!

- Prawie wszyscy domownicy - zaczął Culley bez dalszych ceregieli - i uczestnicy przyjęcia świątecznego mieli jakiś motyw, żeby zamordować sir Willoughby'ego.

Oczywista rzecz.

- Taki jak...?

- Motyw Johna Redpatha i jego żony już znamy: pieniądze. Jeśli to się panu nie wydaje dostatecznie wiarygodne, to co pan powie na to: zaraz po przybyciu panny Dore starszy pan podobno wbił sobie do głowy, że już ją gdzieś wcześniej widział - przypuszczalnie w jakimś hotelu. Jak później wyjaśniła sama panna Dore, nic takiego nie miało miejsca. Przypuśćmy jednak, że miało.

- I co wtedy?

- Przypuśćmy, że rzeczywiście przypadkiem spotkał ją w jakimś



hotelu, powiedzmy na Riwierze, gdzie spędzał większość czasu, i powiedzmy z jakimś mężczyzną, ale nie z Johnem Redpathem.

- No, no...

- Albo - według mnie to jest zdecydowanie bardziej prawdopodobne - z Johnem Redpathem. Może podawali się za małżeństwo jeszcze przed ślubem - po tym, co usłyszałem, wydaje mi się prawie pewne, że istotnie tak było - a nie chcieli, żeby ich rodzice się dowiedzieli.

- Rodzice zawsze wiedzą, a wygląda na to, że w dzisiejszych czasach nikt się za bardzo nie przejmuje takimi rzeczami...

- Wszystko wskazuje na to, że pani Dore nie należy do tego gatunku matek, a sir Willoughby znał ją bardzo dobrze. Bardzo lubił pisać listy - cóż byłoby bardziej naturalnego, zwłaszcza w święta, niż żeby napisał do niej liścik z ploteczkami i mocno namieszał im w planach.

- Genialne, Culley - pochwalił go Smythe. - Ale przejdźmy do następnego motywu. Mam już trochę dosyć tych dwojga...

- W takim razie panna Redpath...

- A! - powiedział Smythe trochę radośniejszym tonem. - Ją po-  
mińmy. Nigdzie nam nie ucieknie.

- Potem idą Wortleyowie.

- Niemożliwe!

- Owszem, możliwe, panie nadkomisarzu - zapewnił go Culley.

- Wortleyowie ucierpieli z powodu wojny nie mniej od wszystkich innych ludzi. Howard zaczął wydawać wojenny tygodnik i liczył na pomoc finansową sir Willoughby'ego, ale jej nie otrzymał.

- Czyli traci na jego śmierci.

- Tak mogłoby się wydawać. Ale czy to był prawdziwy powód,

dla którego chcieli się zobaczyć z sir Willoughbym? Pan Wortley sugerował, że to on chciał się z nimi zobaczyć. A co, jeśli rzeczywiście tak było?

- O Boże! - jęknął Smythe. - Chce pan powiedzieć...?

- Przypuśćmy, że to sir Willoughby chciał się z nimi spotkać, bo widział już wcześniej Howarda i chciał sobie przypomnieć, gdzie to było i o co chodziło. Ten sam wątek, ale Wortleyowie do niego pasują. Starszy pan z długą, ale dziurawą pamięcią może być wielkim zagrożeniem dla kogoś, kto ma ambicje zostać magnatem prasowym. Nie, nie sądzę, że byłoby stratą czasu przyjrzeć się jego przeszłości i ustalić, w jaki sposób doszedł do swoich pieniędzy i tak dalej.

- Kluby kredytowe - powiedział Smythe po paru minutach wypełnionych namysłem i mrużeniem pod nosem.

- Przepraszam, panie nadkomisarzu?

- Kluby kredytowe. Wie pan. Midlands i Lancashire. System groźny, ale nie przestępczy. Nie widzę, jak sir Willoughby mógłby o nim wiedzieć. Nie sądzę, aby słyszał o jego istnieniu. Nie zajmował się finansami. A jednak - Smythe wyjaśniał - stary Willie być może wsadził Howarda do więzienia. Być może nawet Howard był tym mitycznym mężem panny Redpath. Pomyślał pan o tym? - zapytał z błyskiem w oku.

- Tak, panie nadkomisarzu, ale wiek się nie zgadza. Starsza pani ma dobrze ponad siedemdziesiąt lat. Ale mimo wszystko jest to jakiś pomysł.

- Nie widzę jednak, jak moglibyśmy go wykorzystać. Szkoda.

- Teraz dochodzimy do panny Hobbs - kontynuował Culley. - To ona sprawiła, że postanowiłem znaleźć Wortleyom motyw.

Miała najlepszą okazję ze wszystkich nie tylko do dokonania morderstwa, ale również do zniszczenia obciążających kogoś papierów. Mogła zostać wykorzystana bez swojej wiedzy. Jeśli nie przez wujka i ciocię, to przez kogoś innego.

- Mogła, ale przez kogo?
- Są jeszcze państwo Crosbie.
- Ich pan też przesłuchał?
- Właśnie od nich wracam.

Culley przerwał, aby się napić, a potem parsknął krótkim śmiechem.

Smythe spojrzał na niego krytycznie.

- Pewnie sobie żartowali na temat zamordowania denata.
- Ma pan rację, panie nadkomisarzu. Pani Crosbie chciała napisać jego biografię, ale dopiero po jego śmierci. Nie wiedziała, że on sam ją pisał. Powiedziała mi jednak, że musiałyby przed publikacją ukatrupić pannę Redpath i panią Redpath. Wydaje mi się, że coś wie, ale nie chciała powiedzieć co. Osobiście nie sądzę, że mogłaby coś ważnego wiedzieć.

- Myślę, że mogłaby - stwierdził Smythe. - Jej ojcem był Humphrey Gibberd. Dobrze go pamiętam. Całe życie biegał za Kate Cameron. Ale jak już panu mówiłem, wkroczył Willie i dokonał podboju.

- Zgadza się, panie nadkomisarzu. Tak właśnie przedstawiałby się ich motyw.

- Jak to? Nie dostrzegam tutaj poważnych motywów morderstwa.

- Spójrzmy na to od tej strony, panie nadkomisarzu. Państwo Crosbie nie mają dzieci, lecz mają jedną wspólną pasję: teatr. Kate

Cameron jest dzisiaj czymś w rodzaju świętej legendy. Państwo Crosbie mówili o niej prawie jak o Dziewicy Maryi. - Culley odchrząknął przepaszająco.

- Szczera prawda - potwierdził Smythe. - Była dobrą aktorką - oczywiście nie na miarę Ellen Terry - ale teraz ludzie nie pamiętają jej jako aktorki. Pamiętają jej osobowość, jej charakter, jej... - tak, nie ma na to innego słowa - świętość...

- A zatem jeśli istniał ktoś, kto potrafiłby odbrzązować tę cnotliwą damę - zgrabnie podsumował całą historię Culley - to byłby to mężczyzna, dla którego straciła głowę i za którego wyszła, prawda, panie nadkomisarzu?

Smythe przyznał mu rację, ale nie potrafił potraktować tej teorii poważnie.

- W takim razie - zwrócił uwagę Culleyowi (traktując to poważnie) - bratanek i bratanica Kate Cameron mają jeszcze jeden motyw oprócz pieniędzy. Jak również alibi długie na tysiące mil i wysokie na tysiące stóp. Nie oddalajmy się aż tak bardzo. Kto jeszcze?

Culley przewertował notatnik i powiedział:

- Zobaczmy... Oprócz Redpathów...

- Nie możemy w kółko tego mieć - zaproponował błagalnie Smythe.

- Miałem na myśli matkę i ojca.

- Ja też...

- Na razie nie będziemy się nimi przejmowali, panie nadkomisarzu, ale właśnie przyszło mi do głowy, że podczas gdy pani Redpath bardzo zależało na tym, aby zatrzymać u siebie ojczyzna jako nobliwego ewakuowanego, jej mąż mógł mieć w tej sprawie inne

odczucia. W każdym razie po świętach. Dodatkowa żywność, którą im załatwił, kontakty towarzyskie, w których nawiązywaniu pośredniczył, prawdopodobieństwo, że zostawi im jakieś pieniądze albo wsadzi ich syna jako współnika do jakiejś przyjemnej i bezpiecznej firmy - takie rzeczy niezbyt by przemawiały do nerwowego osobnika pokroju Franka Redpatha, który widział w sir Willoughbym wyłącznie permanentne i nieuniknione źródło irytacji, która miała im ciążyć do końca życia. W czasie wojny starszy pan nie miałby gdzie się podziać i w jego wieku nie bardzo mogli go wystawić za drzwi...

- Głupie - ocenił Smythe.

- Być może - przyznał Culley - ale wyglądało na to, że zarówno wojna, jak i sir Willoughby będą trwać bez końca. I często zadaję sobie pytanie, dlaczego większej liczby morderstw nie popełnia się wyłącznie w celu pozbycia się kogoś...

- Na litość boską, człowieku! Niech pan przejdzie do następnego motywu!

- Tak, panie nadkomisarzu - odparł posłusznie Culley i znowu zajrzał do notatnika. - Lord i lady Bayham - wyczytał najwyraźniej ku własnemu zaskoczeniu. A także: - Pan i pani Coultard (mieszkają nad garażem Redpathów); profesor Larkin, który mieszka przy drodze do East Maddle. Ale przyznaję, że nie udało mi się wymyślić dla nich motywu.

- Nawet dla profesora Larkina?

- Profesor Larkin mógł usłyszeć, że denat spisuje nowy testament, i mógł sądzić, że jego uniwersytet jest beneficjentem - przyznał Culley - ale jeżeli to pominiemy, to profesor Larkin traci tylko na tym, że jak większość innych ludzi nie może poprosić denata o

wsparcie. Być może starał się bardziej od innych, skutkiem czego raczej nie zasługiwał na miano duszy towarzystwa podczas przyjęcia. Zasuszony staruszek. Człowiek czuł się trochę tak, jakby rozmawiał ze stogiem siana.

- Przesłuchał go pan?

- Sądzę, że przesłuchałem prawie wszystkich uczestników przyjęcia, z jednym wyjątkiem - tak, podjąłem próbę odwiedzenia Jego Świątobliwości.

- Biskupa! Wielkie nieba!

- Pomyślałem, że mógł nie być zachwycony perspektywą, że jego godne podziwu wyczyny z czasów młodości (jako wyśmienitego gracza w golfa i niezwykle wprawnego pożeracza serc niewieścich - z tego, co słyszałem) dotrą do wiadomości publicznej, zwłaszcza w formie książkowej. Jednak nie jest to raczej motyw do zamordowania kogoś, a skoro tak...

- To teraz pora na mnie, chce pan powiedzieć? Myślę, że mamy dostatecznie dużo motywów do zbadania. I faktem jest, Culley, że nie posunęliśmy się zbyt daleko, prawda?

- Ja nie czuję się zniechęcony, panie nadkomisarzu - odparł Culley.

- Nie sądzi pan, że wpuściłem pana w maliny? Jeśli tak, to lepiej niech mi pan to szczerze wyzna. Jeśli nie ma pan wystarczających poszlak wskazujących na winę państwa Freer, to będzie lepiej, jeśli umorzymy sprawę. Uznamy, że to była przypadkowa śmierć, co?

- Jak pan sobie życzy, panie nadkomisarzu - powiedział uprzejmie Culley.

Te ostatnie słowa najwyraźniej zirytowały nadkomisarza.

- To, czego ja sobie życzę, nie ma nic do rzeczy! Pchchch! Z drugiej strony Footring jest doświadczonym prawnikiem i przeprowadził rozprawę całkiem bezstronnie i rzetelnie. Przedstawił ławnikom bardzo wyważony obraz sprawy. Nie zbagatelizował żadnych dowodów... no może poza tymi buteleczkami po lekarstwach... Bez nich, jak powiedział, nie ma żadnych dowodów, które realnie uzasadniałyby jakikolwiek inny werdykt. - Trochę pomruczawszy pod nosem, doprowadził się do stanu niemałej wściekłości. - I psiakrew, Culley, nadal nie mamy ani cienia realnych dowodów, że popełniono morderstwo!

- Sądzę, że mamy, panie nadkomisarzu - uspokajał Culley.

- Mam? Nie zauważyłem.

- Powiedzmy, że mamy dowody negatywne.

- Co nam z nich przyjdzie? Ani o krok nie zbliżyliśmy się do wiedzy o tym, jak podano laudanum. Najwyraźniej zupełnie pan zaniedbał tę linię dochodzenia. Dopóki nie odkryjemy, co się stało z tymi buteleczkami, nie mamy prawa zakładać, że sir Willoughby został zamordowany lub nie...

- Kiedy ja wiem, co się stało z buteleczkami po lekarstwach, panie nadkomisarzu.

- Niby skąd?

- Bo je znalazłem.

- Co takiego? - Smythe odstawił szklanekę. - Dobry Boże, dlaczego nic pan nie mówił?

- Znalazłem je dopiero wczoraj wieczorem.

- Gdzie?

- W szafce z lekarstwami w łazience denata.

Nadkomisarzowi na chwilę odebrało mowę i musiał spurpuro-

wieć, zanim ją odzyskał.

- Chce pan powiedzieć, że cały czas były w tej szafce?

- Nie cały czas, panie nadkomisarzu. Zaraz po moim przybyciu ich tam nie było. Pamiętam, że John Redpath zaglądał do tej szafki, i zauważyłem, że jest pusta. Później sam z niej korzystałem. Wygląda na to, że buteleczki wstawiono tam wczoraj w momencie, kiedy nie było mnie w pokoju.

- Nie zamknął pan drzwi na klucz?

- Może lepiej, że tego nie zrobiłem. Zresztą w domu jest mnóstwo drzwi, do których pasuje mnóstwo kluczy.

- W takim razie... musiał tam je z powrotem wstawić ktoś z domu! Morderca! I ktoś, kto brał udział w rozprawie u koronera.

- Skąd taki wniosek, panie nadkomisarzu?

- Stąd, że to Footring postawił tezę o pustych buteleczkach po lekarstwach. Gdyby morderca chciał stworzyć wrażenie, że sir Willoughby zmarł na skutek przedawkowania mikstury na kaszel, powinna zostać więcej niż jedna buteleczka. A raczej nie powinna, tylko musiała! Właśnie po to zaproszono pana do domu, Culley! Żeby pan znalazł puste buteleczki po lekarstwach.

- To bardzo prawdopodobne, panie nadkomisarzu - przyznał spokojnie Culley - ale buteleczki nie były puste. Ani jedna.

- Były pełne?

- Nieotwarte. Wszystkie cztery.

- O. - Smythe nie wiedział, co powiedzieć. Scenariusz zupełnie nieoczekiwany i w najwyższym stopniu rozstrajający. Skoro były nieotwarte, to znaczy, że... Nie, nie znaczy... Tak, znaczy...

- To oczywiście nie dowodzi, że został zamordowany - mówił Culley. (Ale przecież dowodzi!) - Jak mówię, panie nadkomisarzu,



to jest wyłącznie dowód negatywny, który pozwala nam stwierdzić, że sir Willoughby nie zmarł na skutek przedawkowania tej konkretnej mikstury na kaszel...

- To jak, do diabła, połknął laudanum? - sapnął zirytowany Smythe.

- Ciągłe do tego wracamy, prawda, panie nadkomisarzu? - zgodził się z nim Culley.

- Przekłete babeczki... - Smythe wstał zniecierpliwiony i wystukał popiół z fajki do kominka. Potem dołożył do ognia duży kawałek drewna i na powrót usiadł. - To rozstrzyga sprawę. Teraz już nie możemy się wycofać ze śledztwa. Nic nie rozumiem z tymi bu-teleczkami - po co morderca wstawił je z powrotem, skoro nie były otwarte? Ale zostawiam to panu. Ktoś, kto to zrobił, musiał być w domu, nawet jeżeli tam nie mieszka. To raczej wyklucza rodzinę Horshamów, prawda?

- Chyba że - zasugerował rozentuzjasmowany Culley - ktoś z Horshamów był w domu.

- Wtedy sir Willoughby zostałby zamordowany przed świętami. Poza tym nie widzę, skąd miałby się tam znaleźć jakiś Horsham... Może z wyjątkiem pokojówki. Niech pan pamięta, że zatrudnili ją tylko tymczasowo, a sir Willoughby nigdy wcześniej jej nie widział.

- Sprawdziliśmy ją. Wszystko wskazuje na to, że jest osobą, za którą się podaje. Poza tym jest za stara, w rodzinie Horshamów nie ma nikogo w jej wieku.

- A Esther Hobbs jest pewnie za młoda. Ale jej też nigdy wcześniej nie widział. O co chodzi, człowieku? Niech się pan tak na mnie nie gapi, nic nie poradzę na to, że jestem głupcem, ale staram się, jak mogę. Nalać panu jeszcze?

- Dziękuję, panie nadkomisarzu. - Culley mrugnął i wziął się w garść. Z zamyśloną miną spoglądał na swoją szklankę. - Nie wiem, który z nas jest głupcem, panie nadkomisarzu, ale właśnie zasugerował mi pan pewną dosyć rozstrajającą myśl.

- Świetnie, słucham.

Culley potrząsnął jednak głową.

- Wolałbym na razie trzymać się faktów.

- Ja też - odparł Smythe, ale zaczął deliberować: - Keevil i Esther Hobbs... Za stara i za młoda. Ciepłej?

- Jest też Margery Dore, a także niejacy wujek Jeff i ciocia Meg, którzy całkiem dobrze znali sir Willoughby'ego i w pierwszy dzień świąt przyjechali na lunch, zostawiając najlepsze życzenia dla wszystkich i mnóstwo paczek na stole w holu. W pierwszy dzień świąt sir Willoughby miał paskudny kaszel...

- Przepraszam, Culley, ale jestem zbyt zmęczony, żeby dalej grać doktora Watsona. Idę spać. I panu radzę to samo. Obawiam się, bardzo mocno się obawiam, że teraz, kiedy znaleźliśmy te buteleczki, sprawa morderstwa nie będzie taka zabawna, jak nam się wydawało.

- Tak pan uważa, panie nadkomisarzu?

Culley dopił drinka i odstawił szklankę.

Smythe wstał, aby pożegnać gościa.

- Życzę szczęścia z rozstrajającymi myślami na temat wujka Jeffa i cioci Meg, ale osobiście obawiam się, że stwierdzimy, że biednego starego sir Willoughby'ego otrują panna Redpath.

- Babeczkami? Pana zdaniem panna Redpath pasuje do wszystkich dowodów?

- Może nie do wszystkich. Jest ich tak wiele, na dodatek same

poszlakowe. Ktoś wodzi pana za nos, Culley, aby nie zwęszył pan właściwego tropu, że się tak wyrażę.

- Niezbyt trafne porównanie, panie nadkomisarzu.

- Ha, ha! - przyznał rozluźniony już teraz gospodarz, który odprowadził gościa pod same drzwi. - Dobranoc, Culley. I niech pan im nie pozwoli robić z siebie głupca. Cieszę się, że nie jestem na pańskim miejscu. Strasznie żałuję, że wziąłem pana do tej sprawy. To bardzo miła starsza pani i gdyby nie pan i ja, cała sprawa by przyschła i nikt by na tym nie stracił. Ale cóż, teraz już nie możemy się wycofać... Po kiego licha otruła go w środku przyjęcia? Przecież dostatecznie dobrze zna swojego bratanka, aby móc przewidzieć jego reakcje. Przypuśćmy, że biedny stary wujek Willie zaczął gadać podczas przyjęcia o jej mrocznej przeszłości. Ciekawe, co przeszkrobała. (To pańska latarka?) Jutro przychodzi stary Merivale, w sprawie pogrzebu, może... Culley!

Nadinspektor Culley musiał zamknąć drzwi frontowe i wrócić do holu.

- Coś jeszcze, panie nadkomisarzu?

Smythe stał w holu z pałającymi oczami.

- Tak, Culley, to jest to! To jest to, nie widzi pan? O to chodzi z panem Merivale'em! To nie ma nic wspólnego z testamentem!

- Chce pan powiedzieć...?

- Chcę powiedzieć, że pan Merivale być może wie wszystko o jej mrocznej przeszłości - i pomógłby starszemu panu odzyskać pamięć!

- Rzeczywiście, panie nadkomisarzu - przyznał z należytych uznaniem Culley. - Bardzo inteligentna dedukcja.

- Cholera jasna - zaklął Smythe. - Szkoda, że mi to przyszło do

głowy. Dobranoc.

- Dobranoc, panie nadkomisarzu.

"W każdym razie będę miał coś do roboty - pomyślał Culley. - Zaraz z rana zajmę się usunięciem panny Redpath z tej historii. Redpathowie oczywiście ją podejrzewają. Wiedzą, że tego nie zrobiła, ale chcą, żebym to udowodnił. Miejmy nadzieję, że mi się uda. Nie wygląda jednak na to, żebym był w stanie cokolwiek udowodnić w tej sprawie. Muszę sobie poczynać bardzo ostrożnie, krok po kroku, poukładać wszystko we właściwej kolejności... Butelczki po lekarstwach... Babeczki bakaliowe... Fluktuacje apetytu Redpathów... Zatrute czekoladki, których nie zatruto... Zwłoki, których nie ukryto w bałwanie... Państwo Freer niebędący mordercami... Zaginione notatki... Tymczasowa pokojówka i tymczasowa sekretarka... Wujek Jeff i ciocia Meg...

Dziwne, że starszy pan nie wiedział, że jego bratanek ożenił się z jego przyrodnią córką..."

Wstawił auto do garażu i zmierzał w stronę zaciemnionego domu. Wszyscy położyli się już do łóżek. Nie włączył żadnych świateł, lecz po cichutku wchodził po schodach z latarką w dłoni. Na piętrze zgasił latarkę i szedł jeszcze ciszej, bo przez lekko uchylone drzwi jednego z pokoiów wylewała się upiorna żółta poświata.

Po chwili z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że są to drzwi jego pokoju!

Wszedł, włączył światło i zamknął za sobą drzwi.

W pokoju znajdowała się panna Redpath w różowym wełnianym szlafroku i z latarką w ręku.

- Och! Ale mnie pan nastraszył! - powiedziała, a następnie wyjaśniła swoją nadwrażliwość: - Wszedł pan tak cicho.

Culley przeprosił. (Za to, że ją zaskoczył we własnym pokoju!)

- Szuka pani jeszcze jednego testamentu? - spytał przyjaznym tonem.

- Nie, oczywiście, że nie - odparła, kiedy już uprzejmie się roześmiała. - Szukałam tylko książki.

- Książki?

- Tak, czytałam ją kilka dni temu, ale panna Dore ją zabrała i mówi, że nie może jej znaleźć. Skończyłam właśnie czytać inną, ale nie potrafię zasnąć, jeśli nie mam czego potrzymać w rękach, a to była taka świetna szmira. Widzi pan, sir Willoughby mógł ją zabrać, więc pomyślałam, że nie będzie panu przeszkadzało, jeśli tu zajrzę - to znaczy dlatego, że pana nie było.

- Mam nadzieję, że ją pani znalazła - powiedział Culley, któremu nic innego nie przyszło do głowy.

- Nie, obawiam się, że nie znalazłam. Gdzie ona mogła się podziać?

- Przeprowadzimy śledztwo - powiedział pojednawczo Culley. - Jaki miała tytuł?

- *Poświęteczne morderstwo* - odparła panna Redpath.

## XVI. Morderstwo po świętach

- Morderstwo - powiedział Culley bardzo wyraźnie do telefonu.  
- *Poświęteczne morderstwo*. Nie... Morderstwo... M jak morderstwo... O jak otrucie... Tak! Nie, nie znam wydawcy ani autora, ale proszę próbować ją zdobyć. I przeczytać albo znaleźć kogoś, kto już przeczytał... Owszem, ale nie mogę sobie pozwolić na pomijanie jakichkolwiek poszlak... Nie, dziś rano nie mogę przyjechać, przyjeżdża pan Merivale, właściwie to już powinien być. Do widzenia.

Nadinspektor wyłonił się z niewielkiego pomieszczenia ze wspólnym telefonem.

Czy ta książka jest kolejnym tropem, który ma zmylić jego nos, jak to ujął nadkomisarz? Mimo wszystko zabawne, zmarszczył się groźnie Culley, choć oczywiście miał w tej sprawie dokładnie odwrotne zdanie - inspektor Carter nie miał prawa tak się z niego naśmiewać.

Od panny Redpath wydobył informację, że przeczytała tylko pierwszy rozdział książki, zanim panna Dore ją zwędziła, a następnie zgubiła. Panna Dore przyznała, że szuka zguby tylko dorywczo i bez przekonania, ponieważ jak zwykle się okazało, że ta książka to chłam. Kiedy tylko wyszło na jaw, że stroiciel fortepianów nie jest prawdziwym stroicielem fortepianów, czytelnik wiedział, że prędzej czy później gdzieś pojawi się jego martwe ciało, przypuszczalnie w bałwanie i zapewne po świętach (w przeciwnym razie po co w tej historii pojawiłby się bałwan?), i że został zabity przez "sztucznego" stroiciela fortepianów albo na odwrót - jakie to miało znaczenie? Tymczasem ten stroiciel fortepianów, który nie skoń-

czył jako zwłoki, przebrał się za kogoś zupełnie innego i figurował wśród gości na przyjęciu... (Culley nie miał pojęcia, po co ta młoda dama czyta książki, bo świat miałby z niej znacznie więcej pożytku, gdyby je pisała).

Rhoda Redpath pamiętała, że ten tytuł pojawił się wśród woluminów wypożyczonych w bibliotece na cele świątecznej lektury (wtedy wydawał się tak bardzo na czasie, jak to ujęła); John z pogardą odrzucił tę książkę, a Frank się zarzekał, że nie widział jej na oczy, ale zasugerował, że wziął ją wujek Willie - który nigdy jednak nie czytał książek, tylko w regularnych odstępach czasowych upuszczał je na podłogę.

A zatem gdzie jest ta książka? Czy zawiera jakieś poszlaki? I czy zabrał ją jeden z gości na przyjęciu? Poprzedniego wieczoru Culley sądził, że wpadł na dosyć idiotyczne rozwiązanie zagadki, ale założmy, że się pomylił i prawdziwe rozwiązanie jest jeszcze bardziej idiotyczne. Na przykład ktoś (powiedzmy profesor Larkin albo biskup Mewdley) usiłował zamordować sir Willoughby'ego na przyjęciu i zamierzał ukryć ciało w bałwanie, ale sir Willoughby okazał się twardą sztuką - starszym panem wcale nie tak łatwym do zamordowania, jak się wydawało. Zamienił się z mordercą rolami, a potem ubranie i zostawił go na trawniku w stroju Świętego Mikołaja - oczywiście martwego!

To by oznaczało, że mało wyrazisty starszy pan, którego Culley przesłuchał w East Maddle, to nie był profesor Larkin, tylko sir Willoughby, który nadal żyje i śmieje się ze wszystkich w kułak!

Albo bisk...

"Już dobrze, daj spokój! Twardo stąpaj po ziemi, człowieku... Jedno idiotyczne rozwiązanie naraz". Następny punkt programu

to pan Merivale, który zamierzał pomóc starszemu panu pogodzić się z tą starą ciocią, osobą, przez którą cała ta historia nie była tak zabawna, jak się wydawało nadkomisarzowi... Pan Merivale, który lada chwila się tu pojawi i będzie myszkował po całym domu... więc byłoby lepiej, gdyby nadinspektor Culley usiadł gdzieś na chwilę spokojnie i doszedł do ładu ze swoimi myślami.

Nie było mu to jednak dane.

Pan Redpath oddał mu do dyspozycji swój gabinet i Culley zamierzał się tam zaszyć, by z trzeźwym umysłem przejrzeć notatki jeszcze przed przyjściem prawnika, ale Rhoda Redpath pokrzyżowała mu plany.

- To pan, nadinspektorze? Mógłby pan tutaj na chwilę przyjść?

Culley już miał posłusznie dołączyć do niej w salonie, gdy znowu pokrzyżowała mu plany.

- Nie, lepiej chodźmy na górę, dobrze? Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał.

- Jak sobie pani życzy, pani Redpath.

Culley podążył za nią z niejaką ciekawością.

- Tutaj. - Zaprosiła go do niewielkiego pokoju. - Tutaj śpię od przyjazdu ojczyrna - wyjaśniła. - Mój mąż jest obok. Wszystkie sypialnie są ze sobą połączone, przez co dosyć trudno jest po bożemu porozmieszczać gości. Ale to bardzo stary dom, widzi pan, a w tamtych czasach nie myśleli o tego rodzaju sprawach. Tu cię mam! - powiedziała, naciskając jakiś kontakt. - Te elektryczne kominki szybko się rozgrzewają, a zawsze mówię, że człowiek w każdym wieku potrafi docenić, że jest mu ciepło. To takie smutne, że ludzie z pokolenia Pauliny byli wychowywani w przekonaniu, że elek-



tryczny kominek w sypialni jest niemoralny, chociaż oczywiście w tamtych czasach ich nie mieli, prawda?

Przerwała dla zaczerpnięcia tchu, ale Culley zdążył wtrącić słowo:

- Chciała pani ze mną o czymś porozmawiać?

- A, tak, rzeczywiście. Dosyć kłopotliwa sprawa, ale sami pana zaprosiliśmy, żeby pan nas śledził, więc nie powinniśmy niczego przed panem zatajać. Chodzi o Paulinę. Pannę Redpath.

- O...

- Mam nadzieję, że pan nie myśli, że miała cokolwiek wspólnego ze śmiercią mojego ojczyma? - Culley zdążył tylko odchrząknąć.

- Tak, widzę, że pana zdaniem miała - powiedziała Rhoda ze współczuciem, a potem, bez reszty przekonana, że zdejmuje mu z serca wielki ciężar, dodała: - Może mi pan uwierzyć na słowo, że nie miała.

- Dziękuję pani. - Culley pokazał po sobie oczekiwaną ulgę, ale bez poczucia, że rozmowa dotarła do satysfakcjonującego końca - takiego wrażenia nie miała zresztą również Rhoda, kiedy posiedzieli bez ruchu w jej pokoju przez ponad minutę.

- O rany! Pewnie pan chce, żebym wszystko panu o tym opowiedziała?

- Jak sobie pani życzy, ale mniej więcej za kwadrans przyjmę pana Merivale'a...

- Tak, naturalnie - powiedziała Rhoda - właśnie dlatego chciałam się z panem wcześniej zobaczyć. Pan Merivale nic na ten temat nie wie - tylko to, co w tamtym czasie sądzono, a to nie całkiem to samo, prawda?

- Chyba nie...

- Mogę zaręczyć za Paulinę, panie Culley. Znam ją dosłownie przez całe życie. Była najlepszą przyjaciółką mojej matki. Kiedy moja matka wyszła za mojego ojca, Paulina została jako ktoś w rodzaju towarzyszki, gospodyni i ogólnej pomocniczki. Bez niej bylibyśmy zupełnie zagubieni! Nie wolno panu myśleć, że mój ojciec miał z nią romans czy coś w tym guście. Jeśli już, to wręcz przeciwnie - to znaczy jeśli już, to był trochę zazdrosny o jej uczucie do mojej matki i vice versa, ale nawet to w pewnym sensie było ulgą - gdyby nie Paulina, to mógłby mieć poczucie, że ją zaniedbuje.

- Tak?

Rhoda przełknęła ślinę i kontynuowała:

- A potem, kiedy umarł, moja matka ponownie wyszła za mąż, kiedy tylko on był wolny.

- Kiedy tylko sir Willoughby był wolny?

- Oczywiście. Musieli poczekać, aż Kate Cameron umrze.

- Naturalnie, proszę pani...

Culley patrzył niewinnie na kominek, ale wiedział, że pani Redpath go obserwuje i wie, co mu chodzi po głowie.

- Nie ma sensu próbować zamydlić panu oczu - powiedziała. - Tak, to, co pan sobie myśli, jest prawdą... - Culley mrugnął. - Moja matka często się widywała z sir Willoughbym już przed śmiercią mojego ojca, pana Hepwortha. I musieli być bardzo dyskretni ze względu na reputację Kate Cameron. Paulina im pomagała. Podejrzewam, że to ona im podsuwała te wszystkie kłamstwa. Zawsze powtarza, że dopóki wiemy, jaka jest prawda, kłamstwa nie mają znaczenia; szkodliwe są tylko te kłamstwa, które mówimy samym sobie. Myślę, że to takie prawdziwe, a pan? - Culley potrafił jednak tylko wydawać z siebie nieartykułowane odgłosy. - Najzupełniej

się z panem zgadzam - ciągnęła szybko Rhoda - nie można było dopuścić, żeby ktokolwiek tak myślał. Ludzie są tacy egoistyczni i pozbawieni skrupułów. Ale Paulina zawsze była nam wszystkim tak bardzo oddana. My, ludzie, których kochała, znaczyliśmy dla niej więcej niż jej własne sumienie czy cokolwiek innego; tacy ludzie to wielka rzadkość; jaka szkoda! To naprawdę cudowna osoba. Lubi prawie wszystkich i chyba dlatego prawie wszyscy lubią ją. Dzięki temu nie ma poczucia, że zmarnowała sobie życie albo że należało wyjść za mąż czy coś, a tak naprawdę to byłaby wielka strata, gdyby to zrobiła - to znaczy dla wszystkich innych.

- Nigdy nie była zaręczona ani nic w tym rodzaju? - sondował delikatnie Culley.

- Była zaręczona z jednym z sekretarzy mojego ojca. Nazywał się Cecil Hargrove. Na szczęście nie był sympatycznym człowiekiem i nic z tego nie wyszło. To właśnie zamierzałam panu powiedzieć. Widzi pan, on próbował ją szantażować.

- Słucham, proszę pani?

- Próbował ją szantażować. To znaczy Cecil Hargrove. Chodziło oczywiście o moją matkę i sir Willoughby'ego. Z powodu Kate Cameron choćby cień skandalu miałby bardzo niepożądane konsekwencje i on o tym wiedział. Paulina była wtedy bardzo młoda i z pewnością przeżyła wielki szok, do tej pory nie lubi o tym mówić; aczkolwiek ten epizod o dziwo raczej wzmocnił niż osłabił jej wiarę w ludzką naturę, mimo tego, jak moja matka i wujek Willie się wtedy zachowywali. "Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz", zawsze powtarza, a Cecil z pewnością nie zasługuje na współczucie.

- Sir Willoughby wsadził go do więzienia? - spytał Culley prze-

praszącym tonem, bo przecież Rhoda mogła uznać, że nadinspektor za bardzo się interesuje szczegółami tej sprawy.

- Cecil miał przez nich konflikt z prawem. Niestety nie umiem panu powiedzieć, jak to zrobili. Byłam za młoda, żeby cokolwiek o tym wiedzieć, ale mojej drogiej matce nigdy nie brakowało pomysłów, a sir Willoughby był cwany...

- ...i bogaty!

- Pieniądze rzeczywiście dają władzę - Rhoda zgodziła się z nadinspektorem, że ten aspekt sprawy ma znaczenie. - W tamtych czasach wszyscy byliśmy bardzo bogaci, a więc na szczęście mogliśmy posłać zalotnika Pauliny za kratki.

- Rozumiem. Co było dalej?

- Och, to już wszystko. Kiedy wyszedł z więzienia, wujek Willie zmusił go do emigracji - nie wiem dokąd, ale przypuszczam, że już nie żyje; w każdym razie już nigdy nie sprawiał kłopotów.

Zadzwonił dzwonek i wstała.

- To pewnie pan Merivale! W najszcześniejszym momencie! Jego *entrée* zawsze są takie piękne! Teraz, kiedy już oczyściłam dobre imię Pauliny, wszystko jedno, co on panu powie. I proszę nie zapominać, panie Culley, że on już musi mieć ponad osiemdziesiąt lat!

Tego ranka jeszcze trudniej było w to uwierzyć. Pan Merivale wtargnął do holu przysypany śniegiem, który spadł na niego, kiedy stał i czekał na ganku. Oznajmił również familiarnym tonem, że strzelano do niego na podjeździe, ale bardzo niecelnie i już przetrzepał temu chuliganowi skórę.

- Ewakuowani. Nudzą się jak mopsy. Nie winię ich. Winię wojnę. Dają im zabawkowe pistolety, mówią im, że są w Gwardii Na-

rodowej, i każą strzelać do wszystkiego, co się rusza, więc co się dziwić - co oni będą wyprawiali, jak dorosną, Bogu dzięki mnie już nie będzie - nie będę marnował pańskiego czasu, nadkomisarz mnie przysłał, kiepska sprawa, tragedia po tylu latach, nie można tego wyciszyć, pewnie ma rację.

Chuchnął w dłonie, zdjął płaszcz i Culley czym prędzej zabrał go do gabinetu (na wypadek, gdyby znowu ktoś zaczął do niego strzelać - ostrożności nigdy za wiele).

- Sprawa jest taka, panie Merivale - wyjaśnił Culley stanowczym tonem. - Na razie nie podejrzewam nikogo o morderstwo, tylko najpierw próbuję wyeliminować jak najwięcej wątków.

- Nie sędzę, aby musiał pan dalej eliminować - powiedział pan Merivale, chwiejnie siadając na fotelu koło kominka i z przyjemnością ogrzewając dłonie. - Ha! Jedyne pytanie brzmi - czy możemy ją oczyścić? Patrząc na to optymistycznie. Tak, myślę, że możemy. Mnóstwo pieniędzy. Dać cynk Marshallowi Hallowi - o, nie, nie żyje, cholera, zapomniałem.

Culley otworzył notatnik i wyrzucał z siebie rozmaite zagajenia: "No cóż, skoro... Jako że... W związku z tym... Niezależnie od tego...", a także rozmaite przyimki, które nie przynosiły jednak oczekiwanego rezultatu.

Pan Merivale kontynuował w profesjonalnym duchu:

- Narzucająca się linia obrony to obłąd. Znam prywatny dom wariatów. Byłaby tam szczęśliwa. Lepiej niż w Broadmoor. Może to defetyzm. Może uradzimy coś lepszego, jeśli razem się nad tym pochylimy, co? Morderstwo po świętach! Czyli takie jest rozwiązanie. Mówiłem, że to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi. Pewnie się pan cieszy, że już po sprawie. Na pana miejscu bym się cieszył!

Serdeczny śmiech, w którego trakcie Culley miał czas wtrącić:

- Sprawa nie jest bynajmniej zakończona, panie mecenasie.

Ale musiał to powiedzieć dwa razy, zanim został usłyszany.

- Oczywiście proces - stwierdził pan Merivale. - Ciekawe, czy ona go dożyje? Może lepiej, żeby nie dożyła. Policjantowi pewnie nie powinienem tego mówić. Pan zawsze chce, żeby zawiśli na suchej gałęzi, co? Paskudną ma pan pracę, wolę moją...

Culley przerwał mu pospiesznie, aby zapobiec kolejnej eksplozji śmiechu:

- Może byłby pan w stanie podać mi kilka faktów, panie Merivale. Działam po omacku i nie mam się na czym oprzeć oprócz domniemań i wniosków z własnych obserwacji.

- Oczywiście, że nie. - Pan Merivale obruszył się na myśl, że fakty mógłby znać ktokolwiek oprócz doświadczonego prawnika. - Ale sprawa jest oczywista. Wszystko panu powiem. Po to tutaj jestem. Fakty, nie teorie. Wszystko było ściśle zgodne z prawem; w przeciwnym razie niczego bym się nie dowiedział. Ale prawo jest elastyczne. I między nami mówiąc, Culley, jest coś takiego jak korupcja, nawet w Anglii, nawet w tych czasach. Trzymaj się litery prawa, a wszystko ujdzie ci na sucho. Mogłem oczywiście posłać ją za kratki, ale zdołałem udowodnić, że ten facet ją do tego nakłonił. Zresztą najprawdopodobniej tak było - dopowiedział sumiennie pan Merivale, który ocenił w myślach ten epizod i stwierdził, że upływ czasu go złagodził. A potem surowo przywołał swoje myśli do teraźniejszości: - Ale teraz to jej nie pomoże, prawda?

Kiedy pan Merivale wyciągał chusteczkę, aby ze smutkiem wydmuchać nos, Culley zapytał:

- Do czego dokładnie pan Hargrove ją nakłonił?

Pan Merivale, z chusteczką w rękę, uniósł miejsce, w którym zwykle są brwi, i mocno zmarszczył czoło.

- To pan nie wie? Ukradła matce pani Redpath całe mnóstwo błyskotek po świętej pamięci Kate Cameron! Razem to zrobili. Jego zapuszkowali, ale - jak już mówiłem - jej włos z głowy nie spadł. Keene-Cottonowie od tej pory ją trzymali. Nie wiem dlaczego.

- Najprawdopodobniej - odpowiedział Culley - czuli się wobec niej zobowiązani...

- Za to, że uciekła ze srebrami rodzinnymi? Przypuszczam, że wątpię!

- Słyszałem, że panna Redpath była szantażowana.

- Że jak?

- W związku z czymś, co wywołałoby skandal związany z sir Willoughbym, a zwłaszcza z jego świętej pamięci żoną.

Merivale pokręcił przecząco głową.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

Culley mu przypomniał:

- Jeśli wpadli w tarapaty, panie mecenasie, to mogli nie chcieć, żeby pan wiedział. Nawet jeżeli trzymali się litery prawa.

- Szkoda. Mógłbym ich z tego wyciągnąć. To musiało być coś gorszego niż tarapaty. Tak - sprytnie pan to odgadł - to wszystko wyjaśnia! Biedna kobieta - co ja mówiłem? - źle ulokowana lojalność, ofiara okoliczności, raczej skrzywdzona niż krzywdzicielka, całkowicie w jego mocy, robiła wszystko, co jej kazał, nie miała w tej sprawie wyboru, zero uczuć, tłamsiła je w sobie przez te wszystkie lata, robi się coraz starsza, dobrze ponad siedemdziesiątkę, jak nie lepiej, coś w końcu w niej pękło, dziwne, że nie wcześniej, myślała, że jest tutaj bezpieczna, senne miasteczko, nikt jej nie zna,

kochana i szanowana, ale starszy pan ją znajduje, jedyny groźny dla niej człowiek, który jeszcze żyje, trudno, musiała go zabić, jedyne rozwiązanie to morderstwo, morderstwo po świętach, ha, tak, teraz widzę tę sprawę tak jasno, ale nie możemy puścić jej tego płazem, jej pierwsze morderstwo może nie być ostatnim, co za tragedia, dobry Boże, cóż to było? - Uniósł się w fotelu z sapnięciem.

To było stukanie do drzwi.

Culley, który zamknął drzwi na klucz, aby im nie przeszkadzano, teraz bardzo się ucieszył, że jednak im przeszkadzono, wstał więc i otworzył.

Za progiem stała panna Redpath.

- O - zagaiła sympatycznym tonem - macie z panem Merivale'em prywatną rozmowę? To nie będę wam przeszkadzała... - Ale mimo to przepchnęła się obok niego do gabinetu, nie dając mu w tej sprawie żadnego wyboru. - Dzień dobry, panie Merivale - zwróciła się do sędziwego prawnika, który wstał uprzejmie, ale mruzczył coś pod nosem. - No już - powiedziała surowo, sadowiąc się na krześle za biurkiem Franka, za którym urzędował wcześniej Culley. - Koniec z tym szeptaniem! - Natrafiła wzrokiem na notatnik Culleya, szlachetnie powstrzymała się od jego przejrzenia i uprzejmie mu go wręczyła. - Proszę usiąść - powiedziała delikatnie karzącym tonem do nich obu. - Tajemnice są zabronione - chyba że w święta.



## XVII. Tajemnice w święta

Nadinspektor Culley posłusznie usiadł, pan Merivale jednak ukradkiem przesuwał się w stronę drzwi.

- Właśnie miałem wychodzić - wyjaśnił krótko, kiedy panna Redpath spotkała się z nim wzrokiem - robi się późno, kupa roboty...

- Och, proszę zostać, panie Merivale - domagała się panna Redpath. - Możemy potrzebować pańskiej rady.

Pan Merivale wykonał bezsilny piruet.

- Absolutnie, obecność prawnika, zawsze do pani dyspozycji, co dwie głowy, to nie jedna, coś da się zrobić, proszę to zostawić mnie, nie ulegać rozpaczom...

Lekki ruch głowy Culleya kazał mu się zatrzymać.

- Lepiej niech pan zostanie i posłucha, co panna Redpath ma nam do powiedzenia - zasugerował rozsądnie nadinspektor.

Niezbyt zadowolony pan Merivale wrócił na fotel koło komin-ka.

- Jak najbardziej, jak najbardziej, skoro pan tak mówi. Ale jeśli mogę pani coś doradzić, panno Redpath, to nie powinna pani nic mówić. Nie jest pani prawnie zobowiązana do udzielania policji jakichkolwiek informacji. Wszystko, co pani powie, naturalnie będzie wykorzystane...

- O tym na razie nie ma mowy - przerwał mu szorstko Culley, niemal nie poruszając ustami. - Ale skoro pani już przyszła, chciałbym wyjaśnić parę kwestii.

- Ależ oczywiście - powiedziała Paulina Redpath. - Byłam na górze w swoim pokoju, kiedy zobaczyłam, że podjeżdża samochód

pana Merivale'a. - Odwróciła się w jego stronę i wyjaśniła: - Właśnie się ubierałam do wyjścia. Chciałam pana poprosić, żeby najpierw porozmawiał pan ze mną, kiedy spadł na pana cały ten śnieg! Ale się wystraszyłam. Miałam straszne poczucie winy, że w porę pana nie ostrzegłam. Potem usłyszałam, że nadinspektor wychodzi z pokoju Rhody. Tak się zamartwiałam, panie Culley, sumienie nie dawało mi spokoju! Prawdę powiedziawszy, zamartwiam się już od dosyć dawna - odkąd sir Willoughby został zamordowany, musiałam wszystko w sobie dusić; nie było absolutnie nikogo, komu mogłabym się zwierzyć. Takie tajemnice są o wiele gorsze, kiedy nie mamy się nimi z kim podzielić, prawda? Naturalnie wiedziałam, że prędzej czy później będę musiała zacząć mówić. Ze względu na Rhodę i z powodu rodziny Horshamów. Chociaż próbowałam się łudzić, że może mimo wszystko to nie będzie konieczne. To, co zrobiłam, trzeba było zrobić. W sensie prawnym - posłała panu Merivale'owi szelmowskie spojrzenie - to z pewnością było okropne, ale w tamtym czasie nie było innego sposobu. Teraz jest inaczej. Prawda prędzej czy później musi wyjść na wierzch, więc dlaczego nie teraz? Zresztą dlaczego nie? Po co biedny pan Culley ma się tak męczyć, pomyślałam. Tak ciężko pracował nad tą sprawą, panie Merivale, i zasługuje na odpoczynek. No i się rozebrałam i zajrzałam tutaj, żeby zobaczyć, jak się dogadujecie.

- Bardzo miło z pani strony, panno Redpath - powiedział Culley.

- Widzi pan, ja znam prawników - wyjaśniła panna Redpath. - Mój wujek Godwin, brat biednego ojca, był bardzo zapracowanym i znakomicie sytuowanym prowincjonalnym prawnikiem, a potem

musiał sprzedać praktykę i zamieszkać na wybrzeżu. Był męczennikiem niestrawności nerwowej i zmarł trzy lata później - podobno na raka dwunastnicy. Tak naprawdę zabiło go jednak zmartwienie. Nawet po przejściu na emeryturę nie potrafił się odprężyć. Ich umysły tak działają. To znaczy prawników. I to się nasila. Nie chcą stawić czoła rzeczywistości, po prostu chowają się w ciemnościach, w zakurzonych kątach i w kółko się zamartwiają. Jeśli spróbować ich wyciągnąć z jednego kąta, to są tacy wystraszeni i bezbronni, że czym prędzej uciekają do innego. Okropnie ich szokuje odkrycie, że życie tak naprawdę jest bardzo proste i że w swoich miłościach i nienawiściach istoty ludzkie niekoniecznie kierują się tym, co prawo określa jako dobre i złe. - Uznawszy na podstawie wyrazu twarzy pana Merivale'a, że zgadza się z nią w tej sprawie, ponownie zwróciła się do Culleya: - Pan również musi wszystko zapisywać i ważyć dowody. "W jaki sposób biedny sir Willoughby został otruty?" Co wydaje się zupełnie niewytłumaczalne, prawda? "I kto skorzystał na tym, że sir Willoughby umarł po świętach?" Nikt! Z drugiej strony to była najlepsza rzecz, jaka mogła się wydarzyć, prawda, panie Merivale? Wszystkie pieniądze szły do jego żony, a za jej pośrednictwem do rodziny Horshamów, fortuna by zniknęła i nikt inny nie uświadczyłby ani pensa, chociaż być może miałyby większe moralne prawo do tego majątku. "Kto jeszcze miał motyw do morderstwa po świętach?" Wiem, panie Merivale, że nadinspektor Culley jeździł samochodem po okolicy i przesłuchiwał każdego uczestnika przyjęcia. Nie oszczędzał się! Ale nie sądzę, aby znalazł choć jedną osobę, która miała realny motyw, aby zamordować takiego nieszkodliwego starszego pana. - Stęknęła w swoim stylu i zaśmiała się przyjaźnie. - Jeśli pominąć pienią-

dze, to po prostu nie sposób sobie wyobrazić, żeby ktoś pragnął jego śmierci. - Jej oczy spoczęły na śmiercionośnym nożu, który leżał na biurku Franka. Wzięła go do ręki i z roztargnioną miną dotknęła palcem czubka ostrza. Pan Merivale drgnął z zakłopotaniem. - Trudno sobie wyobrazić, że biedny stary sir Willoughby był dla kogokolwiek zagrożeniem i trzeba go było "uciszyć", jak to nazywają w kryminałach. W realnym życiu nikt by tego nie uznał za możliwe, prawda?

Z nożem w dłoni odwróciła się w stronę pana Merivale'a, który wrzasnął. Zaraz jednak, zamieniwszy wrzaśnięcie w kaszel, zdołał odpowiedzieć uprzejmie:

- Nie, z pewnością by nie uznał... - Po czym zwilżył usta (nadspektor Culley najwyraźniej zasnął, do cholery).

- Nie - podjęła panna Redpath - a żeby oddać mu sprawiedliwość, nie sądzę, aby sam sobie uświadamiał, jakim jest zagrożeniem. Tracił pamięć. Tak bardzo się starał przypomnieć sobie fakty, ale chyba do śmierci mu się to nie udało. Za co wszyscy musimy próbować być mu wdzięczni. Następnego dnia miał przyjechać jego prawnik, aby spisać nowy testament, a wtedy mógłby się poczuć zobowiązany do przypomnienia sobie, jak było naprawdę.

Odłożyła nóż, a Culley nieznacznie się rozbudził, pan Merivale zaś na wszelki wypadek ukradkowo przybliżył się do dzwonka, jednocześnie mruknięciami potwierdzając tezy panny Redpath.

- Gdyby dożył pańskiego przyjazdu, panie Merivale, wszystko byłoby w najzupełniejszym porządku.

- ...Tak, tak, święta racja, święta racja...

- O co chodzi, proszę pani? - spytał Culley, który całkiem się rozbudził.

Pan Merivale właśnie zaczął dzwonić, gwałtownie szarpnął palcem do tyłu, jakby przycisk dzwonnka go ugryzł...

- Że jak?

- Ależ oczywiście. Pan i ja moglibyśmy powiedzieć mu prawdę - powiedziała Paulina do prawnika. - Co dwie głowy, to nie jedna. Z pańskich ust brzmiałoby to znacznie lepiej. Sądziłam zresztą, że zdołałam go przekonać, jak wyglądała sytuacja, ale po tym upadku coś mu się chyba porobiło z głową i nie byłam w stanie wydusić z niego ani słowa - to znaczy dowiedzieć się, co zamierza w tej sprawie zrobić.

- Myślała pani, że podejmie jakieś działania? - spytał bardzo cierpliwie Culley.

- Taką miałam nadzieję!

- Pani miała...? - zaczął zdumiony pan Merivale, ale szybko dał za wygraną.

- Pomyślałam, że wszystko zostało tak przyjemnie zaaranżowane. Sir Willoughby zmieni testament - to było zresztą umówione na długo przed przyjazdem państwa Freer - i dopisze do niego Rhodę i Johna. Choćby po to, mówiłam, aby uniknąć brzydkiego skandalu, który być może byłabym w obowiązku ujawnić...

- Groziła mu pani! - wykrzyknął pan Merivale, który przeżył olśnienie. - Pani... Dobry Boże... Groziła mu pani ujawnieniem skandalu, w którym brał udział, jeśli nie zostawi pani Redpath jakichś pieniędzy!

- Wtrąciłam coś w tym guście - przyznała Paulina. - Nie widziałam innego sposobu na to, aby potraktował tę sprawę poważnie. Ale nie może pan mówić, że mu groziłam, to niesprawiedliwe. Nigdy bym go nie wydała. Byłoby w wysokim stopniu niewskazane,

żeby ludzie poznali prawdę. On też to rozumiał. A nie da się dochować tajemnicy, jeśli nie wiemy, na czym ona polega, prawda?

- Jeśli wiadomo, jaka jest prawda, to wiadomo też, jak kłamać - mruknął Culley.

- Otóż to - pochwaliła go panna Redpath za zwięzłe podsumowanie tej kwestii. - Sir Willoughby zrobił się taki stary i zagubiony. Mógł powiedzieć prawdę tylko dlatego, że nie przyszłoby mu do głowy nic innego do powiedzenia.

"Jak panna Hobbs" - pomyślał Culley, a na głos powiedział:

- Proszę mówić dalej, panno Redpath. Chcielibyśmy usłyszeć, jaka jest prawda.

- Oczywiście - zgodziła się Paulina. - Przecież pan jej nie zna. Jak tylko sir Willoughby zmarł bez wyznaczenia spadkobierców, uświadomiłam sobie, że nie będę w stanie dłużej zachowywać tego w tajemnicy. Droga Rhoda, widzi pan, jest jego najbliższą rodziną.

Zapadła pełna zaskoczenia cisza, którą w końcu przerwała Paulina:

- Więc oczywiście wszystkie pieniądze automatycznie przypadają jej.

- Moja droga panno Redpath - zaczął pan Merivale - nie widzę, w jaki sposób...

Jednak nadinspektor Culley uciszył go zniecierpliwionym gestem. Przyglądał strony notatnika, westchnął po stoicku i powiedział:

- Proszę mówić dalej, panno Redpath. Miejmy to jak najszybciej z głowy. Wnioskuje, że ojcem pani Redpath w rzeczywistości był sir Willoughby, a nie pan Hepworth, racja?

- Obawiam się, że ta historia wyda się panu niezbyt sympatycz-

na - mruknęła z powątpiewaniem panna Redpath. - Droga Rhoda nigdy jej oczywiście nie słyszała.

- Nigdy jej nie powiedziano?

- Absolutnie nie wypadalo, żeby ją znała. Wychowano ją w przekonaniu, że jej ojcem jest pan Hepworth.

- Czy pan Hepworth w to wierzył?

- Nie sądzę - odparła Paulina. - Był człowiekiem, który sam doszedł do wszystkiego, dosyć próżnym i sentymentalnym. Ożenił się głównie ze względów prestiżowych. Jego małżeństwo nie było... hm... realne, jeśli mnie pan rozumie. Pan Hepworth zawsze był o wiele za bardzo zajęty i nazbyt towarzyski; człowiek interesu; dzielił życie na osobne przegródki.

- Kiedy pani mówi "nazbyt towarzyski"...

- Jeśli dostrzega pan tutaj dwuznaczność i sądzi, że miał romanse, to się pan nie myli. Ale zawsze chciał się ożenić z Beryl - tak, tak, ożenić - bo pod każdym względem byłaby dla niego doskonałą żoną, ale dopiero jak pojawiło się dziecko, to stwierdził, że on bardzo chętnie stanie z nią przed ołtarzem! Hm. Nieładnie. Ale jej rodzina nic nie wiedziała o sir Willoughbym i zawsze chciała, żeby Beryl wyszła za pana Hepwortha - był taką dobrą partią - więc to zrobiła. Nie obwiniałam jej o to.

Również Culley nie miał czasu na obwinianie kogokolwiek.

Całe zgorszenie musiał wziąć na siebie pan Merivale, który zdołał wydusić:

- A sir Willoughby wziął i ożenił się z Kate Cameron, jakby na świecie nie było innych kobiet!

- Kusząca rzecz - stwierdziła Paulina - dla młodego człowieka trudna do odparcia. Kate Cameron dostała, co chciała, pan He-

ppworth dostał, co chciał. Wszyscy byli zadowoleni. Wydawało się, że nie ma powodu upubliczniać prawdy.

- No chyba! - obruszył się pan Merivale. - Prawdy, to ci dopiero. Kate Cameron! Jezusie Święty!

- Może w tamtym czasie prawda nie wydawała się istotna. - Culley ostrożnie przeanalizował punkt widzenia Pauliny. - Jeśli dobrze rozumiem, sir Willoughby i Beryl Hepworth nadal jednak byli ze sobą w przyjaznych stosunkach. Czy to nie było trochę niemądre?

- Bardzo niemądre - zgodziła się z nim gorliwie panna Redpath. - Ale w końcu byli tylko ludźmi, i to zawsze bardzo sobie oddanymi.

- Hm! Dziwne zachowanie. Nawet dzisiaj trudno w to uwierzyć.

- Byli bardzo, bardzo dyskretni. Gdyby nie pan Hargrove...

- Jak on się o tym dowiedział?

- Obawiam się, że byłam na tyle lekkomyślna, aby mu się zwierzyć. Sprawiał wrażenie tak miłego człowieka i tak godnego zaufania sekretarza. A zatem bardzo lojalnego, myślałam - ale oczywiście płacono mu za to. Szybko to sobie uzmysłowiłam.

- Płacił mu za to pan Hepworth, a potem pani Hepworth, a jeszcze później sir Willoughby! Zapewne uznał lojalność za bardzo lukratywny fach!

- A niech to...! Cóż za...! Niech mnie...! - wybuchał bezsilnie pan Merivale.

- Teraz już nie żyje - przypomniała mu uspokajająco Paulina.

- Przecież... Przecież... Przecież... - Pan Merivale chwilowo się zatchnął, ale potem zdołał wygłosić w miarę spójne zdanie: - Zara-



biał dostatecznie dużo pieniędzy na - mówiąc bez ogródek - szantażu...

- Aby uznać za zbyt uczynne zmuszanie pani do współpracy w serii rabunków - wspomógł go Culley.

- Nigdy tego nie zrobił - powiedziała panna Redpath łagodnie, ale dobitnie.

- Oczywiście, że zrobił - zaprzeczył jej pan Merivale zdecydowanym tonem. - Paskudna sprawa, wyciągnąłem panią z tego, wszystko dokładnie pamiętam, tak jakby to było wczoraj...

- Nie. - Panna Redpath poczuła się zobowiązana rozwiązać wszystkie obawy, jakie się pojawiły. - To był pomysł biednej Beryl. Wstrętny, paskudny numer, ale jaki sprytny! Ale tak naprawdę, jak doskonale wtedy rozumiałam, nie było innego wyjścia. W tamtych czasach prawo nie dawało żadnego rozsądnego sposobu na rozprawienie się z szantażystami. Beryl dwa albo trzy razy w tygodniu dawała mi biżuterię, a ja po prostu ją sprzedawałam i dawałam Cecilowi pieniądze. Potem nakłoniłam sir Willoughby'ego, żeby wysłał za mną policję, a oni mnie śledzili od lombardu do lombardu. Żeby ułatwić im zadanie, zawsze pamiętałam, by włożyć na siebie coś bardzo jasnego. Rany, straszne były wtedy upały! Wykańczające! Beryl mi mówiła, że to takie ekscytujące i że powinnam być wdzięczna za to doświadczenie, ale to ja musiałam wziąć na siebie najbardziej męczącą robotę - nie umiałam wbić jej tego do głowy. Kiedy mnie złapano, wybuchłam płaczem i wszystko wyśpiewałam. Ta część zadania była łatwa. Powiedziałam, że Cecil mnie szantażował i nie miałam innego pomysłu na zdobycie pieniędzy. Sir Willoughby poszedł do pana Merivale'a, który był po

prostu wspaniały. Cecil trafił za kratki i sprawa nigdy nie wyszła na jaw!

- Coś takiego! - krzyknął osłupiały pan Merivale. - Wrobiliście go, to był stek kłamstw, łykałem każde słowo, ależ ze mnie głupiec...

- Powiedzieliśmy panu najszczerzą prawdę - odrzekła przyjaźnie Paulina - to pan wymyślił wszystkie kłamstwa.

Culley uznał, że chyba należy znowu interweniować.

- Wszystko to się stało po ślubie sir Willoughby'ego i Beryl Hepworth, którzy nadal nazywali panią Redpath - Rhodę Hepworth - pasierbicą sir Williego...

- Tak.

- A w rzeczywistości była rodzoną córką obojga.

- Naturalnie nie mogli tego ogłosić całemu światu.

- Wtedy jeszcze nie. Może nie. Ale teraz... - Nadinspektor wydał usta, postukał palcami w zęby i patrząc w sufit, zmarszczył czoło, po czym zapytał pana Merivale'a: - Czy w tej sytuacji pani Redpath jest najbliższą rodziną sir Willoughby'ego?

Pan Merivale drgnął gwałtownie i zaczął z niechęcią mamrotać coś na temat nieślubności, prawowitości i konieczności udowodnienia tego czy tamtego...

Mamrotania te, rozszyfrowane przez Paulinę, najwyraźniej stanowiły dla niej brutalny szok.

- Ach, panie Merivale - powiedziała głęboko zatroskanym tonem - mam nadzieję, że nie sugerowałam... nie, nie, nie będzie potrzeby udowadniania, że droga Rhoda jest nieślubnym dzieckiem. O rany, w żadnym razie nie chciałam tego sugerować!

- Na coś się trzeba zdecydować, proszę pani - łagodnie zwrócił

jej uwagę Culley.

- Gdyby się pani chciała wycofać ze swojego zeznania... - zaczął pan Merivale, który trochę poweselał.

- Kiedy to nieprawda! - Paulina była mocno roztrzęsiona. - Chyba źle to powiedziałam, bo najwyraźniej odnieśliście wrażenie, że wszyscy robiliśmy wielki raban o nic. Gdyby Rhoda była nieślubnym dzieckiem, oczywiście nie miałyby to najmniejszego znaczenia. Cóż za idiotyczny pomysł! Nic dziwnego, że obaj się ze mnie śmiejecie! - Nie było w tym ani grama prawdy, chociaż rzeczywiście obaj mieli szeroko otwarte usta. - Nieślubną córkę można byłoby adoptować i wszystko naprostować. Ludzie pewnie by gadali - przyznaję - ale gdyby rodzice koniec końców się pobrali, nie byłoby prawdziwego skandalu. Sytuacja najzupełniej naturalna i całkiem powszechna. A pan, panie Merivale, wszystkiego by się dowiedział. Ale, mój Boże, to wcale tak nie wyglądało.

Aż się spociła ze zgrozy.

- Nie?

- Tak?

(Zapytania te unosiły się w powietrzu, chociaż trudno było dobiec, kto je wypowiedział).

- Obawiam się - powiedziała panna Redpath - że biedna droga Rhoda była ich ślubną córką.

- Ślub... - zaczął pan Merivale i się zaciął.

- ...ną - dokończył za niego Culley i zapisał to w notatniku.

- Właśnie na tym polega prawdziwy skandal. - Paulina urwała w poczuciu, że reszta rozumie się sama przez się, ale potem bardzo życzliwie wyjaśniła: - Małżeństwo Kate Cameron z sir Willoughbym było oczywiście bigamiczne, podobnie jak małżeństwo Beryl z

panem Hepworthem. Do dzisiaj ciarki mnie przechodzą, kiedy o tym pomyślę. Wszystko to wynikło ze sprzeciwu rodziców wobec tych związków. Beryl i sir Willoughby w tajemnicy przed światem byli małżeństwem od ponad roku, zanim panna Cameron i pan Hepworth w ogóle pojawili się w ich życiu.

- A, rozumiem - powiedział Culley. - A potem znowu się pobrali. - Kiedy pan Merivale zduszonymi głosem mówił "dobry Boże", nadinspektor wszystko zapisywał. - Czyli sprawy się mają następująco, proszę pani - podsumował, kiedy już postawił w notatniku ostatnią kropkę. - Kiedy sir Willoughby tutaj przyjechał i ciągle mylił kolejność żon...

- Tak naprawdę wymieniał je we właściwej kolejności - powiedziała panna Redpath.

- A pani znowu je przedstawiała.

- Musiałam.

- Posuwamy się do przodu - zakończył Culley.

## XVIII. Paczki na święta

- No i?

- Sprawa stanęła na głowie, panie nadkomisarzu. To nie starszy pan znał mroczną tajemnicę starszej pani, tylko na odwrót.

- Czyli tego nie zrobiła - dokończył Smythe.

W gabinecie nadkomisarza zapadła cisza.

Nadinspektor Culley odchrząknął z pokorą.

Major Smythe z rozdrażnieniem machnął ręką.

- Dobra, dobra, nie musi pan przepraszać. Nie sądzi pan chyba, że lubię posyłać stare panny na szubienicę?

- Nie, panie nadkomisarzu.

Culley przekartkował notatnik i zaczął obracać w palcach dużą kopertę.

- Oczywiście bardzo się cieszę - powiedział Smythe. - Ale, Culley, jeśli jeszcze raz pan wejdzie do tego pokoju i powie mi, że jeszcze ktoś inny nie popełnił tego morderstwa, to albo umorzę sprawę, albo wezwę Scotland Yard...

- W porządku, panie nadkomisarzu - odparł Culley, bynajmniej nie obrażony na zwierzchnika.

- Nic nie jest w porządku. Wałęsa się pan po okolicy, a potem przychodzi pan tutaj i opowiada mi mnóstwo bzdurnych teorii i nie jest pan ani o krok bliżej rozwiązania zagadki niż tydzień temu. Dobrze mówię? - zapytał, motywując podwładnego do konfrontacji z faktami.

- Dowiedziałem się jednej rzeczy - powiedział potulnie nadinspektor Culley.

- Cudownie! - pochwalił go major Smythe, ale jego sarkazm

miał krótkie nogi.

- Dowiedziałem się, co się stanie z wszystkimi pieniędzmi sir Willoughby'ego, skoro umarł bez wyznaczenia spadkobierców.

- Dowiedział się pan tego? To czemu, do diabła, mi pan nie powiedział?

- Właśnie panu mówię, panie nadkomisarzu.

- Dobra, dobra. Niech pan mówi dalej. Tylko delikatnie. Pewnie najbliższa rodzina. Co to jest?

- Świadectwo ślubu.

Culley wyjął z dużej koperty jakiś wyblakły dokument i położył go nadkomisarzowi pod nosem. Kiedy Smythe szukał swoich okularów w szylkretowej oprawie, Culley usiłował podsumować sytuację:

- Panna Redpath jest jego rodzoną, a nie przybraną córką. Bigamia. Druga żona tak naprawdę jest jego trzecią żoną, która była jego pierwszą.

Major Smythe, który właśnie znalazł okulary, natychmiast upuścił je na podłogę.

- O, nie, Culley, tak bardzo pana proszę - jęknął błagalnym tonem.

- Tak naprawdę to całkiem proste, panie nadkomisarzu.

- Czyżby?

- Dwa razy ożenił się z tą samą kobietą.

- Nie wiedziałem, że to się kwalifikuje jako bigamia.

- Oboje dopuścili się bigamii tak jakby pomiędzy.

- Okropne. A teraz gdyby mógł pan przez chwilę nic nie mówić...

Wynurzył się spod biurka z okularami w szylkretowej oprawie,

włożył je na nos i w cichym skupieniu przejrzał dokument. Upłynęło trochę czasu, zanim dostatecznie uporządkował myśli, aby odważyć się ubrać je w słowa.

- Najpierw ożenił się z drugą żoną, potem z pierwszą, potem z pierwszą - znaczy z pierwszą drugą żoną - po raz trzeci!

- No i połapał pan się w tym wszystkim, panie nadkomisarzu! - zawołał Culley.

- Połapałem się? Naprawdę? Chyba rzeczywiście. A tym samym jego trzecia żona jest jego czwartą żoną, prawda? Czy nie? Nie, oczywiście, że nie, to nie miałyby sensu.

- Dlaczego nie, panie nadkomisarzu?

- Bo w sumie było ich tylko trzy.

- Tylko trzy żony, tak, ale ożenił się cztery razy.

- Tak, rozumiem - odparł pospiesznie major Smythe. - Jasne, oczywiście. - Na bieżąco układał sobie w głowie kolejne informacje: - Rhoda Redpath...! Mówi pan, że jest jego córką? Skąd to wiemy? W tym papierze nie ma o niej mowy. Ani słowa...

- Trudno, żeby było, panie nadkomisarzu. Urodziła się dopiero po bigamicznym ślubie jej matki z panem Hepworthem.

- Ale stary Willie cały czas był jej ojcem! Nic dziwnego, że była do niego tak przywiązana i chciała, żeby to u niej spędził ostatnie lata życia! Siła więzów krwi! I przez te wszystkie lata przechowywała świadectwo ślubu! Skąd je wzięła?

- Nie dostałem go od pani Redpath, tylko od panny Redpath. - Culley przedstawił Smythe'owi streszczenie historii Pauliny, którą nadkomisarz zatwierdził i opatrzył przypisami ze swoich osobistych wspomnień o sir Willoughbym i wreszcie podsumował:

- Absolutnie nietypowe dla tej kobiety. Wyjaśnia wszystko na

jej temat. Pewnie w takim celu poszła powęszyć do jego pokoju?

- Zgadza się. Półprawda w niewłaściwych rękach mogła spowodować wiele szkód. A poza tym nie było konieczności, aby na tym etapie wyszła na jaw cała prawda.

- Ale teraz wyszła. Wiele wyjaśnia, co? Szkoda, że nie mogła panu opowiedzieć tego wszystkiego wcześniej, oszczędziłaby panu mnóstwo roboty. Oczywiście to panna Redpath cały czas niszczyła te notatki.

- Nie, panie nadkomisarzu, myślę, że powiedziała mi prawdę. Już wcześniej były zniszczone.

- Przez kogoś innego? Przez panią Redpath?

Culley pokręcił głową.

- Zdziwiłby się pan, gdyby się pan dowiedział, dlaczego zniszczono te notatki, panie nadkomisarzu - stwierdził nadinspektor i zaśmiał się pod nosem.

- Zdziwiłbym się? - Smythe spojrział na niego z niechęcią. - W takim razie lepiej niech mi pan nie mówi. I bez tego jestem dostatecznie zdziwiony. Czyli wszystkie te pieniądze dostanie Rhoda Redpath! Muszę powiedzieć, że mnie to cieszy. Bardzo miła kobieta. Nie zatrzyma wszystkiego dla siebie jak Horshamowie ani nie porozdaje bezmyślnie jak ten stary piernik. Czyli to rozstrzyga finansowy aspekt śledztwa, co? - Jednak nadkomisarz Culley całkiem ostentacyjnie nic na to nie powiedział. - Co? - powtórzył głośniej Smythe.

- Mówi pan, że z finansowego punktu widzenia to stawia motywy wszystkich innych na głowie, panie nadkomisarzu? - przemówił w końcu Culley. - W jakimś sensie tak, chyba można tak powiedzieć.



- Wszystkich innych... - powtórzył Smythe. - Culley! Czyba pan nie myśli, że ona...! Wiedziała, że jest najbliższą rodziną?

- Mówi, że nie wiedziała, dopóki nie usłyszała tego ode mnie. Mówi, że nie wiedziała również o śmierci lady Keene-Cotton, dopóki panna Redpath nie upubliczniła telegramu.

- Sam pan widzi! - powiedział Smythe.

- Tak, panie nadkomisarzu - odparł Culley.

- Myśli pan, że kłamała? - spytał Smythe.

- Nie, wtedy myślałem, że mówi mi prawdę - odparł Culley.

- Oczywiście pozostaje jej mąż - stwierdził Smythe niechętnie i z powątpiewaniem. - Może to on się o tym dowiedział. Może to on zniszczył notatki?

- Może - zgodził się skwapliwie Culley, nie wyglądając jednak na do końca przekonanego.

Smythe spojrział na niego podejrzliwie, ale kontynuował bezstronną analizę sytuacji:

- Wie pan, to sprytny człowiek, może wydobył ze swojej ciotki całą historię. Mimo to wciąż nie potrafię myśleć o Franku Redpacie jako człowieku, który potrafiłby z zimną krwią kogoś zamordować.

- O nie, panie nadkomisarzu. Pan Redpath nie zaplanowałby z zimną krwią morderstwa...

- Cieszę się, że się pan ze mną w tej kwestii zgadza, Culley - powiedział Smythe, choć sam niestety nie potrafił bardziej się z tego ucieszyć.

- Wszystko wskazuje na to, że był za bardzo zajęty planowaniem ubierania choinki i poszukiwania skarbu, aby dodatkowo za-

prztać sobie głowę mordowaniem kogokolwiek, prawda, panie nadkomisarzu?

- Żeby pan wiedział. Niech mi pan uwierzy, że gdyby którekolwiek z tej dwójki zaplanowało ukatrupienie biednego Williego (rzecz absolutnie nie do pomyślenia), to nie zrobiliby tego w trakcie przyjęcia. Nie mówię tego po to, aby ich bronić, tylko dlatego, że wiem, że to prawda. Z towarzyskiego punktu widzenia to przyjęcie znaczyło dla Rhody Redpath równie wiele jak dla jej męża, który ma fioła na punkcie takich rzeczy. Niech pan spojrzy, ile zadał sobie trudu z planowaniem poszukiwania skarbu!

- Patrzą, panie nadkomisarzu, i widzę, że to musiało wymagać całkiem sporo planowania. I pomyślunku.

Smythe gwałtownie uniósł głowę.

- Że jak? Chyba pan nie sądzi, że za poszukiwaniem skarbu kryło się coś zdroźnego?

- Zwłoki starszego pana przez połowę przyjęcia leżały na trawniku - odparł łagodnie Culley - a Frank Redpath sam przyznał, że o tym wiedział! Po jego zachowaniu nikt się nie domyślił, że coś jest nie w porządku. A to się wydaje trochę zdroźne, panie nadkomisarzu.

- A dla mnie to najzupełniej współgra z jego charakterem - polemizował z nim Smythe - i potwierdza to, co mówię.

- Tak, panie nadkomisarzu, oczywiście, że potwierdza - zgodził się z nim zamyślony Culley. - W takim razie pan Redpath nie wiedział, że sir Willoughby został zamordowany, prawda?

- Przypuszczam, że nawet gdyby wiedział, to nie przerwałby przyjęcia.

- A gdyby wcześniej wiedział, że zostanie popełnione morder-

stwo, to czy pana zdaniem odwołałby przyjęcie?

- Do czego pan zmierza, Culley?

- Próbuję tylko rozgryźć go psychologicznie, panie nadkomisarzu. Pan wie lepiej ode mnie, jak zachowaliby się tacy ludzie jak Redpathowie.

Smythe się napuszył odrobinę ułagodzony.

- Mmm... Chyba rzeczywiście mogę w tym panu pomóc. Gdyby Frank Redpath wiedział, że jego teść zostanie zamordowany podczas przyjęcia, to oczywiście by je odwołał. Ale skąd miałby wiedzieć? Chyba że... Nie chce mi pan chyba powiedzieć, że morderstwo miało z tym przyjęciem cokolwiek wspólnego?... No naprawdę, Culley... Frank Redpath zaplanował poszukiwanie skarbu, aby wytłumaczyć nagłą śmierć sir Willoughby'ego?

- Sam pan coś takiego powiedział, panie nadkomisarzu. Po rozprawie u koronera.

- Powiedziałem, że to znana sztuczka przyznać się do małego przestępstwa, aby zatuszować duże...

- Posadzić las, aby ukryć liść - kontynuował za niego Culley, ponieważ nadkomisarz najwyraźniej się zaciął. - Wypowiedzieć wojnę, aby znaleźć wyjaśnienie dla jednego martwego ciała...

- Banialuki! - odblokował się Smythe. - Kombinacje w stylu ojca Browna!<sup>12</sup> Sprytne, Culley, ale nie poskłada pan tego do kupy z Frankiem Redpathem jako podejrzanym.

- Nie poskładał, panie nadkomisarzu?

- Nie! Ukryć ciało ze względu na przyjęcie - możliwe. Zresztą tak właśnie zrobił. Ale na odwrót - zaplanować przyjęcie, aby ukryć zwłoki...! Absolutnie wykluczone! Absolutnie do niego nie pasuje!

- Pan oczywiście może coś na ten temat powiedzieć, panie nadkomisarzu...

- Jasne, że mogę. Pan zresztą też. Sam pan mówił, że Frank Redpath nie zaplanowałby z zimną krwią morderstwa.

- Nie sugeruję, że tak było, panie nadkomisarzu. Jeśli pan pamięta, zasugerowałem, że mógł wiedzieć, że morderstwo było już zaplanowane - a mimo to nie odwołał przyjęcia...

- Było już zaplanowane...? - powtórzył zdezorientowany Smythe.

- Do tego zmierzam, panie nadkomisarzu - powiedział Culley pogodnym tonem. - Morderstwo było zaplanowane, ale miało do niego dojść przed świętami, jak sam pan mówił. Powiedzmy, że ktoś podrzucił mu zatrute czekoladki, tak jak z początku sądziliśmy. Pomyślałem sobie wtedy, że trochę głupio podchodziliśmy do kwestii tych paczek. Nikt, kto znał sir Willoughby'ego, nie liczyłby na to, że nie otworzy prezentów świątecznych przed świętami, zwłaszcza jeśli to były czekoladki, nawet wyraźnie oznaczone napisem: "Nie otwierać przed pierwszym dniem świąt". Hipotetyczny morderca oczywiście liczył na to, że sir Willoughby natychmiast je otworzy i zje wszystkie swoje ulubione czekoladki - na przykład migdałowe ślimaki. Morderca nie wiedział jednak, że Frank Redpath przygotował poszukiwanie skarbu i schowa wszystkie paczki, skutkiem czego ich otwarcie przez sir Willoughby'ego było możliwe dopiero w drugi dzień świąt. No i oczywiście morderca nie wiedział również, że lady Keene-Cotton umrze w pierwszy dzień świąt...

- Państwo Freer! - zakrzyknął Smythe. - Wiedzieli o poszukiwaniu skarbu?

- Odniosłem wrażenie, że tak.

- O!

- Ale wtedy nie przywiązywałem do tego wagi, więc mogę się mylić.

- Tak, tak. Niech pan mówi dalej. Chwila! Kiedy przyjechali państwo Freer, Frank Redpath był w Londynie...

- Ale kiedy wrócił, wszystkie paczki zniknęły ze stołu w holu. Wszystkie! Teraz docieramy do dziwnego faktu, że nie znaleziono żadnych zatrutych czekoladek. Jak niezbyt precyzyjnie relacjonował pan Redpath, czekoladki Freerów zostały zjedzone przez denata w pierwszy dzień świąt, a zatem te, które zjadł, nie mogły być zatrute, bo nie dożyłby przyjęcia. Migdałowego ślimaka z partii schowanej w bałwanie zjadł sam pan Redpath. Do tej pory zakładaliśmy jednak, że pan Redpath mówi prawdę. Przypuśćmy jednak, że od początku kłamie. To zdecydowanie upraszcza sprawę, prawda? Miał pełną kontrolę nad czekoladkami i jeśli wiedział, że jakaś konkretna bombonierka jest zatruta, po śmierci sir Willoughby'ego mógł podłożyć w jej miejsce inną.

- Nie do końca to sobie wyobrażam - narzekał Smythe. - Skoro to wszystko zaaranżował, to dlaczego śmierć nastąpiła w trakcie przyjęcia?

- Nie można mieć wszystkiego, panie nadkomisarzu. Nie mógł wcisnąć zatrutych czekoladek do gardła starszego pana.

- Doprawdy! - zaprotestował Smythe.

- Mógł tylko dopilnować, aby sir Willoughby został zamordowany dopiero po śmierci żony.

- Nie, nie, Culley, naprawdę, błagam pana! Zresztą skąd, u li-

cha, Frank Redpath miałby wiedzieć, kiedy lady Keene-Cotton umrze?

- Tego nie mógł wiedzieć - przyznał Culley. - Dysponował jednak dostatecznymi przesłankami, aby sądzić, że lady Keene-Cotton długo nie pożyje. W razie gdyby nie zmarła w pierwszy dzień świąt, musiał tylko zatrzymać czekoladki i cofnąć czas morderstwa do momentu, kiedy naprawdę zmarła!

- Nie, Culley, niech pan tego nie robi. Naprawdę. To wszystko bzdury i pan o tym wie. Chodzi o morderstwo, Culley, oskarża pan Franka Redpatha o morderstwo...

- Ale nie o morderstwo popełnione przez niego samego, panie nadkomisarzu. A to co innego, prawda? On sam byłby czysty. I nie miałby zbyt wielkich powodów do wyrzutów sumienia. Co więcej, nie tylko nie mordował teścia, ale wręcz ratował go przed byciem zamordowanym. Na kilka godzin, może dni, góra na tydzień. Jak tylko w drugi dzień świąt przyszedł ten telegram...

- Ukryty przez ciotkę! - zawołał Smythe, chwytając się ostatniej deski ratunku. - Zapomina pan o tym, Culley.

- Nie, nie zapominam, panie nadkomisarzu. To pan zapomina, że w dzisiejszych czasach depesze na ogół przekazuje się telefonicznie. Telegram, który zatrzymała dla siebie ciotka, nazywa się "potwierdzenie".

Straciwszy ostatnią deskę ratunku, Smythe pozwolił sobie na kilka chwil utonąć.

Wypłynąwszy po raz trzeci na powierzchnię, trzymając głowę wysoko nad wodą, nadkomisarz rozsądnie zwrócił uwagę, że to wszystko domysły; dlaczego to wszystko nie mogło się po prostu

wydarzyć? Tak jak powiedział sam Culley: morderstwo miało zgodnie z planem nastąpić przed świętami, ale wyszło inaczej.

- Chciałem się tylko dowiedzieć, czy pana zdaniem mogło celowo wyjść inaczej, panie nadkomisarzu - powiedział Culley.

- Nie, moim zdaniem nie mogło - odparł stanowczo Smythe.

Culley westchnął.

- Szkoda. Pomyślałem, że to byłaby zbrodnia doskonała.

- Zbyt doskonała jak na ten świat - zdiagnozował Smythe. - Większość ludzi nie dorównuje panu bystrością, Culley.

- Sam pan mówił, że Frank Redpath to bystry człowiek. Na mnie zrobił wrażenie człowieka inteligentnego, który wcześniej nie za bardzo miał gdzie się wykazać swoją inteligencją.

- Może pan mieć rację. Ale jest zbyt inteligentny, aby popełnić morderstwo.

- W tym właśnie rzecz, panie nadkomisarzu, że nie popełnił! - Smythe jęknął. - Najdoskonalsze są zbrodnie niepopełnione. Widać pan, największą przeszkodą na drodze do rozwiązania tej sprawy od początku było udowodnienie, w jaki sposób i dlaczego sir Willoughby został zamordowany dopiero po świętach. Pan mówił, że nie mógł zostać zamordowany po świętach, a ja musiałem spróbować się dowiedzieć, jak mógł zostać zamordowany po świętach. Bo to się nie mogło "po prostu wydarzyć", jak pan to ujął, chyba że maczali w tym palce Redpathowie.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie mogło tak być - narzekał uparcie Smythe.

- Nie rozumie pan? A ja myślałem, że wyłożyłem kawę na ławę! - Culley ukrywał rozczarowanie. - W takim razie proszę na to spojrzeć w ten sposób, panie nadkomisarzu - powiedział życzliwie. -

Jeśli moment morderstwa był przypadkowy, a nie celowo wyreżyserowany jakąś metodą podobną do opisanej przeze mnie, to do czego zmierza rodzina Redpathów?

- Pewnie do czegoś durnego! - powiedział Smythe zniecierpliwionym tonem człowieka, który ma już wszystkiego dosyć. - Z pewnością nie do tych wszystkich makabrycznych bredni, które mi pan opowiada. Naprawdę nie potrafi pan wymyślić niczego innego?

- Tak się składa, że potrafię, panie nadkomisarzu. Zresztą myślałem, że wpadłem na rozwiązanie zagadki tego wieczoru, kiedy przyszedłem do pana po tym, co pan powiedział na temat Keevil, pamięta pan? Już wtedy zamknąłbym sprawę, gdybym tylko mógł być pewien jednego faktu.

- A mianowicie jakiego? - spytał Smythe z przebłyskiem zainteresowania.

- A mianowicie takiego, że do reszty nie zwariowałem - odparł Culley.

- No i co, zwariował pan?

Culley pokręcił głową.

- Nie sądzę, postanowiłem jednak, że się z tym prześpię. Moja teoria wszystko wyjaśnia, ale pod warunkiem, że to wszystko w ogóle mogło się wydarzyć. A po tym, co mi pan wtedy powiedział, panie nadkomisarzu, myślę, że mogło. Ale następnego dnia rano pojawił się ten nowy element finansowy, co znowu zepchnęło mnie na inny trop.

- A więc o to chodziło! - Smythe był wdzięczny za tę informację. - No cóż, mam nadzieję, że teraz już pan nie wątpi, że Redpa-



thowie nie potrafiliby z zimną krwią zaplanować morderstwa mającego na celu dorwanie się do pieniędzy starszego pana.

- Tak, teraz nie mam już większych wątpliwości, panie nadkomisarzu. Ale chciałbym to udowodnić.

- Słusznie - zgodził się z nim przytomnie Smythe. - Tak, nadażam za panem. Było na ten temat dużo gadania. A teraz jest jeszcze więcej, bo wygląda na to, jakby chcieli zgarnąć całą fortunę sir Willoughby'ego. Nie ma się czemu dziwić.

- Poza tym - zwrócił uwagę Culley - zgodnie z prawem sprawca nie może odnieść korzyści z przestępstwa, więc chcielibyśmy udowodnić, że go nie popełnili, prawda, panie nadkomisarzu?

- W rzeczy samej. Tak, tak, zgadzam się. Nareszcie mówi pan do rzeczy, Culley... Cygaro?

- Nie, nie mam teraz czasu, panie nadkomisarzu. Dziękuję za cierpliwość. Teraz, kiedy rozgryzłem Redpathów psychologicznie, mogę zabrać się do pracy i uporządkować wszystkie dowody poszlakowe. Tak jakby je wzmocnić i poustawiać na właściwych miejscach i we właściwej kolejności.

- Wszystkie?

- Tak, teraz wszystko do siebie pasuje. Jak w dobrej krzyżówce. Kiedy wszystkie słowa są wpisane, to wiadomo, że nie może być żadnego innego rozwiązania. Buteleczki po lekarstwach; paczki świąteczne; bałwan; książka zatytułowana *Poświęteczne morderstwo*; zaginione notatki napisane pismem nieboszczyka; panna Redpath jako wegetarianka i niezbyt kosztowny gość, który zawsze zostawia coś dla ptaków; pan i pani Redpath, którzy nie dbają o to, co jedzą, byle było tego dużo, ale podczas świąt prawie nic nie jedzą, chociaż jest to okres, w którym tradycyjnie wszyscy się przeja-

dają; sir Willoughby, który nigdy nie odsyła niczego na dół; w domu nie ma żadnego marnotrawstwa, które w czasie wojny jest przestępstwem; pan Howard Wortley, który nie jest pacyfistą...

- Naprawdę nie zapali pan cygara, Culley...

- ...kamerdyner ma wolne; Keevil jest zatrudniona tylko tymczasowo i mówi wszystko, co jej ślina na język przyniesie, chociaż nie powinna; Esther Hobbs zapracowana i bezosobowa; Margery Dore; wujek Jeff i ciotka Meg; profesor Larkin; biskup Mewdley; państwo Crosbie mieszkający w High Winds; Coultardowie nad garażem...

- Wszyscy to zrobili? - zastanawiał się Smythe, ale jego słowa przeszły bez echa.

- ...kot w szafie; indyk pod deskami podłogowymi; dwa bileciki z okolicznościowymi liśćmi ostrokrzewu na brzegach; paczki, coraz więcej świątecznych paczek zawieszonych pod sufitem; babeczki bakaliowe zaszyte w fotelu; babeczki bakaliowe posłane do jego pokoju na wypadek, gdyby przyszła mu na nie ochota; babeczki bakaliowe w wentylatorze; babeczki bakaliowe, które z takim zapalem zjadł na przyjęciu; babeczki bakaliowe...

- Nie, nie - przerwał mu Smythe - starczy już tych babeczek.

- Babeczki bakaliowe, które zjadł przed świętami - dokończył mimo wszystko Culley.

- Naprawdę nie rozumiem, po co się pan nimi przejmuje...

- Babeczkami bakaliowymi przed świętami, panie nadkomisarzu? Kiedy one są ze wszystkich najważniejsze!

- Tak?

- Nie licząc tych, które zjadł na przyjęciu.

- A!

- I tych, których w ogóle nie zjadł. Do zobaczenia po pogrzebie, panie nadkomisarzu, jeśli zdążę wrócić.

- Że jak?

Ale Culleya już nie było.

## XIX. Babeczki bakaliowe przed świętami

1

John i Margery weszli do ciepłego salonu. John zapadł się w fotelu, a Margery usiadła na osłonie kominka.

- Teraz możemy chichotać w komfortowych warunkach - powiedział John.

- Nie mam już ochoty się śmiać - oznajmiła Margery, co zaskoczyło nawet ją samą. - Poza tym co jest takiego śmiesznego w pogrzebie?

- Zupełnie nic - odparł John. - To była wyłącznie histeria.

- Rozśmieszyła mnie przede wszystkim twarz Esther. Bo ona naprawdę ma śmieszny twarz, prawda? Taką jakby zaskoczoną i wyzywającą. Zresztą co ona robiła na pogrzebie?

- Może reprezentowała Wortleyów.

- A major Smythe pewnie reprezentował policję.

- Nadinspektorowi Culleyowi starczyło taktu, żeby nie przychodzić.

- Ciekawe, gdzie on jest? - zainteresowała się Margery.

- Pewnie za tym parawanem - odparł John - więc uważaj na to, co mówisz, moja najcudowniejsza.

- Teraz już nie mamy nic do ukrycia - przypomniała mu Margery.

- Mów za siebie - zripostował John. - Teraz, kiedy ciocia Paulina puściła farbę, a mama zgarnia pieniądze, wszyscy jesteśmy podejrzani. Pytanie brzmi tylko, kto co wiedział i które z nas faktycznie dokonało tego zbrodniczego czynu.

- Policja już chyba nie szuka mordercy?
- A jak inaczej wytłumaczyć wyraz twarzy Smythe'a?
- Chyba nikt nie potrafi go wytłumaczyć - odparła Margery.
- No i znowu mnie rozśmieszyłaś - powiedział John, a kiedy już odzyskał oddech, kontynuował: - Angelina sądziła, że dokonała podboju. Ciągłe mu pokazywała swój korzystniejszy profil! Puffy był jeszcze krągłyjszy niż zwykle. Zagadka: nadęło go poczucie winy, zazdrość czy też stosowna do okoliczności żaloba?
- Ciekawe, czy to oni zrobili - zastanawiała się Margery.
- Dosyć makabryczne - powiedział John, z ulgą przytomniejąc po tej uwadze - ale musimy mieć nadzieję, że tak.
- Naprawdę jest aż tak źle?
- Niestety. Smythe nie zazna spokoju, dopóki nie pomści śmierci starego przyjaciela, a przynajmniej nie zapuszkuje kogoś za coś. I oczywiście on również by wołał, żeby to byli państwo Freer. Biedacy! Ale nie sądzę, żeby miał zbyt wielką pewność co do ich winy. Przez większość czasu łypał w naszą stronę... Mając nadzieję, że nas przyłapie z triumfującymi, zachwyconymi minami. Na pogrzebie strasznie trudno jest nie wyglądać jak skuteczny morderca.
- Prawda? - zgodziła się z nim Margery.
- Musiałem ciągle powtarzać ojcu, żeby był smutny, a nie najeżony. Potem musiałem go powstrzymywać od nonszalanckiego gwizdania za każdym razem, kiedy Smythe na niego patrzył. Biedny ojciec! Taka odpowiedzialność!
- A ja myślałam, że major Smythe po prostu nie czuje się zbyt dobrze! - powiedziała Margery, kiedy wszedł Sills z tacą.
- Wędliny! - zawołał John. - Chodźmy do kina!

- Bądźcie łaskawi pozostać w tym pokoju - rozkazał surowo major Smythe, który wszedł do salonu w ślad za kamerdynerem.

- Dlaczego? - spytał John.

- Pan Merivale mi polecił, abym dopilnował, żeby było tutaj jak najwięcej członków rodziny.

- Ale po co? - spytał John.

- Odczyta testament.

- Przecież nie ma żadnego testamentu.

- Jest czy nie ma, pan Merivale go odczyta - odparł dowcipnie major Smythe.

Usiadł i zaczął nabijać fajkę, czując się jak u siebie w domu.

Następnie wkroczyła Esther Hobbs na czele sporego tłumu i nie wyglądała już tak śmiesznie, ale sprawiała wrażenie mocno zagubionej, więc Margery zabrała ją do jakiegoś cichego kąta.

- Witam wszystkich - powiedziała Angelina, elegancko odziana na czarno, rozglądając się wokół siebie przez zwisającą z kapelusika odważnie niemodną pajęczynę, która zakrywała jej połowę twarzy (kiedy do niego podeszła, John uznał, że wygląda przez to bardziej jak włamywaczka niż morderczyni). - Ja pana znam, prawda? Czy ten tam to pański ojciec? Wiedziałam po pana matce, że tak będzie wyglądał. Mężów można poznać po żonach, czyż nie? Czy to prawda, że ona dostaje wszystkie pieniądze, czy tylko plotka?

- Obawiam się, że... no... tak dokładnie to nie wiem - plątał się John.

- Należało zapytać. Jednak nigdy wcześniej nie byłam na zgromadzeniu sędów. Napięcie będzie nieznośne. Jeśli nic nie dostajemy, to życzliwość nakazuje skrócić nasze męki i sobie pojedziemy...

- Z tego, co słyszałem, pan Merivale życzy sobie, aby jak najwięcej członków rodziny o czymś tam usłyszało - powiedział John, chcąc jej przedstawić jak najpełniejszą syntezę zasłyszanych przez siebie informacji.

- Aha. - Angelina uniosła kłopotliwą woalkę i po raz pierwszy mogła szczegółowo obejrzeć otoczenie. - Czy wszyscy ci ludzie to członkowie rodziny? Nie wiedziałam, że wujek sir Willoughby miał tak dużą rodzinę! Ale siadaj, Puffy, na pewno się okaże, że niektórzy pochodzą z nieprawego łoża...

- Szs! Kochanie! - skarcił ją Puffy.

- ...albo pójdą sobie, jak tylko wypiją herbatę czy coś. Czy to jest książe Windsoru?

- Nie - odparł John. - To mój ojciec.

- Przecież pan mówił... w takim razie kim jest tamten? Z fajką?

- Major Smythe. Nasz nadkomisarz.

- A, tak... Dobrze, że nie premier, bo pewnie by pozostał w takiej pozycji. Biskup! Kto jeszcze? A tu mamy coś nowego... Wielkie nieba, któż to może być? - Zafascynowana podążała wzrokiem za zmiennym kształtem pana Merivale'a, który nieskoordynowanymi ruchami zbliżał się do kominka, by się ogrzać. - Przecież, przecież, przecież... - powtarzała z niedowierzaniem, a potem doznała olśnienia i zwróciła się do męża: - Przecież to musi być denat, Puffy, popatrz!

- Cii, Angy, nie tak głośno - pouczył ją Puffy, który strasznie się pocił.

Wyjęła papierosa, a John podał jej ogień.

- Teraz chcę usłyszeć wszystko o morderstwie - powiedziała bardziej dyskretnie. - No chyba że to nie było morderstwo? Odwie-

dził nas taki miły nadinspektor. Wydawał się myśleć, że w tej śmierci było coś szemranego, a Puffy i ja jesteśmy najbardziej podejrzani i wie pan, najzupełniej rozumiem, że tak to wyglądało...

- Odwiedził was tylko dlatego, że musiało dojść do rozprawy u koronera - zapewnił ją pospiesznie John, który czuł się bardzo niekomfortowo.

- Czyli wcale nie zmarł od trucizny?

- Zmarł, ale dlatego, że przedawkował miksturę na kaszel czy coś w tym guście. Zapadł werdykt o przypadkowej śmierci...

- Tak, wiem - odparła Angelina - ale myśleliśmy, że to służyło wyłącznie temu, abyśmy stracili czujność, a jak nadinspektor zgromadzi dowody, to wróci nas aresztować.

- Ależ nie - zaprotestował John - nic takiego!

- To dlaczego właśnie wszedł do pokoju? - spytała Angelina, która zeszywniała nieufnie. - Przecież nie przyszedł tutaj jako kolejny sęp! Nie! Puffy, on szuka nas. Już niemal słyszę brzęk kajdaneek!

- Paskudna sprawa, nagła śmierć w domu - rzucił współczująco Puffy. - Mnóstwo formalności i przesłuchań... Żadnego szacunku dla prywatnych uczuć... Hm. Ciekawe, czego ten gość od nas chce?

- Mieszka u nas - wyjaśnił John.

- A, rozumiem! Po prostu znajomy. - Puffy zaśmiał się krótko z własnej głupoty. - Czyli w ogóle nie prowadził oficjalnego śledztwa? Tylko kilka dyskretnych prywatnych rozmów z rodziną na potrzeby rozprawy u koronera.

- Właśnie - potwierdził szybko John, kiedy Culley zbliżał się do nich.

- Wydał mi się bardzo porządnym człowiekiem - mruknął Puf-



fy.

Angelina uznała, że przyszła pora przypudrować nos.

- Jak się pani ma, pani Freer - przywitał się nadinspektor Culley. - Przepraszam, że nie mogłem być na pogrzebie, ale właśnie wróciłem z Borrowfield.

Angelina wypuściła z ręki torebkę, która spadła na podłogę, a jej zawartość się rozsypała.

2

John pomógł jej wszystko pozbierać.

- Był pan w Borrowfield? - spytał Puffy słabym głosem. - Piękna miejscowość!

- Nie złapał pan nas i musiał pan wracać taki kawał drogi! - dodała przeproszającym tonem Angelina.

- Nie złapał, a to dopiero! - zaśmiał się przyjaźnie Puffy. - Ha, ha!

- Pomyślał pan, że uciekliśmy? - spytała Angelina.

- Nie, nie... - zaczął Culley.

- A teraz nas pan dopadł, co? Pogrzeb, wiadomo. Wszystko na widoku i legalnie?

- Tak, tak - uspokajał Culley. - Liczyłem na to, że was tu zastanę. Pojechałem do Borrowfield tylko po to, żeby jeszcze raz porozmawiać z pielęgniarką, panią Hastings. Sądziłem, że jeszcze ją tam zastanę.

- Jaka szkoda - powiedziała Angelina. - Należało zadzwonić czy coś. Została u nas tylko do pogrzebu.

- Nie szkodzi, proszę pani. Dowiedziałem się tego, czego chcia-

łem się dowiedzieć.

- To dobrze.

Culley znalazł sobie krzesło, usiadł i wygodnie wyciągnął nogi. Wyjaśnił, że jest strasznie zmęczony, bo okazał się tylko człowiekiem, i wygłosił swoją przemowę o tym, że zamieszkał u Redpattów jedynie po to, aby domknąć wszystkie niewyjaśnione wątki.

- Musiałem się strasznie nagłówkować nad tą sprawą - zwierzył się słuchaczom, ponieważ ludzie zawsze skwapliwie okazywali mu współczucie, a on nie miał nic przeciwko temu. - Dowiedzieliśmy się, że świętej pamięci sir Willoughby nie mógł umrzeć na skutek przedawkowania mikstury na kaszel, nawet gdyby duszkiem wypił zawartość pustej buteleczki!

- Ależ to musiało być dla pana trudne - współczuła mu Angelina. - W takim razie pewnie musiał pan przeszukać dom, żeby znaleźć więcej pustych buteleczek.

- Otóż to, proszę pani, kiedy je znaleźliśmy, to się okazało, że wcale nie są puste! Wygląda na to, że sir Willoughby połknął truciznę jakimś innym sposobem. A to oznaczało konieczność sprawdzenia wszystkich prezentów świątecznych na wypadek, gdyby ktoś chciał go otruć w ten sposób.

- Wielkie nieba! W życiu nie da pan rady! - powiedziała Angelina, która zbladła na samą myśl ("o takim herkulesowym zadaniu?" - zastanawiał się John).

- Nie zazdrozczę panu pańskiej pracy, nadinspektorze - stwierdził Puffy, którego twarz mieniła się wszystkimi kolorami tęczy oprócz zielonego (co zdaniem Johna potwierdzało szczerść jego deklaracji).

- Już to zrobiłem - oznajmił Culley i na kilka chwil zamilkł. -

Pan i pani mąż zostawiliście mu trochę paczek. Jedna była od pani matki - pudełko czekoladek. Nie wiedziała pani, że pani matka już wcześniej posłała mu czekoladki?

- Nie, jestem pewna, że nie posłała. Była za bardzo chora, aby zająć się prezentami świątecznymi. - W głosie Angeliny słychać było wyrzut.

- Ale według pani szwagierki lady Keene-Cotton wysłała całe mnóstwo paczek, jeszcze zanim zaczęła się dziwnie zachowywać, jakiś czas przed świętami. I wiemy, że wśród tych prezentów było pudełko czekoladek dla sir Willoughby'ego, ponieważ podziękował jej za nie w liście. Tym samym, w którym zaprosił ją do Four Corners na święta.

- A, Verna! - powiedziała lekceważąco Angelina. - Nie sędzę, żeby mogła cokolwiek wiedzieć na ten temat, a list niczego nie dowodzi. Staruszek miał mocno pomieszane w głowie - pewnie tylko sobie pomyślał, że czekoladki są od niej.

- Właśnie - powiedział Culley z nutą satysfakcji w głosie - mogły wcale nie być od niej.

- Z pewnością. Zresztą nie mogły być zatrute, więc jakie to ma znaczenie?

- Dlaczego nie mogły być zatrute?

- Dlaczego? Bo... Bo... No jak to, przecież to oczywiste! Bo gdyby były, to już wcześniej by nie żył.

"Szach-mat" - pomyślał John.

Nadinspektor Culley też, ale należał do ludzi, którzy umieją przegrywać.

- Szczera prawda, proszę pani. Gdyby je zjadł, byłby martwy, kiedy pani przyjechała się z nim zobaczyć. A musiał je zjeść, bo

inaczej już byśmy je znaleźli. W każdym razie bardzo pani dziękuję. Cieszę się, że wyjaśniliśmy sobie tę kwestię. Nie będę już pani męczył.

Angelina z wdziękiem skłoniła głowę i Culley miał właśnie zrejetrować w niesławie, ale odezwał się John, który zwrócił uwagę zachęcającym tonem:

- Pozostają jeszcze babeczki bakaliowe. Zapomniał pan o nich?

- Które babeczki bakaliowe? - spytał niewinnie Culley.

- W tym właśnie sęk.

- Tak jak pan mówi, w tym właśnie sęk. - Znowu zamierzał się wycofać, ale coś mu przyszło do głowy i zwrócił się do pana Freera: - Tak przy okazji, czy pan wie, że pan Redpath zamierzał schować wasze paczki aż do świąt?

- Miałem takie podejrzenia - odparł Puffy beznamiętnym tonem. - Poszukiwania skarbu czy coś. Pani Wszędobylska mówiła o tym, kiedy Angy była na górze u starszego pana.

- Dziwne, że sir Willoughby nie pamiętał, że się pan ożenił z jego przybraną córką. I że nie zaprosił pana do siebie.

- Szczerze mówiąc, sprawiło mi to ulgę...

- Ale sir Willoughby musiał wiedzieć, jak się pan nazywa, zwłaszcza że wypłacał panu stały dochód. Ale może osobiście się z panem nie spotkał?

- W każdym razie nie w ostatnich latach.

- A panią wcześniej spotkał, pani Angelino?

- Nie, ale skądś wytrzasnął moją fotografię, na której wyglądam bardzo korzystnie. Robiłam, co mogłam, aby jej sprostać.

- Żadne z was nie było na jego... ostatnim weselu?

- Nie było mnie w Anglii - powiedział Puffy.

- A ja nie mogłam przyjechać - wyjaśniła Angelina.

- Dziękuję państwu - powiedział Culley i teraz naprawdę sobie poszedł.

- Wiele bym dała, żeby się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodziło - powiedziała Angelina. - Chyba nie myśli, że się pod kogoś podszywamy?

- Nie, oczywiście, że nie - odparł John.

### 3

Zgromadzone w salonie towarzystwo się przerzedziło. Culley przechadzał się dyskretnie tam i z powrotem, z pozoru bez żadnego celu. Nikt go nie znał oprócz osób oficjalnie przez niego przesłuchanych, a od tych trzymał się z daleka. Biskup Mewdley traktował go jak wspólnego znajomego denata, dzięki czemu nadinspektor Culley, który podobnie jak panna Margery Dore potrafił w jednej chwili stać się kimkolwiek albo nikim, mógł bez przeszkód słuchać epitafium Feralnego Freddiego o Wrednym Williem, któremu śmierć z pewnością nie była straszna, a także biskupich rozważań o tym, że również starość jest po prostu rolą do odegrania, "sędziwy Pantalonie<sup>13</sup>, tak... a zatem umarł w trakcie inscenizacji ze śmiechem dzieci w uszach i życie toczy się dalej" - dokończył niecierpliwie, ponieważ wygłosił już całą tę przemowę pięć albo sześć razy, a w holu czekała na niego żona, która chciała go opatulić i zabrać do domu.

Nadinspektor Culley odsunął się od drzwi, aby ułatwić wyjście kolejnej parze wiekowych gości, którzy w ramach żałoby ubrali się

wprawdzie na czarno, ale oblicza mieli zaróżowione i uśmiechnięte.

- Najmłodszy brat mojej matki i jego żona - powiedziała Rhoda, która miała poczucie, że wpadła w pułapkę i musi ich w ten sposób przedstawić. - Jeff, mój drogi, to jest pan Culley, o którym ci mówiłam, tak bardzo nam we wszystkim pomaga.

- Obawiam się, że mamy czas tylko na dzień dobry i do widzenia - powiedziała smutno różowa, uśmiechnięta pani, która logicznie rzecz biorąc, okazała się ciocią Meg.

- Paskudna pogoda, co? - rzucił wujek Jeff.

Dawnymi czasy sir Willoughby Keene-Cotton zajmował poczesne miejsce w ich życiu, a zatem bardzo ich zasmuciło, że nie mieli okazji zobaczyć się z nim w święta, ponieważ pamiętał rzeczy, o których wszyscy inni zapomnieli, ale najwyraźniej był bardziej chory, niż wszyscy sądzili, i z jego punktu widzenia to lepiej, że umarł - chociaż oczywiście wszystkim będzie strasznie go brakowało.

- Urodził się pod szczęśliwą gwiazdą - powiedział wujek Jeff.

- Pod szczęśliwą gwiazdą, tak - zgodziła się z nim ciocia Meg, dzięki czemu mogli wyjechać z fasonem.

Culley zamienił kilka słów z Margery i Esther i dowiedział się od nich o niejkiej Corneli Hastings, którą nieboszczyk pomylił z Margery, natomiast Esther tak pracowicie czytała mu gazety, stenografowała jego autobiografię i przepisywała ją na maszynie, że nie miał czasu pomylić jej z kimkolwiek, jak z radością poinformowała nadinspektora...

Podczas tej pogawędki zebrane w salonie grono uszczupliło się o wszystkie nadliczbowe postacie i zostali tylko państwo Freer,

którzy utknęli w jakimś kącie z Johnem, oraz Paulina pozostawiona na pastwę majora Smythe'a, z którym zmuszona była rozmawiać. Frank i Rhoda odprawiali gości w holu, a pan Merivale, który zajął silną pozycję na środku pokoju za niewielkim stolikiem, od jakiegoś czasu chuchał w dłonie, odchrząkiwał i patrzył na zegarek. Został poproszony przez nadkomisarza, aby zaczekał na powrót gospodarza i gospodyni, zanim przystąpi do zaplanowanych czynności.

Drzwi się otworzyły i bardzo ucieszony pan Merivale powiedział "ach"... ale to był tylko Sills, który przyniósł na tacy poranną herbatę dla Pauliny (o której wiedział, że nie pije sherry ani innych tego typu trunków. "Och, jak miło i troskliwie z pana strony, Sills!").

Pan Merivale był zdegustowany. Nabrawszy bardzo poważnych wątpliwości, czy jeszcze kiedykolwiek odczyta jakiś testament, uznał, że przyszła pora spisać własny, przeniósł się zatem do cieplejszego i mniej wyeksponowanego zakątka sali, aby sporządzić rzeczony testament i umrzeć w spokoju.

Smythe, który nadal czuł się jak u siebie, dał się poczęstować Sillsowi whisky i spytał go przyjaźnie, jak minął mu urlop. Sills odparł, że biorąc pod uwagę wojnę i tak dalej, święta przebiegły mu bardzo pomyślnie. Z inicjatywy majora Smythe'a całe towarzystwo miało możliwość zapoznać się ze szkicami charakterologicznymi, wiekiem, ambicjami i wojennymi zatrudnieniami członków rodziny Sillsa. Smythe okazywał nieszczerze zdziwienie każdą informacją - a zwłaszcza faktem, że najbliżsi Sillsa są już dorośli.

- Zawsze myślałem o panu jako młodzieńcu, który dawno powinien zostać powołany.

- Och, nie, panie nadkomisarzu - odparł Sills, któremu słowa majora bardzo pochlebiły (ponieważ chlubił się młodzieńczą figurą i piętrzącymi się falami czarnych włosów). - Mam pięćdziesiąt dwa lata.

Smythe uniósł brwi niezwykle wysoko. Angelina była szczerze znudzona. Pan Merivale stał u wrót śmierci.

- No i, Culley? Co pan o tym myśli? - spytał major Smythe przekonany, że przełamuje za wszystkich lody i wprawia całe towarzystwo w swobodny nastrój. - A pan ile ma lat?

Culley nie miał jednak zamiaru aż tak się obnażać. Przystąpił wszakże do ożywionej rozmowy z Sillsem, którą kontynuował nawet po powrocie Franka i Rhody. (Ponieważ pan Merivale już nie żył, nie było komu powstrzymać nadinspektora). Niedostrzegalnie skierował Sillsa na temat świętej pamięci sir Willoughby'ego, dyskretnie wyjmując notatnik.

- Jak to tam było? - mówił właśnie. - Kiedy dokładnie wyjechał pan na urlop?

- Dwudziestego drugiego grudnia, panie nadinspektorze - odpowiedział Sills.

Culley zerknął do notatnika.

- Czyli to pan podał kolację dwudziestego pierwszego, w dzień babeczek bakaliowych? Babeczek przed świętami?

Spojrzał teraz z ukosa na majora Smythe'a, ale szybko odwrócił wzrok.

- Tak, panie nadinspektorze - powiedział Sills sztywno.

- Babeczki bakaliowe do kolacji jedli wszyscy czy tylko sir Willoughby Keene-Cotton?

Sills nie bardzo wiedział, co na to odpowiedzieć.



- Panna Redpath wspomniała coś o tym, że przynoszą pecha - zaryzykował w końcu - więc oprócz sir Willoughby'ego nikt ich nie jadł. Starszy pan nie należał do ludzi, których można tak łatwo odwieść od zjedzenia czegoś, ponieważ w tych sprawach nie był ani trochę podejrzliwy.

Sills urwał, zadając sobie pytanie, czy nie powiedział za wiele.

- Nie był podejrzliwy - delektował się Culley. - Czyli dopiero po kolacji zrobił się podejrzliwy?

- Co też pan ma na myśli, panie Culley? - spytała głęboko z troskana Paulina.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo, panie nadinspektorze. - Sills nie mógł przedstawić swojego osobistego poglądu, nawet gdyby uznał to za stosowne. - Od tej pory już nie widziałem sir Willoughby'ego - zwrócił uwagę nadinspektorowi - a następnego dnia rano pojechałem na urlop.

- Właśnie - powiedział Culley. - Następnego dnia rano pojechał pan na urlop!

- Mam nadzieję, że pan nie myśli, panie nadinspektorze, że to ja...

Culley zignorował go jednak i hałaśliwie zamknął notatnik.

- Ta kolacja - powiedział do majora Smythe'a - była ostatnim posiłkiem spożytym przez sir Willoughby'ego. A ostatnią zjedzoną przez niego rzeczą były babeczki bakaliowe. Prawie zaraz potem zaczął czuć się dziwnie. Przysięgał, że połknął trypensówkę. Poszedł do ogrodu, aby umrzeć...

Frank Redpath podniósł się zaniepokojony, ale nadinspektor Culley nie miał dla niego litości:

- I rzeczywiście umarł, prawda, panie Redpath?

## XX. Śnieg w święta

Frank gwałtownie usiadł z powrotem.

- Czyli odgadł pan! - powiedział tylko.

- Ha - stwierdził pogodnie Culley i ponownie wyjął notatnik, ale tylko po to, żeby go czule pogłaskać. - Tak właśnie myślałem! Tak, teraz już wszystko się zgadza. To wtedy zmarł sir Willoughby - zwrócił się do zgromadzonych, którzy patrzyli na niego szeroko otwartymi oczami. - Przed świętami! Wieczorem dwudziestego pierwszego grudnia. Natychmiast po zjedzeniu babeczek. Babeczki przed świętami. Czyli miała pani najzupełniejszą rację, panno Redpath - powiedział z typową dla siebie wspaniałomyślnością. - Babeczki bakaliowe rzeczywiście przyniosły mu pecha. Śmiertelnego pecha.

- Mam nadzieję, że pan nie myśli, że to ja... - zaczęła Paulina, ale Rhoda szybko zabrała ją na stronę, aby ochronić przed wszelkimi oskarżeniami, a poza tym to samo dopiero co powiedział Sills.

Jej łagodny głos zresztą i tak by się nie przebił, bo major Smythe wyrzucił z siebie:

- Culley, mój drogi... - i poszukał pomocy u pana Merivale'a, który na chwilę wstał z martwych, aby zaskrzeczeć:

- Co, co, co on powiedział, nie słuchałem, wszystko mnie ominęło, psiakrew...

Potem wtrącił się John:

- O rany, ale ze mnie idiota!

I wytrzeszczonymi oczami spojrział na ojca, który powiedział:

- W rzeczy samej.

- Nic nie rozumiem - rozległ się niemożliwy do zagłuszenia błą-

galny głos Angeliny. - Co się stało? Kto teraz nie żyje? Kto jeszcze?

Jej duże, brązowe oczy przesuwają się po kolejnych zdumionych twarzach. Wyglądało jednak na to, że może ją oświecić tylko nadinspektor Culley, który zaczekał, aż wrzawa ucichnie, po czym powtórzył specjalnie dla niej:

- Sir Willoughby zmarł dwudziestego pierwszego grudnia.

- Ale... jak to możliwe?

- Oczywiście bzdura - mruknął przepaszająco major Smythe.

- Pijany - wyjaśnił pan Merivale, kierując swoje słowa tylko do jej uszu.

- Ale przecież, panie nadkomisarzu - nalegał z szacunkiem Culley - to od początku było najbardziej oczywiste wyjaśnienie. Nigdy wcześniej nie widział pani Freer, a z panem Freer w ogóle się nie zobaczył. Pan John Redpath wysunął interesującą teorię, że oboje się podszywają - (John oblał się potem) - ale nie umiał jej wytłumaczyć. Tak samo jak ja nie rozumiałem, jakim cudem Keevil zgodnie z pańską sugestią miałyby należeć do rodziny Horshamów, panie nadkomisarzu. - (Major Smythe pokraśniał). - Dopiero kiedy zwrócił mi pan uwagę, panie nadkomisarzu, że sir Willoughby nigdy wcześniej nie widział również panny Hobbs, wszystko zaczęło się układać. Mieliśmy już wtedy trzy kobiety - nie licząc panny Margery Dore - ("Co takiego?", wtrąciła Margery) - których nigdy wcześniej nie widział! Nie dziwota, że myślałem, że wariuję! Potem musiałem tylko spróbować w to uwierzyć.

- I uwierzył pan? - spytał uprzejmie major Smythe.

- Nie, panie nadkomisarzu. Jakoś nie potrafiłem w to uwierzyć, dopóki wszystko się nie zazębiło i dopóki fakty nie potwierdziły tej hipotezy. No i teraz już wierzę. Właśnie uzyskałem ostatnie po-

twierdzenie. Dwudziestego drugiego grudnia wcześniej rano kamerdyner wyjechał i przyjechała tymczasowa pokojówka - Keevil! I to, przynajmniej na moją logikę, musiał być początek i koniec całego pomysłu. To Keevil zanosila na górę posiłki, ciągle wchodziła i wychodziła z jego pokoju, a skoro on nigdy wcześniej jej nie widział, to prawie na pewno ona nigdy wcześniej nie widziała jego! Na razie wszystko się zgadza. Posiadała świetne referencje. Jako osoba zatrudniona tylko tymczasowo nie miała nic do zyskania na kłamstwach, toteż nie kłamała. Na dodatek następnego dnia zatrudniono pannę Hobbs, która również nigdy wcześniej go nie widziała i miała służyć za najważniejszego świadka tego, że sir Willoughby wciąż żyje.

Zapadła cisza, którą w końcu przerwała Margery.

- Ale on naprawdę wciąż żył - powiedziała. - Widziałam go.

- Tak, widziała go pani - przyznał Culley. - Ale jeśli pani pamięta, to zaraz po przyjeździe stwierdziła pani stanowczo, że nigdy wcześniej nie widziała pani sir Willoughby'ego, mimo że on miał w tej sprawie inne zdanie. To jeszcze bardziej uprościło sprawę. Mógł się pani pokazywać do woli, bo to wcale nie był on.

- Tylko kto?

- Ja - powiedział nieśmiało Frank.

Margery wytrzeszczyła na niego oczy, usiłując przyswoić sobie tę informację.

("Idiota, idiota, idiota" - jęczał John).

Culley wrócił do Angeliny.

- Czyli tego dnia zobaczyła pani Franka Redpatha. To dlatego kazał pani siedzieć w świetle, a sam pozostał w cieniu. Pan Redpath nie wiedział, za kogo pani wyszła. Wiedział tylko, że sir Willoughby wciąż żyje.

ughby zawsze chciał panią poznać i poinformowałby go o tym, gdyby tak się stało. Ale ponieważ wiedział, że oboje mieszkaliście na Riwierze, a na dodatek jego żona się dowiedziała, że pani mąż urodził się w Afryce Południowej, na wszelki wypadek postanowili zatrzymać pana Freera na dole. - Przerastało to możliwości analityczne Angeliny. - A zatem pani ojczym nie mógł sporządzić nowego testamentu korzystnego dla pani ani nikogo innego - ciągnął Culley pełen zadumy. - Posłano jednak po pana Merivale'a i z tego powodu musiało wyglądać na to, że śmierć nastąpiła zaraz po przyjęciu...

- Wielkie nieba! Absolutnie niemożliwe! Nie wierzę w ani jedno słowo! - wybuchnął pan Merivale.

- Nie do końca rozumiem, jak ty to zorganizowałeś, tato, nawet jeżeli uczestniczyła w tym również mama... - John czuł się oniesmielony profesjonalnymi dedukcjami Culleya. - Naprawdę pan myśli, że taka mistyfikacja mogła im się udać? - spytał powątpiewająco. - Przecież wujek Willie nie siedział cały czas w swoim pokoju - to byłoby łatwe, ale wyglądałoby podejrzanie...

Culley szybko go wyciągnął z trzęsawiska wątpliwości:

- Tak naprawdę wyszedł z pokoju tylko dwukrotnie, panie Redpath. Za pierwszym razem pana i panny Redpath nie było w domu, a ze wszystkich domowników tylko wy dwoje znaleźcie go z widzenia. Nie licząc kucharki, która nigdy go nie zobaczyła, a także służącej, która zawsze sprzątała jego pokój, kiedy on był w łazience. Nie było problemu z tym, żeby pan albo pani Redpath weszli na kilka minut do łazienki i się popluskali, tak samo jak pana ojciec wymykał się na górę i kaszłał, kiedy pański wujek i ciocia byli w salonie.

- Tak, tato mógł to wszystko zrobić - zgodził się John, ale machnął ręką na znak, że nie są to istotne sprawy. - Owszem, tato umie się wymykać, ale tutaj nie chodzi tylko o wymykanie się, lecz o...

Utknął, ale z odsieczą przysłała mu Margery:

- Kiedy sir Willoughby zszedł tego dnia na dół, podrałował do gabinetu, gdzie pan Redpath wypisywał wskazówki do poszukiwania skarbu...

- Stara sztuczka - obruszył się John. - Nawet ja bym tak potrafił! Cudownym jesteś świadkiem, kochanie! Ale ja go widziałem, panie nadinspektorze, a nie: widziałem tylko ojca przebranego za Świętego Mikołaja. To oczywiście wszystko tłumaczy. Tłumaczy również, dlaczego on i tata unikali się nawzajem. Bardzo sprytne. A na przyjęciu wujek Willie mógł spotykać się z ludźmi, którzy całkiem dobrze go znali, bo był przebrany za Świętego Mikołaja, zwłaszcza że nawet w cywilu wyglądał dokładnie jak Święty Mikołaj! Zupełnie się tego nie domyśliłem! Teraz to się wydaje takie boleśnie oczywiste. Pewnie jestem za bardzo inteligentny, aby wymyślić coś tak głupiego - podsumował na pocieszenie.

- Słusznie, panie Redpath. Obaj byliśmy trochę za bardzo podejrzliwi, by podejrzewać prawdę. Nawet kiedy już znalazłem całe to pochowane jedzenie, nie naprowadziło mnie na właściwy trop.

- To mama zaszyła te wszystkie babeczki!

- Tak, kochanie - powiedziała Rhoda. Przełknęła ślinę i pospieszyła z wyjaśnieniem: - Widzisz, musieliśmy zjadać nie tylko własne posiłki, ale również jedzenie wujka Williego. Było tego trochę... dużo, chociaż bardzo się staraliśmy. Wujek Willie zawsze

miał solidny apetyt, pamiętasz, kochanie, a Paulina jako wegetarianka zupełnie nam nie pomagała!

- A nie mogliśmy ryzykować nagłego przestawienia go na dietę inwalidy - wtrącił Frank - po części dlatego, że mogłoby to wyglądać podejrzanie, ale głównie ze względu na babeczki bakaliowe, które zjadł przed śmiercią do kolacji. Spalał ich tak dużo, że nie byłem zdziwiony, że go zadławiły.

- Nie rozumiem tej całej sprawy z babeczkami - narzekał John.  
- To w końcu były zatrute czy nie?

- Chodziło o sekcję zwłok, prawda, panie Redpath? - powiedział Culley do Franka. - Nie wiedzieliście, czy został przez kogoś otruty, ale już dawno się baliście, że kiedy w końcu umrze, to przez to, że za bardzo się nafaszeruje i lekarz policyjny może uznać za niezbędne go pokroić, ponieważ nie opiekował się nim zwykły lekarz i przypuszczalnie dojdzie do rozprawy u koronera. Więc kiedy zaaranżowaliście jego śmierć, musiał zjeść jak najwięcej babeczek bakaliowych w dniu, w którym naprawdę umarł. - Następnie zwrócił się do Johna: - O to chodziło z babeczkami. - A do Smythe'a: - A zatem dowody z narządów wewnętrznych, panie nadkomisarzu, były tak samo poszlakowe jak cała reszta!

- A niech mnie licho! - powiedział Smythe.

- Czyli wcale nie były zatrute? - powiedziała Angelina sfrustrowanym i rozczarowanym tonem. - Jaka szkoda!

Jej mąż usiłował ją pocieszyć.

- Oczywiście, że nie! - wyjaśnił jej radośnie Culley. - A te inne, panie nadkomisarzu - powiedział do majora Smythe'a, który zaczął okazywać pierwsze oznaki znudzenia - te, których nie zjadł - które z jakiegoś powodu nie podeszły panu i pani Redpath...

- Z jakiegoś powodu nie podeszły! - jęknęli zgodnie Frank i Rhoda.

Culley urwał na chwilę w przypiływie współczucia, ale potem kazał sercu milczeć i powiedział:

- W święta ludzie się przejadają, a sir Willoughby ciągle coś zamawiał i nie miał zwyczaju odsyłać niczego z powrotem na dół - (znowu jęknęli) - więc przypuszczalnie musieliście się uporać z jeszcze większą ilością jedzenia, niż przewidywaliście. Dochodzi do tego jeszcze wojna: marnowanie jedzenia jest dzisiaj poważną sprawą, więc nie mieliście odwagi odsyłać zbyt wiele z powrotem do kuchni ani wyrzucać tam, gdzie mogłoby zostać znalezione.

- Tak, wydaje się, że wszystko odgadł - skomentował Frank.

- I to pan odłożył z powrotem te wszystkie buteleczki z lekarstwami, prawda?

- Oczywiście. Chyba nie oczekiwaliśmy pan ode mnie, że do tego wszystkiego jeszcze otruję się jego lekami.

- Dlaczego pan ich nie opróżnił?

- Że jak? - Odpowiedź okazała się jednak łatwiejsza, niż sądził:

- Oczywiście dlatego, że nie chciałem, aby mnie pan aresztował za morderstwo.

- Ten temat może na razie sobie odpuścimy - powiedział Culley, który zresztą musiał to zrobić, ponieważ major Smythe nagle strzelił z palców i klepnął się w czoło na znak, jakim był idiotą.

- Oczywiście! To dlatego się pan śmiał z tych przeklętych notatek. Musiały zostać zniszczone, ponieważ nie sporządzono ich piśmem Williego.

- Święta racja, panie nadkomisarzu - pochwalił go Culley.

Smythe się rozpromienił, a następnie wyprężył jak struna.



- Cała ta sprawa jest najbardziej skandalicznym przypadkiem... zuchwałego błazeństwa, z jakim miałem w życiu do czynienia. Nigdy w życiu... Nikt... Nikt przy zdrowych zmysłach nie wymyśliłby, a tym bardziej nie zrealizował takiej bezsensownej, bezdusznej i dziecinnej kabały - oczywiście nie licząc Franka Redpatha - do końca nieuprzejmie, nakręcony oburzeniem.

- A właściwie to nikt oprócz pana Redpatha i jego żony czegoś takiego nie wymyślił, panie nadkomisarzu - zwrócił mu uwagę Culley.

- Nie wierzę! - krzyknął Smythe. - Nabierają pana, Culley. Zaprosili pana tutaj, aby pan wykrył te zmyślane bzdury, no i je pan wykrył. Dziwię się panu, naprawdę się panu dziwię! Już nigdy nie powierzę panu sprawy morderstwa. Nie pojmuję, jakim cudem mnie pan nakłonił, abym tutaj siedział i słuchał tych wszystkich bredni. Wielkie nieba, człowieku, weź się pan do kupy! Nie widzi pan, że cała teoria rozpada się z chwilą, kiedy się pan jej przyjrzy? To nie jest nawet fizycznie możliwe. Wiem, o czym mówię. Ukrycie ciała na kilka godzin, żeby nie zepsuć przyjęcia - to zupełnie co innego, jak najbardziej możliwe, zgadzam się...

- I tak właśnie zrobiliśmy - bronił się życzliwie Frank - tylko na kilka dni, a nie godzin...

- Kilka dni! - prychnął nadkomisarz. - No i sam pan widzi. Tak jak mówiłem. Tego się nie dało zrobić - z oczywistych powodów.

- Rzeczywiście - przyznał wbrew sobie John. - Nie bardzo widzę, jak mogliście ukryć zwłoki na kilka dni, tato, chyba że schowaliście je w lodów...

Jego ojciec przerwał następującym wyznaniem:

- Ukrycie ciała rzeczywiście było najtrudniejszym elementem

całej operacji. Ale przecież zawsze jest, prawda? - Nie czekając na współczujące przytaknięcia ani nawet ich nie oczekując, kontynuował: - Nie chcieliśmy, żeby pojawiło się za szybko, bo to by wszystko zepsuło. Ale dopóki wyglądało na to, że wujek Willie żyje i ma się doskonale, kto by szukał jego martwego ciała? Kwestia, że sir Willoughby nie żyje, mogła się pojawić dopiero po świętach, a przy tak głębokim śniegu zwłoki by się nie zepsuły, nawet gdyby natychmiast przysłała odwilż.

- Śnieg - mruknął pod nosem John. - Tak, rozumiem.

- Na początku rzeczywiście pomyśleliśmy o lodówce, ale to było, zanim na serio zdecydowaliśmy się to zrobić. Kiedy już otrząsnęliśmy się z szoku po znalezieniu martwego i zimnego ciała na trawniku, moje pierwsze myśli brzmiały naturalnie: "Dlaczego nie mógł zaczekać do po świętach?".

- Naturalnie. Trudno, żebyś sobie pomyślał co innego - przytaknął John.

- Było tyle zachodu ze zorganizowaniem przyjęcia. Zaprosił mnóstwo ludzi i my też zaprosiliśmy całkiem sporo ludzi, bo chcieli go poznać, a my chcieliśmy poznać część z nich. On sam wydał tyle pieniędzy, miał tyle genialnych pomysłów i tak bardzo cieszył się, że wystąpi w stroju Świętego Mikołaja, a my tak bardzo cieszyliśmy się na to, że przeżyjemy zaskoczenie, kiedy on to zrobi, że tragedią była dla nas myśl, że tak się nie stanie i że przyjęcie w ogóle się nie odbędzie... On sam byłby najbardziej ze wszystkich rozczarowany, gdybyśmy je odwołali - jeśli to jest jakąś pocięgą dla majora Smythe'a... - Frank nie miał jednak większej nadziei, że ta myśl doda nadkomisarzowi otuchy, ale kontynuował: - Kiedy umrze aktor, spektakl dalej jest wystawiany z dublerem i nikogo to

nie szokuje. Kto wie, być może Hitler już dziesięć razy umarł, ale wojna toczy się dalej z udziałem jego zastępców i dublerów i nikt nie uważa, że takie zachowanie jest w złym guście. Wujek Willie nam powiedział, że kiedy królowa Wiktorja obchodziła diamentowe gody, bardzo mądrze została tego dnia w łóżku, a w karecie siedziała figura od madame Tussaud i kłaniała się na sprężynie. Pewna księżniczka, za której autentyczność wujek Willie ręczył, zmarła w dzień królewskiego garden party (a może w Święto Flagi), więc potajemnie przechowano ją w lodzie, żeby zmarła bardziej dyskretnie następnego dnia rano. Drogi wujek Willie zapewnił nas, że takie rzeczy są na porządku dziennym, więc dlaczego nie mielibyśmy tak samo postąpić z nim? Jego wspaniały duch wyszedł z wiekowego ciała, więc jakie znaczenie miała doczesna glina? Wujek Willie był rozmiłowany w swojej cielesnej powłoce tylko jako narzędziu, które pozwalało mu przebywać w tym śmiesznym świecie, ale teraz, kiedy odszedł do lepszego (bo przecież gorszego raczej nie mógł znaleźć)...

- Nie mogę już dłużej słuchać tych banialuk - mruknął major Smythe, dzięki czemu Rhoda postanowiła skorzystać z okazji.

- Tak naprawdę to sam wujek Willie podsunął nam ten pomysł - powiedziała. - Zwłoki w wojnie rosyjsko-fińskiej - to znaczy w radiu - podczas jego poprzedniego pobytu - nie pozwolił Frankowi wyłączyć - i nawet jak audycja już się skończyła, to nie potrafił uciec od tematu zwłok zamarzniętych na sztywno w śniegu - kapitan Scott, no wiecie - i powiedział nam, że kiedyś o mało nie pojechał na ekspedycję arktyczną, która w końcu wyruszyła bez niego i nigdy nie wróciła. Powiedział, że teraz żałuje, że się z nimi nie wybrał, bo zmarli w kwiecie męskości, "u szczytu swoich ambicji i en-

tuzjizmu", i gdyby ktoś się pofatygował poszukać ich ciał, to znalazłby dobrze zachowanych młodych mężczyzn po dwudziestce, chociaż niektórzy mają już teraz prawie pięćdziesiąt lat. Tak powiedział - zakończyła przepaszającym tonem, nie mając zbyt wielkiego poczucia, że bardzo się przydała, ale chyba jednak się przydała, bo Culley zwrócił się do Smythe'a:

- Widzi pan, panie nadkomisarzu? Ta wyjątkowo zimna pogoda musiała się utrzymać tylko przez chwilę, aby ciało się zachowało w stanie z momentu śmierci.

Smythe zaczął marudzić, że w porządku, teraz potrafi już uwierzyć we wszystko, a Frank wystąpił w obronie Rhody.

- Mojej żonie - powiedział - ten pomysł się oczywiście nie spodobał. Zresztą ja sam nie potraktowałem go poważnie, dopóki nie wszedłem do domu, aby poszukać Sillsa, i nie uświadomiłem sobie, że następnego dnia wyjeżdża na urlop. Ten nadzwyczajny zbieg okoliczności spowodował, że zaczęliśmy na poważnie wszystko planować. Ludzie przychodzący na przyjęcie mieli go tylko zobaczyć przebranego za Świętego Mikołaja, ale jak już zaznaczyłem, jeden Święty Mikołaj nie różni się zbyt wiele od drugiego. Prawie nikt z gości go wcześniej nie widział, a ci, którzy widzieli, znali go tylko jako starszego pana z bokobrodami, który wyglądał zresztą tak, jakby uciekł z domu wariatów. Więc zamiast postawić wartę przy pustym pokoju, co mogłoby wyglądać podejrzanie, jak powiedział John, postanowiliśmy, że pozwolimy go zobaczyć jak największej liczbie ludzi. Reszty miały dokonać dowody poszlakowe i masowa hipnoza. Zawsze miałem talent do tego typu rzeczy - to znaczy do nabierania ludzi - chociaż na aktora scenicznego nigdy się nie nadawałem. Gdyby przeprowadzić badania naukowe na

zawodowych aktorach, to wbrew konwencjom okazałoby się, że talent do nabierania ludzi i talent sceniczny to dwie zupełnie różne sprawy. Na przykład moja żona w ogóle nie potrafi grać w sztuce, ale w prawdziwym życiu jest cudowną kłamczuchą w odróżnieniu od większości zawodowych aktorek, które prawie bez wyjątku grają za dobrze, co je zdradza. Im bardziej naturalny ktoś się wydaje na scenie, tym bardziej sztuczny musi być... Co, Margery?

- Jak sprytnie z twojej strony - pochwaliła go Margery. - Nikt nie wie, jaka to jest udręka!

- Ja wiem - odparł Frank - bo próbowałem. Nigdy nie udawało mi się dotrzeć do publiczności, musiałem mieć do dyspozycji prawdziwych ludzi do oszukania. Udawanie wujka Williego było proste, ale nie miałyby sensu, gdyby nikt nie patrzył. Keevil nie wystarczała. Robienie hałasu w jego pokoju, pluskanie i szeleszczenie w łazience dla uszu Edith też nie wystarczało, więc zatrudniłszy Esther Hobbs, która idealnie nadawała się do tego celu. Była trochę krótkowzroczna, w związku z czym na zewnątrz i w kinie zakładała okulary, ale nie robiła tego do pracy sekretarki i gry w karty. Kiedy ją poznałem, uświadomiłem sobie, że należy do tych młodych kobiet, które po otrzymaniu jakiegoś zadania bez reszty się na nim koncentrują i są zupełnie głuche na otoczenie. Poza tym jest bardzo sumienna, uczciwa i zupełnie niezdolna do oszustwa, więc pomyślałem, że jeśli uda mi się ją autentycznie oszukać, to ona autentycznie oszuka wszystkich innych. Co się tyczy Margery, to była za bardzo zajęta oszukiwaniem mnie, aby zadać sobie pytanie, czy ja nie oszukuję jej!

Zaśmiał się pod nosem.

- I pomyśleć, że to od początku byłeś ty - lamentowała Marge-

ry. - Co za marnotrawstwo!

- Wcale nie - pocieszał ją Frank. - Mnie wszystko to ucieszyło znacznie bardziej, niż ucieszyłoby biednego starego wujka Williego.

- Nie mam pojęcia, dlaczego nic nie poczułam - wyrzucała sobie Margery - to znaczy dlaczego nie poczułam zapachu makijażu.

- Nie odważyłem się ucharakteryzować, moja droga. Zdjąłem tylko tupecik, pofarbowałem na siwo włosy na brzegach, a resztę zrobiły bokobrody. Gdybyś poczuła zapach kleju do charakteryzacji, to na stole stała duża butelka, której wujek Willie miał zamiar użyć do przytwierdzenia brody Świętego Mikołaja, a czasem zapominał ją zakorkować. W święta dozwolone są tajemnice - oznajmił zgromadzonym - co znacznie rozszerzyło nasze pole działania, ponieważ nie musieliśmy zagłębiać się w szczegóły. Wszystko wymagało niemałej precyzji i starannego opracowania chronologii, ale nie było zbyt trudne. Musieliśmy uważać, żeby ani Keevil, ani Esther, ani Margery nie zobaczyły ciała prawdziwego wujka Williego, jednak nie mieliśmy z tym większych problemów. Zwłoki odkryła Paulina, z którą zresztą mieliśmy najwięcej kłopotu - to było jeszcze bardziej uciążliwe niż konieczność pochłonięcia całego tego jedzenia...

- Nie przesadzasz? - spytał John.

- Poprzytykanie się z tobą było całkiem łatwe - odpowiedział mu jego ojciec - a obrażenie się na samego siebie dziecinnie proste, ale każdy, kto kiedykolwiek próbował pokłócić się z ciocią Pauliną, wie, jak bardzo miałem pod górkę.

- Rzeczywiście bardzo mnie zdenerwowałaś - skarciła go łagodnie Paulina. - Sądziłam, że naprawdę zdenerwowałam biednego

sir Willoughby'ego w kwestii testamentu. Dlaczego nie mogłeś mi wszystkiego powiedzieć?

- Bo gdybyśmy ci powiedzieli, tobyś nam zabroniła - odparł szczerze Frank.

- W takim razie mnie - wtrącił John. - Mnie mogliście wtajemniczyć, tato. To by dużo pomogło.

- Może właśnie tego się baliśmy...

- Och, nie, kochanie, raczej nie o to chodziło - interweniowała rozjemczo Rhoda. - Twój ojciec i ja uznaliśmy - prawda, Frank? - że jeżeli będziemy musieli oszukiwać również ciebie, wymusi to na nas większą dbałość o szczegóły.

- No dobra - zgodził się Frank - tak właśnie było. Czuliśmy, że jeśli zdołamy oszukać ciebie, drogi chłopcze, to zdołamy oszukać wszystkich.

Johna niezmiernie to pocieszyło.

- Gdybyś o śladach stóp powiedział nam - podjęła Rhoda - zamiast zachowywać tę informację dla policji, tobyśmy się wymigali, ale ty wzbudziłeś w nich podejrzenia - to znaczy w sierżancie Dawesie i tak dalej. Do tego doszło wyjęcie przez Paulinę tego telegramu - postąpiła bardzo nieładnie, że go zataiła - wujek Willie musiał umrzeć tuż przed przybyciem pana Merivale'a - i konieczność udzielania odpowiedzi na pytania biednego pana Culleya - naprawdę nie mieliśmy czasu na zmianę strategii, mój drogi - a potem to się zmieniło w morderstwo i mocno się wystraszyliśmy, prawda, Frank?

- Tak, kiedy poznaliśmy wyniki sekcji zwłok - potwierdził Frank. - Ale nie byliśmy szczególnie zaskoczeni i liczyliśmy na to, że sprawa przyschnie za parę dni, jeśli nie będziemy wzbudzać po-

dejrzeń naszym zachowaniem. Więc kiedy się dowiedziałem, że Margery czyta książkę zatytułowaną *Poświęteczne morderstwo*, pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli na jakiś czas ją ukryję. A potem ciocia Paulina ją znalazła, więc...

- Więc ją spaliłeś - dokończył za niego John.

- Nie, odniosłem do biblioteki i wypożyczyłem inną.

Nadinspektor Culley poczuł, że przyszła pora, aby coś powiedział.

- Zwłoki były w bałwanie - poinformował Margery - ale żaden ze stroicieli fortepianu nie był prawdziwy.

- O, dziękuję panu - odparła Margery. - Skąd pan wie?

- Rutynowe czynności - odparł Culley.

- Nie przeszkadza mi, że pan wie - stwierdził wspaniałomyślnie Frank - ale chyba pan rozumie, że sierżant Dawes nie mógł dostać tej książki w swoje ręce. Mógłby aresztować kogoś na przyjęciu za zamordowanie wujka Williego i spaprana próbę ukrycia go w bałwanie czy coś w tym rodzaju.

- Absolutnie - przytaknął Culley.

- Czyli przez cały czas był w bałwanie - powiedział major Smythe, którego nic już nie potrafiło zaszokować.

- Przed świętami zwłoki były w nim bezpieczne - przypomniał mu Frank. - Wujek Willie nie został jeszcze zamordowany, a nawet nie umarł. Poza tym nikomu nie wolno było dotykać bałwana ze względu na schowane w środku czekoladki. Lepsze rozwiązanie niż zaspas śnieżna albo krater bombowy, nawet jeżeli wykorzystano już ten motyw w literaturze. Bo bałwany czasami stoją jeszcze przez wiele tygodni po stopnieniu reszty śniegu. Uznaliśmy również, że najlepszym momentem na śmierć wujka Williego będzie



wieczór przyjęcia. Pomyśleliśmy, że jeśli pošemy po pana Merivale'a, wszystko będzie wyglądało jeszcze mniej podejrzanie. Poza tym potrzebowalem świadków, że wujek Willie zjadł babeczki bakaliowe, im więcej, tym lepiej. Ładnie się go obstawiło słupkami przebranego za Świętego Mikołaja. Musiałem tylko wyjść do ogrodu, usunąć słupki i go przewrócić. Niepotrzebne były większe zmiany w charakteryzacji - ograniczyłem się do tego, żeby wyglądać trochę mniej realistycznie, i zmyłem z dłoni niebieskie żyłki - abym mógł wrócić na przyjęcie jako ja i ponieść klęskę. To było konieczne do wyjaśnienia dwóch płaszczy i dwóch par butów Świętego Mikołaja.

- Teraz już wszystko bardzo ładnie się układa, panie Redpath - powiedział Culley. - Rozumiem, że to się musiało stać na przyjęciu. Już na samym początku wstawił go pan w przebraniu do bałwana ze wskazówką do poszukiwania skarbu w ręku.

- Tak - potwierdził Frank - zanim zdążył zeszywnieć.

- Bardzo ładnie - stwierdził Culley.

- Ładnie? - zdziwił się Frank.

- Chodzi mi o to - wyjaśnił Culley - że jeśli to prawda, to dysponujemy dowodem, że moment śmierci nie miał nic wspólnego ze śmiercią lady Keene-Cotton. Nie mógł pan z takim wyprzedzeniem wiedzieć, że ona umrze w pierwszy dzień świąt.

- No raczej! - oburzył się Frank.

- Tata jest zszokowany - oznajmił John.

- Chyba pan nie sądzi, że przeszliśmy przez to wszystko ze względu na pieniądze, Culley?

- Kiedy to rzeczywiście wyglądało... - zaczęła Rhoda, która nie miała problemu z dostrzeganiem innych punktów widzenia.

- Wychodzi na to, że nie dostaniecie tych pieniędzy - powiedział nie bez złośliwej satysfakcji John. - Koniec końców wszystkie idą do Horshamów.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Rhoda ciepło do Angeliny - a my możemy tylko przeprosić za całe to zamieszanie i opóźnienie.

- Ależ nie ma za co... Znaczący... Naprawdę to my je dostaniemy?  
- spytała Angelina mocno skonsternowana.

- Pierwotny testament jednak obowiązuje - powiedział Puffy, budząc pana Merivale'a.

- Że jak? O co chodzi? Martwy przed świętami. Tak, tak! Jak najszybciej potwierdzą testament! Oszczędzi nam mnóstwo kłopotów! Gdzie on jest?

- Wyrzucił! - sapnęła Angelina.

- Nie, nie, tu go mam. Na szczęście nie wyrzuciłem, ha, ha, ha!

Z rozmachem wyjął testament, z gruntu odmłodzony perspektywą, że nareszcie coś odczyta. Oblizwał wargi. Był już w trakcie recytowania kondolencji dla osieroconych, kiedy nadinspektor Culley mu przerwał.

- Zanim odczyta pan testament, panie mecenasie - powiedział - chciałbym, żebyśmy mieli absolutną jasność...

- Ależ mamy - zbył go pan Merivale i zaczerpnął tchu.

- Prawo mówi, panie mecenasie, że sprawca nie może odnieść korzyści z przestępstwa - ciągnął niezrażony Culley.

- Oczywiście, że nie - odburknął prawnik ze zniecierpliwieniem. - Wydało się, przyznali się, należało się ze mną najpierw skonsultować, może coś dałoby się zrobić, a teraz jest już za późno...

- Ojej, popełniliśmy przestępstwo? - zawołała Rhoda.

- Niby że nie zawiadomiliśmy o zgonie? - domniemywał Frank.

- Ciężkie wykroczenie, wysoka grzywna, sąd policyjny, nie do obrony, ale może uchronię was od więzienia, więcej nie dam rady.

- To już jest coś - pocieszył go Frank.

- Święta racja! - zgodziła się Rhoda, a potem dodała z posępnym uśmiechem: - Należało nam się coś znacznie gorszego. Oczywiście nigdy nie oczekiwaliśmy, że odniesiemy korzyść z naszego przestępstwa, panie Culley! Uroczo, że pan sobie tak pomyślał, ale...

- A niech mnie... - mruknął John, lecz w tym momencie znowu interweniował Culley.

- Nie o to przestępstwo mi chodziło, proszę pani.

- W sumie mogłam się domyślić.

Rhoda wzięła się w garść i podniosła jakąś robótkę.

- Przestępstwo, o które mi chodziło, należy raczej do kategorii "morderstwo" - stwierdził nadinspektor Culley.

- Morderstwo... - wysapała Angelina.

- Morderstwo... - powiedział zlany potem Puffy.

Pan Merivale wybałuszył oczy, a major Smythe aż podskoczył.

Wszystkie oczy skierowały się na nadinspektora Culleya, który wyjaśnił niezrażony:

- Przed świętami czy po świętach, morderstwo to morderstwo...

Zapadła cisza, która za chwilę przypuszczalnie zaczęłaby im ciążyć, więc Rhoda poczuła się zobligowana do interwencji.

- Tak, naturalnie - potwierdziła zdroworozsądkowo, nie przerywając robienia na drutach. - Biedny wujek Willie co rusz jest mordowany. Udało się panu dowiedzieć, kto to zrobił, panie Culley?

## XXI. Rzucaj chleb twój na wody ciekące

1

- Do widzenia - pożegnała się głośno Angelina. - Serdecznie pani dziękuję za cudowne przyjęcie, pani Redpath, ale naprawdę musimy już wracać.

- Ależ - zasmuciła się Rhoda - nie zostaniecie na noc?

- Chyba spróbujemy dotrzeć przed nocą do domu - odparł Puffy.

- Zostańcie chociaż posłuchać, kto zamordował wujka Williego - nalegała Rhoda.

- Szkoda, że nie możemy, bo bardzo chętnie byśmy posłuchali! - zawołała pośpiesznie Angelina. - Może innym razem.

- To nie powinno zająć dłużej niż pięć minut, proszę pani - zapewnił ją Culley.

- Ale pięć minut to pięć minut - zaprotestowała z uśmiechem.

Major Smythe oficjalnie odchrząknął.

- Obawiam się, pani Freer, że muszę... eee... nalegać, aby państwo zostali i... eee... posłuchali tego, co nadinspektor ma do powiedzenia.

- Skoro pan nalega... - powiedziała łaskawie Angelina i oboje z powrotem usiedli.

Pan Merivale mruzczał coś o wyważaniu otwartych drzwi, natomiast Smythe błagał Culleya, żeby nie kazał im rozwiązywać żadnych zagadek, jeśli ich nie ma.

- Nie, panie nadkomisarzu, teraz mamy już z górki. Jediną zagadką było morderstwo po świętach, a tę już rozwiązałem.

- Rzeczywiście, wspaniale ją pan rozwiązał! - skomplementowała go z wdzięcznością Rhoda. - Dopóki wciąż obowiązywała wersja morderstwa po świętach, mój mąż i ja byliśmy najbardziej podejrzani, prawda?

- Gdybyście wiedzieli, że jesteście jego najbliższą rodziną, to z pewnością tak - przyznał Culley.

- Ale ja zawsze bardzo starannie trzymałam to przed nią w tajemnicy - wtrąciła zatroskana Paulina. - Oprócz samego sir Willoughby'ego byłam jedyną pozostającą przy życiu osobą, która mogła o tym wiedzieć.

- Najzupełniej słusznie - uspokajał ją Culley. Poczekał, aż ochłonie, po czym powiedział: - Najwyraźniej była pani również jedyną osobą, która wiedziała, że lady Keene-Cotton zmarła w pierwszy dzień świąt, więc tak naprawdę to pani była najbardziej podejrzaną osobą. - Zajrzał do notatnika i kontynuował: - Wciąż pani pozostaje wysoce podejrzaną osobą, ponieważ mogła pani otruć sir Willoughby'ego babeczkami bakaliowymi przed świętami - gdyby się pani bała, że ujawni coś, czego ujawnienia pani sobie nie życzyła.

- Przecież to bzdura! - zawołała szybko Rhoda. - Paulina nie wie, co to strach.

- Istotnie - przyznał szlachetnie Culley i odwrócił się w stronę Smythe'a, który westchnął. - Panna Redpath nie należy do kobiet, które zamordowałyby kogoś z tak egoistycznych, osobistych pobudek. Nie pasowała również do profilu psychologicznego mordercy, tak samo jak pan i pani Redpath nie wpisywali się w motyw finansowy. Zresztą w motyw finansowy nikt się nie wpisywał...

- Do rzeczy, człowieku - poganiał go zirytowany Smythe.

- ...więc musiałem zadać sobie pytanie, panie nadkomisarzu - kontynuował Culley - jaki właściwie jest profil psychologiczny mordercy, i wtedy mnie olśniło - to było morderstwo altruistyczne.

- Nie ma czegoś takiego - zawyrokował Smythe.

- Ależ jest, panie nadkomisarzu - upierał się cierpliwie Culley. - Panna Redpath nie popełniłaby morderstwa, aby zapobiec ujawnieniu jakiegoś faktu z jej przeszłości, który postawiłby ją w negatywnym świetle - aż tak się nie przejmowała tym, co ludzie o niej pomyślą. Jeśli już, to wręcz przeciwnie, przywykła do brania na siebie odpowiedzialności za działania, które inni mogliby uznać za nieco kompromitujące...

Smythe ziewnął ostentacyjnie.

- Chce pan powiedzieć, że mogła wziąć na siebie zamordowanie sir Willoughby'ego, ponieważ nikomu innemu ta robota się nie podobala?

- Proszę pamiętać, panie nadkomisarzu, że przekonywała go do spisania nowego testamentu. Potem w pierwszy dzień świąt zmarła lady Keene-Cotton. Panna Redpath wiedziała, że gdyby sir Willoughby zmarł bez wyznaczenia spadkobierców, wszystko odziedziczyłaby pani Redpath jako najbliższa rodzina...

- Niech pan się wreszcie zamknie, Culley - postulował Smythe.

- Ale tak właśnie wygląda profil psychologiczny naszego mordercy, panie nadkomisarzu! - upierał się z ożywieniem Culley. - Ktoś, kto własne życie ma już za sobą, kto nie boi się nadstawić karku dla bliskich sobie osób wciąż mających życie przed sobą...

- Banialuki! Droga panno Redpath, chyba nie muszę pani mówić, że nikt z nas nie wierzy...

- Ależ ja w zupełności się zgadzam z panem Culleyem - zaczęła

panna Redpath.

- Bzdura, Paulino - przerwała jej Rhoda - nie zgadzasz się...

- Moja droga - ciągnęła panna Redpath najzupełniej spokojnym tonem - rzeczywiście byłam jedyną osobą, która mogła zabić biednego sir Willoughby'ego. To dlatego wszystko było takie zaskakujące. To znaczy dla kogoś, kto wiedział, że tego nie zrobiłam, moja droga - wyjaśniła Rhodzie.

- Słusznie - potwierdził Culley. - Mnie również trochę to zaskoczyło. Od początku panią podejrzewałem i do końca nie wykreśliłem pani nazwiska. Jako dobrego ducha - przypomniał się sędziwemu prawnikowi, który nagle powrócił do życia - który wszedł kominem - odświeżył mu pamięć nadinspektor.

- Kominem! - Wszystko mu się przypomniało. - Ha, ha! Morderstwo po świętach, najlepsza rzecz, która mogła się wydarzyć, sam o tym pomyślałem, pamiętam, że tak powiedziałem... - Spotkał się wzrokiem z Angeliną. - Hmm! Oczywiście żart. To od początku było morderstwo przed świętami!

- Morderstwo przed świętami, Culley - powiedział nadkomisarz z emfazą, ale również z wielką cierpliwością - a nie po - właśnie pan to udowodnił.

- Tak, panie nadkomisarzu - zgodził się z nim Culley. - Ale właśnie z tego powodu pani Redpath zaprosiła mnie do domu, prawda, proszę pani?

Frank podniósł się na to z oburzeniem, ale Rhoda odłożyła robotkę i się roześmiała.

- Jaki pan sprytny, że się pan domyślił, panie Culley! Tak, rzeczywiście tak było.

- Boże wielki - stęknął major Smythe - chyba nie zamierza mi

pani powiedzieć, że te babeczki i bałwan to była atrapa, która miała wzbudzić w Culleyu przekonanie, że... - powiedział i utknął.

- Nie, nie - wyratowała go Rhoda. - Widzi pan, nasz mały fortel przed rozprawą u koronera wydawał się zupełnie niewinny, ponieważ wiedzieliśmy, że pan Merivale sprawiedliwie rozstrzygnie kwestię pieniędzy. Ale potem, kiedy wszyscy uznaliśmy, że sprawa z morderstwem już przyschła, Paulina mi powiedziała, że jestem córką wujka Williego i zamierza zanieść panu Merivale'owi świadectwo ślubu, abym wszystkie pieniądze mogła dostać ja! To było okropne! Nasz nieszkodliwy mały fortel zamienił się w zbrodnię! Niemalże gorszą od morderstwa! Mieliśmy dostać pieniądze pod fałszywym pretekstem. Chciałam natychmiast pójść do majora Smythe'a i powiedzieć mu prawdę. Potem John oznajmił, że zaprosił pana Culleya do nas, aby nas śledził, i uznaliśmy, że to jest znacznie lepszy pomysł, bo pan nadinspektor wszystko udowodni i wyjaśni znacznie bardziej przekonująco, niż my moglibyśmy to zrobić.

Uśmiechnęła się szeroko do nadkomisarza.

- Czy naprawdę chcemy tego wszystkiego słuchać? - spytał Smythe błagalnym tonem.

- To była tylko poboczna kwestia, którą próbowałem wyjaśnić - przeprosił Culley. - Czyli tak naprawdę pani nie sądziła, że pani ojciec został zamordowany?

Zamiast Rhody odpowiedział Frank:

- W każdym razie ja wiedziałem, że sam nie wypilem pięciu buteleczek mikstury na kaszel - to dlatego odstawiłem je na miejsce, żeby być wobec pana w porządku - i że żadne z czekoladek, które



ja zjadłem, nie mogły być zatrute, więc zadaliśmy sobie oczywiście pytanie, skąd w jego narządach wzięło się laudanum.

- Tak - potwierdziła Rhoda - łamaliśmy sobie nad tym głowę. Więc gdyby zdołał nam pan wyjaśnić również to, panie Culley, byłoby po prostu doskonale.

Z nadzieją wróciła do robienia na drutach.

- Wyjaśnienie jest bardzo proste - zaczął Culley po krótkiej chwili milczenia. - Te czekoladki, które pan zjadł, panie Redpath, razem z tymi, które zbadaliśmy, obejmowały całą partię, jaką pan zachował do drugiego dnia świąt. Te zatrute były w bombonierce, którą sir Willoughby otrzymał pocztą kilka dni po przyjeździe.

Puffy wciągnął powietrze do płuc i Angelina go kopnęła.

- Kiedy te również zjadłem - powiedział znieczeka Frank.

Culley spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

- Ale chyba nie wszystkie, panie Redpath.

- Niby tak - zreflektował się Frank. - Wujek Willie oczywiście jak zawsze pochłonął wszystkie kremowo-miętowe, ale ja lubię migdałowe ślimaki, których zostawił mnóstwo.

- Widzi pan, panie nadkomisarzu - powiedział Culley - tutaj się kryje całe wyjaśnienie.

- Ale... - Angelina znalazła gdzieś resztki głosu - ...tamte czekoladki nie mogły być zatrute, bo inaczej...

- ...bo inaczej już wcześniej byłby martwy? Otóż był, proszę pani.

- Psiakrew, rzeczywiście - uświadomiła sobie Angelina.

Puffy przeszedł do ofensywy.

- Co właściwie pan sugeruje, nadinspektorze?

- Niczego nie sugeruję, proszę pana. Mówię wam, co się wyda-

rzyło. Teraz już nie ma na ten temat żadnych wątpliwości, chociaż przykro mi, że to musi wyjść na jaw, ponieważ wiem, ile kłopotu i zmartwienia oboje was to kosztowało.

("Zbaw nas!" - modlił się John do niebios, a Margery poprosiła Esther, by wzięła ją za rękę).

- Widzi pani - kontynuował Culley, zwracając się do Angeliny - wiem, że to nie pierwszy raz, kiedy musiała pani przyjechać do domu i wyratować rodzinę z tarapatów, i to nie pani wina, że tym razem się pani nie udało. W dniu, w którym pani przyjechała, usunęła pani to pudełko po czekoladkach i zostawiła pustą buteleczkę po lekarstwie matki, przywiezioną przez panią ze sobą właśnie w tym celu, prawda?

- Z pewnością tak zrobiłam, skoro pan to mówi - odpowiedziała uprzejmie Angelina.

- A to wyjaśnia, panie nadkomisarzu - powiedział Culley - skąd pan Freer wiedział, że w organizmie zmarłego wykryto laudanum.

- Stek kłamstw! - wybuchnął Puffy.

- Spokojnie, Puffy - uciszała go Angelina. - Teraz już nie ma się co szarpać. Gra skończona.

- Nie zgadzam się - zripostował rozgorączkowany Puffy. - Ten gość nie może wiedzieć, kto zatrul czekoladki. Nikomu tego nie udowodni.

- Logika podpowiada, proszę pana - powiedział delikatnie Culley - że to nie mógł być pan ani pańska żona, bo nie jechalibyście taki kawał drogi przy takiej pogodzie, aby zapobiec zjedzeniu tych czekoladek przez sir Willoughby'ego.

- Co pan opowiada? - dociekał Smythe i wyprężył się jak struna.

- Gdyby pani Freer chciała otłuć swojego ojczyrna - przypomniał mu Culley - nie zrobiłaby tego metodą korespondencyjną, która z dużym prawdopodobieństwem mogła się okazać nieskuteczna.

- No chyba! - powiedziała Angelina.

- Ale przecież to nie mogła być ani pani, ani pan Horsham! - Smythe był zupełnie zagubiony.

- Cyril i Verna mordercami! - zawołała Angelina, która wpadła w chwilową histerię.

- Poza samą lady Keene-Cotton - marudził posępnie Smythe - i pielęgniarką jak-jej-tam...

- Nie ma potrzeby robić wyjątków, panie nadkomisarzu - powiedział Culley. - Zgadza się, że pielęgniarka pani Hastings nie mogła mieć z tym nic wspólnego, chyba że to ona wysłała tę paczkę. Dowiedziałem się od niej jednak, że lady Keene-Cotton w nocy zawsze miała pod ręką laudanum na wypadek, gdyby dopadł ją ból. Taka dzielna kobieta bez problemu potrafiłaby znosić ból i chomikować lek do momentu uzyskania śmiertelnej dawki środka, który w czekoladce miętowej byłby zupełnie niewyczuwalny w smaku. A proszę pamiętać, że była jego żoną. Chociaż nie znała go tak długo, jak niektórzy - na przykład panna Redpath - to jednak miała dostatecznie dużo czasu, aby się dowiedzieć, jakie są jego ulubione czekoladki i że jest w tych kwestiach łasuchem. Poza tym w jeszcze większym stopniu niż panna Redpath przywykła do aranżowania ludziom życia i nadstawiania dla nich karku. Miała już życie za sobą, panie nadkomisarzu...

- Starczy tej psychologii - domagał się Smythe.

- Rodzina często żartowała na temat zamordowania bogatego

ojczyma - ciągnął Culley - i przypuszczam, że samej lady Keene-Cotton też zdarzało się dowcipkować o tym, że wyszła za bogatego mężczyznę, który umrze wcześniej od niej. Ale potem, panie nadkomisarzu, uświadomiła sobie, że to ona umrze pierwsza... To już nie był żart. Wzbudziła w rodzinie fałszywe poczucie bezpieczeństwa, aby ostatecznie zostawić ich na lodzie. Leżąc tam w cieniu grobu - (Smythe poruszył się na krześle) - postanowiła podjąć ostatnią próbę uratowania ich wszystkich. Ale czasu było mało, a ponadto wiedziała, że martwej kobiety nie da się powiesić. I być może właśnie dlatego nie zaplanowała wszystkiego tak starannie, jak powinna, i przeoczyła istotny fakt, który być może przyszedł do głowy pani i pani mężowi, pani Freer.

- Że spadnie na nas podejrzenie o morderstwo?

- Nie, że prawo nie pozwala sprawcy odnieść korzyści z popełnionego przestępstwa.

Rhoda wstała i jej robótka rozsypała się po pokoju.

- Ale biedni państwo Freer nie popełnili żadnego przestępstwa!

- Potem zwróciła się do prawnika: - Nie stracą chyba udziału w spadku?

Pan Merivale znowu zgubił wątek, w związku z czym odpowiedział za niego Culley:

- Ten przepis wyłącza lady Keene-Cotton, która zatem nie dziedziczy, a jej rodzina nie ma czego po niej dziedziczyć.

- O rany! - załamała się Angelina. - Czyli jednak zawiodłam rodzinę! - Chociaż serce jej pękało, dostrzegała komiczne strony całej sytuacji. - Masz rację, Puffy: należało udawać głupich.

Puffy po raz kolejny nieśmiało włączył się do rozmowy:

- Mam nadzieję, że pan nie myśli, nadinspektorze, że przyje-

chaliśmy tutaj w Wigilię tylko po to, aby usunąć obciążające dowody?

- Oczywiście to również chcieliśmy zrobić - przyznała Angelina.  
- Każdy by chciał. Ale - jeśli pan nie chce, to niech pan nie wierzy, panie Culley - myśl o tym, że biedna mama weźmie i zamorduje starego człowieka, była tak makabrycznie krwawa, że nie potrafiliśmy myśleć o niczym innym. Z początku w to nie wierzyłam - sądziłam, że ona tak tylko sobie gada, dopóki mi nie opisała, w jaki sposób zatrula czekoladki - powiedziała, że to jej przypominało wydmuchiwanie jajka, i zaczęła się martwić, że nie ma żadnych wiadomości o śmierci sir Willoughby'ego. Od tej pory wszystko stało się trochę za bardzo szczegółowe, aby to zbagatelizować jako zdiagnozowane przez doktora Clarka urojenia. Czym prędzej więc tutaj przyjechaliśmy, nie mając większej nadziei, że zastaniemy starszego pana żywego. Ulga była bolesna, prawda, Puffy?

("Czyli wcale nie odegrali spektaklu" - pomyślał John).

- Zwłaszcza że zjadł wszystkie czekoladki - potwierdził Puffy. - Uznaliśmy, że to jednak były urojenia.

- Albo że zjadł ich tak wiele - zasugerowała Angelina - że się uodpornił czy też trucizna działa z opóźnieniem. Zabrałam więc pudełko i na wszelki wypadek zostawiłam buteleczkę. Pewnie należało przywieźć większą. Co jeszcze należało zrobić?

- Nie znalazła pani papieru, w który były zapakowane czekoladki - powiedział Culley.

- A pan znalazł?

- Tak się składa, że znalazłem. Użyto go do zawinięcia babeczek bakaliowych, które pani Redpath zaszyła w fotelu. Znalazłem również w makulaturze dwa bileciki...

- Z których jeden napisałam ja. Zawsze naśladowaliśmy nawzajem swoje pismo, kiedy wysyłaliśmy sobie prezenty świąteczne, ale zgadzam się, że to musiało wyglądać bardzo podejrzanie. Czy to są wszystkie dowody przeciwko nam?

Culley starannie rozważył tę kwestię, po czym powiedział:

- Jest jeszcze list napisany przez zmarłego w dniu osiemnastego grudnia z podziękowaniami dla żony za czekoladki i zaproszeniem do Four Corners na święta.

- Czyli chyba może pan zbudować na tym sprawę przeciwko nam, jeśli pan chce - skapitulowała Angelina. - No i rzeczywiście oboje stawaliśmy okoniem, kiedy pan przyjechał na plebanię. Oczywiście strasznie nas zmartwiło, kiedy usłyszeliśmy o śmierci sir Willoughby'ego: pomyślałam, że zabrałam nie to pudełko i czekoladki od mamy trafiły pod choinkę albo coś takiego.

- Ja też byłem bliski, żeby tak pomyśleć - zwierzył się jej sympatycznie Culley, kiedy zaczęła wstawać do wyjścia.

- Do widzenia, pani Redpath. Teraz już nie musi się pani martwić, że pozbawi nas pani wszystkich pieniędzy.

Rhoda odparła, że oni też mają się nie martwić i muszą oboje przyjechać znowu, kiedy wieczory będą dłuższe, koniecznie niech obiecają.

- Z miłą chęcią - obiecała Angelina. - Podziękuj kochanej pani Redpath, Puffy - zachęcała swego męża i wyjaśniła: - Zawsze chciał uczciwie zarabiać na życie i nareszcie tak się stanie. Co się tyczy Cyrila, to dobrze mu zrobi, jeśli przestanie żyć z głową w chmurach oczekiwań i z matką gotową przyjść mu z odsieczą w każdej trudnej sytuacji. Teraz będzie musiał zdać się na Verne, która będzie tym zachwycona. Po to za niego wyszła. Okropna

rzecz - uścisnęli sobie dłonie z Frankiem - ale silne, zdolne kobiety takie jak mama mają bardzo demoralizujący wpływ na swoich najbliższych. Ja szczęśliwie uciekłam w młodym wieku, a pozostała dwójka jest jeszcze na tyle młoda, że zdąży się z tego wykaraskać. Zawsze powtarzam - teraz uścisnęły sobie dłonie z panną Redpath - że nie ma niczego tak paraliżującego umysł jak bezpieczeństwo finansowe. Do widzenia, panie Culley. Myślę, że był pan absolutnie wspaniały. Teraz, kiedy naprawdę nas na to nie stać, Puffy i ja spróbujemy mieć dziecko. Ciekawe, czy to wciąż możliwe.

Uścisnęli sobie dłonie z majorem Smythe'em.

2

- Phh! - Sponiewierany psychicznie nadkomisarz wciągnął głęboko do płuc lodowate powietrze, kiedy razem z nadinspektorem Culleyem odjeżdżał z Four Corners swoim samochodem. - Dobrze panu zrobi, jak się pan na chwilę wyrwie z tego domu. Zajrzy pan do mnie na drinka? Akurat zdążymy na wiadomości o siódmej.

- To byłaby bardzo przyjemna odmiana - przyznał z wdzięcznością Culley.

- Po wysłuchaniu tego wszystkiego to prawie ulga sobie przypomnieć, że nadal trwa wojna - uznał Smythe.

- Ale musieliśmy poukładać to sobie w głowie, prawda, panie nadkomisarzu?

- Podziwiam pańską cierpliwość - pochwalił go Smythe.

- Rzucaj chleb twój na wody ciekące, panie nadkomisarzu. Teraz wiemy wszystko.

- Na pewno jest pan zmęczony. Nie pojmuję, jak się panu udało

obrócić do Borrowfield i z powrotem, odkąd pana widziałem dziś rano! Nie sądziłem, że to możliwe!

- Na szczęście to nie przyszło do głowy nikomu oprócz pana, panie nadkomisarzu.

Samochodem zarzuciło.

- Chce pan powiedzieć, że nie pojechał pan do Borrowfield?

- Pani Freer dowie się tego po powrocie do domu. Z tym listem zgadywałem. Podobnie jak z lekarstwem lady Keene-Cotton. Tak naprawdę nie mamy żadnych bezpośrednich dowodów. To jest jak krzyżówka. Źle wypełniliśmy pierwsze dwa rzędy, więc musieliśmy najpierw wpisać wszystkie inne słowa, zanim zobaczyliśmy te dwa żarty.

- Ma pan na myśli morderstwo po świętach?

- Zgadza się, panie nadkomisarzu.

- A drugi żart?

- Dlaczego zwłoki nie były w bałwanie?

- Bo przecież były. Ach tak, rozumiem...

- Potem wystarczyło tylko zaczekać. Wiedzieliśmy, że żadna z tych osób nie może być mordercą, ale musieliśmy się upewnić. Niech się wygadają! Kiedy wszystko już tak bardzo do siebie pasowało, że żaden inny scenariusz nie był możliwy, oceniłem, że pani Freer ucieszy się z pretekstu, aby zrzucić to wszystko z serca. No i zrzuciła. Żadnych pozytywnych dowodów, jak mówię, ale mnóstwo świadków - łącznie z prawnikiem. To tyle.

- A pieniądze mimo wszystko dostaje pani Redpath.

- Zapewne. Ten ciekawy mały problem musi rozwiązać pan Merivale.

Smythe się zamyślił.



- Ciekawe, czy dlatego pana zaprosiła: aby udowodnić, że lady Keene-Cotton zamordowała swojego męża, a tym samym Horshamowie nie mogą odziedziczyć jego majątku.

- Tak, panie nadkomisarzu, jeśli pan pamięta, między innymi to próbowałem z niej wydobyć. To jednak nie ma znaczenia.

- Słusznie - uznał Smythe, ostrożnie pokonując śliski zakręt. - Z pewnością nie mogli wiedzieć, że został zamordowany, kiedy znaleźli go martwego, bo inaczej nie odstawiliby całej tej szopki.

- Oczywiście, że nie, panie nadkomisarzu - odparł Culley.

Wydawało się, że coś jeszcze przyszło mu do głowy i zaraz to powie, ale Smythe, który miał teraz przed sobą sympatycznie prosty kawałek drogi, stwierdził radośnie:

- I pomyśleć, ile się namęczyliśmy, żeby znaleźć mordercę po świętach! Co za szczęście, że go nie było, co? - spytał z rozpromienioną miną.

- Szczęście, panie nadkomisarzu? - dociekał Culley, który za nim nie nadążał.

- Przypuśćmy, że doszło do morderstwa przed świętami i po świętach.

- Przed i po - posłusznie przypuścił Culley. - Chce pan...?

- Frank Redpath też by nie żył! - wyjaśnił zachwycony Smythe.

Culley odrzucił głowę do tyłu i parsknął śmiechem.

- Miałby za swoje, panie nadkomisarzu!

Dwaj zasłużeni funkcjonariusze policji w Mewdley byli niezmiernie ubawieni...

- Pamiętaj, moja droga - mówiła tego wieczoru Rhoda do Margery - że John jest bardzo podobny do swojego ojca, więc jeśli zechce się kiedyś powymądrzać, to radzę ci: pozwól mu, nawet jeżeli w danym momencie wyda ci się to bardzo głupie. Zawsze rzucaj chleb twój na wody ciekące. Wiem, że nie chcesz słuchać rad takiej staruszki jak ja, ale doświadczenie mnie nauczyło, że dobroć zawsze popłaca. Czasami naprawdę zadziwiająco! To musi być prawo natury, moja droga - starsze od chrześcijaństwa i wszystkiego innego.

Margery zrezygnowała z prób czytania książki.

- John mówi, że dobroć jest najskuteczniejszą obroną.

- Absolutnie, moja droga! - potwierdziła Rhoda. - Spójrz na Paulinę! Jest dla wszystkich taka dobra, że każdy czuje się zobowiązany być dobry dla niej. I nikt nie uważa jej za nudziarę, nawet kiedy rzeczywiście przynudza.

- Tak, to prawda - zgodziła się z nią Margery. - Można jej słuchać godzinami. Ciekawe dlaczego.

- Dlatego, że zawsze jest bardzo szczęśliwa, kiedy mówi, a kiedy ludzie są szczęśliwi, słuchanie ich nigdy nie jest stratą czasu. Pamiętam, jak kiedyś była chora, a ja codziennie siedziałam przy niej w domu opieki. Przez większość czasu była nieprzytomna, więc nie wiedziała, że tam jestem, ale rzuciłam chleb na wody ciekące i dostałam coś w zamian, dlatego mówię, że to zawsze popłaca.

- Jak to? - nadstawiła uszu Margery.

- Wiedziała, że Paulina zrobiłaby to samo dla mnie, nawet gdyby to było bardzo męczące i wydawało się bezsensowne. No i popatrz, co się stało!

- Co?
- Kiedy majaczyła, udało mi się sklecić z jej mamrotania całą historię o tym, że jestem córką wujka Williego.
- O - wydusiła z siebie Margery z tępą miną.
- Od tej pory zawsze byłam bardzo, bardzo dobra dla drogiego wujka Williego - nawet po tym, jak dał mi wszystkie pieniądze po mojej mamie. Znowu rzucałam chleb na wody ciekące.
- I znowu się opłaciło?
- Oczywiście! Kiedy go poprosiłam, żeby został na święta, nie miałam pojęcia, że jego żona go zamorduje, ale skoro to zrobiła, ja dostaję wszystkie jego pieniądze!
- O - powtórzyła Margery z tępą miną.
- Zdziwiająca, prawda? - stwierdziła Rhoda i przyjrzała się krytycznie swojej robótce.
- Czyli cały czas wiedziałaś, że to ona go zamordowała?
- Nie cały czas, moja droga - co za głupie pytanie! - uświadomiłam to sobie całkiem nagle w trakcie rozprawy u koronera - to znaczy, że tak czy inaczej dostalibyśmy pieniądze - i że biedny Frank nie musiał się tak strasznie męczyć!
- Nie musiał? - spytała Margery, której kręciło się od tego wszystkiego w głowie.
- Masz rację - zreflektowała się Rhoda - chcieliśmy również, żeby wujek Willie dotrwał żywy do przyjęcia.
- Również? - powtórzyła zdezorientowana Margery.
- Ależ kochanie - skarciła ją Rhoda zniecierpliwionym tonem - nie sądzisz chyba, że pozwoliłabym Frankowi włożyć biednego martwego wujka Williego do bałwana tylko ze względu na przyjęcie świąteczne? Nie, kochanie, to naprawdę byłaby przesada! Na-

wet Frank nie przystałby na coś tak paskudnego, gdybym sobie nie uświadomiła - całkiem nagle, moja droga - że może warto spróbować ze względu na pieniądze, kochanie. Widzisz, jak tylko dostałam list od pani Horsham, wiedziałam, że lady Keene-Cotton raczej nie pożyje dłużej niż parę dni. No i uznałam, że byłoby strasznym marnotrawstwem, moja droga, gdyby nie udało się jakimś sposobem sprawić, żeby umarli w odwrotnej kolejności. To dlatego cię ostrzegałam, kochanie, abyś nie nabierała zwyczaju gaszenia małych entuzjasmów Johna. Nigdy nic nie wiadomo! Gdyby wujek Willie nie został otruty i gdyby John nie wzbudził w majorze Smycie podejrzeń dotyczących tych śladów stóp, to myślę, że naprawdę by nam się upiekło! Lady Keene-Cotton rzeczywiście zmarła przed przyjęciem, tak jak się spodziewałam, a ponieważ za-inscenizowaliśmy śmierć wujka Williego na po przyjęciu, wszystkie pieniądze miały trafić do mnie jako najbliższej rodziny! Tylko pomyśl, kochanie - kochanie, pomyśl - jaki użyteczny okazał się ten jeden raz Frank!

- Co? - powiedziała Margery z tępą miną.

- Rzucaj chleb twój na wody ciekące, moja droga - powtórzyła z naciskiem Rhoda.

---

<sup>1</sup> Koh 11:1; wyrażenie używane w znaczeniu: czyń dobrze nawet bez gwarancji nagrody. Ten i pozostałe cytaty biblijne z Biblii Jakuba Wujka (wszystkie przypisy pochodzą od redakcji).

<sup>2</sup> Nawiązanie do słów: "Obleczcie się w zupełną zbroję Bożą, abyście mogli stać przeciwko zasadzkom diabelskim" (Ef 6:11).

<sup>3</sup> Na początku II wojny światowej w Wielkiej Brytanii w związku z zagrożeniem bombardowaniami została przeprowadzona ewakuacja ludności cywilnej miast na obszary wiejskie uważane za bezpieczniejsze (przesiedlono ok. 3,75 mln osób).

<sup>4</sup> Kodycyl - rozporządzenie majątkiem na wypadek śmierci bez ustanowienia spadkobiercy.

<sup>5</sup> Zaciemnienie - zasłanianie okien i niepalenie światła o zmroku w czasie wojny, aby być niewidocznym w czasie nalotów.

<sup>6</sup> *Esprit de corps* (franc.) - poczucie solidarności.

<sup>7</sup> Maszyna kąpielowa (ang. *bathing machine*) - urządzenie popularne na plażach od XVIII do początku XX w., pozwalało przebrać się w strój kąpielowy i wejść do wody. Był to drewniany wózek z dachem i ściankami, który wjeżdżał do morza.

<sup>8</sup> *Succès fou* (franc.) - olbrzymi sukces.

<sup>9</sup> *Rigor mortis* (łac.) - stężenie pośmiertne.

<sup>10</sup> *Cherchez la femme* (franc.) - szukajcie kobiety (jeśli nie widać przyczyny jakiejś sprawy).

<sup>11</sup> *This is the malt that lay in the house that Jack built* - fragment popularnej angielskiej rymowanki.

<sup>12</sup> Ojciec Brown - bohater cyklu opowiadań detektywistycz-

nych G.K. Chestertona.

13 Pantalón - postać z komedii dell'arte.